

# Deighton Len

## Mózg za milion dolarów

Przełożyła DOROTA LUTECKA

„KB”

*Wiosna to dziewczica, lato to matka, jesień to wdowa, a zima - teściowa*

Przysłowie

rosyjskie

*Dwa mityczne kraje (Kalevala i Pohjola) prowadzą ze sobą wieczną wojnę. Oba pragną osiąść czarodziejski młynek, który bezustannie miele sól, zboże i pieniądze. Najważniejszą postacią w tej walce jest starzec Vainamoinen. To mędrzec i czarnoksiężnik. Jest też muzykiem wygrywającym pieśni na szczupaczych ościach. Vainamoinen zabiega o względy młodziutkiej, prześlicznej dziewczyny, Aino, która woli utopić się, niż poślubić starca.*

KALEVALA

(Fiński epos ludowy)

*Cytuje się powiedzenie pana Paula Getty'ego, że miliard dolarów nie jest wart tyle co dawniej.*

Nubar Gulbenkian

## Część I

### Londyn i Helsinki

*Enter was puter kwas*

*Ty, zajączku, biegaj w las*

Rymowanka dziecięca

### Rozdział 1

Był to ranek moich setnych urodzin. W bezlitosnym blasku światła w łazience wygolilem ostatni odbity w lustrze krążek starej, zmęczonej twarzy. Można sobie mówić, że Humphrey Bogart miał taki sam typ twarzy, ale Bogart miał też tupecik, pół miliona dolarów rocznie i dublera do niebezpiecznych kawałków. Rozmazałem mydło do golenia po wyszczerbionym ostrzu brzytwy. Powiększone przez odbicie w lustrze wyglądało jak biała rakietka, lądująca na ciemnej stronie księżyca.

Na dworze zastałem luty i pierwszy tegoroczny śnieg. Był to taki rodzaj śniegu, jaki cwany facet od *public relations* chętnie sprzedawałby dziennikarzom. Iskrzył i unosił się w powietrzu. Był miękki, a zarazem chrupki niczym nowy gatunek ocukrzonych płatków śniadaniowych. Dziewczyny nosiły go we włosach, a *Telegraph* zamieścił zdjęcie jakiegoś odzianego weń posągu. Trudno było się domyślić, że ten dobrotliwy śnieżek doprowadza do paranoi urzędników Kolei Brytyjskich. W ten poniedziałek układał się w pryzmy chrzęszczące pod podszewami, a przed biurkiem na Charlotte Street, gdzie pracowałem, opadał w białe, suche piramidy. Powiedziałem: „Dzień dobry” do Alice, a ona rzuciła: „Nie nanieś go do środka” - co trafnie podsumowało panujące między nami stosunki.

Gmach przy Charlotte Street to stara, sypiąca się rudera. Tapety usiane są wielkimi, pełnymi odpadającego tynku wrzodami, a na podłodze, w miejscach, gdzie wygniła tak, że nie nadawała się do reperacji, prześwitywały płyty metalu. Na podeście pierwszego piętra znajdował się wymalowany szyld głoszący: „Acme Film. Sale Montażowe”, a pod nim wizerunek kuli ziemskiej z za chudym kontynentem afrykańskim. Zza zamkniętych drzwi dolatywały dźwięki radioli i silny zapach kleju do taśm. Następny podest wymalowano świeżą zielenią. Na drzwiach kawałek papieru listowego z oślimi uszami obwieszczał: „B. Isaacs. Krawiec Teatralny”, co kiedyś wydało mi się bardzo zabawne. Z tyłu słyszałem Alice z sapaniem wchodzącą po schodach z dużą puszką neski. Ktoś z wydziału depesz puścił na gramofonie płytę z orkiestrą dętą. Dawlish - mój szef - ciągle uskarża się na ten gramofon, ale nawet Alice nie może naprawdę zapanować nad wydziałem depesz.

Moja sekretarka powiedziała mi: - Dzień dobry. - Jean to wysoka dziewczyna, lat około dwudziestu pięciu. Twarz ma spokojną jak Nembutal, a wysokie kości policzkowe i ciasno ściągnięte do tyłu włosy sprawiają, że jest piękna nie starając się o to. Były dni, gdy sądziłem, że jestem zakochany w Jean i były dni, gdy sądziłem, że ona jest we mnie zakochana, ale jakoś nigdy te dni nie nakładały się na siebie.

- Udane przyjęcie? - zapytałem.

- Wyglądało na to, że dobrze się bawisz. Gdy wychodziłam, piłeś kufel gorzkiej żołądkowej, stojąc na głowie.

- Naprawdę przesadzasz. Dlaczego poszłaś do domu sama?

- Mam dwa głodne koty do wykarmienia. Dla mnie druga trzydzieści to ostatni moment, żeby pójść do łóżka.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem.

- Niech ci nie będzie.

- Ale naprawdę.

- Pójść z tobą na przyjęcie, to narazić się na samotność. Usadzasz mnie gdzieś, wałęsasz się gadając ze wszystkimi, a potem dziwisz się, jak to się stało, że ich nie poznałam.

- Dziś wieczorem - powiedziałem - pójdziemy do jakiejś cichej knajpki na kolację. Tylko we dwoje.

- Nie zaryzykuję. Dziś wieczór przyrządzę ci w domu ucztę urodzinową. Dam ci wszystko, co lubisz.

- Doprawdy?

- Do jedzenia.

- Przyjdę.

- Lepiej się postaraj. - Obdarzyła mnie przelotnym pocałunkiem. -  
Wszystkiego najlepszego. - Pochyliła się i postawiła na moim bibularzu szklanę wody i dwie tabletki Alka Seltzer.

- Dlaczego nie wrzuciłaś tabletek do wody? - zapytałem.

- Nie byłam pewna, czy zniesiesz dźwięk pękających bąbelków. Otworzyła moje szafki na akta i rozpoczęła pracę - wytrwale przekopywanie się przez wielki stos papierów. Do południa nie udało się nam wydatnie go zmniejszyć.

- Nawet nie potrafimy załatwić wszystkich nadchodzących spraw - powiedziałem.

- Możemy otworzyć dział „sprawy w toku”.

- Typowo kobiece postawienie sprawy - odparłem. - To tylko nadawanie nowych nazw temu samemu. Dlaczego się do tego nie zabierzesz i nie załatwisz paru spraw beze mnie?

- Już to zrobiłam.

- No to wydziel sprawę „tylko dla informacji”, zaznacz, aby do nas wróciły, i przekaż je dalej. Uzyskamy wtedy trochę wolnego miejsca.

- No i kto sam się oszukuje?

- Możesz wymyślić coś lepszego?

- Tak. Sądzę, że powinniśmy otrzymać od Organizacji pisemną dyrektywę, aby mieć pewność, iż zajmujemy się tylko tymi sprawami, które do nas należą. W tej przegródce mogą być sprawy, które nie mają z nami nic wspólnego.

- Miłości moja, są chwile, kiedy myślę, że wszystko to nie ma z nami nic wspólnego.

Jean popatrzyła na mnie bez wyrazu, w sposób, który mógł oznaczać dezaprobatę. Być może myślała o swej fryzurze.

- Lunch urodzinowy w Trattori - oznajmiłem.

- Ależ okropnie wyglądam.

- Tak - potwierdziłem.

- Muszę się uczesać. Daj mi pięć minut.

- Dam ci sześć. - powiedziałem. Jednak myślała o fryzurze.

★ ★ ★

Lunch zjedliśmy w „Trattori” Terrazza: *Tagliatelle alla carbonara, Osso buco*, kawa, Pol Roger do wszystkich dań. Mario powinszował mi z okazji urodzin i ucałował Jean, aby to uczcić. Strzelił palcami i przyniesiono Strega. Ja również strzeliłem palcami i przyniesiono więcej Pol Roger. Siedzieliśmy popijając szampana na przemian ze Stregą, rozmawiając, strzelając palcami, odkrywając prawdy ostateczne i własną nieskończoną mądrość. Wróciliśmy do biura o trzeciej czterdzieści pięć. Uświadomiłem sobie wtedy po raz pierwszy, jak niebezpieczny może być ten naderwany kawałek linoleum na schodach. Gdy wszedłem do pokoju, interkom brzęczał jak mucha robaczyca w pułapce. - Słucham - powiedziałem.

- Natychmiast do mnie - oznajmił Dawlish, mój szef.

- Natychmiast, proszę pana - odparłem wolno i z namysłem. Dawlish zajmował jedyny w całym budynku pokój z dwoma oknami. Było to wygodne pomieszczenie, choć zapchane różnymi niezbyt cennymi antykami. Czuć tu było zapach mokrych płaszczy. Dawlish to poważny mężczyzna o wyglądzie koronera z czasów króla Edwarda. Ma siwe, przechodzące w biel włosy oraz długie i szczupłe ręce. Czytając, przesuwał koniuszki palców po kartce, jakby zmysł dotyku ułatwiał lepsze zrozumienie tekstu. Uniósł wzrok znad biurka.

- Czy to ty spadłeś ze schodów?

- Potknąłem się - odparłem. - Miałem śnieg na podszwach.

- Oczywiście, że to dlatego, mój chłopcze - powiedział Dawlish. Obaj popatrzyliśmy przez okno; śnieg padał szybciej, długie białe węże owijały się wokół rynny, gdyż był jeszcze na tyle sypki, że unosił go wiatr.

- Wysyłam właśnie do premiera kolejną porcję akt numer 378. Nie znoszę tej roboty przy weryfikacjach. Łatwo tu strzelić byka.

- To prawda - przyznałem zadowolony, że to nie ja muszę je podpisać.

- Co o tym myślisz? - zapytał Dawlish. - Czy sądzisz, że ten chłopak stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa?

378 to okresowy przegląd lojalności klasy S.1 - ważnych chemików, inżynierów itp. - ale wiedziałem, że Dawlish chce sobie tylko pomyśleć na głos. Odchrząknąłem.

- Wiesz, o kogo się niepokoję. Znasz go.

- Nigdy nie prowadziłem jego akt. - Tak długo, póki będę miał możliwość wyboru, za cholerę tego nie zrobię. Wiedziałem, że Dawlish ma na mnie jeszcze jednego haka: akta numer 378 podpunkt 14, które odnoszą się do pracowników związków zawodowych. Najlepsza oznaka zrozumienia i zainteresowania, a znajduję je na swoim biurku.

- Co o nim sądzisz osobiście? - zapytał Dawlish.

- Błyskotliwy młody naukowiec. Socjalista. Pęka z dumy z powodu habilitacji. Budzi się pewnego ranka z zamszową kurtką, dwoma bachorami, pracą, którą dostał po wygraniu konkursu, i hipoteką w Hampstead, wartą dziesięć tysięcy funciaków. Zaczyna prenumerować *Daily Worker* tylko po to, aby czytać *Statesman*'a bez wyrzutów sumienia. Nieszkodliwy. - Miałem nadzieję, że moja odpowiedź zawiera właściwą dozę ignorancji i okrągłych frazesów.

- Bardzo dobrze - oznajmił Dawlish przerzucając akta. - Powinniśmy dać ci tu robotę.

- Nie potrafiłbym współżyć z szefem.

Dawlish złożył inicjały na nagłówku akt i wrzucił je do przegródki z załatwionymi sprawami.

- Mamy inny problem - powiedział - którego nie da się rozwiązać tak łatwo. - Sięgnął po cienki skoroszyt, otworzył go i odczytał nazwisko. - Olaf Kaarna. Znasz go?

- Nie.

- Dziennikarze, którzy mają wysoko postawionych, niedyskretnych przyjaciół,

uważają siebie za politycznych komentatorów. Kaarna należy do tych bardziej odpowiedzialnych. Jest Finem. Z komfortem. - (Dawlish używał tego słowa na oznaczenie dochodów osobistych z dywidend) - Traci wiele czasu i pieniędzy na zbieranie informacji. Dwa dni temu rozmawiał z człowiekiem z naszej ambasady w Helsinkach. Poprosił go, by potwierdził parę drobnych, technicznych szczegółów przed publikacją artykułu w przyszłym miesiącu. Chce go posłać do *Kansan Uutiset*. To lewicowy dziennik. Może być korzystnym punktem wyjścia do kontrataku, gdyby artykuł był dla nas szkodliwy. Naturalnie, nie wiemy, co Kaarna trzyma w zanadrzu, ale twierdzi, że może udowodnić istnienie kierowanej z Finlandii rozległej operacji, obejmującej północną Europę, prowadzonej przez brytyjski wywiad wojskowy - powiedziawszy to Dawlish uśmiechnął się. Ja też. Myśl o Rosji z Ministerstwa Wojny, planującym na skalę globalną, wydawała się trochę nierealna.

- A jak brzmi inteligentna odpowiedź...?

- Bóg jeden wie - odparł Dawlish - ale ktoś musi pójść tym tropem.

Niewątpliwie Ross kogoś wyśle. Powiadomiono Ministerstwo Spraw Zagranicznych. O'Brien nie może sobie pozwolić na zignorowanie tej sytuacji.

- To tak jak na przyjęciu. Dziewczyna, która wyjdzie pierwsza, naraża się na to, że wszyscy ją oplotkują.

- No, właśnie - powiedział Dawlish. - Dlatego chcę, żebyś pojechał jutro rano.

- Chwileczkę - odparłem. Znałem wszystkie powody, dla których było to niemożliwe, ale zamroczył mnie alkohol. - Paszport. Czy dostaniemy coś porządnego z MSZ, czy partanię z Ministerstwa Wojny, to i tak odkryjemy karty, a oni będą grać na zwłokę, jeśli zechcą.

- Zobacz się ze swoim przyjacielem z Aldgate - podsunął Dawlish.

- Ale teraz jest pół do piątej.

- Dokładnie - odparł Dawlish. - Twój samolot odlatuje o dziewiątej pięćdziesiąt rano, masz więc ponad szesnaście godzin na załatwienie tej sprawy.

- Jestem przepracowany.

- Przepracowanie to tylko stan ducha. Nad jedną robotą pracujesz więcej niż trzeba, nad drugą mniej. Powinieneś być bardziej bezstronny.

- Nawet nie wiem, co mam zrobić, jak przyjadę do Helsinek.

- Zobacz się z Kaarna'ą. Zapytaj go o artykuł, który przygotowuje. Popelnił parę głupstw w przeszłości; pokaż mu parę stron z jego dossier. Zareaguje.

- Chce pan, żebym mu groził.

- Na Boga, nie. Najpierw marchewka. Kij na samym końcu. Kup ten artykuł, który pisze, jeśli to będzie konieczne. Zareaguje.

- Wciąż pan to powtarza. - Wiedziałem, że nie należy zdradzić się nawet z najłżejszą oznaką podniecenia. Powiedziałem cierpliwie: - W tym gmachu znajduje się co najmniej sześciu ludzi, którzy mogą załatwić tę robotę, nawet jeśli nie jest taka łatwa, jak pan to opisał. Nie mówię po fińsku, nie mam tam bliskich przyjaciół, nie znam kraju ani nie miałem do czynienia z żadnymi aktami wiążącymi się z tą sprawą. Dlaczego to ja mam jechać?

- Jesteś - odpowiedział Dawlish zdejmując okulary i kończąc dyskusję - najlepiej uodporniony na zimno.

Montagu Street to kąpiący od brudu teren z nieruchomościami w Whitechapel, gdzie mógłby grasować Kuba Rozpruwacz. Mroczne warzywniaki, beczki solonych śledzi, ruiny, koszerna kurczakarnia, jubiler, znów ruiny. Tam, gdzie wtargnęły do getta ostatnie fale ubogich emigrantów, widać było małe skupiska świeżo wymalowanych sklepów opatrzonych arabskimi szyldami. Troje ciemnoskórych dzieci na starych rowerach przemknęło szybko, zatoczyło krąg i stanęło. Za czynszowymi kamienicami znów zaczynały się sklepy. Za szybą mieszczącego się wśród nich zakładu drukarskiego widniały upstrzone przez muchy egzemplarze wizytówek. Druk na nich wyblakł, a karty pozwijały się w promieniach słońca. Znów pojawiły się dzieciaki na rowerach, pozostawiając po sobie poplątane ślady na cienkiej warstwie śniegu. Drzwi były wypaczone i ciężko chodziły w zawiasach. Nad głową zabrzączał dzwonek, z którego osypał się kurz. Dzieci obserwowały, jak wchodzi do zakładu. W kantorku zobaczyłem stary kontuar pokryty szklanym blatem. Pod szkłem umieszczono egzemplarze faktur i wizytówek firmowych - wyblakłe duchy zbankrutowanych przedsiębiorstw. Na półce leżały pudełka ze spinaczami, wyposażenie biurowe, obwieszczenie: „Przyjmujemy zamówienia na pieczątki firmowe” oraz zatłuszczony katalog.

Gdy ucichł dźwięk dzwonka, z zaplecza odezwał się jakiś głos:

- Czy to pan telefonował?

- Tak.

- Właż na górę, kochasiu. - Potem bardzo głośno, innym już tonem wrzasnęła:

- Sonny, on tu jest. - Uniosłem klapę i precisiłem się na górę po wąskich schodach.

Okna od tyłu wychodziły na podwórka zawalone połamanymi rowerami i zardzewiałymi basenami do niasiadówek. Wszystko pokrywała warstewka śniegu.

Rozmiary tego miejsca wydawały się dla mnie o wiele za małe. Błąkałem się po domu zbudowanym dla karzełek.

Pracownia Sonny'ego Sontaga mieściła się na poddaszu. Było tu czystiej niż w innych pokojach, ale panował jeszcze gorszy bałagan. Stół pokryty białym plastykiem zajmował większą część pomieszczenia. Na stole stały słoiki po dżemie z powtykanymi dziurkaczami, igłami, skrobaczkami, czyścidłami zakończonymi dopasowanymi do wnętrza dłoni drewnianymi grzybkami oraz dwie wypolerowane osetki. Miejsca przy ścianach zapełniały głównie brązowe tekturowe pudełka.

- Panie Jolly - powiedział Sonny Sontag wyciągając miękką białą rękę. Jej uścisk przypominał uchwyt klucza francuskiego. Kiedy po raz pierwszy poznałem Sonny'ego, sfałszował dla mnie przepustkę Ministerstwa Pracy na imię i nazwisko Petera Jolly. Od tego czasu z typową dla siebie wiarą w dzieło własnych rąk, zwracał się do mnie zawsze per „panie Jolly.”

Sonny Sontag był niechlujnym mężczyzną średniego wzrostu. Nosił czarny garnitur, czarny krawat i czarny kapelusz z podwiniętym rondem, który rzadko zdejmował. Spod rozpiętej marynarki wyglądała zrobiona na drutach wełniana kamizelka, z której zwisały luźne nitki. Wstając obciągnął ją. Zaczęła wyglądać na nieco mniej postrzępioną.

- Cześć, Sony - przywitałem się. - Przepraszam za ten pośpiech.

- Ależ skąd. Stały klient może oczekiwać specjalnych względów.

- Potrzebny mi paszport - powiedziałem. - Do Finlandii. Wyglądał jak chomik odziany w biurowy garnitur; uniósł podbródek i marszcząc nos powtórzył: „Finlandii” dwa lub trzy razy.

- To nie może być paszport skandynawski, za łatwo sprawdzić numery rejestracyjne. Nie może to być kraj, który wymaga wiz do Finlandii, bo nie mam czasu na zrobienie panu wizy. - Szybkim ruchem ręki potarł bokobrody. - Zachodnie Niemcy? Nie. - Chodził wokół półek bucząc i krzywiąc się, aż w końcu znalazł duże tekturowe pudełko. Łokciami zrobił miejsce na stole i, gdy już myślałem, że zacznie ogryzać pudło, wysypał jego zawartość na blat. Składało się na nią kilkadziesiąt okropnie zniszczonych paszportów. Niektóre z nich były rozdarte, inne miały obcięte rogi, jeszcze inne tworzyły plik luźnych kartek sklejonych przylepcem. - Przeznaczone na pożarcie - wyjaśnił Sonny - wybieram potrzebne mi strony z wizami i fałszuję je. To na małe robótki do hula-hoop, a nie dla pana. Gdzieś tutaj mam milutką Republikę Irlandii. Przygotuję paszport za parę godzin, jeśli to panu



odpowiada. - Poszperał w wymiętoszonych dokumentach i wyciągnął irlandzki paszport. Podał mi, żebym go sobie obejrzał, a ja wręczyłem mu trzy zamazane fotografie. Sonny zbadał je uważnie, a potem wyjął z kieszeni notatnik i przybliżając go do oczu, odczytał mikroskopijne pismo.

- Dempsey czy Brody? - zapytał. - Co pan woli?

- Wszystko mi jedno.

Obciągnął kamizelkę; wysunęło się z niej długie pasmo włóczki. Sonny owinał je szybko wokół palca i urwał.

- A więc Dempsey, Dempsey mi się podoba. Może Liam Dempsey?

- To cudowny człowiek.

- Zrezygnowałbym z irlandzkiego akcentu, panie Jolly - powiedział Sonny. - Jest bardzo trudny nawet dla Irlandczyków.

- Żartuję sobie - powiedziałem. - Człowiek o nazwisku Liam Dempsey mówiący scenicznym, irlandzkim akcentem zasługuje na wszystko co najgorsze.

- To prawda, panie Jolly - powiedział Sonny.

Kazałem mu powtórzyć nazwisko parę razy. Jest dobry, jeśli chodzi o nazwiska, a ja nie chciałem ruszyć w podróż źle wymawiając własne. Stałem pod miarką przy ścianie i Sonny zanotował: 178, oczy niebieskie, szatyn, ciemna cera, znaków szczególnych brak.

- Miejsce urodzenia - zapytał Sonny.

- Może Kinsale?

Sonny wciągnął powietrze hałaśliwie wyrażając dezaprobatę.

- Nigdy. Za mała miejscowość. Zbyt duże ryzyko. - Gwizdnął przez zęby. - Cork - oświadczył niechętnie. Dobijał trudnego targu.

- Dobra, niech będzie Cork - oświadczyłem.

Wrócił za biurko, wydając ciche, pełne niezadowolenia pomruki i powtarzając: - Kinsale, za duże ryzyko - jakbym próbował go przechytrzyć. Wywinął mankiety koszuli na rękawy marynarki, włożył w oczodół lupę zegarmistrzowską i przyjrzał się uważnie atramentowym wpisom w paszporcie. Potem wstał i popatrzył na mnie, jakby właśnie dokonywał porównań.

- Wierzysz w reinkarnację, Sonny? - zapytałem. Zwilżył wargi i uśmiechnął się; oczy błyszczały mu, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy. Może tak właśnie było, może był tak dyskretny, że jego klienci przewijali się nie zauważeni i nie zapamiętani.

- Panie Jolly - powiedział - w moim zakładzie widuję ludzi wszelkiego rodzaju. Ludzi, dla których świat był niedobry i takich, którzy byli niedobrzy dla świata. Proszę mi wierzyć, rzadko są to ci sami ludzie. Ale człowiek nie może uciec od świata, chyba że dzięki śmierci. Wszyscy mamy wyznaczone spotkanie w Samarze. Wielki pisarz, Antoni Czechow uczy nas: Gdy człowiek się rodzi, może wybrać jedną z trzech dróg. Innych nie ma. Jeżeli pójdzie drogą na prawo, pożrą go wilki. Jeżeli pójdzie na lewo, on pożre wilki. Jeżeli pójdzie drogą na wprost, pożre sam siebie. Tego nas uczy Czechow, panie Jolly, i gdy odejdzie pan stąd tej nocy, zostanie pan Liamem Dempseyem, ale nie pozbędzie się pan niczego, co jest w tym pokoju. Przeznaczenie nadało wszystkim swoim klientom numery - zatoczył ręką krąg, wskazując ponumerowane tekturowe pudełka - i niezależnie od zmian, jakie wprowadzamy, ono wie, który do kogo należy.

- Masz rację, Sonny - powiedziałem zaskoczony, że dokopałem się do tak bogatego złoża filozoficznego.

- Tak, proszę mi wierzyć, panie Jolly, mam rację.

## **Rozdział 2**

Finlandia nie jest komunistycznym państwem satelickim, ale częścią Europy i ma udział w jej dobrobycie. Sklepy zapchane są polędwicą wołową, płytami długogrającymi, mrożonkami i telewizorami.

Lotnisko w Helsinkach nie jest dobrym miejscem do prowadzenia rozmów telefonicznych. Dotyczy to zresztą na ogół wszystkich lotnisk: używa się tu wsiowych centralek, rejestruje rozmowy i za dużo jest gliniarzy, którzy nie mają co robić. Pojechałem więc taksówką na dworzec kolejowy.

Helsinki to schludne, prowincjonalne miasto, w którym zima trwa przez cały rok. Pachnie żywicą i olejem opałowym jak wiejski sklepik. W menu stylowych restauracji wędzony ozór renifera figuruje obok *tournedos a la Rossini*; udaje się tu, że wyrażono zgodę na bezmiar jezior i lasów, które leżą nie opodal zagrzebane pod śniegiem. Bo Helsinki to tylko załącznik do Finlandii, urbanistyczna refleksja, to miasto w którym pół miliona ludzi stara się zapomnieć, że tysiące mil kwadratowych pustkowi i arktycznej zmarzliny zaczynają się przystanek autobusowy dalej.

Taksówka zatrzymała się przy głównym wejściu na dworzec kolejowy. Był to wielki, brązowy budynek przypominający odbiornik radiowy z 1930 roku. Zaróżowieni, jakby prosto z sauny, mężczyźni wypadali z autobusów ustawionych w

długi szereg i spryskanych błotem. Co i raz rozlegało się gwałtowne rzężenie w skrzyni biegów, gdy któryś z pojazdów przepychał się w stronę szosy.

Rozmieniłem w kantorze banknot pięćofuntowy i skorzystałem z budki telefonicznej. Wrzuciłem dwadzieścia penni i wykręciłem numer. Odpowiedziano natychmiast, jakby ktoś czekał po drugiej stronie słuchawki.

Zapytałem: - Stockmann? - Jest to największy dom towarowy w Helsinkach oraz nazwisko, które nawet ja potrafię wymówić.- *Ei* - odpowiedział mężczyzna po drugiej stronie. *Ei* oznacza „nie”.

Powiedziałem: - *Hyvaa iltaa* - co przećwiczyłem wcześniej jako fińskie „dobry wieczór”, a mężczyzna po drugiej stronie odpowiedział - *Kiitos* - dziękuję - dwa razy. Złapałem na podjeździe kolejną taksówkę. Postukałem w mapę miasta. Kierowca skinął głową. Włączyliśmy się w popołudniowy ruch uliczny na Aleksanterinkatu, by w końcu zatrzymać na nabrzeżu.

Jak na tę porę roku w Helsinkach panowała łagodna pogoda. Tak łagodna, że kaczki w zatoce mogły sobie popływać w paru przeręblach. Nie na tyle jednak łagodna, by pozwolić sobie na wyjście bez futrzanej czapki, chyba że ktoś pragnie, by mu uszy odpadły i roztrzaskały się na tysiąc kawałeczków.

Parę pokrytych brezentem furmanek zaznaczyło miejsce, gdzie odbywa się poranny targ. Wielkie zakole zatoki było białe; spieniona woda zamarzała w brudne, lodowe okrągłaki. Oddział żołnierzy z wojskową ciężarówką także czekał na prom. Żołnierze wybuchali śmiechem i poszturchiwali się radośnie. Ich odddechy unosiły się jak dymne indiańskie sygnały. Prom nadpłynął przepychając się z trudem przez oczyszczony z kry kanał. Syrena na łodzi zawyła, a mroźne powietrze natychmiast zablizniło mokrą ranę pozostawioną przez prom na wodzie. Pod osłoną przepierzenia zapaliłem Gauloise'a. Przyglądałem się, jak wojskowa ciężarówka pełźnie w górę po trapie ładunkowym. Nie opodal na placu targowym stał mężczyzna, trzymając bukiet napełnionych tlenem baloników. Wiatr nimi targał i powiewały niczym jaskrawo pokolorowany totem, którego nie udawało się utrzymać w równowadze. Siwowłosy biznesmen w karakułowej czapce powiedział parę słów do sprzedawcy balonów. Ten skinął głową w stronę promu. Siwowłosy nic nie kupił. Poczulem, jak łódź kołysze się pod ciężarem ciężarówki. Rozległo się wycie syreny, ostrzegające spóźnionych pasażerów, i przysadzisty dziób odwalił wodnistą miazgę na bok, ku unoszącej gęstej krze.

Siwowłosy przyłączył się do mnie na pokładzie. Był to rostry mężczyzna;

powiększał go jeszcze ciężki płaszcz. Szara karakułowa czapka i futrzany kołnierz złączyły się i mieszały z włosami, gdy odwrócił głowę ku morzu. Palił fajkę, z której wiatr wywiał iskry, gdy przechodził przez drzwi. Przechylił się przez nadburcie obok mnie i obaj przyglądaliśmy się wielkim, kołyszącym się kawałom lodu. Wyglądało to, jakby wszystkie kabaretowe trupy z lat trzydziestych zwały swoje białe fortepiany do tej zatoki.

- Bardzo przepraszam - powiedział siwowłoso - zna pan może numer telefonu do domu towarowego Stockmanna?

- 12 181 - odparłem. - Restauracja ma inny numer.

- Znam numer do restauracji - powiedział mężczyzna. - 37 350.

Skinałem głową.

- Po co to wszystko zaczęli?

Wzruszyłem ramionami. - Ktoś w Wydziale Organizacyjnym przeczytał jakąś powieść szpiegowską. - Mężczyzna obruszył się trochę na to słowo „szpiegowskie”. Było to jedno ze słów, których należy unikać; podobnie malarze unikają słowa „artysta”.

- Starcza mi czasu tylko na to - powiedział mężczyzna - by zapamiętać, co pan ma powiedzieć i co ja mam odpowiedzieć.

- Mnie też - oświadczyłem. - Może mówiliśmy w ogóle nie to, co trzeba. - Człowiek w futrzanym kołnierzu roześmiał się i z cybucha fajki uleciało więcej iskier. - Jest ich dwóch, tak jak podaliście. Obaj mieszkają w hotelu „Helsinki” i sądzę, że znają się, chociaż ze sobą nie rozmawiają.

- Skąd pan wie?

- No cóż, wczoraj wieczorem w sali jadalnej znajdowało się tylko dwóch ludzi. Obaj zamówili po angielsku posiłek, tak głośno, że musieli się usłyszeć, a mimo to nie przedstawili się sobie. Wydaje mi się, że skoro dwóch Anglików za granicą je kolacje i nie pozdrawia się nawzajem... Czy to naturalne?

- Tak - odparłem.

.Siwowłoso pyknął z fajki i skinął głową, starannie zapamiętując moją odpowiedź i dodając do zasobu doświadczeń.

- Jeden jest mniej więcej pańskiego wzrostu, szczuplejszy - jakieś siedemdziesiąt pięć kilo - gładko wygolony, wyraźny głos, chodzi i mówi jak oficer; ma trzydzieści dwa lata. Drugi jest jeszcze wyższy, mówi bardzo głośno, z przesadnym angielskim akcentem, ma bardzo białą twarz, poddenerwowany, około

dwudziestu siedmiu lat, chudy, waży może...

- Dobra - powiedziałem. - Wiem już, co trzeba. Pierwszy to będzie facet od Rossa, wysłany przez Ministerstwo Wojny, drugi jest z MSZ.

- Też tak pomyślałem. Pierwszy, który wpisał się do księgi hotelowej jako Seager, był wczoraj wczesnym popołudniem na drinku z waszym attache wojskowym. Drugi nazywa siebie Bentleyem.

- Był pan bardzo skrupulatny - zaznaczyłem.

- Tyle przynajmniej możemy zrobić. - Siwowłosy wskazał na zamrożone morze w chwili, gdy jakiś nieznajomy wszedł na pokład za naszymi plecami.

Zapatrzyliśmy się na jedną z uwieczonych wśród lodu wysp, tak jakbyśmy wymieniali o niej jakieś smakowite informacje. Nowo przybyły przestępował z nogi na nogę. - Jedna marka fińska - powiedział. Pospieszenie odebrał zapłatę i wrócił do ciepłej kabiny.

- Czy poza tymi frajerami z *public-school* Karnaa miał jakieś inne zagraniczne kontakty? - zapytałem.

- Trudno powiedzieć. W mieście pełno jest dziwnych ludzi. Amerykanie, Niemcy, nawet Finowie, którzy zabawiają się trochę

- pokręcił palcem szukając słowa - ...informacjami.

Za lodowym polem dojrzałem wyspę Suomenlinna i grupę ludzi czekających na łódź. - Czy moja dwójka odwiedzała Karnaa'ę? - Mężczyzna potrząsnął głową. - A więc czas, żeby ktoś to zrobił - oświadczyłem.

- Czy będą kłopoty? - Byliśmy tuż-tuż. Usłyszałem, jak kierowca zapuszcza silnik w ciężarówce. - Niech się pan nie martwi - powiedziałem. - To nie ten rodzaj roboty.

★ ★ ★

Następnego ranka obudziłem się w hotelu „Helsinki” o siódmej rano. Ktoś wchodził właśnie do mojego pokoju. Kelnerka postawiła tacę obok łóżka. Dwie filiżanki, dwa półmiski, dwa dzbanki z kawą, wszystko podwójne. Postarałem się przybrać wygląd człowieka, którego przyjaciółka właśnie bierze prysznic w łazience. Kelnerka rozchyliła zasłony i chłodne północne światło zalało łóżko. Gdy odeszła, wsypałem do każdego dzbanka po pół paczki czekolady ze środkiem przeczyszczającym. Zadzwoiłem po obsługę. Przyszedł jakiś mężczyzna. Wytłumaczyłem mu, że zaszła pomyłka. Kawa jest przeznaczona dla dwóch mężczyzn znajdujących się w holu, pana Seagera i pana Bentleya. Podałem mu

numery ich pokoi i jednomarkowy banknot. Potem wziąłem prysznic, ogoliłem się, ubrałem i wyprowadziłem z hotelu.

Przeszedłem przez ulicę i wspiałem się na handlową antresolę. Sprzątaczkii kończyły tu czyścić lśniąca podłogi sklepów czekających na otwarcie. Dwóch gliniarzy w futrzanych czapkach jadło śniadanie w „Columbia Cafe”. Zająłem miejsce przy oknie. Przyglądałem się górującemu nad miastem dworcowi kolejowemu Saarinen po drugiej stronie placu. W nocy spadło więcej śniegu; mała armia pługów śnieżnych oczyszczała parking autobusowy.

Zjadłem śniadanie. *Kellog Riisi Muroja* były „chrupkie, sypkie, wystrzałowe”, jajka wyśmienite, sok pomarańczowy także. Tego ranka nie miałem ochoty na kawę.

★ ★ ★

Przy końcu półwyspu Helsinki mają tylko kilometr szerokości. W południowej dzielnicy miasta, gdzie mieszkają i pracują dyplomaci, wśród staromodnych budynków z granitu panuje spokój i łatwo tu zaparkować. Kaarna mieszkał w posępnym mieszkalnym bloku, który wciąż jeszcze nosił ślady rosyjskiego ataku. Wystrój holu cechowała ta powściągliwa, bezbarwna elegancja, którą nieodmiennie tworzą granit, szkło i stal. Mieszkanie Kaarna'y znajdowało się na czwartym piętrze; numer 44. Podświetlona wizytówka pod przyciskiem dzwonka głosiła: „Dr Olaf Kaarna.” Zadzwoiłem trzy razy. Nie byłem umówiony z Kaarna'ą, ale wiedziałem, że pracuje w domu i rzadko wychodzi z mieszkania przed lunchem. Przycisnąłem brzęczyk ponownie i wyobraziłem sobie, jak Kaarna przeklinając omotuje się w szlafrok. Nie było wciąż odpowiedzi. Patrząc przez szparę w skrzynce na listy, dojrzałem tylko mroczny przedpokój z wysokim stosem korespondencji i troje zamkniętych drzwi. Poczuję, jak zimny metal z lekkim trzaskiem ustępuje pod naciskiem czoła. Ciężkie drzwi uchyliły się i niemal przewróciłem się o gościnną wycieraczkę. Przycisnąłem brzęczyk jeszcze raz, przytrzymując drzwi czubkiem buta i udając, że w ogóle tego nie robię. Gdy stało się oczywiste, że nikt nie nadejdzie, ruszyłem do akcji. Przetrzęsnałem korespondencję, a potem zająłem się pokojami. W kuchni panował wzorowy porządek, który poprawić można było tylko usuwając meble. Salon przypominał stoisko w skandynawskim domu towarowym. Tylko pracownia wyglądała na zamieszkałą. Książki pokrywały ściany, a na różowym biurku leżały stosy niechlujnie poukładanych papierów; kałamarze i zszywacze wykorzystano w charakterze przycisków. Za biurkiem stała oszklona szafa biblioteczna, w której mieściły się rzędy akt starannie zatytułowanych po fińsku. Na

parapecie stał stojak z czystymi i nie używanymi probówkami, pod oknem sekretarzyk, a na nim płachta znaczków za ćwierć marki, nóż do papieru, pusta waga, butelka kleju, buteleczka po lakierze do paznokci i ślady rozsypanego pudru. Kaarna'ę znalazłem w sypialni.

Kaarna był mniejszy, niż sugerowały to zdjęcia. Zwieszająca się w dół głowa była za duża jak na jego ciało. Czubek łysej, kulistej czaszki ocierał się lekko o przepiękny dywan. Usta miał otwarte tak szeroko, że widać było nierówne górne zęby. Z ust, wzdłuż nosa, spłynął do oczu strumyczek krwi kończący się na czole plamą, jakby wziętą z testu Rorscharcha. Kaarna leżał w poprzek nie posłanego łóżka. Jeden but uwiązał pod zagłówkiem, powstrzymując ciało przed ześlizgnięciem się na podłogę. Kaarna był całkowicie ubrany. Muszka w kropki przekręciła się pod kołnierzykiem; biały, nylonowy fartuch laboratoryjny obłany był surowymi jajami, śliskimi i niezakrzepłymi. Kaarna był martwy.

Nisko na dole po lewej stronie pleców widać było krew. Pod nieprzewiewnym nylonowym fartuchem wyglądała jak ciemny krwiał. Okno było szeroko otwarte i choć w pokoju było lodowato zimno, krew jeszcze nie zastygła. Zbadałem dokładnie krótko obcięte paznokcie u rąk, gdzie, jak uczą nas na wykładach, można znaleźć wszystkie możliwe ślady. Nie było tam niczego, co można by zauważyć bez pomocy elektronowego mikroskopu. Jeśli został zastrzelony przez otwarte okno, tłumaczyłoby to, dlaczego rzuciło go w poprzek łóżka. Zdecydowałem się obejrzeć stłuczenia wokół rany, ale gdy schwyciłem go za ramię, zaczął się ześlizgiwać - jeszcze nie zaczął sztywnieć - układając się na podłodze w niekształtny stos. Rozległ się głośny dźwięk. Wsłuchałem się w odgłosy w mieszkaniu piętro niżej. Jechała winda.

Logicznie rzecz biorąc najlepiej byłoby pozostać tutaj, ale nie minęła chwila, gdy już znalazłem się w przedpokoju, wycierając gałki i zastanawiając się, czy ukraść pocztę.

Winda zatrzymała się na piętrze, na którym mieszkał Kaarna. Wsiadła z niej młoda dziewczyna, która starannie zamknęła drzwi, nim spojrzała w moją stronę. Ubrana była w biały trenz i futrzaną czapkę. Trzymała w ręku teczkę, która wyglądała na ciężką. Podeszła do zamkniętych drzwi numer 44. Przez chwilę patrzyliśmy na nie.

- Dzwonił pan? - zapytała doskonałą angielszczyzną. Przypuszczam, że trudno mnie wziąć za Fina. Skinąłem głową. Przyciskała dzwonek przez dłuższą chwilę. Czekaliśmy. Zdjęła but i zastukała w drzwi obcasem. - Poszedł do biura -

oświadczyła pewnym głosem. - Czy zechce się pan tam z nim zobaczyć? - Włożyła but z powrotem.

Londyn stwierdził, że Kaarna nie ma biura, a w tych sprawach Londyn się nie myli. - Oczywiście - odparłem.

- Ma pan dla niego wiadomość czy notatki?

- I to, i to - odparłem. - Wiadomość i notatki. - Ruszyła w stronę windy, częściowo zwrócona w moją stronę, aby kontynuować rozmowę.

- Pracuje pan dla profesora Kaarna'y?

- Nie na etacie - powiedziałem. Zjechaliśmy windą w milczeniu. Miała wyrazistą, pogodną twarz o nieskazitelnej cerze, będącej odpowiedzią na zimne powietrze. Nie miała makijażu, tylko trochę się pudrowała i z lekka podczerniała oczy. Blond włosy, niezbyt jasne, upchała pod czapkę. Tu i tam ich pasma opadały jej na ramiona. W holu rzuciła okiem na męski zegarek zapięty na przegubie.

- Już prawie południe - oświadczyła. - Może lepiej poczekamy, aż lunch się skończy.

- Spróbujmy najpierw w biurze - powiedziałem. - Jeśli go tam nie będzie, zjemy lunch w pobliżu.

- To niemożliwe. Ma biuro w ubogiej dzielnicy, obok autostrady numer pięć, do Lahti. Nie ma tam gdzie zjeść.

- Jeśli o mnie chodzi...

- Nie jest pan głodny. - Uśmiechnęła się. - Ale ja jestem, więc proszę, niech mnie pan zabierze na lunch. - Schwyciła mnie za ramię z oczekiwaniem. Wzruszyłem ramionami i udaliśmy się z powrotem do śródmieścia. Zerknąłem na otwarte okno w mieszkaniu Kaarna'y; w budynku naprzeciwko pełno było miejsc, w których mógłby się ukryć strzelec wyborowy. W tym klimacie, za oklejonymi taśmą, podwójnie szklonymi oknami można czekać w zasadzie przez całą zimę.

Szliśmy szerokimi ulicami, po wymiecionych chodnikach, na których zlodowaciałe garby utworzyły wzór przypominający japońskie skalne ogródki. Szyldy były niezrozumiałe i przeładowane spółgłoskami, wyjąwszy takie słowa jak „ESSO”, „Coca-Cola” i „Kodak”, wciśnięte między fińskie napisy. Niebo szarzało i obniżało się z każdą chwilą, a gdy wchodziliśmy do „Kaaotingrilli Cafe”, zaczęły padać małe płatki o solidnej konsystencji.

„Kaaotingrilli” to długi, wąski lokal wypełniony rozgrzanym, pachnącym kawą powietrzem. Połowę ścian pomalowano na czarno, drugą połowę zajmują okna



widokowe. Dekoracja była zrobiona z prawdziwego drewna i miedzi. Pełno tu było młodzieży pokrzykującej, flirtującej i pijącej coca-cole.

Usiedliśmy w najdalszym rogu, popatrując na zatłoczony parking, na którym wszystkie samochody pokryte były śnieżną bielą. Po zdjęciu ciężkiego płaszcza dziewczyna wyglądała na młodszą, niż myślałem. Helsinki roją się od dziewcząt o świeżych twarzach, urodzonych po powrocie żołnierzy do domów. Tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty był rokiem boomu na dorodnych Finów i Finki. Zastanawiałem się, czy dziewczyna jest jedną z nich.

- Nazywam się Liam Dempsey, jestem obywatelem Republiki Irlandzkiej - powiedziałem. - Zbieram materiały dla profesora Kaarna'y w związku z transferami finansowymi między Londynem a Helsinkami. Większą część roku mieszkam w Londynie. - Wyciągnęła dłoń przez stół. Uścisnąłem ją. - Nazywam się Signe Laine - powiedziała. - Jestem Finką. Jeśli istotnie pracuje pan dla profesora Kaarna'y, wszystko fajnie się ułoży między nami, bo profesor Kaarna pracuje dla mnie.

- Dla pani - powiedziałem, nie umieszczając na końcu znaku zapytania.

- Nie dla mnie osobiście. - Uśmiechnęła się do tej myśli. - Dla organizacji, która mnie zatrudnia.

Trzymała dłonie tak, jakby przejrzała za dużo numerów *Vogue*; jedna podtrzymywała drugą, a obie ujmowały twarz i pieściły ją niczym chorego kanarka.

- Co to za organizacja? - zapytałem. Kelnerka podeszła do naszego stolika. Signe zamówiła coś po fińsku, nie pytając mnie o zdanie.

- Wszystko w swoim czasie - powiedziała. Na zewnątrz, na parkingu, wiatr unosił śnieg poziomymi pasmami. Człowiek w wełnianej czapce z pomponem, zmagął się z akumulatorem, pochylając się ku wiatrowi i starając się nie poślizgnąć na twardym, szarawym, błyszczącym lodzie.

Na lunch dostaliśmy kanapki z wołowiną na zimno, zupę, kremówki, kawę i po szklance zimnego mleka - praktycznie rzecz biorąc jest to narodowy napój. Signe wgryzła się w posiłek jak piła tarczowa. Co i raz zadawała mi pytania: gdzie się urodziłem, ile zarabiam, czy jestem żonaty. Pytała bezceremonialnie i z pasją, jak robią to kobiety, gdy są bardzo ciekawe odpowiedzi.

- Gdzie się pan zatrzymał?...Nie je pan kremówki.

- Nigdzie się nie zatrzymałem. Nie wolno mi jadać kremówek.

- To dobre - oświadczyła. Zanurzyła mały palec w kremie czekoladowym i zbliżyła do moich warg. Przechyliła głowę na jedną stronę tak, że długie, złociste

włosy opadły jej na twarz. Zlizałem krem z czubka palca.

- Smakuje panu?

- Bardzo.

- To proszę jeść.

- Łyżeczką to nie to samo.

Uśmiechnęła się i owinęła długie pasmo włosów wokół palców. Potem zaczęła mnie wypytywać, gdzie zamierzam się zatrzymać. Powiedziała, że chciałaby zabrać dokumenty przeznaczone dla Kaarna'y. Odmówiłem ich przekazania. W końcu zgodziliśmy się, że przyniosę dokumenty jutro na spotkanie, a w tym czasie nie będę kontaktował się z Kaarna'ą. Dała mi pięć banknotów stumarkowych - ponad pięćdziesiąt pięć funtów szterlingów - na bieżące wydatki, po czym przeszliśmy do poważniejszych tematów.

- Czy ma pan świadomość - powiedziała - że gdyby dokumenty posiadane przez pana wpadły w niepowołane ręce, mogłoby to wyrządzić poważną szkodę pańskiej ojczyźnie? - Signe nie w pełni pojmowała różnicę między Republiką Irlandzką a Zjednoczonym Królestwem.

- Naprawdę? - zapytałem.

- Rozumiem... - udawała, że jest bardzo zajęta zamkiem przy teczce - że nie chce pan skrzywdzić swojego kraju.

- Na pewno nie - odparłem gorliwie.

Uniosła wzrok i obdarzyła mnie szczerym spojrzeniem. - Potrzebujemy pana - powiedziała. - Chcemy, żeby pan dla nas pracował.

Skinąłem głową.

- Kto - my?

Brytyjski wywiad wojskowy - odparła Signe. Omotała garść włosów wokół palców i upięła paskudnie wyglądającą szpilkę. Wstała - Do zobaczenia, do jutra - powiedziała i nim wyszła z restauracji, popchnęła w moją stronę rachunek.

### **Rozdział 3**

Zarejestrowałem się w „Marski” po południu. To gustowny przykład surowej skandynawskiej architektury. Oświetlenie jest tu wystarczające, by zablęśla w nim nierdzewna stal. Siedząc na obitym skórą stołku przy barze ma się wrażenie, że znalazło się za sterami Boeinga 707. Popijałem wódkę i dumałem, dlaczego Kaarna został wysmarowany jajami i co się stało ze skorupkami. Roześmiałem się cicho na

myśl, że zostałem zwerbowany przez wywiad brytyjski. Z dwóch powodów nie roześmiałem się od ucha do ucha.

Po pierwsze, zwykle każdy wywiad mówi agentom, że pracują dla tego, dla kogo chcieliby pracować. Frankofilowi mówi się, że jego raporty przesyłane są na Quai d'Orsay, a komuniście, że otrzymuje rozkazy z Moskwy. Niewielu agentów może z całą pewnością stwierdzić dla kogo pracują, gdyż sam rodzaj pracy uniemożliwia im sprawdzenie tego.

Drugi powód, dla którego nie roześmiałem się szeroko, był taki, że Signe mogła naprawdę pracować dla wydziału Rossa w Ministerstwie Wojny. Mało prawdopodobne, ale możliwe.

Według generalnej zasady - wszystkie ogólne zasady są niebezpieczne - agenci są mieszkańcami krajów, w których działają. Nie byłem agentem i mało prawdopodobne, żebym kiedyś nim został. Przekazywałem, oceniałem i zajmowałem się informacjami, które uzyskiwali nasi agenci, ale rzadko się z nimi spotykałem, wyjąwszy pośredników i łączników, takich jak Fin, z którym rozmawiałem na promie. Znalazłem się w Helsinkach, by wykonać proste zadanie, które teraz zaczynało się bardzo komplikować. Powinienem coś zrobić w tej sytuacji. Nie miałem stałej łączności z Londynem, poza numerem telefonu w razie sytuacji alarmowej. Zresztą odważyłbym się z niego skorzystać tylko w wypadku nadciągającej wojny. Pozbawiony byłem sieci kontaktów nie tylko dlatego, że nie wolno mi było mieszać się do pracy naszych rezydentów, ale - sądząc po szybkości, z jaką siwowłosy odebrał telefon - łączność nawiązywano poprzez budki telefoniczne.

Wypiłem kolejną wódkę i powoli przeczytałem kosztowne menu, czując w kieszeni pięćset marek, które wręczyła mi dziewczyna o szerokich ustach. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

★ ★ ★

Ranek następnego dnia był słoneczny i błękitny. Chociaż temperatura wciąż sięgała paru stopni poniżej zera; ptaki śpiewały na drzewach rosnących przy esplanadzie. Zmierzałem do śródmieścia. Wspiąłem się na strome wzgórze, na którym stoją uniwersyteckie budynki pomalowane na jasnożółty kolor, przypominający ukrecony w domu majonez, i zszedłem w dół, na Unioninkatu, do sklepu z długimi skórzanymi płaszczami.

Signe czekała na zewnątrz. Powiedziała: „dzień dobry” i dołączyła do mnie. Tuż przed Długim Mostem poszliśmy skrótem na lewo, a potem brzegiem

zamarzniętej zatoczki. Pod mostem kaczki gmerały między rozsianymi na lodzie kupkami śmieci, rozmokłymi kartonowymi pudłami i powyginanymi puszkami. Sam most poznaczony był śladami od odłamków bomb.

- Rosjanie - powiedziała Signe. Spojrzałem na nią.

- Zbombardowali Helsinki, zniszczyli most. Staliśmy patrząc na wjeżdżające do miasta ciężarówki.

- Mój ojciec był związkowcem. Spoglądając na ten most, zwykł powtarzać przy tym do mnie: „Te bomby zostały wyprodukowane przez radzieckich robotników w radzieckich fabrykach na ziemi Lenina, zapamiętaj to”. Ojciec poświęcił całe życie ruchowi związkowemu. W 1944 zmarł na atak serca. - Ruszyła gwałtownie do przodu, zdążyłem jednak zauważyć, że błyskawicznie otarła chusteczką oczy. Podążyłem za nią. Zeszła na dół i ruszyła na przełaj przez lód. Inni ludzie także korzystali z wiodącego na zachód skrótu przez zakole. Przed nami stara kobieta ciągnęła saneczki załadowane do pełna warzywami. Stawiałem ostrożnie stopy, gdyż lód stracił wszelką chropowatość od częstego używania. Szedłem obok Signe; ujęła mnie za ramię z wdzięcznością.

- Lubi pan szampana? - zapytała.

- Czy to propozycja?

- Nie - odparła. - Tylko tak sobie pomyślałam. Pierwszy raz wypiałam szampana trzy miesiące temu. Bardzo mi smakuje. To chyba mój ulubiony trunk.

- Świetnie - powiedziałem.

- Lubi pan whisky?

- Uwielbiam.

- Lubię każdy alkohol. Chyba pewnego dnia wpadnę w nałóg. - Podniosła garść śniegu, ugniotła w pecynkę i daleko cisnęła. - Lubi pan śnieg? Czy lubi pan lód?

- Tylko w whisky i szampanie.

- To można pić szampana z lodem? Myślałam, że to niewłaściwe?

- Żartowałem tylko - powiedziałem.

- Wiedziałam - odparła.

Podeszliśmy do drugiego brzegu. Wspiąłem się na nabrzeże. Signe została na lodzie bezradnie trzepocząc rzęsami.

- O co chodzi?

- Chyba nie dam rady - powiedziała. - Niech mi pan pomoże.

- Przestań się wygłupiać. No, bądź grzeczną dziewczynką.

- Dobra - odparła pogodnie i wdrapała się na górę.

Na północ od Długiego Mostu miasto zmienia się nieznacznie, nie tak uderzająco jak Londyn na południe od Tamizy lub Istambuł po drugiej stronie mostu Galata. A jednak w tym miejscu Helsinki posepnieją. Ludzie nie są tak szykownie ubrani, a ciężarówek jest więcej niż samochodów osobowych. Signe zaprowadziła mnie do bloku obok Helsinginkatu. Nacisnęła dzwonek, anonsując nasze przybycie, ale wyciągnęła klucz, by otworzyć drzwi. Niewiele gmachów w Helsinkach lśniczym świeżo wybita moneta, co zwykle uważa się za charakterystyczne dla fińskiej architektury; większość przypomina raczej wypłowiałe wiktoriańskie hotele. Ten blok także nie stanowił wyjątku. W środku było ciepło i wyłożono go miękkimi dywanami. Mieszkanie, do którego weszliśmy, znajdowało się na szóstym piętrze. Na ścianach wisiały litografie, a na tarczy adapteru wirowała płyta Artie'ego Shawa. Największy pokój był jasno oświetlony i tak obszerny, że mimo iż znajdowało się tam parę wspaniałych fińskich mebli, zostało wystarczająco dużo miejsca, by można było ćwiczyć rumbę. Mężczyzna, który właśnie to robił, był niski i krępy, miał przednie kasztanowe włosy. Uniósł jedną rękę, wybijając nią takt. W drugiej trzymał wysoką szklaneczkę. Dobrze pracował nogami. Gdy stanęliśmy w progu, uraczył nas paroma ekstra numerami dla znawców. Dopiero potem uniósł wzrok i powiedział: - No i co, ty Angolu, stary sukinsynu. Wiedziałem, że to ty. - Objął Signe płynnym ruchem i zaczęli tańczyć razem. Zauważyłem, że stopy Signe spoczywają na czubkach jego butów. Walcował po pokoju, dźwigając ciężar dziewczyny na sobie, jakby była marionetką z gałganków uwiązaną do jego stóp i przegubów. Taniec skończył się i mężczyzna powtórzył: - Wiedziałem, że to ty. - Nic nie odpowiedziałem. Przełknął resztki drinka i zwrócił się do Signe: - Stokrotko polna, chyba ściągnęłaś majtki dla niewłaściwego faceta. Harvey Newbegin był starannie ubrany: szary, flanelowy garnitur, chusteczka z inicjałami w kieszonce na piersi, złoty zegarek i pogodny uśmiech. Przed przejściem do Departamentu Stanu pracował przez cztery lata w Departamencie Obrony USA. Próbowałem go kiedyś zwerbować dla nas, ale Dawlishowi nie udało się uzyskać odpowiedniego upoważnienia. Pod opadającymi powiekami kryły się bystre inteligentne oczy. Obserwował mnie nimi bacznie, przygotowując drinki dla nas wszystkich. Z adapteru, wbudowanego w odbiornik radiowy, rozlegało się wciąż brzdąkanie muzyki. Harvey nalał whisky do trzech szklanek, do dwóch dodał lodu i wody sodowej. Podszedł do mnie i Signe. W połowie

drogi podchwycił rytm muzyki i resztę dzielącej nas przestrzeni przebył drobiazgowymi małymi kroczkami.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała Signe. - Ależ z niego idiota - dodała. Harvey podał jej szklanekę whisky, wypuścił, nim uchwyciła, złapał w locie drugą ręką i wręczył nie rozlewając ani kropli. - Ależ z niego idiota - powtórzyła z uwielbieniem. Strząsnęła z włosów kropelki stopionego śniegu. Dziś jej włosy wydawały się krótsze i bardziej złotawe.

Gdy usiedliśmy, Harvey powiedział do Signe: - Pozwól, lalczko, że coś ci wyjaśnię. Ten facet jest jak gorący kartofel, pracuje dla cwane komando w brytyjskim wywiadzie. Nie taki tuman, na jakiego wygląda. - Harvey zwrócił się do mnie: - Wpadłeś w kabałę z tym Kaarna'ą.

- Cóż...

- Dobra, dobra, dobra. Nie musisz mi nic mówić. Kaarna nie żyje.

- Nie żyje?

- En.Żet.Jot. Nie żyje. Piszą o tym w gazecie. Znalazłeś go martwego. Wiesz o tym, koleś.

- Daję ci słowo, że nie - powiedziałem.

Patrzyliśmy na siebie przez minutę, a potem Harvey powiedział:

- Dobra, w każdym razie przeniósł się na łono Abrahama, nic na to nie możemy poradzić. Signe przycisnęła cię wczoraj, bo pilnie potrzebujemy kogoś na kuriera między Helsinkami a Londynem. Może weźmiesz chałturę u Jankesów? Dobrze płacimy.

- Zapytam się w pracy - odparłem.

- Zapyta się w pracy - oświadczył pogardliwie. Postukał czubkiem buta w dywan. - Jesteś dorosłym chłopcem i sam decydujesz. Dlaczego masz się kogoś pytać?

- Bo twoja cwana organizacja może coś wypaplać. Dlatego. Harvey położył palec w poprzek gardła. - Przysięgam na Boga, nic nie wypaple. Tworzymy bardzo szykowny, zwarty wydział. Żadnego zamieszaju. Forsy jak lodu. Powiedz, jaki masz układ z Londynem?

- Pracuję jako wolny strzelec. Płacą mi od zlecenia, to chałtura

- zamilkłem na moment. - Mogę sobie pozwolić na pracę na boku, jeśli płaca będzie odpowiednia i będę miał pewność, że Londyn się o tym nie dowie od waszych ludzi. - Nie była to prawda, ale w tej sytuacji tylko taka odpowiedź wydawała się

właściwa.

- Spodoba ci się praca u nas, a i nam będzie bardzo przyjemnie

- odparł Harvey.

- No to dobiliśmy targu - oświadczyłem. - Wprowadź mnie w obowiązki, jak to się mówi w naszym rodzinnym gronie.

- Nic z tych rzeczy. Będziesz po prostu przewoził materiały między Helsinkami a Londynem. Z rzadka tylko nie będziesz mógł tego wpisać do deklaracji celnej...

- Więc gdzie kryje się haczyk?

- Depozyt wartościowy. Niezbędny nam ktoś, kto nie zwieje z przesyłką. Będziesz miał opłacone bilety pierwszej klasy, hotele i wydatki. Zaliczka i wypłata po każdej podróży. Jak między zawodowcami powiem ci, że to dobry interes. - Signe podała nam drinki i, gdy odwróciła się w stronę kuchni, Harvey poklepał ją czule po pośladkach. - Mam wszystkiego w bród - powiedział. - Wszystkiego.

Signe odtrąciła gwałtownie rękę Harveya, prychnęła i odeszła poruszając kuszając *glutaeus maximus*.

Harvey przysunął swój fotel bliżej mnie. - Zazwyczaj nie mówimy nic agentom o naszej organizacji, ale dla starego kumpla zrobię wyjątek. To prywatna organizacja wywiadowcza finansowana przez pewnego staruszka; nazywa się Midwinter. Sam mówi o sobie: generał Midwinter. Urodził się w jednej z tych starych teksańskich rodzin z niemiecką krwią w żyłach. Rodzina pochodzi z jednego z państw bałtyckich - Łotwy lub Litwy - które opanowali i trzymają teraz Rosjanie. Staruszek marzy o wyzwoleniu tych krajów. Przypuszczamy, że chciałby wstąpić na tron, czy coś takiego...

- Brzmi wspaniale - powiedziałem. - Od dawna nie pracowałem dla megalomana.

- Do cholery. Trochę przesadzam. Ma jednostronny umysł. To się często zdarza wybitnym ludziom. Chce, aby mu donoszono, iż te biedne sukinsyny czekają tam tylko na sygnał, by zacząć rewolucję...

- A ty podsycasz jego złudzenia - podrzuciłem.

- Słuchaj, ten facet jest multimilionerem, a może multimiliarderem. To jego zabawka. Dlaczego miałbym mu psuć przyjemność? Zrobił pieniądze na konserwach i ubezpieczeniach. To bardzo nudny sposób robienia pieniędzy, więc potrzebuje odrobinę rozrywki. CIA przelewa już trochę forsy z własnego konta...

- CIA?

- Och, nie biorą nas poważnie, ale wiesz, co im chodzi po głowach. Kradzieże opon w Moskwie to ich pomysł odzyskania wolności. A niektóre nasze numery są całkiem niezłe. Midwinter ma na statkach radiostacje, które nadają do państw bałtyckich za pomocą anten kierunkowych. Znasz te kawałki: „Oczekujcie na wolność i coca-coleę.” Organizacja jest świetnie wyposażona w komputery i ma ośrodek szkoleniowy w Stanach. Może wyśła cię na kurs; jeśli tak, załatwię, żeby ci nie dali wycisku. I pieniądze. - Harvey nalał mi sporo whisky, żeby zademonstrować i tę stronę mojego nowego pracodawcy. - Kiedy planujesz powrót do Londynu?

- Jutro.

- Znakomicie. Twoje pierwsze zadanie: zostać do lunchu. - Harvey Newbegin roześmiał się. - Kiedy znajdziesz się w Londynie, pojedź do budki telefonicznej na Trinity Church Square na South East, weź książkę telefoniczną od L do R i zrób ołówkiem małą kropkę koło numerów Pan American. Wróc nazajutrz i na marginesie tej samej strony znajdziesz zapisany ołówkiem numer telefonu. Zadzwoń tam. Powiedz, że znasz pracowników antykwariatu i masz coś, co chciałbyś im pokazać. Jeśli spytają cię, z kim chciałbyś mówić, odpowiedz, że nie wiesz. Podano ci ten numer i powiedziano, iż ktoś jest zainteresowany kupnem antyków. Gdy osoba po drugiej stronie wyznaczy ci spotkanie, bądź tam dwadzieścia godzin później. Zrozumiałeś?

- Tak - powiedziałem.

- Jeśli coś będzie nie tak, rozłącz się. Standardowa procedura kontrolna: wróc i powtórz wszystko dwadzieścia cztery godziny później. W porządku? - Harvey uniósł szklaneczkę z wódką i powiedział: - Rusczy robią to cholernie dobrze. Hej ho, no to lu. - Przełknął resztę wódki jednym haustem, potem złapał się za serce i wykrzywił twarz w grymasie bóleści. - Mam zgagę - wyjaśnił. Wyciągnął portfel, wyjął z niego banknot pięciomarkowy i przedarł na dwie części o poszarpanych nieregularnie brzegach. Podał mi jeden kawałek. - Człowiek, z którym się spotkasz, zażąda tej połowy przed przekazaniem ci paczki, więc nie zgub jej.

- Tak - powiedziałem. - Może mi wyjaśniesz, co mam zabrać.

- To proste - oświadczył Harvey Newbegin. - Pojedziesz z pustymi rękami. Z powrotem zabierzesz pół tuzina jaj.

## **Część II Londyn**



*Wyrwij piórko, leć na wiórko*

*Wyrwij chojnę, leć na wojnę.*

Rymowanka dziecięca

#### **Rozdział 4**

Po powrocie do Londynu postawiłem kropki w książce telefonicznej i wykonałem resztę posunięć, przewidzianych w wymyślonej przez Harveya Newbeginia zabawie towarzyskiej przeznaczonej dla przedszkolaków. Nadęty głos w słuchawce telefonicznej oznajmił:

- Niech pan sobie nie zwraca głowy tym idiotyzmem o dwudziestu godzinach, o którym panu mówiono. Niech pan tu zaraz przyjedzie. Mam właśnie jechać na parę dni na jacht.

A więc pojechałem na King's Cross. Kartki z ogłoszeniami „Nocleg i śniadanie” poutykane za tłustymi od brudu oknami i sklepy z ozdóbkami, w których sprzedaje się plastikowe gówienka i trzymadła z pozytywką na papier klozetowy. Pod numerem trzydziestym piątym widniała mosiężna tabliczka: „Gabinet Lekarski; Dr Pike”. Ugarniowano ją tytułami naukowymi. Przy drzwiach wejściowych stały dwa pogięte kubły na śmieci i około trzydziestu zużytych butelek na mleko. Zaczynał właśnie padać zimny mokry deszcz ze śniegiem.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale, gdy je otworzyłem, rozległ się dźwięk brzęczyka. Poczekalnię stanowił duży wiktoriański pokój z ozdobnym sufitem. Znajdował się tutaj szeroki wybór lekko podniszczonych mebli z rozlatującymi się egzemplarzami *W'omen 's Own*, strategicznie rozmieszczonymi pod ogłoszeniami klinik porodowych i receptami. Ogłoszenia wypisano piórem, dziwnym kanciastym charakterem pisma; przymocowano je wyschlými kawałkami starego przylepca.

W kącie poczekalni mieściła się odgradzona od niej płytą paździerzową pomalowana na biało klitka, opatrzona napisem „Gabinet Lekarski”. Starczało w niej miejsca na biurko i dwa krzesła. Jedno było szerokie, obite skórą, i obracało się gładko na kulkowym łożysku. Drugie było wąskie, słabowite i kulało na jedną nogę. Dr Pike obrócił się do mnie; właśnie skrupulatnie przeliczał koniuszkipalców. Był to rosły, nieskazitelnie ubrany mężczyzna lat około pięćdziesięciu dwu. Jego włosy przypominały czarny plastikowy czepek kąpielowy. Garnitur wyglądał jakby zrobiono go z niemnącej błękitnej stali; uśmiech także.

- Co panu dolega? - zapytał. To był żart. Uśmiechnął się jeszcze raz, by mnie ośmielić.

- Ręka.
- Naprawdę? Naprawdę boli pana ręka?
- Tylko wtedy, gdy wkładam ją do kieszeni.

Pike spojrział na mnie uważnie, przypominając sobie, że niektórzy ludzie mylą przyjazne słowo z zaproszeniem do poufałości.

- Mam pewność, że jest pan podoficerem do szpiku kości.
- Nie będziemy wymieniać się wspomnieniami z wojny.
- Nie będziemy - zgodził się.

Na biurku Pike'a stał komplet wiecznych piór, duży kalendarz biurowy z zagiętymi rogami, trzy pliki recept i lśniąca brązowa kula, wielkości piłeczki do golfa. Pike przebierał palcami po błyszczącej powierzchni.

- Będziemy pracowali razem przez dłuższy czas, więc postarajmy się znośnie ułożyć nasze stosunki - powiedziałem.

- To niezwykle inteligentny pomysł.

Pike i ja znienawidziliśmy się od pierwszego wejrzenia, ale on miał nade mną przewagę manier i wykształcenia, więc przełknął ciężko i dalej starał się być miły na swój sposób.

- Ta paczka z... - czekał, aż dokończę zdanie..
- Jajkami - powiedziałem. - Paczka z jajkami.
- Być może minie dzień lub dwa, nim nadejdzie.
- To się nie zgadza z moimi instrukcjami - zaprotestowałem

- Możliwe - odparł spokojnie - jest wiele powodów, które nie pozwalają przewidzieć terminu. Ludziom, z którymi mamy do czynienia, nie można dawać rozkazów wprost. - Mówił pedantyczną, pozbawioną akcentu angielszczyzną, na którą może się zdobyć jedynie przykładający się do nauki cudzoziemiec.

- O - powiedziałem. - A to dlaczego?

Pike uśmiechnął się przez zaciśnięte usta. - Wykonujemy wolny zawód. Nasza egzystencja zależy od właściwego sposobu postępowania. Istotne, żebyśmy nie dokonali niczego nieetycznego.

- Ma pan na myśli: żebyśmy nie zostali na tym złapani - poprawiłem.

Pike znów się chytrze uśmiechnął. - Jak pan woli.

- Tak wolę - powiedziałem. - Kiedy będzie pan miał paczkę?

- Na pewno nie dziś. Koło piaskownicy w parku St.James jest parę ławek.

Spotka się tam pan ze mną w sobotę, o czwartej czterdzieści pięć po południu. Będę

miał ze sobą *Financial Times*. Zapyta mnie pan, czy w mojej gazecie jest ceduła giełdowa. Odpowiem, że mogę panu pożyczyć na parę minut. Jeśli będę miał ze sobą *Life*, nie nawiąże pan kontaktu. Będzie to sygnalizować niebezpieczeństwo. - Pike musnął palcami żółtą muszkę i odprawił mnie skinieniem głowy.

Mój Boże, pomyślałem, czy oni się szaleju najedli? Wszyscy się tak zachowują. Skinąłem głową, jakbym zajmował się codziennie w pracy takimi łamigłówkami, i otworzyłem drzwi.

- ... proszę dalej brać pigułki i przyjdź do mnie za tydzień - powiedział Pike na użytek paru starych doniczek stojących w poczekalni. Chyba zanadto wszedł w rolę, bo gdy wychodziłem, krzyczał na cały głos, próbując zwrócić ich uwagę.

Mając na uwadze, że chłopaki Midwintera zaczęli bawić się w berka, założyłem, że kazali mnie śledzić. Wsiadłem zatem w taksówkę i poczekałem, aż utknęła w korku. Wtedy szybko zapłaciłem kierowcy i złapałem wóz nadjeżdżający z przeciwka. Dzięki takiej taktyce, oczywiście zręcznie rozegranej, można zgubić przeciętnej jakości ogon, jeśli śledzący korzystają z prywatnych samochodów. Wróciłem do biura przed lunchem.

Zameldowałem się Dawlishowi. Dawlish posiada tę odwieczną, niezniszczalną przez czas cechę, którą brytyjscy wyżsi urzędnicy państwowi rozwinęli w sobie, aby wzbudzać zaufanie u tubylców. Poza antykami, zaśmiecającymi biuro, i wydziałem, którym kieruje, jego jedynym życiowym zainteresowaniem jest badanie i uprawa chwastów ogrodowych. Być może, te zainteresowania nie są bez związku.

Dawlish jadł kanapki przysłane z garmażerii Wally'ego. Zadał mi masę pytań o Pike'a i Harveya Newbegina. Pomyślałem, że Dawlish bierze tę sprawę zbyt poważnie, ale to stary, szczywany lis; jest zdolny opierać podejrzenia na informacjach, których mi nie udostępnia. Gdy oświadczyłem, że powiedziałem Harveyowi Newbeginowi, że dla W.O.O.C./P/ pracuję tylko na zlecenia, Dawlish rzekł: - Cóż, z pewnością nie skłamałeś w tej sprawie, prawda? - Spłaszczował jedną z kanapek z peklowaną wołowiną i dodał: - Wiesz, co zrobią potem?

- Nie, proszę pana - odparłem. Naprawdę nie wiedziałem.

- Poślą cię do szkoły. - Kiwnął głową, by uwiarygodnić swą teorię. - Jeżeli tak się stanie, zgodzisz się. Ma w środku ziarna - powiedział nagle. Gapił się na mnie z przerażeniem i lekkim obłędem w oczach. Przytaknąłem ruchem głowy. - Powiedziałem raz i to powinno wystarczyć - stwierdził.

- Tak, proszę pana - zgodziłem się.

Dawlish przytknął w przełącznik interkomu. - Powiedziałem raz i to powinno wystarczyć. Nie lubię chleba z ziarnami w środku.

Głos Alice popłynął z pudełka z ową bezstronną godnością, jaką daje mechaniczne przetworzenie: - Jedna kromka białego, jedna żytniego z ziarnami. Zjadł pan złą kromkę.

- Ja również nie lubię nasion kminku - oświadczyłem. Dawlish skinął na mnie głową, więc powtórzyłem to do szczekaczki, tym razem głośniej i bardziej wyzywająco.

- Żaden z nas nie lubi chleba z ziarnami - powiedział Dawlish do Alice słodkim, a zarazem stanowczym głosem. - Co mam zrobić, by doszło do promulgacji tego faktu?

- No cóż, przecież nie muszę o tym wiedzieć - broniła się Alice.

- Podejrzewam - odparł Dawlish - że najlepszym rozwiązaniem byłoby opatrzenie tej informacji najwyższym NATO-wskim gryfem tajności. - Uśmiechnął się do mnie i skinieniem głowy wyraził uznanie dla własnego dowcipu.

- Nie, proszę pana. Lepiej niech pan to wrzuci do jawnego kosza na śmieci. Każę komuś go zabrać. Czy jeszcze czegoś pan sobie życzy?

- Nie, dziękuję, Alice - powiedział Dawlish i zwolnił przycisk. Mogłem mu powiedzieć, że nigdy nie wygra w dyskusji z Alice.

Nikommu się nie udało.

Jednak było to za mało, by rozzłościć Dawlisha. Tego roku dobrze mu się wiodło. Styczniowy kosztorys został przedstawiony Finansom; Dawlish właśnie niemal podwoił przyznane mu fundusze i to w momencie, gdy wielu ludzi przewidywało, że zawiesimy działalność. Wystarczająco długi czas spędziłem w wojsku i administracji, by uzmysłwić sobie, że nie chcę pracować ani tu, ani tam. Ale praca z Dawlishem miała walor edukacyjny i, być może, była to jedyna pobierana przeze mnie edukacja, jaka dawała mi zadowolenie.

- Pike - powiedział Dawlish. - Nigdy nie mają dosyć werbowania lekarzy, prawda?

- Ma to duże zalety - oświadczyłem. - Poczekalnia pełna ludzi. Łącznik rozmawiając z lekarzem ma gwarancję całkowitej dyskrecji. Trudno to wykryć.

Dawlish nie mógł się oderwać od rozmyślań nad kanapką. Ugryzł kęs, dopiero gdy wydłubał ziarna z chleba nożem do rozcinania papieru.

- O co chodzi? - zapytał. - Nie słuchałem.

- Trudno to wykryć.

- Ale nie wtedy, kiedy włożą między zęby, o nie, paskudne małe cholerstwa.

Kto też może lubić je w chlebie? Nawiasem mówiąc, po wyjściu z gabinetu doktora byłeś śledzony. - Dawlish uczynił dłonią gest dezaprobaty.

- Kto mnie śledził?

- Jeszcze nie wiemy na pewno. Wyznaczyłem to zadanie Chilcott-Oatesowi, ale najwyraźniej obiekt robi zakupy na Finchley Road, trzymając naszego chłopaka jak na szpilkach; nie ma czasu, by do nas zadzwonić, tak twierdzi Alice. -

Przytaknąłem. - Wydajesz pogardliwe dźwięki zębami. Czy mogę prosić, byś tego nie robił?

- Chico - powiedziałem.

- Ważne, żeby się uczył - odparł Dawlish. - Nie pozwolisz mu działać i w ten sposób nigdy się nie wyrobi. To będzie olśniewający sukces.

- Zejdę na dół i postaram się trochę popracować - oświadczyłem.

- Bardzo dobrze - przyklasnął Dawlish - ale sprawa Newbegin ma najwyższy priorytet; nie dopuść, żeby ci coś w tym przeszkodziło.

- Przypomnę panu tę uwagę w przyszłym miesiącu, gdy wydział organizacyjny zacznie robić nieprzyjemności.

Zszedłem na dół i popatrzyłem, jak Jean poprawia lakier na paznokciach. Uniosła wzrok i powiedziała „cześć”, jednocześnie osuszając lakier gorącym oddechem.

- Zajęta? - zapytałem. Usadowiłem się za biurkiem i zacząłem przeglądać zawartość przegródek. - Daruj sobie ten sarkazm. Spędziłam całą sobotę przeglądając rzeczy „tylko dla informacji” i nagrywając streszczenia.

- Przepraszam, kochanie. Ta sprawa Newbegin pojawiła się w niewłaściwym momencie. Gdyby nie ona, mogliśmy prawdopodobnie odrobić całą papierkową robotę aż do bieżącego dnia. - Sprawdziłaś, czy wszystkie akta są dla nas, jak to inteligentnie zasugerowałaś?

- Oszczędź sobie pochlebstw - powiedziała Jean. - Tak, pozbyliśmy się paru. Rzecz w tym, że cała reszta przysłana jest tylko dlatego, iż masz dostęp do dokumentów z wysokim gryfem tajności. Wpadłam na nowy pomysł.

- Mów.

- No cóż, niektóre z tych papierów, oznaczonych gryfem tajności, nie są nawet

poufne. Miały jednak początek w tajnych aktach i w konsekwencji wszystko, co nosi ich numer, jest automatycznie oznaczane jako tajne. Jeśli upoważnisz mnie do rozbicia niektórych akt ogólnych na osobno archiwizowane działy z oddzielną numeracją, wiele z nich straci tajność i będą mogły być załatwiane na dole. Co więcej, podział na osobne podteczki jest bardziej efektywny, bo dwa wydziały będą mogły pracować nad dwoma aspektami tego samego problemu, jeśli będą dysponować podteczką.

- Geniusz - oświadczyłem. - Teraz wiem, dlaczego cię kocham.

- Nikogo nie kochasz. Nawet siebie samego.

- Wiesz, że nic nie mogłem poradzić. Musiałem poczekać, aż paszport będzie gotowy.

- Spędziłam całe godziny gotując twoje ulubione dania. Przyszedłeś o pierwszej nad ranem.

- I zjadłem moje ulubione dania o pierwszej nad ranem. Nie odpowiedziała.

- Przebaczone mi?

- Nie możemy ciągnąć tego bez końca.

- Wiem - odparłem. Nasze milczenie trwało wieki. W końcu Jean powiedziała:

- Wiem, że przy tej robocie... No dobrze, nie chciałabym cię powstrzymywać. Nawet jeśli to niebezpieczne...

- Nic z tych rzeczy, kochanie. Nie zrobię sobie krzywdy. Jestem ostrożnym tchórzem, aż za dobrze wytrenowanym w sztuce przetrwania.

- Nawet dobry kierowca może zginąć, jeśli wpadnie na niego amator. Sądzę, że Harvey Newbegin to kiepski amator. Musisz być bardzo ostrożny.

- Nie wpędzaj mnie w jeszcze gorszą nerwicę. Newbegin dobrze się spisywał w Departamencie Obrony i Departamencie Stanu. Amerykanie nie trzymaliby u siebie tak długo kogoś, kto nie jest wart wyłożonych pieniędzy.

- Ja jedynie mu nie ufam - powiedziała Jean z typowo kobiecym uporem.

Podeszła bliżej i objąłem ją ramieniem.

- Tylko dlatego, że uszczypnął cię w tyłek w „White Elephant Club” - stwierdziłem.

- Az ciebie niewiele miałam pożytku. Nic nie zrobiłeś.

- To moja specjalność - oświadczyłem. - Nigdy nic nie robię.

## **Rozdział 5**

Wyszedłem z biura o szóstej po południu. Brat Jean, który rzadko odwiedza Londyn, właśnie przyjechał i oboje wybierali się na kolację. Dawlish uważał jednak, że powinienem pozostawać w zasięgu ręki. Wróciłem więc do mieszkania, usmażyłem sobie jajka na bekonie i usiadłem przed kominkiem z drugim tomem *Decydujących Bitew* Fullera, czytając o oblężeniu Yorktown. Był to przyjemny wieczór, aż do dwudziestej piętnaście, kiedy zadzwonił telefon.

Telefonista na Charlotte Street oznajmił: „proszę włączyć mikser”.

Zanim to zrobiłem, musiałem postawić biuro w stan gotowości. Nacisnąłem guzik.

- Widać, że ten chłopak nie zawiódł naszych nadziei - oznajmił Dawlish.

- Dlaczego - widać? - zapytałem.

- Facet, który cię śledził, znajduje się na rzece w łódce - powiedział Dawlish ignorując moje pytanie. - Będziemy musieli ci przeszkodzić. Zjedziemy po ciebie za piętnaście minut. - Dawlish rozłączył się raptownie. Wiedziałem, że tak jak ja, wątpi w zdolności Chico, ale zdecydował się pokazać mi, jak powinien wyglądać lojalny stosunek do podwładnych.

Dawlish przybył o dwudziestej trzydzięci siedem. Przyjechał czarnym woleseylem, prowadzonym przez naszego byłego policyjnego kierowcę.

Z Dawlishem pojawili się: Bernard, jeden z bardziej inteligentnych chłopców z *public-school*, jakich ostatnio zwerbowałem, oraz mężczyzna o nazwisku Harriman.

Harriman był wielkim, poważnym człowiekiem, z wyglądu bardziej przypominającym odźwiernego niż podpułkownika z Wydziału Specjalnego Wywiadu. Miał czarne włosy, ściśle przylegające do kościstej czaszki, pomarszczoną twarz oraz szerokie i nierówne zęby. Był intelektualistą w stylu, który u etatowego funkcjonariusza może się wydawać podejrzany. Domyśliłem się, że człowiek, którego ścigamy, zostanie aresztowany. Harriman dysponował bowiem specjalnym upoważnieniem z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które umożliwiało aresztowanie przy minimum zamieszania i papierkowej roboty.

Nie skorzystali z propozycji drinka, więc wbiłem się w płaszcz przeciwdeszczowy i odjechaliśmy w stronę doków.

- Młody Chico odwalił kawał dobrej roboty - oświadczył Dawlish.

- Tak - przyznałem. Wymieniliśmy z Harrimanem grymasy. Usłyszałem głos z radiotelefonu w samochodzie: - Dobra, przełączcie się na kanał szósty, bezpośrednia

z Tamizą pięć. - Bernard, który zajmował przednie siedzenie, powiedział: - Tamiza pięć, słyszysz mnie? - a wówczas motorówka policyjna oznajmiła, że odbiera nas głośno i wyraźnie. Wtedy my odpowiedzieliśmy, że słyszemy motorówkę policyjną głośno i wyraźnie, a jeszcze później Bernard poprosił ich, by podali swoją pozycję, co też natychmiast zrobili: - Most Tower, po stronie Piekła Herring Street.

- Tamiza pięć - przyplyniecie do Wapping Police Station, żeby zabrać pasażerów.

- W łódce nie ma nikogo, kto odpowiadałby waszemu opisowi, ale wracając pokikujemy jeszcze przy Lavender Wharf.

- Skończyliście bezpośrednią? - zapytał pokój operacyjny tonem, który sugerował, że skończyliśmy, i dodał: - Tamiza pięć, teraz ty wychodzisz. - Co ci chłopcy tam robią, grają w karty? - zauważył Dawlish i uśmiechnął się.

- Facet przeszedł przez calutką Finchley - kontynuował niewzruszenie. - Chico siedział za nim cały czas. Koło pół do siódmej facet wśliznął się do „Prospect of Whitby”. Chico go tam zakorkował, więc możemy mu się przyjrzeć.

- W takim towarzystwie? Sądziłem, że obstawiamy dzielnicę. Dawlish obdarzył mnie krzywym uśmiechem. - Bernard to nocny dzielnicowy. Harriman jest z drogówki. Wszyscy mamy uzasadnione powody, żeby tu być.

- A ja mam świetny powód, żeby siedzieć w domu, ale nikt nie chce o nim słyszeć.

Przejeżdżając przez Most Tower, ujrzeliśmy policyjną motorówkę płynącą w dół rzeki po szarawej, lekko wzburzonej wodzie. Minęliśmy Tower, dojechaliśmy jednokierunkowym objazdem aż do Mint, a potem skręciliśmy w Thomas More Street - to tu właśnie dwudziestostopowej wysokości mury nacierają nieubłaganym kręgiem. Po każdym zakręcie na próżno oczekuje się końca ulicy i mury wydają się rosnać coraz wyżej; przypomina to ostatnią rolę *Dr Cagliari*.

Wzdłuż Wapping High Street i Wapping Wall ciągną się milczące, brudne, wysokie nabrzeża i dźwigi. Światła samochodu rozpałały migoczące zielono oczy bezpieczeństwa kotów; lśnił uliczny bruk. Wolseley podskoczył na wątlym mostku prowadzącym do doków pod kapiącymi od brudu kładkami komunikacyjnymi. Tuż za sztachetami nagle otwierał się widok na czarną wodę. Statki pasażerskie mrugały żółtymi światłami i białymi marynarkami kelnerów niczym położony na boku hotel „Hilton”, który rozebrano na części i przygotowano do wyjścia na holu w morze. Wysadziliśmy Bernarda przy Wapping Police Station, gdzie oczekiwało na niego



dwóch policjantów w waderach i nieprzemakalnych płaszczach.

Chico stał przed knajpą. „Prospect of Whitby” to czołowa turystyczna atrakcja. Latem turyści tłoczą się tutaj jak stonka ziemniaczana. Ale teraz była zima, okna zasnuła para, a drzwi zatrzaśnięto szczelnie przed chłodem. Wysypaliśmy się z samochodu niczym gliniarze w amerykańskiej burlesce. Chico tak się napalił i podniecił, że włosy przylgnęły mu do wilgotnego, różowego czoła.

- Dobry wieczór, proszę pana - przywitał się po kolei z każdym z nas. Wprowadził wszystkich do środka i zajął się skomplikowaną czynnością zamawiania dla nas drinków. Zachowywał się jak sześcioklasista w obecności całego kierownictwa internatu. Tak się podniecił, że zwracał się do barmana: szanowny panie.

W środku „Prospectu” było ciemno: pełno w nim fikuśnych ozdóbek i przytulnych zakamarków przy kominkach. Cały numer polega na tym, że klienci zostawiają tutaj tysiące wizytówek, biletów do teatru i innych papierków przypiętych do jelenich poroży, tak że czujesz się jak żuk, który znalazł się w koszu na śmieci. Przeszedłem przez bar na balkon wychodzący na Pool of London. Woda była mętna jak olej. Na brzegu było cicho i pusto. Usłyszałem, jak Dawlish usiłuje powstrzymać Chico, który chciał posłać do piwnicy po jego ulubione sherry. Wreszcie kończąc dyskusję, Harriman rzucił do barmana: - Cztery duże piwa. - Barmanowi ulżyło, nam też. Gdy w końcu stanęliśmy na balkonie w małym druidycznym kręgu, trzymając w rękach kufle z rytualnie pieniącym się napojem, Chico oświadczył: - Jest tam, po drugiej stronie rzeki.

Ja nic nie powiedziałem, Harriman też nic nie powiedział, więc w końcu odezwał się Dawlish: - Powiedz im, skąd o tym wiesz.

- Działając według instrukcji... - zaczął Chico.

- Po prostu wytłumacz - polecił Dawlish.

- Patrzyłem, jak wchodzi do środka - spróbował jeszcze raz Chico. -

Poszedłem za nim na balkon, ale w tym czasie zszedł na dół, po tym trapie, do łódki i powiosłował w stronę drugiego brzegu. Zadzwoiłem do biura i poprosiłem, żeby ostrzegli policję rzeczną. Mój informator powiedział, że śledzony kierował się ku dużemu, szaremu statkowi stojącemu opodal Lavender Wharf. Zidentyfikowałem go jako polski okręt.

Dawlish i Harriman spojrzeli na mnie, ale nie paliłem się, by robić z siebie durnia. Spokojnie przeniosłem wzrok na Chico zastanawiając się, dlaczego nosi

krawat w lisie głowy.

Dawlish i Harriman spoglądali teraz w stronę polskiego statku. Dawlish oświadczył, że zostawią Chico ze mną. Wezmą taksówkę i odwiedzą komendę policji portowej.

Chico wyciągnął wielką, obitą skórą cygarnicę.

- Pozwoli pan, że zapalę? - zapytał.

- Pod warunkiem, że nie zaczniesz mi opowiadać o tym cudownym bordeaux, które wyszukałeś wczoraj wieczorem.

- Nie zacznę, proszę pana - przytaknął Chico.

Niebo było czerwone jak wywrócony kadłub statku. Podpierał je las portowych żurawi. Od Lavender Wharf dolatywał oleisty zapach, którym podobno kierują się piloci prowadząc nawigację w mgliste dni. - Pan mi nie wierzy? - zapytał Chico.

- Nie mam z tym nic wspólnego - odparłem. - Przyjechał Dziaduś, żeby pokazać nam, jak mamy wykonywać swoją robotę, więc pozwólmy mu działać. - Piliśmy piwo spoglądając na wolno płynącą wodę. Policyjna motorówka opłynęła zakręt i skierowała się w stronę Rotherhithe. Dojrzałem Bernarda, Dawlisha i Harrimana stojących na rufie. Rozmawiali z policjantem i pilnie uważali, by nie pokazywać na polski statek.

- A pan, co pan myśli? - zapytał Chico.

- Chwila moment - odparłem. - Przyszedłeś tutaj za tym człowiekiem. Jak tu przyjechaliście?

- Każdy w osobnej taksówce.

- Widziałeś, jak wchodzi do baru?

- Tak.

- Jak daleko byłeś od niego?

- Moja taksówka zostawiła dość miejsca, by ta druga mogła zawrócić. Potem zapłaciłem szoferowi i powiedziałem mu, żeby zaczekał. Byłem minutę po tym mężczyźnie.

- Całą minutę?

- Tak, co najmniej.

- Szedłeś za nim przez bar aż na ten balkon?

- No cóż, nie dostrzegłem go przy barze, a to można było wytłumaczyć tylko w ten sposób, że udał się prosto na balkon.

- A więc to ty tak sądzisz?

- Właściwie nie byłem pewien, dopóki nie porozmawiałem ze świadkiem, który stał na balkonie.

- Co powiedział?

- Powiedział, że przyszedł tu jakiś człowiek, zszedł po drabinie i powiosłował dalej.

- A teraz powiedz mi, co naprawdę powiedział.

- Właśnie to.

- O co go zapytałeś? - zapytałem znużony.

- Zapytałem go, czy ktoś tak zrobił, a on odparł: - Tak, tam jest. Na rzece. O, tam.

- Ale ty go nie dostrzegłeś?

- Nie, po prostu mi się nie udało.

- Idź i znajdź mi żartownisia, który go widział.

- Tak jest, proszę pana - powiedział Chico. Wrócił w towarzystwie brzuchacza ubranego w wełniany garnitur w prążki i dopasowaną do niego płaską czapkę. Miał wielki nos, mięsiste wargi oraz świeżą, różową cerę. Mówił zachrypłym, donośnym głosem, jaki nabywa się stale przemawiając do niewielkiego ludzkiego zbiegowiska. Domyśliłem się, że to bukmacher lub pulsator, ponieważ bywalcy wyścigów szyją sobie ubrania z prążkowanego materiału, którego nie czepia się zwierzęca sierść. Wyciągnął szeroką dłoń i uściśnął mi rękę z nadgorliwą wylewnością.

- Niech pan powtórzy, co mu pan opowiedział - poprosiłem.

- O tym facecie, co zlął po drabinie i powiosłował w siną dal? - Rozkoszował się okazją, dzięki której mógł wykorzystać swój donośny, przepity głos. - Widziałem, że ten facet to nic dobrego, od pierwszego...

- Jedzenie mi stygnie - przerwałem - więc załatwmy to szybko. Ten człowiek zszedł na dół, w błoto. Czy głęboko w nie wpadł?

Nosacz zastanawiał się przez chwilę. - Nie, łódka czekała pod drabiną.

- Więc nie zabrudził sobie butów?

- Właśnie - zabuczał. - Bert, dałeś dzentelmenowi nitkę, a on po niej do kłębka, cha, cha.

- A więc siedział w łódce, która przebyła sama prawie cztery metry po błocie, do rzeki. Zechciałby pan to może nieco obszerniej wytłumaczyć?

Wyszczrzył się do mnie szkaradnym, szczyrbatym uśmiechem.

- No, jaśnie panie...

- Słuchaj pan. Żarciki z tego małego lorda Fauntleroy to co innego, a złożenie fałszywego zeznania funkcjonariuszowi policji to przestępstwo, podlegające karze...

- To znaczy? - wyciągnął wielki kciuk w stronę Chico i pan?

Skinąłem głową. Domyśliłem się, że obawia się utraty licencji. Byłem zadowolony, że mi przerwał, bo nie wiedziałem, jakiej podlega to karze.

- Podpuściłem go tylko. Nie chciałem nic złego, dziedzicu. - Zwrócił się do Chico. - Nie chciałem, paniczu. Ja tylko się zgrywałem. Zgrywałem.

Stojąca za nim siwa pomarszczona kobietka odezwała się: - On tylko się zgrywał, proszę pana. - Nosacz odwrócił się do niej i oświadczył: - W porządku, Florrie, dam sobie radę.

- Rozumiem, na jaką pokusę był pan wystawiony - przyznałem. Nosacz skinął głową z powagą. Poklepałem Chico po ramieniu. - Ten młodzieniec - powiedziałem do nosacza - wróci za chwilę i postawi panu piwo; poczekacie, aż przybędzie tu paru dżentelmenów. Wtedy zechce pan łaskawie opowiedzieć im o swoim żarcie.

- Oczywiście. Oczywiście - przytaknął nosacz. Wróciłem przez bar na ulicę. - Jak pan myśli, co się stało? - zapytał Chico.

- Nie ma co myśleć. Przyszedłeś tutaj za tym człowiekiem. Nie ma go w barze, więc albo poszedł na górę - mało prawdopodobne - albo wyszedł. Nie ma dowodu, że wyszedł przez balkon, jak to sugerował twój zgrywny przyjaciel, więc najpewniej pokręcił się z tyłu baru i wyszedł na aleję bocznym wejściem. Na jego miejscu kazałbym taksówce poczekać - pamiętam, jak mówiłeś, że zawracała - ale przed odjazdem dałbym twojemu kierowcy funciaka i powiedział, że już go nie potrzebujesz.

- Racja - przyznał Chico. - Mojej taksówki tu nie było, gdy wyszedłem znów na ulicę. Wydało mi się to dziwne.

- Dobra - powiedziałem. - Kiedy pan Dawlish i pan Harriman zakończą swą działalność, zechciej wyjaśnić im te szczegóły.

Skinąłem na kierowcę wolseleya. Podjechał do mnie. Wsiadłem do wozu. - Z powrotem do mnie - rzuciłem kierowcy.

Odbiornik wciąż był włączony na radiostację policyjną:... - to migacz sygnalizacyjny. Zatoka jeden jeden. Koniec. Nadała Informacja Ogólna. Czas emisji: druga zero siedem.

- Jak wrócimy - to znaczy pan Dawlish i reszta? - zapytał Chico. Kierowca

ściszył radio, ale wciąż było je słycać, jakby gdzieś w silniku zapuszczowano bandę karzełków. - Widzisz, Chico - powiedziałem - pan Dawlish jest zadowolony, gdy ma okazję oddać się *per procura* przyjemnościom luksusowego życia. Osobiście wolę spędzać wieczory przy kominku. A więc, gdy następnym razem przyjdzie ci ochota wywołać międzynarodowy incydent z udziałem polskich statków i nocnych rejsów łodziami, postaraj się najpierw mnie ostrzec. Gdy następnym razem będziesz kogoś śledził - Boże ochroń, Boże wspieraj, pomyślałem - weź ze sobą jakiś album, żebym mógł go sobie spokojnie pooglądać. Będzie to dla mnie pełnia szczęścia.

- Postaram się, proszę pana.

- To wspaniale - powiedziałem, udatnie naśladowując głos Dawlisha.

Samochód powoli ruszył.

- Była to dla mnie pożyteczna lekcja - oznajmił Chico.

- Piątka za to, że się starałeś - odparłem i pojechałem do domu.

## **Rozdział 6**

Sobota. Dr Pike był w parku St.James przede mną. Siedział na ławce przy stawie czytając *Financial Times* dokładnie tak, jak się umówiliśmy. Żeby więc nie popsuć zabawy, zapytałem go o notowania giełdowe, a on pożyczył mi gazetę. Ubrany był zamożniej niż w gabinecie: garnitur z delikatnej wełny, tweedowy rybacki kapelusik, kusy płaszcz z dzierganym kołnierzem. Gdy wziąłem gazetę, trzasnął bransoletą przy złotym zegarku.

- Niewiarygodnie zimno - powiedział.

- Nie przejechałem tysiąca mil, żeby dyskutować o pogodzie. Gdzie jest paczka?

- Spokojnie - odparł Pike. - prawdopodobnie będzie dzisiaj gotowa, nie gorączkuj się pan.

- Pike, czy kazał pan mnie wczoraj śledzić? - zapytałem.

- Nigel, nie wchodź do wody w nowych butach. Pewnie, że nie. A powinienem?

Nigel przestał wchodzić do wody w nowych butach i zaczął szturchać dziecinny gwizdkiem wielkiego psa myśliwskiego.

- Ktoś to jednak zrobił.

- Nie ja. Nigel, pieskowi to się nie podoba.

- Więc nie ma pan nic przeciw temu, że go wykolegowałem?

- Nic mnie to nie obchodzi. Nigel, on warczy, bo chce ci powiedzieć, że to mu się nie podoba. Jeżeli chodzi o mnie, mógłby go pan zabić.

- Nadal pan twierdzi, że nie wie, kto to był?

- Panie Dempsey lub kimkolwiek pan jest, wykonuję swoją robotę i nie pcham palców między drzwi. Jeśli ludzie, dla których pracujemy, posłali kogoś, by pana śledził, a pan zdecydował się dać w czapę facetowi, to w porządku. Nigel, jemu się wydaje, że dajesz mu gwizdek do zabawy. Grzeczny piesek, oddaj Nigelowi gwizdek; dobry piesek, pogłaszcz go Nigel, pokaż, że chcesz się z nim zaprzyjaźnić. Cokolwiek się z facetem stało, zasłużył na to. Był nieudolny. Za dużo mamy dziś nieudolności w tym kraju. Ludzie są cholernie rozleniwieni. Daj mu pan po łbie, proszę bardzo. Może to nauczy facetów na górze, żeby mnie w porę informowali.

Dr Pike odszedł, odzyskał gwizdek Nigela i zaciągnął chłopca do ławki.

- Popatrz na swoje ręce. - Pike wyciągnął dużą chustkę do nosa, rozpostarł ją tak, by dzieciak mógł na nią napluć, a potem wytarł mu dłonie. Wydało mi się to niehigieniczne.

- Gdzie jest teraz paczka?

- Chyba u mojego brata. - Spojrzał na zegarek i coś sobie kalkulował. - U brata. To smoła, Nigel. Mówiłem ci, żebyś nie dotykał płotu. Zawiąż szalik. Nie chcę, żebyś się przeziębiał.

- To daleko?

- Bardzo dobrze. Grzeczny chłopczyk. Besterton, wioska koło Buckingham.

- Idziemy - powiedziałem.

- Najpierw chcę podrzucić Nigela - oświadczył Pike. Ja też, pomyślałem, w górę i prosto do stawu.

- Myślą, że chcesz dać im chleb, Nigel. Podwiozę go do szkółki jeździeckiej. Potem pojedziemy dalej. Nie zboczymy za bardzo z drogi. Te śliczne kacuszki nie skrzywdzą cię, Nigel. Nie bój się, nie podziobią cię. Pojedziemy moim wozem?

- To mi odpowiada.

- Myślą, że chcesz im dać chleb. Dobrze, pójdziemy tędy. Nie, nigdy nie dziobią grzecznych chłopców. Mój jaguar to ten czerwony. Nigel, nie kop zwiernem w kaczkę, zniszczysz sobie buty.

Dr Felix Pike i jego brat Ralph mieszkali w małej wiosce. Wyraźna granica dzieliła domy tubylców od domów najeźdźców. Po pierwszej stronie - krasnoludy z plastyku, nylonowe firanki, metalowe framugi okienne i garaże z prefabrykowanych

elementów; po drugiej - nowoczesna rzeźba, bielone mury, staroświeckie furty, brązowe wykładziny, zegary po pradziadkach. Pike podjechał pod nowoczesną wersję domu z czasów króla Jerzego. Na podjeździe stał srebrny kabriolet marki Porsche. - Samochód brata - powiedział Pike. - Nie jest żonaty - jakby samochód był nagrodą przyznawaną automatycznie za ten bohaterski wyczyn. W pełni się z tym zgadzałem.

- Ralph, mój młodszy brat, mieszka tutaj - wyjaśnił Pike wskazując na przylegającą do jego domu, pobieloną i przebudowaną stodołę. Na podjeździe pełno było urn z brązu, w domu zaś - pasiastych obić w stylu Regencji, podświetlonych nisz, dywanów, w które zapadało się po kostki, i mebli ozdobionych kutasami. W paru pokojach, przez które przeszliśmy, i które służyły tylko do przechodzenia przez nie, czuć było pastę o zapachu lawendy; trafiliśmy do pomieszczenia, które pani Pike - dokładnie spełniająca wymogi odgrywanej roli kobieta o fiołkoworóżowych włosach - określiła jako „salonik”. Stało tam czworo krzeseł w stylu królowej Anny, ustawionych wokół późnośredniowiecznego elektrycznego kominka. Usiedliśmy.

Oglądany przez szwedzkie okno trawnik miał rozmiar niewielkiego pasa startowego. Za nim sześć ognisk tworzyło wysokie kolumny dymu, wspierające się na migotliwej podstawie z płomieni - jakby armia oblężnicza rozbiła namioty między bezlistnymi, owiniętymi w mgłę drzewami.

Kobieta o fiołkoworóżowych włosach pomachała w stronę najbliższego ogniska; jakiś mężczyzna dorzucił do ognia ostatnią łopatę i przeszedł na wewnętrzny dziedziniec. Oczyszczył szpadel drucianą szczotką i umieścił go w drewnianej skrzyni. Wytarł buty w wycieraczkę, a potem wszedł przez okno balkonowe do pokoju. Odziany był w znoszone stare ubranie z rodzaju tych, jakie noszą w niedzielę angielskie klasy wyższe, by odróżnić się od ludzi, którzy tego dnia nakładają na siebie, co mają najlepszego. Mężczyzna poprawił jedwabną apaszkę pod szyją, jakbym był moskitem, a on nosił moskitierę.

- To mój młodszy brat, Ralph - oznajmił Dr Felix Pike. - Mieszka obok.

- Cześć - przywitałem się. Uścisnęliśmy sobie dłonie i Ralph powiedział: - Miły z pana facet - tym niskim, szczerym głosem, którym mówi się na filmach tuż przed zrobieniem czegoś niebezpiecznego. Potem wyciągnął - na wypadek, gdyby stare ubranie i jedwabny kołnierz wprowadziły mnie w błąd - pudełko z sześcioma Cristo nr 2. Zaproponował je zebranym, ale ja wolałem moje Gauloise'y.

Ralph był młodszy od brata, może nie miał nawet czterdziestki, choć jego włosy były śnieżnobiałe. Poczzerwieniał lekko, a skóra błyszczała mu po pracy w

ogrodzie. Ważył jakieś dziesięć kilogramów więcej niż brat, jednak albo nosił ciasny gorset, albo robił dwadzieścia pompek przed śniadaniem. Uśmiechał się tym samym chytrym uśmiechem co Felix. Wyłowił złotą gilotynkę z kieszeni kufajki i przyciął cygaro.

- Jak tam pacjenci? - zapytał Ralph, ten w kufajce, jakby chciał im zaproponować cygaro. Zagraniczny akcent był o włos wyraźniejszy niż u starszego brata.

- Znakomicie - odparł Felix Pike. - Znakomicie.

- Mam czynić honory domu? - zapytał Ralph i natychmiast nalał nam brandy i wody sodowej do szklaneczek z grubego szkła.

- Mam do ciebie pełne zaufanie... - oświadczył Dr Felix Pike. Głos mu ścichł.

- Znakomicie - powiedział mężczyzna w kufajce. Zapalił troskliwie cygaro i usiadł na krześle, starając się nie pobrudzić perkalowego obicia.

- Ralph, podobno nasze akcje Corrugated Holdings poleciały w dół.

Ralph zaciągnął się cygarem bez smaku. - Pozbyłem się ich w czwartek. Trzeba sprzedawać, gdy idą w górę, zawsze ci to mówię, prawda? *Certum voto pete finem*, jak powiada Horacy. - Ralph Pike zwrócił się do mnie i dodał: - *Certum voto pete finem* - powściągnij swe żądze. - Przytaknąłem, Dr Felix Pike skinął głową, a Ralph uśmiechnął się uprzejmie.

- Nie bój się, kiedy wystawię akcje na sprzedaż, nie zapomnę o tobie. Dam ci radę pewną jak polisa ubezpieczeniowa. Zastosuj się do niej tym razem. Nie trzymaj się papierów jak pijany płotu, jak to robiłeś z akcjami Waldnera. Opróżnij swoje pończochy. Akcje polecą na łeb na szyję. Zapamiętaj moje słowa: na łeb na szyję.

Dr Felixowi Pike nie podobało się, że otrzymuje rady od młodszego brata. Utkwił w nim wzrok i zwilżył wargi koniuszkiem języka.

- Powinieneś pamiętać o tym, Felixe - powtórzył Ralph.

- Tak. - Usta dr Pike'a zatrzasnęły się niczym spadające ostrze gilotyny. Przypominały nieprzyjemne urządzenie, które zamykało się jak pułapka. Gdy się otwierały, można się było spodziewać, że wyskoczy z nich pies gończy.

- Byłeś ostatnio na żaglach? - uśmiechnął się Ralph.

- Miałem pojechać dzisiaj. - Felix Pike dźgnął kciukiem w moją stronę, jakby prosił ciężarówkę o podwiezienie. - A potem to się zjawilo.

- A to pech - oświadczył Ralph. Przeciągnął ze zgrzytem paznokciem po moim kieliszku. - Jeszcze jednego?



- Nie, dziękuję.

- Felixie?

- Nie - odparł dr Felix Pike.

- Czy pistolet maszynowy spodobał się Nigelowi?

- Uwielbia go. Budzi nas każdego ranka. Nie muszę ci dziękować, bo sam pisze do ciebie. Kredą po brązowym papierze.

- Cha, cha - powiedział Ralph. - *Arma virumque cano*, - Zwrócił się do mnie i powiedział: - Śpiewam o mieczach i mężach. Wergiliusz.

- *Adeo in teneris consuescere multum est* - rzekłem. - Gdy gnie się gałązka, drzewo się pochyla. Też Wergiliusz. - Zapadła cisza, a potem dr Pike powtórzył: - Nigel uwielbia go. - I obaj bracia popatrzyli na ogród. - Może się napijesz? - zaproponował Ralph.

- Nie - odparł dr Felix Pike. - Muszę się przebrać, przyjadą do nas goście.

- Pan Dempsey chciałby wziąć paczkę - oświadczył Ralph, jakby mnie tutaj nie było.

- Właśnie - rzuciłem, by dowieść, że jestem.

- Miły facet. - Pocałował cygaro z czułością, a jednocześnie z obawą, jakby oczekiwał, że wybuchnie. - Przyniosłem ją dzisiaj - oświadczył. - Jest włączona.

- To dobrze - powiedziałem.

Sięgnąłem do tylnej kieszeni i wyjąłem przedartą połówkę pięciomarkowego banknotu. Dr Felix Pike podszedł do oświetlonego kącika. Przesunął dwa zdjęcia portretowe żony, potem brązową lśniąca kulę, którą widziałem w jego gabinecie. W końcu znalazł swoją połówkę pod jedną z figurynek z Staffordshire, które ustawiono rzędem na szklanych półkach. Podał przedarty banknot bratu, który dopasował dwie połówki w ten sam niedbały, lecz ostrożny sposób, w jaki obchodził się ze szpadlem i cygarem. - W porządku - powiedział i wyszedł, by przynieść mi pół tuzina jajek przeznaczonych dla Helsinek. Paczka była owinięta w papier w kolorze stonowanej jasnej zieleni, jakiego używają w magazynach Harrodsa. Została obwiązana i miała małe ucho, za które można było ją nieść. Nim wyszliśmy, Ralph powiedział, że ceny miedzi spadną na łeb na szyję.

Dr Pike pragnął z całej duszy podwieźć mnie do śródmieścia, ale... rozumiem to, prawda? Tak. Pojadę autobusem.

Mgła zgęstniała, przybierając konsystencję i kolor grochówki. Sklepy z obuwiem przypominały pryzmy żółtego światła; obok nich trąbiły autobusy kłusując

wolno i bez celu niczym stado brudnych, czerwonych słoni w poszukiwaniu swego cmentarzyska.

Trzymałem na kolanach opakowaną w zieleń paczkę i odnosiłem niejasne wrażenie, że coś w niej tyka. Zastanawiałem się, dlaczego drugi z braci Pike powiedział, że jest włączona, ale nie miałem zamiaru szukać odpowiedzi na siłę.

Na Charlotte Street czekał na mnie jeden z dynamitardów.

- Proszę - powiedziałem. - Ostrożnie. Chcę to dostarczyć w całości.

- Nie mam zamiaru dziś ryzykować - oświadczył dyżurny dynamitard. - Czeka na mnie pudding z nerkowki.

- Nie masz się co śpieszyć - poradziłem. - Trzeba go długo gotować, żeby uzyskać właściwy smak.

- Wnerwiłeś się trochę wczoraj w nocy - powiedział Dawlish.

- Przepraszam - odparłem.

- Nie masz powodu - rzekł Dawlish. - Miałeś rację. Twój instynkt bierze się z doświadczenia i właściwego wyszkolenia. Nie będę się więcej wtrącał.

- Wydałem z siebie parę dźwięków jak człowiek, który pragnie uniknąć komplementów.

Dawlish uśmiechnął się. - Nie powiedziałem, że cię nie wywalę czy nie przeniosę, ale nie będę się więcej wtrącał. - Bawił się wiecznym piórem, jakby nie wiedział, jak przekazać mi wiadomość. - Im się to nie podoba - powiedział w końcu. - Dziś rano przekazano ministrowi pisemną notatkę.

- Co w niej było?

- Bardzo mało - rzekł Dawlish. - Dwie kartki dużego formatu. Stworzyłem pozory, że jest bardzo precyzyjna. - Znów się uśmiechnął. - Wiedzieliśmy o organizacji kierowanej przez Midwintera, ale nie wiązaliśmy jej dotąd z naszym krajem. Ci bracia Pike to Łotysze. Mają skrajnie prawicowe poglądy, a ten, który nazywa się Ralph, to wybitny biochemik. To było w notatce i minister pochorował się ze zmartwienia. Byłem u niego dzisiaj dwa razy i za każdym nie musiałem czekać dłużej niż dwie minuty. To pewny znak. Chory ze zmartwienia. - Dawlish cmoknął współczująco. Ja również. - Przeniknij do organizacji Midwintera i dobrze się jej przyjrzyj. Mam nadzieję, że to, co się stało wczoraj, nie narazi cię na niebezpieczeństwo.

- Nie sędzę - powiedziałem. - Amerykanie mają swoje wady, ale nie są mściwi.

- To dobrze - oświadczył Dawlish. Nalał mi kieliszek porto i opowiedział o komplecie sześciu kieliszków, które kupił na Porto-bello.

- Może są z osiemnastego wieku. Nazywają je tulipanami, rozumiesz.

- Wspaniale - powiedziałem. - Ale czy aby nie jest to tylko pięć kieliszków.

- Ooo. Komplet sześciu z jednym brakującym.

- Aha - przytaknąłem.

Szczekaczka Dawlisha zawarczała i rozległ się głos dynamitarda:

- Mogę mówić, panie D.?

- Wal - rzucił Dawlish.

- Prześwietliłem to rentgenem. W środku są przewody elektryczne, więc będę pracował powoli.

- Dobrze, na miłość boską - powiedział Dawlish. - Znam kogoś, kto nie życzy sobie, żeby ten budynek rozleciał się na drobne kawałki.

- Znam dwóch takich - odpowiedział dyżurny dynamitard, a potem roześmiał się i powtórzył: - Znam dwóch.

Metalowe pudełko, które dali mi bracia Pike, zawierało sześć zapłodnionych jaj i elektryczne urządzenie, które utrzymywało je w stałej temperaturze 37 stopni Celsjusza. Każda skorupka miała wydrapany na wosku numer, wypełnione nacięcie i dziurkę. Do każdego jajka przez szklistą błonę wprowadzono igłą żywego wirusa. Jajka ukradziono z Laboratorium Mikrobiologii w Porton. Dyżurny szofer odwiózł je z powrotem do tego cichego i malowniczego zakątka starej Anglii. Utrzymywał w cieple i przy życiu za pomocą koca oraz butelki z gorącą wodą.

Zanim udałem się do Helsinek, włożyłem wraz z Dawlishem sześć nowych jajek drugiej klasy do metalowego pudełka. Wzięliśmy je z kantyny i napracowaliśmy się nieźle, usuwając pieczętki z lwem gwarantujące, że są nie zapłodnione. *Special Branch Poufne*

*London Airport Kopia 2/2*

*Zapis z taśmy magnetofonowej. Rozmowa konstabla Blaira z Det. sierż.*

*Special Branch L.A.P.*

*Det. sierż. Smith: Interesuje mnie zwłaszcza mężczyzna, którego widzieliście dziś rano, więc teraz będę nagrywał, żeby później zrobić stenogram i wciągnąć wasz opis do protokołu. Nie odpowiadajcie w sposób formalny, nie wahajcie się poprawić tego, coście już powiedzieli, i nie śpieszcie się. Mamy sporo taśmy. Powiedzcie mi najpierw, dlaczego zwróciliście uwagę na tego właśnie człowieka. Konst. Blair:*

Wydawało mi się, że był bardzo silny. Nigdy nie widziałem tragarza, który by tak ciężko pracował (śmiech). On jakby, no, dźwigał, no, walizki do bagażówki, po jednej w każdej ręce. Załadował ją w sześciu kursach.

*Det. sierż. Smith: Co powiedział, kiedy zauważył, że mu się przyglądacie?*

*Konst. Blair: No, hm, jak wam powiedziałem, on, jakby, nie pamiętałem, dokładnie jego słów, ale to było coś jakby: „Dobrze by było pojechać na deski, co?”, ale to było bardziej amerykańskie.*

*Det. sierż. Smith: Wzięliście go za Amerykanina?*

*Konst. Blair: Nie, mówiłem panu, że nie.*

(cztery sekundy milczenia) *Det. sierż. Smith: (niewyraźnie)...taśma.*

*Konst. Blair: Mówił cockneyem, ale starał się, żeby to wyglądało na amerykański akcent.*

*Det. sierż. Smith: A słowa.*

*Konst. Blair: Używał amerykańskich wyrażeń. Tak, nie mogę... Det. sierż.*

*Smith: Nieważne. Opiszcie dalej, jak wyglądał. Konst. Blair: Był średniego wzrostu.*

*Okolo metra siedemdziesięciu. Det. sierż. Smith: Ubrany?*

*Konst. Blair: Nosił biały kombinezon z czerwoną naszywką, o tutaj. Det. sierż.*

*Smith: (niewyraźnie)*

*Konst. Blair: Biały kombinezon z czerwoną naszywką na lewej kieszeni piersi.*

*Kombinezon był zabrudzony, inne części ubrania też. Det. sierż. Smith: Opiszcie je.*

*Konst. Blair: Krawat w paski z jakąś tanią spinką, czymś przypiętym, tak jak spinka. On, no, (4 sekundy milczenia) Det. sierż. Smith: Nie śpieszcie się.*

## **Rozdział 7**

Terminal Zachodni w Londynie zbudowany jest z nierdzewnej stali i szkła. Przypomina nowoczesną fabrykę konserw mięsnych. Pasażerów ogłusza się, zarzyna, patroszy, a następnie upycha w autobusach, którym przypatrują się mężczyźni w brudnych butach obsługujący taczki oraz czerwonoookie dziewczyny przyklepujące sobie fryzury i rwące na strzępy kolorowe papierki.

Donośny żeński głos zaczął odliczać start autobusu. W ostatniej chwili Jean zdecydowała się pojechać ze mną na lotnisko. W autobusie lotniczym znajdowali się: szofer, Jean, ja oraz dziewięciu pasażerów, w tym jedna kobieta. W bagażniku autobusu mieściło się dwanaście walizek średniego rozmiaru, jedno pudło na kapelusze, trzy pakunki zawinięte w papier, jedna skrzynia w jutowym worku, jedna aktówka, trzy pary nart z kijkami - w tym jedna para nart slalomowych - oraz jeden

niewielki kosz z pokrywą, zawierający próbki damskich butów.

Był to niezły połów dla złodzieja, który porwał cały ten kram. W mojej walizce było sześć jajek podgrzewanych przez elektryczne urządzenie.

Poranny lot do Sztokholmu i Helsinek został opóźniony o dziewięćdziesiąt siedem minut. W tym czasie odnaleziono narty i dwie torby, ale żadna z nich nie należała do mnie. Ponieważ podejrzewałem, że jestem obserwowany przez nie zidentyfikowanych osobników, Special Branch z lotniska przesłuchało tylko jednego świadka kradzieży, jakiego udało się znaleźć: konstabla z posterunku dworcowego o nazwisku Blair - i dostarczyła mi stenogram jego zeznań na pokład samolotu. *Konst. Blair: Miał takie śmieszne włosy, śmieszne myszowate włosy. Det. sierż. Smith: Co przez to rozumiecie, śmieszne? Konst. Blair: To nie była peruka ani nic, ale były śmieszne. Gdy pochylał się nad samochodem, dotykał włosów, jak, no, kobieta, gdy patrzy w lustro.*

*Det. sierż. Smith: Skąd wiecie, że włosy nie były sztuczne? Konst. Blair: Kiedy jakiś facet wchodzi do baru, wiem, kto nosi perukę, można to poznać tutaj (przerwa), skąd włosy wyrastają na czole (śmiech).*

*Det. sierż. Smith: Uzналиście, że nie nosi peruki, bo przypatrzyliście się linii włosów od przodu i tyłu.*

*Konst. Blair: Tak (długa przerwa). Tak sądzę: Sądzę, że był po prostu trochę próżny z powodu włosów. Myślę, że to było tylko to. Det. sierż. Smith: Powtórzcie, co opowiedzieliście o jego twarzy. Konst. Blair: No, był bladawy i miał takie okropne, zepsute zęby. I okulary w czarnej oprawce, jak z ubezpieczalni. Det. sierż. Smith: Powtórzcie to, co mówiliście. Konst. Blair: O zapachu z ust? Det. sierż. Smith: Tak.*

*Konst. Blair: Racja, czuć go było z ust i miał takie zepsute zęby. Czarne zęby.*

*(siedem sekund przerwy) Det. sierż. Smith: Chcielibyście coś dodać do tego opisu? Nie ma pośpiechu.*

*Konst. Blair: Nie, nic. Nic mi nie przychodzi na myśl, poza (3 sekundy przerwy). No, tylko powiem, że to nie był żaden cudak czy coś takiego. To znaczy, wyglądał całkiem, no, normalnie, nie chcę tu głądzić, o tym co mówiłem, no, to znaczy, on wyglądał całkiem normalnie, znaczy się, tak.*

*Koniec zapisu z taśmy.*

*Pierwsza kopia zapisu została podpisana przez Det. sierż. Smitha oraz Konst. Blaira.*

Przeczytałem ten stenogram na pokładzie samolotu do Helsinek. Był bardziej

interesujący niż ulotka o nadmuchiwaniu pontonu ratunkowego, ale tylko trochę.

## Część III Helsinki

*Wszystkie diabły pozostały*

*A odleciał jeden mały*

*Raz, dwa, trzy, Wypadasz ty*

Rymowanka dziecięca

### Rozdział 8

Finlandię wstawiono jak łatę pod pachę Półwyspu Skandynawskiego. Gdyby łata była z przetartego perkalu we wzorki, rozdarłaby się na strzępy dokładnie tak, jak stało się to z tym krajem. Rozdarcia tworzą jeziora. Są duże, jest ich wiele i mają wyspy, na których są jeziora, i tak aż do miejsca, w którym wystrzępiona linia brzegowa czochra się o zimne północne morze. Ale o tej porze roku nie ma tu morza. Mila za milą cień samolotu przemykał po twardym połyskliwym lodzie. Można było mieć pewność, że znaleźliśmy się nad lądem tylko wtedy, gdy brąz lasu przebijał na okamgnienie przez śnieżną pokrywę.

Jeszcze nim wylądowaliśmy, ujrzałem Signe stojącą na lotnisku między barakami o czerwonych dachach. Gdy przewożono nas do sali przylotów, biegła, machała i uśmiechała się niezwykle szeroko. Gdy szliśmy do starego volkswagena, oparła się ciężko na moim ramieniu i zapytała, czy przywiozłem jej coś z Londynu.

- Tylko kłopoty - odparłem. Kazała mi usiąść obok kierowcy i do miasta pojechaliśmy za policyjną wołgą, cały czas uważając, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości.

- Czy Harvey kazał ci wyjść po mnie? - zapytałem.

- Jasne, że nie - odparła Signe. - Nie mówi mi, czy mam się spotykać z moimi przyjaciółmi, czy nie. Poza tym jest w Ameryce. Na konferencji.

- Na jakiej konferencji?

- Nie wiem. Ale tak powiedział. Na konferencji. - Uśmiechnęła się szeroko. - Skręć na lewo i zatrzymaj się.

Weszliśmy do tego samego luksusowego mieszkania opodal Siltasaarenk, gdzie spotkałem Harveya w zeszłym tygodniu. Signe stanęła za mną i pomogła mi zdjąć płaszcz.

- To mieszkanie Harveya Newbegin?

- Tę kamienicę kupił mój ojciec. Umieścił tutaj swoją kochankę. To była Białorusinka z arystokratycznej rodziny. Ojciec kochał matkę, ale w tej dziewczynie - nazywa się Katia - zakochał się do szaleństwa; ona też go naprawdę kocha. Zeszłego roku ojciec...

- Ilu masz ojców? - przerwałem. - Sądziłem, że umarł na atak serca, gdy Rosjanie zbombardowali Długi Most.

- Z tą śmiercią to nie była prawda. - Skupiając się przeciągnęła koniuszkiem języka po górnej wardze. - Poprosił mnie, żebym puściła w obieg historyjkę o jego śmierci. Tak naprawdę, to on i Katia... ty nie słuchasz.

- Mogę słuchać i nalewać sobie jednocześnie drinka.

- Odszedł z Katią. To tak piękna dziewczyna, żeby cię zabolalo, gdybyś jej dotknął.

- Nie zabolaloby mnie.

- Bądź poważny. Mieszkają pod adresem, który znam tylko ja. Nawet moja matka sądzi, że umarli. Brali udział w katastrofie kolejowej, rozumiesz...

- Jest nieco za wcześnie na katastrofy kolejowe - powiedziałem. - Dlaczego nie zdejmiesz płaszcza i się nie odprężysz?

- Nie wierzysz mi.

- Wierzę - odparłem. - Jestem łatwowiernym dworskim pajacem i chłonę każde twoje słowo, ale co z filiżanką kawy?

Gdy przyniosła kawę - eleganckie filiżaneczki na tacy przykrytej haftowaną serwetą - uklękła na podłodze i postawiła naczynia na niskim stoliku. Ubrana była w męski sweter założony tyłem na przód. Pod włosami - teraz podciętymi z tyłu krótko i wysoko - widniał trójkąt białej skóry tak miękkiej i świeżej, jak dopiero co przełamana bagietka.

Zwalczyłem pokusę, by ją tam ucałować. - Masz prześliczny trapezoid - oświadczyłem.

- Naprawdę? Jak to miło - odpowiedziała automatycznie. Nalała kawę i podała mi ją niczym głowę Jana Chrzciciela. - Mam mieszkanie w Nowym Jorku - powiedziała. - Jest ładniejsze niż to. Spędzam w nim dużo czasu.

- Naprawdę? - zainteresowałem się.

- No, to nie jest moje mieszkanie.

- Nie - odparłem. - Kiedy twój stary i Katia wrócą...

- Nie, nie, nie.
- Rozlejesz kawę - zauważyłem.
- Robisz się paskudny.
- Przepraszam.
- W porządku - oświadczyła. - Jak opowiadamy bajeczki, to opowiadamy bajeczki. Jak nie opowiadamy bajeczek, to mówimy prawdę.
- To przyzwoita umowa.
- Nie sądzisz, że kobieta powinna umieć uśmiechać się oczyma?
- Nie wiem - odparłem. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.
- Ja myślę, że powinna. - Przysłoniła ręką usta. - Powiedz, patrząc mi w oczy, kiedy się uśmiecham.

Niełatwo opisać Signe, ponieważ wspomnienie o niej w ogóle nie wiązało się z prawdziwym wyglądem. Była uderzająco ładna, ale rysy twarzy miała nieregularne. Nos był za mały, by zrównoważyć wysoko umieszczone, płaskie kości policzkowe, a usta miały rozmiar co najmniej o dwa numery za duży w porównaniu z twarzą. Kiedy się śmiała i chichotała, rozciągały się od ucha do ucha, ale pół godziny po rozstaniu pamiętałem tylko twierdzenie Harveya, że jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

- Teraz? - zapytała.
- Co teraz? - odparłem.
- Czy uśmiecham się oczyma?
- Żeby rozgrywać to uczciwie - oświadczyłem - trzeba, żebyś miała rękę większą niż usta.
- Przestań, wszystko psujesz.
- Nie bij mnie - powiedziałem. - Rozlewasz mi kawę. Przez dwa dni Signe i ja czekaliśmy na powrót Harveya Newbegin. Obejrzeliśmy film gangsterski rozgrywający się w Nowym Jorku; w czasie projekcji Signe wciąż powtarzała: - To niedaleko mego mieszkania. - Zjedliśmy kolację na dachu wysokościowca w Tapiola, gdzie przyglądaliśmy się przybrzeżnym wyspom uwięzionym w lodzie. Kosztem podartej kurtki i skręconego łokcia niemal nauczyłem się jeździć na nartach.

Wieczorem drugiego dnia wróciliśmy do mieszkania przy Długim Moście. Signe przyrządziła rybę z tą niedbałą zręcznością, dzięki której była w stanie przygotowywać kolację i czytać jednocześnie magazyny ilustrowane, a nic nie przypalało się i nie przegotowywało. Gdy skończyliśmy kolację, przyniosła tacę ptifurków i butelkę sznapsa.



- Od dawna znasz Harveya Newbegina?  
- Od lat. Widuję się z nim co jakiś czas.  
- Prowadzi tutaj interesy, wiesz?  
- Nie wiedziałem.  
- Tak. Jest szefem na tę część Europy. Pojechał do Nowego Jorku na konferencję.

- Mówiłaś to.  
- Myślę, że to nie jest odpowiedni człowiek, żeby prowadzić całą...  
- Siatkę?  
- Tak. Siatkę. Jest za bardzo...emocjonalny.  
- Naprawdę?  
- Tak - Ugryzła ciasteczko śnieżnobiałymi zębami. - Jest we mnie do szaleństwa zakochany. Sądzisz, że to dobrze?  
- Ja nie mam nic przeciwko temu.  
- Chce się ze mną ożenić.

Przypomniałem sobie wszystkie dziewczyny, z którymi kiedyś Harvey Newbegin chciał się żenić. - Cóż, jesteś jeszcze młoda. Przypuszczam, że zechcesz to sobie jeszcze przemyśleć.

- Zamierza się rozwieść z żoną.  
- Tak powiedział?  
- Nie, powiedział mi o tym jego psychoanalityk na przyjęciu w Nowym Jorku  
- Złożyła na pół srebrny kwadracik papierka od cukierka i zrobiła z niego łódeczkę.  
- A więc zamierza się z tobą ożenić?  
- Nie wiem - powiedziała. - Kocha się we mnie cała kupa facetów. Myślę, że dziewczyny nie należy ciągnąć na siłę do łóżka.  
- Moim zdaniem, należy.  
- Jesteś niegodziwy. - Nałożyła srebrzystą łódeczkę z papieru na koniec palca, niczym kapelusz, i zakręciła nią. - Jest niegodziwy - powiedziała do palca, a palec skinął potakująco. - Zona Harveya jest okropna.  
- Może jesteś nieco uprzedzona.  
- Nie, nie jestem uprzedzona. Znam ją. Byliśmy razem na przyjęciu u pana Midwintera. Nie znasz chyba pana Midwintera, co?  
- Nie.  
- Jest kochany. Spotkasz się z nim. To szef Harveya. - Pokazała palcem na

ślad po kawie na mojej koszuli. - Usunę to zanim wyschnie. Daj mi koszulę. Weź sobie drugą od Harveya.

- Dobra - powiedziałem.

- Na tym przyjęciu wszyscy byli bardzo elegancko ubrani. No wiesz, biżuteria, takie coś srebrnego we włosach i cudowne buty. Wszystkie kobiety miały cudowne buty. Takie mniej więcej. - Zdjęła but, postawiła go na stole i odkształciła wskazującymi palcami. - Teraz można je dostać w Helsinkach, ale wtedy... w każdym razie byłam w Nowym Jorku dopiero od paru dni i miałam tylko te ubrania, które wzięłam ze sobą. Rozumiesz.

- Pewnie, to poważny problem.

- Nie, poważnie, to jest problem, kiedy się jest kobietą. Mężczyzna może mieć i nosić jeden ciemny garnitur przez cały dzień. Nikt na to nie zwróci uwagi. Ale od kobiety oczekuje się, że będzie miała odpowiednie ubranie na lunch, na podwieczorek, do pracy i jeszcze coś wystrzałowego na wieczór. Następnego dnia zaś ludzie mówią, że powinna się ubrać w coś, czego jeszcze nie widzieli. Jeżeli...

- Miałaś mi opowiedzieć o przyjęciu.

- Tak. Właśnie opowiadałam o przyjęciu. Poszłam na to przyjęcie u pana Midwintera. To wspaniały dom z lokajami i takimi tam różnymi, a ja mam na sobie ubranie, jakie noszę na przyjęcia tutaj, w Helsinkach. To znaczy na prywatki. Więc tam, wśród tych mężczyzn w smokingach i kobiet w sukniach za trzysta dolarów...

- Harvey nie powiedział ci, jak się ubrać?

- Nie. Wiesz, jaki jest. Bał się do mnie podejść w obecności żony. W każdym razie stoję tam jak palant. Palant?

- Tak, palant. Może być.

- No i stoję tam jak palant w sukni w grochy. Grochy. Wyobrażasz sobie?

- Tak.

- Pani Newbegin podchodzi do mnie. Wygląda tak. - Signe zmrużyła oczy w szparki i wessała policzki naśladując modelkę z kolorowego magazynu. - Ubrana jest w fantastyczną suknię-futerał z czarnego jedwabiu i w satynowe buciki. Satynowe buciki. Mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu i mówi: - Jestem żoną pana Newbegin. - Pana Newbegin. Odwraca się do swej przyjaciółki i mówi: - To okropne, że Harvey nie powiedział jej, że to oficjalne przyjęcie. Pewna jestem, że ma z tuzin naprawdę eleganckich wizytowych toalet, które mogłaby włożyć. - Nie masz pojęcia jak protekcyjnie się zachowuje. Jest nieznośna. - Signe wyciągnęła

pudełeczko i zaczęła nakładać jasnozielone cienie na powieki. Skończyła, zatrzepotała do mnie rzesami i obciągnęła sztruksową suknię na szerokich biodrach. Oparła się twarzą o moje nogi. - Jest nieznośna - powtórzyła. - Prowadzi okropne życie.

- Wygląda na zawziętą osobę - powiedziałem.

- Jest Lwem; znak ognia, znak słońca. Błyskawice i dominacja. Dąży do przewagi. To męski znak siły przywódczej. Lwy mężczyźni są w porządku, ale Lwy kobiety biorą mężczyzn pod pantofel. Harvey Newbegin jest spod tego znaku co ja: Bliźnięta. Powietrze. Merkury. Rozdzielone bliźniaki, namiętne, dramatyczne, występne, inteligentne. Bardzo ruchliwe, pędzą przed siebie uciekając przed kłopotami. Fatalne w połączeniu z Lwami. Lwy i Bliźniaki nie łączą się na stałe. To zła kombinacja.

- Ale dobrze ci z Harveyem?

- Cudownie. Masz prześliczne brązowe ramiona. Jesteś Wodnikiem?

- Czy wszystkie Wodniki mają brązowe ramiona?

- Znak powietrzny. Duch i tajemnica. Nigdy nie odsłaniają się do końca.

Otacza je wysoki mur. Są głębsi niż większość ludzi, bardziej z dystansem, naukowci. To mój ulubiony znak, dobrze pasuje do Bliźniąt. - Złapała mnie za ramię, by to pokazać. Palce miała szczupłe i lekkie jak piórko. Przeciągnęła nimi po ramieniu tak subtelnie, że przeszedł mnie dreszcz. Uniosła moją rękę, włożyła czubki palców w otwarte usta, przekreśliła ją i głośno pocałowała wnętrze dłoni.

- Podoba ci się?

Nie odpowiedziałem. Uśmiechnęła się szeroko i puściła rękę.

- Jak wyjdę za mąż, zachowam swoje nazwisko. Jak się nazywasz? Nie mogę zapamiętać.

- Dempsey - odparłem.

- No to gdybym wyszła za ciebie za mąż, chciałabym się nazywać Signe Laine-Dempsey.

- Miałas mi właśnie powiedzieć, jakie to okropne życie prowadzi pani Newbegin.

Signe skrzywiła się z niesmakiem. - Biznesmeni. Okropne żony gadają o samochodach mężów. Wielki biznes, no wiesz. Nienawidzę takich kobiet, starsi panowie nawet mi się podobają.

- No to mam jakieś szanse - powiedziałem. - Jestem tak stary, że mógłbym

być twoim ojcem.

- Nie jesteś tak stary, żeby być moim ojcem - odparła drapiąc paznokciem po moich spodniach na kolanie.

- Nie rób tego, bądź grzeczną dziewczynką.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, to jeden z moich najlepszych garniturów.

- A ponadto to bardzo rozprasza.

- Tak, a ponadto to bardzo rozprasza.

- No i masz. Bliźnięta naprawdę działają na Wodniki.

- Jestem tak stary, że mógłbym być twoim ojcem - powiedziałem tyleż do niej, co do siebie.

- Może byś przestał to powtarzać. Mam prawie osiemnaście lat.

- No cóż, we wrześniu, osiemnaście i pół roku temu - tu zastanowiłem się przez chwilę - właśnie zdałem egzaminy. Pojechałem do Ipswich na wakacje. Na tej samej ulicy zakwaterowano kompanię panienek z obrony cywilnej. - Przerwałem myśląc intensywnie. - Czy twoja matka była trochę sepleniącą junaczką z obrony cywilnej z myszką na prawym barku?

Signe zachichotała. - Tak. Przysięgam, że to prawda. - Wyciągnęła mi ze spodni podkoszulek. - Masz bardzo zgrabne plecy - oświadczyła. Przeciągnęła palcem po kręgosłupie wyrażając tym samym swoje uznanie. - Bardzo zgrabne plecy. To ważne u mężczyzny.

- A ja myślałem, że chcesz mi oczyścić koszulę - powiedziałem. - Pamiętaj, że to dlatego siedzę tu w podkoszulku.

- Bardzo zgrabne plecy - powtórzyła. - Znam się na tym, przecież mój ojciec był jednym z najślawniejszych osteopatów w całej Szwecji.

- To dobra koszula - stwierdziłem. - Nie musisz jej prać, wystarczy, że ją wymoczysz.

- Aż wezwano go, by nastawił kręgi królowej duńskiej - kontynuowała. - Tak to wszystko się zaczęło.

Owinęła się wokół mnie i nagle zaczęliśmy się całować. Usta miała niezgrabne i mało wprawne, jak przy dziecięcym pocałunku na dobranoc. Gdy się odzywała, słowa wibrowały w moich ustach.

- Namiętne, dramatyczne, występne - mówiła. - Bliźniaki i Wodniki pasują do siebie. - Wciąż całowała mnie i wprawnie obmacywała mi nogi.

No dobra, pomyślałem. Mogę chyba sprawdzić, jak to jest z tą astrologią.

## **Rozdział 9**

Harvey przyleciał nazajutrz. Wyszliśmy spotkać go na lotnisku. Signe objęła go i mówiła, że bardzo jej go brakowało, że ugotowała mu wszystkie ulubione dania na przyjęcie powitalne, ale odebrała pilny telefon o chorobie w rodzinie i cała kolacja się przypaliła, więc będziemy musieli pójść do restauracji.

Cała historyjka o kolacji była zmyślona, ale i tak pozazdrościłem Harveyowi tego powitania. Signe przebiegła przez lotnisko niczym noworodek antylopy niepewnie trzymający się na nogach i stanęła ze zgiętymi łokciami i szeroko rozstawionymi nogami, jakby obawiała się, że potknie się o swe fantazje i stanie się kobietą.

Z miejsca oświadczyłem Harveyowi, że ukradziono mi jajka i cały bagaż na lotnisku, ale on znajdował się w jednym z nastrojów typu - „my-zapracowani-bogacze-nie-mamy-czasu-dla-nikogo”. Przez parę dni kręcił się wszędzie, cmokając wargami. Wiadomość o tym, że ukradziono mi paczkę z jajami, przyjął z wystudiowanym gniewem i oświadczył, że ci ludzie „ciężko się nadziali. Była zaminowana jak cholera.”

- Piękne dzięki - powiedziałem - byłoby cudownie, gdyby celnicy kazali mi ją otworzyć.

Harvey obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem. - Celnicy byli ugadani.

Potem zamknął się w biurze. Harvey nazywa biurem każdy pokój, do którego wstawi swoją maszynę do pisania.

Harvey spędzał masę czasu w biurze i poza zadaniem mi pytania, czy rozmawiałem z Dawlishem - zaprzeczyłem z kamiennym wyrazem twarzy - niewiele się do mnie odzywał. Uległo to zmianie trzeciego dnia, we wtorek. Harvey zabrał mnie do klubu z sauną, do którego należał. Odbyliśmy krótką przejażdżkę za miasto. Harvey zawsze miał manię na punkcie pryszniców oraz kąpeli, a do rytuału łaźniowego odnosił się z wielkim entuzjazmem. Klub mieścił się na przybrzeżnej wysepce. Dojeżdżało się tam po grobli. Trudno było się zorientować, że znajdujemy się na wyspie, gdyż śnieg pokrył cały horyzont. Klub wciśnięty był między jodły. Był to niski budynek, obfitujący w brąz i czerwień drewnianych bali, między które śnieg wcisnął się poziomymi białymi liniami.

Rozebraliśmy się i przeszliśmy przez błyszczące, wyłożone białymi kafelkami

pomieszczenie z prysznicami, gdzie łaźiebna szorowała kogoś gąbką. Harvey otworzył ciężkie drzwi. - To łaźnia parowa - powiedział. - Typowo fińskie.

- Znakomicie - odparłem. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Wewnątrz pomieszczenie wielkością i kształtem przypominało wagon bydłęcy. Dwie wyłobione ławy zajmowały większość miejsca. Były tak wysokie, że trzeba było siedzieć ze zgiętą szyją, żeby nie rozbić sobie głowy o sufit. Wszystko w środku było pokryte drewnem, poczerniałym od dymu z ogniska. W wysokiej temperaturze czuć było smolisty zapach płonącej sośniny.

Usiedliśmy na ławce. Wyjrzelśmy na dwór przez okno rozmiarów dużej skrzynki na listy. Termometr wskazywał ponad sto stopni Celsjusza, ale Harvey majstrując przy piecu oznajmił, że za chwilę zrobi się gorąco. - To miło - powiedziałem. Czulem, że płuca miażdży mi młot parowy. Za podwójnymi szybami drzewa uginały się pod czapami śniegu. Gdy wiatr strząsał z gałęzi śnieg wyglądało to, jakby drzewa oddychały na mroźnym powietrzu.

- Musisz zrozumieć, że tworzymy dość specjalną, niewielką organizację. To dlatego chciałem się upewnić, że nic nie powiedziałeś Dawlishowi.

Skinałem głowę.

- Nic mu nie powiedziałeś? Słowo honoru? Pomyślałem, że ma dziwnie staroświecką mentalność. To „słowo honoru” jest obliczone na to, że się załamię i wyznam prawdę.

- Słowo honoru - oświadczyłem.

- To dobrze - rzekł Harvey. - Bo w Nowym Jorku dali mi wycisk za to, że cię zatrudniłem. Znalazłem się w bardzo trudnym położeniu. Widzisz, jutro przeprowadzamy specjalną operację.

W pomieszczeniu zrobiło się bardzo gorąco. Nawet Harvey, który miał ciemną cerę, nabrał koloru ugotowanej langusty. Na dworze dwóch mężczyzn wysiadło z dostawczego renault. Dźwigali liny i piły. Poklepywali jedno z drzew.

- Nie chciałem się tym zajmować. Nie jest ci za gorąco?

- Nie, dobrze mi. Dlaczego nie chciałeś?

- Po pierwsze, to zła pora roku. - Wychłostał sobie nogi brzoową gałązką. Zapach brzozowych liści stał się nagle bardzo wyraźny. Zastanawiałem się, jak przechowują gałęzie z liśćmi aż do tej pory roku. - Och, jest tysiąc powodów, dla których chciałbym, żeby poczekali.

- Ale nie poczekali?

- Mają swoje powody. Chcą go przerzucić tam i z powrotem z zagranicy w ciągu miesiąca. To technik. Ma przyrzeć się jakimś urządzeniom, czy coś takiego. Brat Pike'a. Spotkałeś go?

- Widziałem - oświadczyłem. Widziałem tylko mężczyznę zawiązującego linę na wysoko rosnącej gałęzi.

- To niebezpieczne - powiedział Harvey. Nawet on czuł się teraz nieswojo. Siedział bardzo sztywno i płytko oddychał.

- Dlaczego?

- Te upadki. Nienawidzę ich.

- Upadki? - zapytałem. Poczulem się obrzydliwie i nie miało to nic wspólnego z sauną. Miałem nadzieję, że Harveyowi nie chodziło o to, o co go podejrzewałem. Wstał i podszedł do pieca. Patrzyłem, jak sięga do kubła i chlusta wodą z chochli na rozpalone kamienie. Spojrzał na mnie. - Zrzuty z samolotu - powiedział.

- Skoki spadochronowe do Związku Radzieckiego? - Mężczyzna u dołu drzewa zaczął ciąć piłą elektryczną, nim jego kolega zszedł na dół.

- Nie używają spadochronów.. Zrzucają ich z kukuruźników w śnieżne zaspy.

- Przestraszyłeś mnie na chwilę.

- Nie żartuję. Jestem poważny - powiedział Harvey i widziałem, że tak właśnie jest.

Dolny koniec liny przywiązano do tyłu samochodu. Lina napięła się i naprężyła zgięte drzewo, umożliwiając pracę piły. Nagle poczułem, że temperatura się zmienia. Tysiące szpileczek z rozpalonej pary rozrosło się do rozmiarów ostrzy noży. Noże zaczęły się obracać. Otworzyłem usta. Czułem, jak płonie mi śluzówka w gardle. Zamknąłem usta i miałem wrażenie, jakbym przepłukiwał gardło drutem kolczastym. Harvey przyglądał mi się uważnie.

- To tylko pięćdziesiąt mil od wybrzeża ZSRR. Gdyby leciał na wysokości, na której można już skakać ze spadochronem, radar namierzyłby go zaraz po starcie.

Wciąż było gorąco, ale szpilki wrzącej wody przemieniły się w parę. Skóra mi płonęła. Unikałem wzrokiem termometru.

- Co za różnica? - zapytałem. - Jeśli naprawdę zrzucicie kogoś na wybrzeżu, nie minie czterdzieści osiem godzin, a już podpisze odpowiednie zeznanie w prokuraturze. To bałtycki okręg wojskowy, jeden z najlepiej strzeżonych terenów na świecie. Pełno tam rakiet, lotnisk, baz. A co więcej, pełno tam straży i patroli.

Harvey otarł pot z twarzy brzegiem dłoni, a potem popatrzył na własną rękę,

jakby próbował przepowiedzieć sobie przyszłość. Wstał. - Pewnie masz rację - powiedział. - Może za długo zadaje się z tą bandą. Zaczynam wierzyć w te kawałki, które nam wciskają z kwatery w Nowym Jorku. Wyjdźmy stąd, co? - Ale żaden z nas się nie ruszył. Na dworze silnik auta przyspieszył obroty. Drzewo wygięło się, jak grzbiet człowieka przeciągającego się po ciężkim śnie. Ramiona gałęzi strzepnęły po śniegu, rozsypując się w ostatnim wystudiowanym geście pogardy; potem wszystko zaczęło się wywracać. Był to powolny, pełen wdzięku upadek. Żaden dźwięk nie dobiegał do nas przez podwójnie oszklone okno. - Właśnie tak - powiedział Harvey. - Masz rację. Właśnie tak. - Wiedziałem, że i on przypatrywał się śmierci drzewa.

Harvey otworzył ciężkie drzwi łaźni parowej. W górnym pomieszczeniu panował hałas i krzątanie jak we frontowej przebieralni. Starsze panie w białych fartuchach latały z gąbkami i postukiwały metalowymi kubłami chlustając wodą na zaróżowionych mężczyzn, spoczywających nieruchomo na kamiennych płytach.

Podążyłem za Harveyem na dwór, na śnieg. Szliśmy nago ścieżką biegnącą wzdłuż pokrytego lodem morza. Harvey kroczył w kokonie z białej pary. Chyba ja też, bo nie czułem w ogóle zimna. Harvey wskoczył do dużego przerębla. Poszedłem w jego ślady i posmakowałem słonej słodczy Bałtyku.

Pod wodą otworzyłem oczy i ujrzałem widmowy kształt Harveya odbijający się od mrocznego tła. Przez jedną straszliwą chwilę bawiłem się myślą, co też by się stało z człowiekiem wciągniętym przez prąd pod lód. Chyba nie ma tu drugiego przerębla na przestrzeni... jakiej? Stu mil? Dwustu mil?

Moja głowa wyskoczyła na suche, mroźne powietrze. Twarz Harveya znalazła się w pobliżu, jasne włosy przyłgnęły ściśle do czaszki jak złotawy syrop. Zauważyłem łysinkę na czubku głowy. Wciąż nie czułem zimna.

- Masz rację - powiedział Harvey. - Z tym Bałtom-bełtem, którego jutro rzucamy. Biedny sukinsyn jest skasowany.

- Czy nie możesz...

- Nie, nie - zaprzeczył Harvey. - Nawet, gdybym chciał. Upewnię się tylko, żeby mi się dobrze nie przyjrzał, tyle mogę zrobić. Samoobrona: pierwsze prawo wywiadu.

Harvey popłynął do drabinki. Na brzegu jeden z mężczyzn przywiązywał linę do następnego drzewa.

Bardzo chciałem przebywać w pobliżu Harveya, gdy przygotowywał się do wysyłki wspomnianego agenta, ale Newbegin wyszedł z mieszkania jeszcze przed



śniadaniem. Signe przyniosła mi kawę w dzbanku z filcowym kapturkiem, ozdobionym oczyma i nosem, potem usiadła na krawędzi łóżka i, gdy popijałem kawę, wygłupiała się rozmawiając z kapturkiem.

- Harvey zlecił mi robotę - powiedziała znudzona tą zabawą.
- Naprawdę?
- Niprawdę. Wszyscy Anglicy mówią tak - niprawdę.
- Daj mi spokój. Zbudziłem się dopiero trzy minuty temu.
- Harvey jest o nas zazdrosny.
- Dowiedział się?
- Nie, to jego słowiańska melancholia.

To prawda, że rodzina Harveya Newbegina przybyła z Rosji, ale nie było w nim nic słowiańskiego i nikt poza Signe nie mógłby tego wykryć.

- Czy Harvey powiedział ci, że jest Słowianinem?

- Nie musiał mi mówić, ma typową twarz muzyka. Fin jest w stanie rozpoznać Rosjanina na kilometr. Zauważyłeś czerwony odcień blond włosów? I te pomarańczowo-brązowe oczy. Piwne, tak to określamy. Spójrz na moją twarz. Jestem typową Tavastianką. Duża głowa, szeroka twarz, jasna cera, włosy blond, niebieskoszare oczy i ten mój śmieszny, wklęsły nos. - Wstała. - Spójrz, jak jestem zbudowana. Grube kości, szerokie biodra. Jesteśmy Tavastinami, z południa i centrum Finlandii. Nie spotkasz wśród nas kogoś takiego jak Harvey.

- Cudowna konstrukcja.
- Mów tak dalej, a Harvey się domyśli.

- Mam to gdzieś, czy się domyśli. Nalała mi drugą filiżankę kawy. - Dzisiaj powiedział mi, że bym doręczyła paczkę. Miałam ci nic nie mówić. Phiii.. Powiem ci, jak zechcę, on myśli, że jestem dzieckiem. Jak się ogolisz i weźmiesz prysznic, doręczymy ją razem.

Signe ostrożnie prowadziła starego volkswagena - była dobrym kierowcą - i nalegała, że do Inkeroinen zawiezie mnie najładniejszą trasą, to znaczy bocznymi drózkami wokół Kouvola. Był słoneczny dzień. Niebo przypominało kartkę bibuły, na której środek skapanęło trochę niebieskiego atramentu. Droga wiała się kręto, szła pod górę, i nie oszczędzono mi żadnego z błazeństw, w które obfituje górską przełęcz, by przekonać mnie, że bynajmniej nie mam do czynienia z równiną. Niewielkie kępy drzew i chłopskie chaty wzmacniały to złudzenie. Było tu pusto. Grupki dzieci jadących do szkoły na nartach machały do nas, gdy je mijaliśmy.

Miałem uczucie, że Signe nie zlekceważyła dotyczącego mnie ostrzeżenia Harveya tak zupełnie, jak to wyznała. Rozważnie powstrzymałem się od wypytywania jej o paczkę. W Kouvola, gdzie rozgałęziała się linia kolejowa, pojechaliśmy drogą na południe biegnącą wciąż przy torze. Przetaczano tu na bocznice długi pociąg z wagonami bydłocymi i cysternami z naftą; spirala czarnego dymu z lokomotywy zalegała w krajobrazie bieli.

- Jak myślisz, co jest w paczce? - zapytała Signe. - Jest w schowku.

- Cholera - odparłem. - Nie marnujmy cudownej wycieczki na rozmowy o interesach.

- Chcę wiedzieć. Powiedz, co myślisz.

Wyjąłem ze schowka owiniętą w brązowy papier paczuszkę.

- Ta?

- To pieniądze?

- Nigdy nie widziałem pieniędzy o takim rozmiarze.

- A co, jeśli ci powiem, że wczoraj w nocy Harvey pożyczył ode mnie dwie książki w miękkiej oprawie.

- Rozumiem - powiedziałem. - Biorąc pod uwagę kształt dwóch takich książek, jest między nimi odstęp, w który można wsadzić banknoty.

- Dolary?

- Może.

- Co to znaczy - „może”? Wiesz, że to dolary.

- Tak.

- Mam je zostawić w taksówce w Inkeroinen.

Inkeroinen to garstka sklepów i domów skupionych wokół niewielkiego węzła kolejowego. Główna ulica przypomina dojazd do wsi. W sklepach sprzedaje się lodówki z Zachodnich Niemiec, płyty jazzowe i proszki detergentowe. Przy drodze znajduje się drewniany kiosk, w którym handluje się papierosami i gazetami. W tylnej części budki mieści się spelunka, gdzie przesiadują kierowcy taksówek. Signe zatrzymała volkswagena po drugiej stronie drogi i zgasła motor. - Daj mi paczkę - powiedziała.

- Co za nią dostanę? - zapytałem.

Po raz czwarty w ciągu dwóch minut spojrzała na zegarek.

- Moją cnotę.

- Oboje ją straciliśmy - odparłem.

Uśmiechnęła się sztywno i wzięła paczkę. Patrzyłem, jak przechodzi przez drogę do taksówki marki Ford. Otworzyła tylne drzwi i zajrzała do środka, jakby szukając czegoś, co zapomniała. Gdy zamknęła drzwi, ręce miała puste. Od strony Kotka nadjechał drogą biały porsche. Jechał szybko i zachybotał się, gdy trafił na wyboisty kawałek drogi pod przejazdem kolejowym. Białych porsche używają policyjne patrole drogowe.

Przesiadłem się na miejsce kierowcy i włączyłem motor. Był ciepły i zaskoczył natychmiast. Z porsche'a wysiadł policjant, nakładając jednocześnie czapkę z daszkiem. Signe ujrzała policjanta w chwili, gdy odjeżdżałem od krawężnika. Policjant dotknął czapki i zaczął coś do niej mówić. Drogą za moimi plecami nadjechał wiejski autobus z Kouvola. Przejechałem dwadzieścia metrów do przodu, żeby autobus nie zablokował mi drogi, gdy zatrzyma się na przystanku. Następnie stanąłem i obejrzałem się. W pokoiku taksiarzy jakaś dłoń oczyściła z pary kawałek szyby.

Policyjny kierowca wysiadł z porsche'a i przeszedł obok Signe do budki. Signe nie patrzyła w moją stronę. Według obowiązujących reguł powinienem odjechać już przedtem, ale jeżeli droga jest czysta, mogę poczekać, aż sytuacja stanie się poważniejsza, a jeśli drogę zablokowano, to i tak jest już za późno. Znajoma postać wysiadła z autobusu i poszła prosto na postój taksówek. Nie miałem wątpliwości, że zamierza wziąć paczkę. Minał Signe i dwóch gliniarzy. Wsiadł na tylne siedzenie ford. Kierowca policyjny kupił dwie paczki kentów i rzucił jedną swemu koledze, który złapał ją nie przestając przemawiać do Signe. Potem zsalutował i obaj policjanci wsiedli do porsche'a. Mężczyzna na tylnym siedzeniu ford nie pokazał po sobie, że znalazł paczkę, ale przechylił się przez oparcie przy siedzeniu szofera i nacisnął klakson. Policyjny wóz odjechał z hałasem. Zawróciłem volkswagena i zahamowałem przy Signe. Wsiadła do środka.

- Zadowolony, że został? - zapytała, uśmiechając się.

- Nie - odparłem. - To była fuszerka niegodna zawodowca. Powinienem z miejsca odjechać.

- Tchórz - powiedziała szyderczo, sadowiąc się obok mnie.

- Masz rację - przyznałem. - Gdyby istniał związek zawodowy tchórzy, reprezentowałbym Anglię na Światowym Kongresie.

- Tak - zgodziła się Signe. Była jeszcze w wieku, w którym honor, brawura i lojalność liczą się bardziej niż osiągnięty rezultat. Źle się stało, że powiedziałem:

„Anglię”, bo miałem irlandzki paszport, ale po Signe nie było widać, iż zauważyła moją pomyłkę.

Jechałem wolno, unikając wyprzedzenia policyjnego wozu. W lusterku widziałem, że taksówka marki Ford zbliża się do mnie szybko. Na poboczu leżał zgarnięty w pryzmy śnieg, ale zjechałem na bok, jak tylko mogłem, żeby przepuścić taksówkę. Mężczyzna na tylnym siedzeniu nosił kapelusz z podwiniętym rondem i palił cygaro. Czytał łatwą do rozpoznania gazetę - *Financial Times*. Był to Ralph Pike. Domyślałem się, że martwi się gwałtownym spadkiem cen miedzi.

Zastanawiałem się, dlaczego Ralph Pike nie przywiózł do Helsinek własnej paczki z jajkami, i czy jutro w nocy nie będzie się martwił innym rodzajem upadku.

Zostawiłem Signe i samochód przy domu handlowym Stockmanna. Chciałem kupić sobie żyletki i skarpetki, ale przede wszystkim wolałem uniknąć wspólnego powrotu do mieszkania, bo Harvey mógłby się wściekać, że go nie posłuchała.

Gdy wróciłem, Harvey był w mieszkaniu. Klęczał na środku saloniku, przymocowując żaróweczki do bagażnika dachowego samochodu Signe.

- Cholernie zimno - powiedziałem. - Może napijemy się kawy.

- Przy umiarkowanym szczęściu o północy będzie jeszcze zimniej. Potrzebny nam mróz, jeżeli lód ma się nie załamać pod lądującym samolotem. - Oczekiwałem, że będę zadawał pytania, ale rozważnie nie okazałem żadnego zainteresowania. Powlokłem się do kuchni i zrobiłem kawę. Niebieska plama nieba już dawno zniknęła. Wraz ze zmierzchem śnieg zaczął jarzyć się fosforycznie.

- Nie pada? - zawołał Harvey.

- Nie, jeszcze nie.

- Tego nam trzeba - oznajmił.

- Opóźnienia?

- Ten pilot nie opóźni lotu. Przeleciałby przez gęstą kaszę. Najbardziej boję się awarii tam, na lodzie. Ociekać potem, reperując samolot, gdy świt skrada się za plecami, to nie mój sposób zarabiania na życie.

- Nie musisz mnie przekonywać - powiedziałem. - Wierzę ci.

- Pasażer już przyjechał, oooooo. - Harvey dziabnął się śrubokrętem w palec. Włożył go do ust, possał, następnie pomachał nim w powietrzu. - Chciał gdzieś odpocząć.

- Co powiedziałaś?

- Co powiedziałem? Słuchaj, to ty mi uświadomiłaś, co się stanie z tym

frajerem za dwadzieścia cztery godziny. Powiedziałem mu, żeby sobie pochodził do zachodu słońca.

- Będzie zmęczony, gdy samolot przyleci.

- A co chcesz, żebym zrobił? - Harvey wypowiedział to pytanie jednym ciągiem.

Skrzywiłem się.

- Nie czepiaj się mnie, chłopcze - powiedział Harvey. - Jesteś jak rozkosz podniebienia. Potrzebuję cię. Wskazujesz na ciemne strony życia.

- Dzięki - odparłem. - Ale nie spapraj tego tylko po to, żeby dowieść, iż mam rację.

- Do diabła. Facet ma tyle dziadzków, że może sobie wynająć pokój w hotelu, jeśli chce odpocząć.

- Kiedy tu zadzwoni?

- Słoń ci na ucho nadepnał? Nie zadzwoni tutaj. Kiedy jutro Rusczy wykopią go ze śniegu, powie, że nic nie wie o naszych operacjach w Helsinkach, a ja się postaram, żeby nie kłamał. Spotka się z nami o pół do dziesiątej, na dalekim przedmieściu.

- A jeśli będzie zmęczony? A jeśli da dyla?

- Nie rozplącę się wtedy... to byłoby klawo. - Umocował ostatnią oprawkę na bagażniku i sprawdził doprowadzone przewody.

- Pomóż mi zanieść to do holu. Potem siądziemy i obejrzymy telewizję.

- To mi odpowiada - powiedziałem. - Z chęcią skorzystam z podniet zastępczych.

## **Rozdział 10**

Czujesz się dziwnie, jeżeli od morza dzieli cię tylko warstwa lodu; czujesz się jeszcze dziwniej, jadąc przez Bałtyk w volkswagenie. Nawet Signe była tym nieco podenerwowana, zwłaszcza że jechaliśmy we czwórkę, a lód niewiele więcej mógł wytrzymać. Gdy zjechaliśmy z lądu, Signe i Harvey zbadali pęknięcia i załamania lodu tuż przy brzegu i orzekli, że jest bezpieczny.

Jechaliśmy we czwórkę, bo Ralph Pike był teraz z nami. Prawie nic nie powiedział od chwili, gdy zabraliśmy go z wietrznego rogu w miejscu, w którym szosa do Hanko opuszcza Helsinki. Ubrany był w czapkę z brązowej skóry z daszkiem i długi, czarny płaszcz. Wsiadając do samochodu, rozluźnił szalik; pod

płaszczem dostrzegłem kołnierz skafandra.

Po około dziesięciu minutach jazdy przez tafłę zamrożonego morza, Harvey powiedział: - Wysiadać. - Noc była ciemna. Lód jarzył się, a w powietrzu czuło się gnilny odór. Harvey podłączył bagażnik dachowy do dwóch baterii. Sprawdził obwód. Światła przytwierdzone do bagażnika zapaliły się, ale papierowe stożki uniemożliwiały dostrzeżenie ich z brzegu. Wyobraziłem sobie, że na południowym zachodzie dojrzę światła Porkkala - brzeg skręcał tu na południe - ale Signe oświadczyła, że to za daleko. Harvey zmierzył siłę wiatru małym kręciołkiem, a następnie przestawił volkswagena, by światła pokazywały pilotowi kierunek wiatru. Wyłączył dwie lampy, by zasygnalizować prędkość wiatru.

Ralph Pike zapytał Harveya, czy może zapalić. Wiedziałem, jak się czuje, bo przy takich operacjach puszczają nerwy i tak bardzo polega się na umiejętnościach dispatchera, że prosi się go nawet o pozwolenie na oddychanie.

- Ostatnie porządne cygaro - oznajmił Ralph Pike nie zwracając się do nikogo i nikt mu nie odpowiedział. Harvey spojrzał na zegarek i stwierdził: - Czas się przygotować. - Zauważyłem, iż Harvey zapomniał o swym postanowieniu, żeby Pike mu się nie przyjrzał, i stał przez cały czas obok niego. Harvey wy dostał z przodu samochodu kawałek brezentu i wtedy Pike zdjął płaszcz. Owinęli płaszcz w brezent i zawiązali ciasno rzemieniami. Koniec długiego rzemienia przymocowali do pasa skafandra, w który ubrany był Pike. Był to bardzo skomplikowany skafander, z mnóstwem suwaków; pod ramieniem umieszczono kawałek skóry podtrzymujący nóż o długiej klindze. Pike zdjął czapkę z daszkiem i upchał ją pod skafandrem, który następnie zapiął wysoko pod szyję. Harvey dał mu kask z gumowym ochraniaczem, który spadochroniarze noszą podczas skoków. Potem Harvey obchodził Pike'a dookoła, obciążając na nim ubranie, poklepując go i powtarzając: - Wszystko pójdzie dobrze - jakby chciał się sam o tym przekonać. Gdy upewnił się, że wszystko jest tak, jak piszą w podręczniku, wyciągnął z samochodu torbę Pan Am. Poszperał w niej. - Polecono mi, żebym ci to przekazał - powiedział, jakby w rzeczywistości sobie tego nie życzył, ale nie sądzę, by mu o to chodziło. Po prostu starał się nadgorliwie, by wszystko działało się według instrukcji.

Najpierw wręczył Pike'owi zwitek rosyjskich banknotów nieco większy niż plik wizytówek oraz trochę bilonu. - Złote luidory, nie szastaj nimi dookoła - usłyszałem słowa Harveya.

- Niczym nie będę szastał - odparł gniewnie Pike. Harvey tylko skinał głową i

wywrócił na drugą stronę jedwabny szalik, by pokazać mapę wydrukowaną na podszewce. Według mnie w Rosji jedwab zanadto rzuca się w oczy, ale nikt nie zapytał mnie o zdanie. Potem Harvey dał mu przyrządkowany do kształcie staromodnej cebuli, z dołączonym do niej łańcuszkiem, który służył jako miarka do oceny odległości. Następnie sprawdzili papiery: - Książeczka wojskowa? - Jest. - Poprzednia karta pobytu? - Jest. - Książeczka pracy? - Jest - Paszport? - Jest. - Wreszcie Harvey wyciągnął dwie rzeczy z kieszeni. Pierwszą był plastikowy długopis. Uniósł go, by Pike to obejrzał.

- Wiesz, co to jest? - zapytał Harvey.

- To zatruta igła - odparł Ralph Pike.

- Tak - przytaknął Harvey zwięźle i wręczył ją Pike'owi, zanim przekazał mu mały pistolet automatyczny, Tuła-Korowin 6,55 mm, który Rosjanie nazywają „damską” bronią.

- Zwarty i gotowy? - zapytał Harvey.

- Zwarty i gotowy - odpowiedział Ralph Pike, wypełniając jakiś dziwaczny rytuał.

- Chyba słyszę, jak leci - oświadczyła Signe.

Wszyscy nastawiliśmy uszu, ale dopiero po dwóch minutach go usłyszeliśmy. Nagle dobiegł do nas odległy i donośny dźwięk, jakby traktor wynurzał się na zachodzie zza linii horyzontu. Odgłos pracujących silników lecącego nisko samolotu rozpostarł się na całej szerokości lodowego lotniska. Samolot miał wyłączone światła nawigacyjne, ale dostrzegłem sylwetkę Cessna Skywagon, lecącą pewnie w mroźnym powietrzu. Gdy się przybliżyła, biała twarz pilota zaślniła w blasku rzucanym przez podświetloną deskę rozdzielczą. Pilot pomachał skrzydłami na powitanie. Zbliżając się ku nam wzbił się nieco - myślę, że chodziło mu o to, by dostrzec światła orientacyjne na bagażniku - a potem zapikował i opadł gwałtownie na lód. Długie płozy uderzyły płasko o podłoże, a kadłub resorując zakołysał się ciężko. Pilot wyłączył motor i samolot sunął ku nam wydając dziwaczny, syczący dźwięk.

- Złapałem jakiegoś wirusa - powiedział Harvey. Owinął się ciasniej szalikiem. - Mam gorączkę. - To były chyba pierwsze słowa, jakie skierował do mnie tego wieczoru. Spojrzał na mnie, jakby rzucał wyzwanie do kłótni, wytarł nos, a potem walnął łagodnie Pike'a w plecy, dając mu tym sygnał, że trzeba ruszać.

Pilot wysunął się przez drzwiczki poganiając ruchem dłoni Pi-ke'a, nim jeszcze samolot stanął w miejscu. - Gotowy? - zapytał Harveya, jakby słowom Pike'a

nie można było zaufać.

- Gotowy - potwierdził Harvey. Ralph Pike rzucił swe ostatnie nie dokończone cygaro na lód.

- Praktycznie rzecz biorąc - powiedział pilot - mógłby dziś w nocy pójść na piechotę. Wszędzie jest tam lód.

- Dałoby się zrobić - odparł Harvey. - Potrzeba tylko pontonu, żeby przepłynąć kanały wyrąbane przez statki.

- Nie mam zaufania do pontonów - oświadczył pilot. Upchał Pike'a na przednim siedzeniu i zapiął mu pasy.

- Są szerokie na trzydzieści stóp, tylko tyle - powiedział Harvey.

- Ale głębokie na dwie mokre mile - odparł pilot. Trzepnął w osłonę silnika i powiedział: - Proszę wsiadać, drzwi zamykać. Następny przystanek Moskwa.

Odstąpiliśmy. Motor włączył się, wyrzucając falę żółtych płomieni. Harvey podniósł niedopałek cygara cmokając z rozdrażnieniem. - Zbierajmy się stąd - powiedział. Wsiadliśmy do samochodu, ale ja wciąż patrzyłem na samolot. Nie opuścił lodu; obrzydliwa, wychudzona konstrukcja, która stanowczo wyglądała na to, że nie jest przeznaczona do latania. Samolot oddalał się ode mnie i dostrzegłem bliźniacze żółte oczy gazów wydechowych, które rozprzestrzeniły się, gdy maszyna zmieniła kierunek i wzbiła się w powietrze. Poryw wiatru pochwycił ją na chwilę i przydusił do ziemi. Potem uniosła się trochę wyżej, wyrównała lot i ruszyła swoim kursem na niedostępnej dla radarów wysokości.

Także Harvey obserwował samolot. - Następny przystanek - Moskwa - powtórzył sarkastycznie.

- On mógł mieć rację, Harvey - powiedziałem. - Więzienie na Łubiance znajduje się w Moskwie.

- Jesteś na mnie wściekły? - zapytał Harvey.

- Nie, dlaczego?

- Kiedy poważnie rozmyślasz nad swoją robotą, przejawiasz skłonność do ciosania kołków na głowie akurat temu, kto jest pod ręką. Dziś w nocy ja jestem pod ręką.

- Nie próbuję ci ciosać kołków na głowie.

- To dobrze - oświadczył Harvey. - Nawet jeśli wyjedziesz, będziemy wciąż razem pracować.

- Wyjadę?



- Nie mydl mi oczu. Wiesz, że wyjeżdżasz.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- No to przepraszam - powiedział Harvey. - Myślałem, że wiesz. Centrala w Nowym Jorku chce cię wysłać na krótkie szkolenie.

- Naprawdę? - odparłem. - Nie jestem tego pewien.

- Żartujesz.

„- Harvey - zacząłem - nie jestem w ogóle pewien dla kogo, do cholery, pracujemy.

- Dobra, pomówimy o tym później - zgodził się Harvey. - A jutro daj mi zestawienie wydatków aż do dnia dzisiejszego, a ja dam ci pieniądze. Odpowiada ci pięćset dolarów za wykonaną dotąd robotę?

- Znakomicie - oświadczyłem. Zastanawiałem się, czy Dawlish pozwoli mi je zatrzymać.

- Oczywiście, plus wydatki.

- Jasne.

Gdy przyjechaliśmy do hotelu „Kamp” na Esplanada, Harvey zatrzymał samochód i wysiadł. - Zabierajcie wóz i jedźcie do domu - rzucił przez okno.

- Gdzie idziesz? - zapytała Signe z tylnego siedzenia.

- Nieważne, gdzie idę. Rób, co ci mówię.

- Tak, Harvey - powiedziała Signe. Przesiadłem się na miejsce kierowcy i pojechaliśmy. Usłyszałem, jak Signe gmera w torebce.

- Co robisz?

- Smaruję dłonie kremem - odpowiedziała. - Pierzchną na tym lodowatym wietrze, krem do rąk je wygładza. Założę się, że nie zgadniesz, kogo widziałem dziś po południu? Popatrz, jakie są teraz gładkie.

- Nie zasłaniaj mi oczu dłońmi, gdy prowadzę. No, bądź grzeczną panienką.

- Tego z samolotu. Pozwoliłam mu się poderwać w „Marski”. Pomyślałam, że powiem mu, jak ma wydawać pieniądze.

- Ten krem - powiedziałem. - Wysmarowałaś nim sobie głowę?

Signe roześmiała się. - Wiesz, że płaci pięć marek za każde cygaro i wyrzuca je, jeśli zgaśnie?

- Harvey? - zapytałem zdziwiony.

- Nie, ten człowiek. Twierdzi, że smakują gorzko, jeśli się je zapali drugi raz.

- Tak twierdzi?

- Ale te pieniądze nie były dla niego. No te, które zostawiliśmy w taksówce. Miał je wpłacić na zablokowane konto w banku. Tylko cudzoziemcy mogą to zrobić. Ja bym nie mogła.

- Naprawdę? - spytałem. Skręciłem w bok, by ominąć samotnego pijaka, który sennie przelał przez ulicę.

- Ten człowiek, który właśnie odleciał samolotem, nauczył mnie paru słów po łacinie - powiedziała Signe.

- Uczy tak każdego.

- Chcesz je usłyszeć?

- Jasne.

- *Arno ut irruenio*. To znaczy: kocham, gdy znajduję. Twierdzi, że wszystko, co w życiu ważne, powiedziano po łacinie. Czy to prawda? Czy wszyscy Anglicy mówią najważniejsze rzeczy po łacinie?- Tylko ci, którzy nie zapalają po raz drugi pięciomarkowych cygar.

- *Arno ut itruenio*. Zacznę mówić ważne rzeczy po łacinie.

- Kiedy Harvey się dowie, lepiej zacznij mówić: „Proszę cię Harvey, nie wściekaj się” po łacinie. Nie daj w żaden sposób poznać po sobie, że rozpoznałaś tego człowieka. Nawet nie wiadomo, czy był czysty.

- Ostatnio Harvey to straszna stara paskuda. Nienawidzę go.

- Obok nas, na światłach zatrzymała się taksówka. Miała mały telewizor, który w niektórych helsińskich taksówkach umieszczono z tyłu fotela kierowcy. Jakaś parka pieściła się i uśmiechała promieniejąc w błękitnym świetle telewizora. Signe zawistnie obrzuciła ją wzrokiem. Obserwowałem jej twarz w tylnym lusterku. - Straszny z niego paskudnik. - Uczy mnie rosyjskiego, a kiedy pomylę się przy tych okropnych przymiotnikach, szaleje z wściekłości. Paskudnik.

- Harvey jest w porządku - powiedziałem. - To nie paskudnik i nie święty. Czasami ma swoje humory i tyle.

- Pokaż mi tylko kogoś innego z takimi humorami. Tylko mi pokaż.

- Nie ma nikogo takiego. Dlatego ludzie są bardziej interesujący niż maszyny. Różnią się między sobą.

- Wy, mężczyźni. Trzymacie ze sobą.

Światła zmieniły się. Wcisnąłem sprzęgło. Nie było sensu spierać się z Signe w takim nastroju. - Kto go opiera, gotuje i opiekuje się

- odezwała się Signe z tylnego siedzenia. - Kto go wyciąga z kłopotów, kiedy

centrala w Nowym Jorku poluje na jego głowę.

- Ty - powiedziałem posłusznie.

- Tak - odparła. - Ja. - Ostatnie słowo wygłosiła o trzy tony wyżej, głośno pociągnęła nosem i usłyszałem trzask zamka jej torebki.

- A wszystkie pieniądze idą do jego żony. - Znów pociągnęła nosem.

- Czyżby? - powiedziałem z zainteresowaniem. Grzebała w torebce poszukując chusteczki, pomadki do ust i kredki do oczu - tych nieodłącznych atrybutów kobiecego smutku. - Tak - powiedziała. - Te trzynaście tysięcy dolarów...

- Trzynaście tysięcy dolarów. - Moje zaskoczenie wywołało w niej przyływ świeżej energii.

- Tak, te pieniądze, które zabrałam na postój taksówek dziś rano. Ten człowiek je wziął i przesłał na konto pani Newbegin w San Antonio, w Teksasie. Harvey się nie domyśla, że wiem o tym - to sekret - ale ja mam sposoby, żeby się o tym dowiedzieć. Idę o zakład, że centrala w Nowym Jorku dałaby wiele za tę informację.

- To możliwe - odparłem. Zajechaliśmy pod blok. Zgasilem silnik i odwróciłem się do niej. Pochyliła się głęboko do przodu na tylnym siedzeniu. Nie upięte włosy zwieszały się z przodu zakrywając jej twarz jak dwa skrzydła złotej bramy. Ubrana była w płaszcz z tymi wszystkimi guzikami i sprzączkami, w którym ujrzałem ją po raz pierwszy przed mieszkaniem Kaarna'y.

- Dałaby - oświadczyła. Głos dochodził ze środka złotego pierścienia włosów.

- A to nie pierwsze pieniądze, które Harvey zdefraudował.

- Chwileczkę - przerwałem łagodnie. - Nie możesz ciskać oskarżeniami, jeśli nie posiadasz na nie rzeczywistych dowodów. - Czekałem zastanawiając się, czy sprowokuje to ją do dalszych niedyskrecji.

- Nigdy nie będę ciskać oskarżeniami - załkała Signe. - Kocham Harveya. - Dźwięk, który doleciał z głębi puszystych włosów, przywodził na myśl kanarka łuskającego nasiona.

- Przestań - powiedziałem. - Żaden mężczyzna nie jest wart łez.

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się z przymusem przez łzy. Podąłem jej dużą chustką do nosa.

- Wytrzymaj nos - powiedziałem.

- Kocham go. To idiota, ale umarłabym za niego.

- Tak - przytaknąłem, a Signe wytarła nos.

Następnego ranka zjedliśmy razem śniadanie. Signe zadała sobie sporo trudu, by Harvey poczuł, że wrócił do domu, do Ameryki. Był grejpfrut, bekon, naleśniki, syrop klonowy, grzanki posypane cynamonem i słaba kawa. Harvey był w dobrym humorze, zonglował talerzami, powtarzając: „To jest to, co ruscy robią cholernie dobrze” i „pam, pam”.

- Dla ścisłości, Harvey - powiedziałem. - Żaden ze spotkanych przeze mnie Anglików nie mówił nigdy „pam, pam”.

- Doprawdy? - odparł Harvey. - Gdy grałem Anglików na scenie, mówili „pam, pam” prawie przez cały czas.

- Na scenie? - zapytałem. - Nie wiedziałem, że kiedykolwiek występowałeś na scenie.

- No, nie byłem tak naprawdę aktorem. Po skończeniu college'u szwendałem się po kraju. Myślałem wtedy poważnie o karierze scenicznej, ale gdy głód zajrzał mi w oczy, wyszło ze mnie powietrze. Wtedy znajomy ze studiów namówił mnie na pracę w Departamencie Obrony.

- Nie mogę sobie wyobrazić ciebie jako aktora - powiedziałem.

- Ja mogę - oświadczyła Signe. - Od lat jest starym numerantem. - W wypowiedziach Signe łatwo można było rozpoznać całe kawałki składni Harveya.

Harvey uśmiechnął się. - Chłopie, to były czasy. Wszyscy byliśmy do kitu. Jedyne facet, który wiedział, co robi, to był kierownik, a my stale doprowadzaliśmy go do szału. Każdego ranka cały zespół włóczył tyłki po scenie, a on mawiał: „Dzisiaj dam wam popalić tak, że wam dupska odpadną. Bo ja jestem zawziętym skurwysynem. Krytycy to skurwysyny-ciemniaki, widownia to cwane skurwysyny, a wy to skurwysyny-niedołęgi. Jedyne co się tu liczy, to teatr”. Mówił to co dzień rano. Co dzień. Chłopie, ale byłem wtedy szczęśliwy. Tylko o tym nie wiedziałem, i tyle.

- Nie jesteś teraz szczęśliwy? - zapytała zaniepokojona Signe.

- Jasne, kotku, że jestem. - Harvey otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

- Wytrzymaj sobie twarz - powiedziała Signe. - Masz masło orzechowe na brodzie.

- Czy to nie romantyczna puszczańska? - zauważył Harvey.

- Nie nazywaj mnie puszczańska - odparła Signe. Zamachnęła się usiłując żartobliwie dać mu policzek, ale Harvey wyłapał cios dłonią. Uderzyła go drugą dłonią i zaczęli się bawić w koci-koci-łapci. Niezależnie od szybkości, z jaką uderzała Signe, dłoń Harveya zawsze blokowała jej ciosy. Wreszcie wyrzucił na bok rękę, a

ona padła mu w ramiona.

- Musimy pogadać o interesach - powiedział Harvey. - Kotku, może skoczysz do miasta i kupisz sobie buty, te których potrzebujesz? - Wysupłał stumarkowy banknot z grubego rulonu.

Rozradowana Signe wzięła pieniądze i wybiegła z pokoju pokrzykując: - Mądrej głowie dość dwie słowie. Mądrej głowie dość dwie słowie - i śmiejąc się.

Harvey spojrział na zwitek banknotów i wolno odłożył go na bok. Gdy drzwi zamknęły się, nalał jeszcze kawy i powiedział:

- To było kibicowanie, ale teraz wstępujesz do drużyny.

- Jakie to pociąga za sobą skutki? - zapytałem. - Obrzezanie?

- Wszystkie nasze operacje - odparł Harvey - programowane są na komputerach. Każdy etap operacji wczytywany jest do maszyny i każdy agent melduje maszynie o zakończeniu etapu. Maszyna powie ci - zakładając, że wszyscy inni agenci uczestniczący w tej operacji także się zameldują - jaki jest następny etap.

- To znaczy, że pracujecie dla maszyny cyfrowej?

- Nazywamy ją Mózgiem - odparł Harvey. - Dlatego jesteśmy tacy pewni, że nie dojdzie do żadnej obsuwy. Maszyna koreluje meldunki wszystkich agentów, a potem przekazuje kolejny zestaw instrukcji. Każdy agent ma podany numer telefoniczny. Dzwoni pod ten numer i wykonuje nagrane dla niego polecenia.

Jeśli wiadomość zawiera słowo „bezpieczny”, oznacza to, że następne słowa identyfikują kogoś, kto nawiąże z nim kontakt i przekaze rozkazy. Na przykład, jeśli zadzwonisz pod ten numer i magnetofon powie: „Polecisz samolotem do Leningradu. Bezpieczny. Zmieniło się oblicze miasta”, to znaczy, że lecisz do Leningradu i siedzisz tam czekając na rozkazy od kogoś, kto przedstawi ci się słowami: „Zmieniło się oblicze miasta.”

- Rozumiem - powiedziałem.

- To dobrze, bo takie są właśnie rozkazy dla nas obu. Obaj jedziemy. Gdy kolejny etap się skończy, zadzwonię i dostaniesz własne instrukcje. Nie mów mi jakie. Ściśle rzecz biorąc, nie mów nikomu.

- Dobra.

Harvey przekazał mi dwa nowojorskie numery telefoniczne łączone przez centralę w Hanowerze.

- Zapamiętaj te numery, potem spal kartkę. Drugi numer jest na wypadek sytuacji awaryjnej. Naprawdę awaryjnej, a nie wtedy, gdy zabraknie ci papieru

toaletowego. I zawsze dzwoń na rachunek. Kosztów telefonów nie da się wliczyć ci do wydatków.

## Część IV Leningrad i Ryga

*Idzie zając po drzewinie.*

*Niesie dzieci w pęcherzynie,*

*Które jemu piśnie.*

*Weźmie za łeb, o ziem ciśnie.*

Rymowanka dziecięca

### Rozdział 11

Leningrad to zajazd między Azją i Arktyką. Zwykle załatwienie wizy zabiera około sześciu dni, nawet jeśli telegrafuje się w obie strony. Ale Harvey znalazł jakiś sposób, żeby to przyspieszyć, i już po dwóch dniach dostaliśmy miejsce na wieczorny lot Iliuszynem 18B Aeroflotu. Autokar marki Zim zawiózł nas z lotniska do hotelu „Europa”, tuż przy Newskim Prospekcie: szerokiej, pryncypalnej ulicy Leningradu. W środku hotel wyglądał tak, jakby trwała dziewięciusetdniowa blokada miasta podczas II wojny światowej. Zanim dotarliśmy do recepcji, trzeba się było uporać z połamanym belkowaniem, starymi drzwiami, płachtami brezentu i zwojami sznurów. Harvey oświadczył, że ma gorączkę i musi coś zjeść, zanim pójdzie spać. Wprawilo to w zakłopotanie recepcjonistę, siwowłosego mężczyznę w okularach w drucianej oprawie i medalem na piersi. Zaprowadził nas do baru. Kelnerka przyniosła nam wódkę i czerwony kawior. Wpatrywała się w nas w zaciekawiony, ale nie natarczywy sposób, jak to często zdarza się w Rosji.

Z baru mieliśmy widok na restaurację, w której dziesięcioosobowa orkiestra taneczna grała *Mambo Italiano*, a około trzydziestu par improwizowało różne wersje zachodnich tańców, zależnie od tego, czy przybyli z Leningradu, Pekinu, czy też Wschodniego Berlina, gdzie można odbierać zagraniczne programy telewizyjne. Harvey domagał się kawy i brandy. Choć ekspres wyłączono i uprzątnięto, pulchna kelnerka wyszła, by ją nam zaparzyć.

Harvey powiedział, że gdyby miał przy sobie termometr, który jest w walizce, to pokazałby mi, że naprawdę jest chory, a wtedy nie wydawałoby mi się to zabawne.

Wziąłem sobie jeszcze trochę czerwonego kawioru i pysznego razowca.

Patrzyłem, jak kasjer hałaśliwie sumuje rachunki na liczydło. Dwóch kłócących się kelnerów weszło do baru, ale wyszli, gdy zauważyli, że nie są sami. Potem pojawił się bardzo wysoki mężczyzna w płaszczu i futrzanej czapce. Podeszedł do naszego stolika.

- Zauważyłem - powiedział dobrą angielszczyzną - że ośmielili się panowie zamówić jedzenie o tak późnej porze. Rozmawiają panowie o interesach, czy też można się dosiąść?

- Proszę siadać - odparł Harvey i strzepnąwszy palcami oznajmił: - Pan Dempsey z Irlandii. Ja nazywam się Newbegin.

Jestem Amerykaninem.

- Ach - powiedział wysoki mężczyzna otwierając usta, co u Włochów oznacza uprzejme zdziwienie. - Nazywam się Fragolli. Jestem Włochem. Jeszcze raz to samo - oznajmił kelnerce, która przyniosła kawę Harveyowi i przypatrywała się mu z zainteresowaniem. Wykonał kulisty ruch złączonymi palcami. Dziewczyna przytaknęła skinieniem głowy i uśmiechnęła się. - Stolicznaja - zawołał na nią. - Pijam tylko tę wódkę - wyjaśnił nam.

- *Hej, Mambo, Mambo, Italiano* - zaśpiewał cicho w rytm muzyki.

- Pan tu w interesach? - zapytał Harvey.

- A tak, w interesach. Byłem dwieście mil na południe od Moskwy. Zdaje się panom, że macie tu do czynienia z rosyjską zimą. Ja byłem w zamarzniętych wioskach - nie mają panowie pojęcia. Handluję z wydziałami rynku wewnętrznego w wielu regionach. Cztery dni negocjacji, żeby dobić targu, zawsze tyle to trwa. Oni przedstawiają swoją propozycję, my ją odrzucamy, potem przechodzimy do dyskusji. Wyznaczam cenę, oni mówią, że za wysoka. Wyjaśniam, że przy niższej będę wyzyskiwał moich robotników. Oni znów sprawdzają dane. Zmieniam częściowo specyfikacje. Czwartego dnia dochodzimy do porozumienia. Dotrzymują dokładnie umów. Zawsze wywiązują się z płatności. Jeżeli zawrze się umowę, dalej to już sama przyjemność.

Przyszła kelnerka z flaszką wódki i kolejną porcją czerwonego kawioru. Signor Fragolli był roslym mężczyzną, z głęboko pobrużdżoną twarzą i dużym, zakrzywionym nosem rzymskiego cesarza. Błysnął białym uśmiechem na opalonej na ciemny brąz twarzy i postukiwał w takt nożem o srebrne wiaderko do szampana.

- Co pan sprzedaje? - zapytał Harvey.

Przestał stukać, pogrzebał w czarnej aktówce. - To - powiedział. Trzymał pas

z podwiązkami. Zakręcił nim jak kółkiem do hula-hoop. Sprzączki podwiązek zagrzechotały.

- To mi się podoba - wyznał Harvey.

Umówiliśmy się na lunch następnego dnia. Signor Fragolli miał spotkać się z nami o pół do drugiej przy Centralnym Muzeum Marynarki Wojennej, które uparł się nazywać Giełdą. Muzeum mieści się na wschodnim cyplu jednej z setek wysp, z których składa się miasto Leningrad. Cypel ten łączy dwa z jego sześciuset dwudziestu mostów. W tym miejscu Newa jest niewiarygodnie szeroka. Zimny wiatr dął po lodzie w kierunku Twierdzy Pietropawłowskiej. Włoch spóźnił się trochę. Uśmiechał się i rozplątywał w przeprosinach. Sprowadził nas w dół po zboczu na rzekę grubo zamrażającą aż do północnego brzegu. Z lodu Most Kirowa wydawał się być jeszcze dalej. Ruszyliśmy wydeptaną na lodzie ścieżką. Kobieta w ciężkim płaszczu, z zakutaną głową i w podbitych futrem butach stała trzymając cierpliwie linę zanurzoną w okrągłym przereźlu. Towarzyszący jej chłopczyk wymachiwał plastikowym pistoletem i udawał, że do nas strzela, wydając przy tym stosowne odgłosy. Kobieta zganiła go i uśmiechnęła się do nas. Nie złowiła żadnej ryby albo je wrzuciła z powrotem do wody. Gdy znaleźliśmy się dobry kawał drogi za nią, signor Fragolli powiedział: - Oblicze miasta na pewno się zmieniło. Zrozumielście?

- Tak - odparł Harvey. Zauważyłem, że głowę trzyma pochyloną, ale nawet tu, na lodzie, można nas było podsłuchiwać parabolicznym mikrofonem reflektorowym.

- Mam nadzieję, że nie stłukł pan żadnego.

- Nie. Byłem bardzo ostrożny - powiedział Harvey.

Tyle mi było trzeba, by upewnić się, że Harvey ma pół tuzina jajek, które ukradziono mi na londyńskim lotnisku. Nic nie powiedziałem. Zdziwią się, gdy przyjrzą się uważniej tym jajkom z kantyny. Harvey i Fragolli mieli identyczne czarne aktówki.

- Zmieniamy torby przy lunchu - oznajmił Fragolli. Roześmiał się gromko, błyskając zębami. Przypuszczam, że miało to zmylić obserwatorów na brzegu rzeki. - Jeden z was - powiedział wciąż się uśmiechając - jedzie do Rygi.

- Pojedzie Dempsey - stwierdził Harvey. - Ja muszę tu zostać.

- Nie obchodzi mnie, który - powiedział Fragolli. Przysunął się bliżej mnie. - Jedzie pan jutro na Łotwę. Lot numer 392 do Rygi o drugiej pięćdziesiąt po południu. Pokój w hotelu „Ryga”. Nawiażemy z panem kontakt. - Obrócił się do Harveya. - Wprowadził pan jego zdjęcie do indeksu Mózgu?



- Tak - odparł Harvey.

- Dobrze - stwierdził Fragolli. - Osoba, która pana spotka, będzie wiedziała, jak pan wygląda.

- Ale ja nie będę wiedział, jak oni wyglądają.

- Właśnie - powiedział Fragolli. - Tak jest bezpieczniej.

- Ale nie dla mnie - odparłem. - Nie podoba mi się pomysł, że moja fotka zostanie znaleziona u jednego z waszych łączników.

- Nie będzie żadnych zdjęć luzem - oświadczył Harvey. - Człowiek, który się z tobą skontaktuje, będzie najprawdopodobniej pasażerem w samolocie.

- Co chcecie, żebym zrobił? - zapytałem. - Założył mu łupki i bandaż?

- Im prędzej wbijesz sobie do głowy, że ta organizacja nie daje plamy, tym prędzej uspokoisz się i przestaniesz na mnie najeżdżać.

Być może powiedział to na cześć signora Fragolli, więc tylko odparłem: - W porządku.

- Będzie pan musiał zapamiętać dwa tysiące słów - powiedział Fragolli. - Uda się to panu? Potrafi pan?

- Nie dosłownie - odparłem. - Nie słowo w słowo.

- Tylko pewne formułki - bardzo krótkie - trzeba zapamiętać dosłownie - wyjaśnił Fragolli.

- Mogę to zrobić - oświadczyłem.

Zastanawiałem się, jak załatwić mi wizę do Rygi, ale nie zapytałem o to.

Doszliśmy do zamrożonego w lodzie statku. Był to długi okręt, o zapadłych burtach, z mnóstwem drewnianych balkonów i okien za zasłonami. Przepchaliśmy się przez skrzynki z piwem i lemoniadą. Jakiś mężczyzna wrzasnął do nas: - Towarzysze! - jakby z groźbą w głosie. - Towarzysze! - krzyknął po raz drugi.

- To dlatego - powiedział Fragolli - że nie zostawiliśmy mu płaszczy. To niekulturalnie wchodzić gdzieś w płaszczech.

Pływająca restauracja wyposażona była tak samo jak wszystkie restauracje. Sztuce pochodziły z tej samej państwowej fabryki. Podobnie wystrój, talerze, menu i kelnerzy.

Jedliśmy pierożki i rosół. Fragolli opowiadał nam, jak spędzał rano, negocjując sprzedaż pasów z podwiązkami.

- Nie wyobrażacie sobie, jak rozumują Rosjanie. Są ostrożni i chyba przebiegli, ale bystrzy. Sprzedają moje towary w wielu krajach na Zachodzie, ale ci

Rosjanie... - Ucałował koniuszki palców, by okazać podziw. Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Dobiliśmy targu. Inni stali klienci po prostu podają mi numer i datę: osiem tysięcy pasów z podwiązkami, model 6a, takich a takich rozmiarów, dostarczonych wtedy i wtedy. Nie Rosjanie. Chcą, żeby ten zatrzask od podwiązki znajdował się jeden cal niżej, a tamten szew był szyty podwójnym ścięciem.

- Zmyślnie - przyznał Harvey.

- Tak - potwierdził Fragolli. - Zmieniając dokumentację, zapewniają sobie, że gorsety zostaną zrobione specjalnie dla nich. Pasy elastyczne tracą na jakości, rozumie pan. Nie życzą sobie gorsetów, które miesiącami leżały w magazynach. Bystry kapitaliści.

- Kapitaliści?

- No pewnie. Te staruszki sprzedające kwiaty na Newskim Prospekcie? Żaden milicjant nie powie im słowa, choć to wbrew przepisom. Gdybym mógł dostarczać takim kobietom gorsety... - urwał. - Obliczyłem, że sprzedając pasy z podwiązkami po normalnej cenie - a w Leningradzie mógłbym dostać przynajmniej podwójną cenę - po normalnej, powtarzam, cenie - mógłbym pójść na emeryturę po jednym dniu pracy. Ten kraj jest tak spragniony dóbr konsumpcyjnych jak Europa w 1946 roku.

- To dlaczego pan tego nie robi? - zapytał Harvey.

Fragolli skrzyżował po jednym palcu każdej ręki w uniwersalnym rosyjskim geście oznaczającym więzienie i wszystko, co się z nim wiąże.

- Idzie ku lepszemu - powiedział Harvey. - Wkrótce będzie pan sprzedawał swoje pasy. Ile tylko pan wyprodukuje.

- Po Leningradzie krąży takie przysłowie - rzekł Fragolli - że optymista to człowiek, który twierdzi, że było źle, jest źle, ale już nie może być gorzej.

- To dlaczego się z tym godzą?

- Gdy w tym kraju rodzi się dziecko, zawija się je w becik od stóp do głów, jak drewniany klocek. Kiedy się je odwija do mycia, krzyczy. Krzyczy, bo usunięto więzy i ograniczenia. Jest wolne i jest zaniepokojone. Więc zaraz znowu się je zawija. Umysłowo pozostaje spętane aż do śmierci.

- W dzisiejszych czasach nie zawijają ich tak często w pieluchy - powiedział Harvey.

- Ma pan przykład - powiedział Fragolli - niech pan spojrzy na tę kelnerkę. Ona po prostu nie może sobie kupić porządnego gorsetu. Nie ma dobrego biustonosza

ani pasa.

- A mnie się to podoba - oświadczył Harvey. - Lubię się wtulić w takie cyce.

- *Non, non*, nie - odparł Fragolli. - Chcę ubrać każdą ładną kobietę w

Leningradzie w porządną gorset.

- Mam dokładnie przeciwne ambicje - oświadczył Harvey. Fragolli roześmiał się.

Harvey wrzucił pierożki do zupy i podziabiał je łyżką.

- To rosyjski sposób - powiedział Fragolli. - Je pan pierożki na rosyjski sposób.

- Mój ojciec był Rosjaninem - przyznał się Harvey.

- Newbegin to nie rosyjskie nazwisko. Harvey roześmiał się.

- To słowo *new* i słowo *begin*.) Ojciec wykorzystał je, gdy przyjechał do Ameryki, by zacząć życie od nowa.

- Rozumiem - powiedział Fragolli. - Spotykam się z wieloma Amerykanami - zniżył głos. - Prawdę mówiąc, w mojej spółce czterdzieści dziewięć procent udziałów ma amerykańska firma. Rosjanie nie lubią prowadzić interesów z amerykańskimi spółkami, więc to wygodne dla wszystkich zainteresowanych.

- To realisci - obwieścił Fragolli i także wrzucił pierożki do zupy.

Harvey i ja rozstaliśmy się z Fragollim po lunchu. - Odpreż się - powiedział Harvey. - Tak naprawdę to nie wysyłam twego zdjęcia do Rygi. Mam własny system identyfikacji, ale nic nie mówię temu Fragolliemu.

- Jaki jest twój system?

- W tym zwariowanym kraju mają wideotelefony. Zamówiłem rozmowę z Rygą o trzeciej. Teraz pójdziemy i przyjrzymy się temu facetowi, z którym nawiążesz kontakt. To o wiele lepsze niż niewyraźna fotka.

Pojechaliśmy taksówką na ulicę Pawłowa. Numer 12a to niewielki budynek, który wygląda, jakby mieszkał tam niewykwalifikowany robotnik obdarzony liczną rodziną. W rzeczywistości to publiczna rozmównica międzymiastowych wideotelefonów. Zapukaliśmy do drzwi. Wpuściła nas kobieta. Wetknęła ołówek we włosy, spojrzała na zegarek, porównała go ze ściennym zegarem, zapytała nas, która u nas godzina, a potem wszyscy razem weszliśmy do małego pokoju, w którym mieścił się telefon i dwunastocalowy telewizor o staroświeckim wyglądzie. Usiedliśmy. Harvey uniósł słuchawkę. Kobieta przekreśliła gałkę telewizora i ekran się zaniebieścił. Harvey powiedział „halo” cztery razy i nagle okazało się, że mówi do

łysego mężczyzny, który wyglądał jakby nałożył cztery płaszcze jeden na drugi.

- To pan Dempsey - rzekł Harvey. - Przyjedzie jutro spotkać się z panem. Zatrzyma się w hotelu „Ryga”.

Mężczyzna na ekranie telewizora powiedział: - W Rydze jest zimno. Proszę przywieźć dużo swetrów. - Potem poprosił, abym przesunął się trochę w prawo, żeby mógł mnie zobaczyć, bo na brzegach obrazu są zakłócenia. Następnie zapytał, czy jest zimno w Leningradzie, a my powiedzieliśmy, że tak, na co on odparł, że mogliśmy się tego spodziewać, i że hotel „Ryga” jest nowoczesny i dobrze ogrzewany, chyba że jest w nim wilgotno. Harvey oznajmił, że bardzo mu było przyjemnie podczas ostatniej wizyty w Rydze, i bardzo mu przykro, że tam nie pojedzie, a mężczyzna po drugiej stronie linii stwierdził, że Leningrad to jedno z najpiękniejszych miast świata. Na to Harvey, że tak, Leningrad jest cudowny i nazywa się go Wenecją Północy z tego powodu, że jest tak cudowny. Mężczyzna z Rygi powiedział, że owszem, a jak się podoba panu Dempseyowi, a ja odpowiedziałem, że jest cudowny, ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś nazywał Wenecję Leningradem Południa, i zapadło milczenie. Zniszczyłem czar chwili. W tym właśnie momencie weszła mała kobieta z ołówkiem we włosach i oznajmiła, że czas się skończył, chyba że chcemy przedłużyć rozmowę. Harvey odpowiedział, że nie chcemy, wtedy mężczyzna z Rygi powiedział: „do widzenia” i my powiedzieliśmy: „do widzenia”, więc mężczyzna z Rygi powtórzył to jeszcze raz i wciąż mówił, gdy obraz już zanikał.

Ostatni wieczór w Leningradzie spędziłem samotnie.

Poszedłem do Małej Opery i obejrzałem *Otella* Verdiego. Z głosami wciąż rozbrzmiewającymi w uszach, postanowiłem pojechać metrem na Newski i wypić kieliszek w „Astorii”. Zszedłem na dół schodami przy dużej neonowej literze „M”. Wrzuciłem pięć kopiejek do automatycznej bramki, która nie zatrzymuje gapowiczów, lecz brzęczy, by ich zawstydzić. Mężczyzna w futrzanej czapce, długim, czarnym skórzanym płaszczu, białej koszuli i srebrzystym krawacie wszedł do wagonu. Zastanawiałem się, czy spodobała mu się opera. Uśmiechnąłem się do niego. Odpowiedział skinieniem głowy, bez uśmiechu. Sięgnąłem po paczkę gauloise'ów, rozerwałem ją w rogu i poczęstowałem go.

- Nie - powiedział. - Nie, dziękuję.

- Pali pan cygara, towarzyszu pułkowniku? - zapytałem.

- Tak - odparł mężczyzna - ale w naszym metrze...

- Oczywiście - zgodziłem się. Schowałem paczkę papierosów. Nie chciałem łamać prawa. - Nie chcę łamać prawa - zaznaczyłem. Mężczyzna uśmiechnął się, ale ja mówiłem poważnie.

Kolejka stukotała. Obaj złapaliśmy uchwyty i przyglądaliśmy się sobie.

Był ciężko zbudowanym, muskularnym mężczyzną około sześćdziesiątki. Miał okrągłą twarz, na której do wieku średniego nieczęsto gościł uśmiech, wyglądający na złamany zadarty nos, który nastawił hydraulik, przypominające strzelnice, czarne, błędzące czujne oczy oraz ręce niczym kiście przejrzałych bananów.

- Wsiadam tutaj - powiedziałem. - Pójdę do „Astorii”, wypiję tam sto gram portwajnu. Przez dwadzieścia minut będę słuchał orkiestry grającej amerykańską muzykę taneczną, a potem wrócę na piechotę do hotelu „Europa”.

Skinął głową. Nie poszedł za mną, gdy wysiadłem z kolejki.

Zrobiłem dokładnie tak, jak obiecałem. Kiedy minęło pół godziny, wyszedłem głównym wejściem z „Astorii” i ruszyłem na piechotę nie oświetloną stroną ulicy. Za dnia, gdy autobusy i ciężarówki warkocą po Newskim, a delegatów z Afryki fetuje się w „Astorii” wielodaniowymi lunchami, łatwo rozpoznać w Leningradzie miejsca narodzin komunizmu. Jednakże gdy zapada ciemność, światło księżyca połyskuje na Twierdzy Pietropawłowskiej, a dwie trzecie ulic jest nie oświetlonych ze względów oszczędnościowych, tak że kałuże i świeżo spadły śnieg odkrywa tylko błędząca po omacku stopa, wtedy znowu jest to Sankt Petersburg: Dostojewski garbi się w ruderze za placem Siennym, a Puszkina umiera po pojedynku mówiąc: „Żegnajcie, przyjaciele” do rzędów książek.

Z tyłu usłyszałem jadący wolno samochód. Był to duży zis, auto używane wyłącznie przez wysokich funkcjonariuszy rządowych. Kierowca błysnął światłami. Samochód przejechał obok mnie.

Drzwi otworzyły się, blokując drogę. Z tylnego siedzenia rozległ się głos widzianego w metrze pułkownika: - Może wsiądziesz, Angliku?

Wsiadłem na tylne siedzenie. Pułkownik zamknął drzwi. Pełno tu było dymu z cygar.

- A więc znów się spotkaliśmy, pułkowniku Stok? - powiedziałem tak, jak mówi się to w filmach.

- Oleg.

- A więc znów się spotkaliśmy, Oleg?

- Tak. - Wydał polecenie kierowcy. Ten wyłączył silnik. - Podoba ci się nasza rosyjska zima? - Stok wpatrywał się we mnie. Jego głowa wyglądała tak, jakby odpadła od posągu, a ktoś ją znalazł i potoczył do domu po ziemi - wszystkie delikatniejsze części się od niej odłamały.

- Tak - odparłem. - Podoba mi się rosyjska zima. A tobie?

Stok poszczypał się w mięsisty podbródek. - Mówi się w moim kraju, że dla strażnika na szczycie wieży nie istnieje inna pora roku niż zima.

- Tak - przyznałem, choć wciąż nie rozumiałem, co znaczy to przysłowie.

- Zadajesz się z nad wyraz durną i rozwydrzoną bandą rozrabiaczy. Sądzę, że cię wykorzystują. Gdy wystąpię przeciw nim, nie oczekuj po mnie, że potraktuję cię ulgowo. Być może śledzisz tych złoczyńców na polecenie swego rządu, być może kazano ci współpracować z nimi. To rozrabiacze, Angliki. Ale przekonają się, że jestem lepszym rozrabiaczem od nich.

- Wierzę ci - powiedziałem. - Ale według mnie, nie ma tu wielu złoczyńców. Tylko źle poinformowani, błędzący i ignoranci.

- W Rosji - oświadczył pułkownik Stok - nie ma źle poinformowanych.

- Wielu ludzi sądzi, że woda nie ma smaku - odparłem. To dlatego, że urodziliśmy się mając ją w ustach i ciągle tak żyjemy.

Stok nie odpowiedział. - Hotel „Jewropiejskaja” - krzyknął do szofera. Samochód ruszył. - Podwieziemy cię do hotelu - oświadczył. - To niedobra noc na spacer.

Nie spierałem się z nim. W kwestii nocy i spacerów Stok był lepiej poinformowany.

## **Rozdział 12**

W Związku Radzieckim istnieje piętnaście republik. Każda jest wydzieloną jednostką narodowościową z samowystarczalną gospodarką, flagą, Radą Najwyższą, Radą Ministrów i, co najważniejsze, położona jest między światem zewnętrznym a obszarem, który nazywamy Rosją. Trzy republiki bałtyckie to Estonia, Litwa i Łotwa. Stłoczyły się razem, popijając z bałtyckiego koryta wspólnie ze Szwecją i Finlandią.

Zdażyłem na samolot Aeroflotu, lot numer 392 z Leningradu do Rygi. Odlatywał o drugiej pięćdziesiąt po południu. Tłoczno w nim było od pasażerów w ciężkich płaszczach i futrzanych czapkach, którzy bez przerwy wieszali i zabierali wierzchnią odzież z małej wnęki z przodu kabiny. Doszło do pewnego zamieszania w

związku z numerami miejsc: dwie kobiety z naręczem płaszczy i wrzeszczącym niemowlakiem miały tę samą miejscówkę co ja. Problem ten załatwiła urzekająco piękna stewardesa, rozdająca karmelki wszystkim chętnym i rzucająca z naganą „towarzyszu”, gdy ktoś palił.

Samolot wspiął się ponad zadymione przedmieścia Leningradu i zakłady przemysłowe „Elektrosiła”. Ceglaste przedmieścia ustąpiły miejsca dużym drewnianym domom, a potem coraz rzadziej rozsiały jednopiętrowym domostwom, aż nie widać było nic oprócz poszerzeniałych, zamarzniętych moczarów. Zima zamknęła powieki lądu. Pokrywający go śnieg obłaził, wyświechtany niczym kupione z drugiej ręki żałobne ubranie. Pod skrzydłem z prawej strony wolno przesuwano się jezioro Pejpus, miejsce, gdzie rozegrała się wielka bitwa Aleksandra Newskiego: Kawalerowie Mieczowi zapuścili się zbyt daleko na wschód i, łamiąc skorupę lodową, pograżyli się w ciężkich zbrojach wraz z końmi w ciemnych wodach.

Starannie ubrana stewardesa - bez wątpienia nosząca zachodni gorset - przyniosła celofanową kopertę na nieszczelne wieczne pióra oraz plastikowy kubek z bąbelkującą lemoniadą. Uśmiechnąłem się do niej. Wcisnęła mi do ręki egzemplarz *Prawdy*, wciąż się uśmiechając. Pod nami krajobraz połyskiwał wielkim biało-brązowym deseniem, niczym derka porządnie obrządzonego srokacza. Nad Zatoką Ryską zaczęliśmy tracić wysokość. Schodziliśmy w stronę wojskowego lotniska. Dwóch pasażerów siedzących z przodu rozpoznało kołchoz, w którym mieszkali. Chcieli, żebym tam popatrzył. Kiwaliśmy głowami, uśmiechaliśmy się i wskazywaliśmy w dół, gdy dwusilnikowy myśliwiec odrzutowy zaryczał wzbijając się z pasa startowego; oznaczało to, że instruktor dodał gazu.

- Przyjechał pan z Londynu? - zapytała stewardessa. Podsunęła mi tacę z karmelkami.

Wziąłem jednego i podziękowałem.

- Znam wiersz o Londynie - powiedziała.

- Znam limeryk o Rydze - odparłem.

Skinęła głową i przeszła dalej. Samolot schodził w dół, by miękko wylądować wśród urządzeń radarowych.

Hotel „Ryga” zbudowano na miejscu dawnego hotelu „Rzym”, naprzeciwko gmachu opery. Chodnik zatłoczony był kobietami przewalającymi się przez śnieg i żołnierzami w futrzanych watowanych czapkach, znoszonych płaszcach i brudnych butach. Przez cały czas ciężarówki toczyły się ulicami, jakby wciąż był rok 1945, a

wycofujące się wojska Wehrmachtu znajdowały się parę kilometrów dalej. Dwujęzyczne napisy - po łotewsku i rosyjsku - wzmacniały to złudzenie. Coraz więcej śniegu, błyszczącego w mrocznym zimowym powietrzu niczym pociski smugowe, opadało na ulice w takim tempie, w jakim usuwali go sprzątacze. Odwróciłem się od okna i rzuciłem na łóżko.

Tego popołudnia położyłem się spać w ubraniu. Obudziłem się dopiero o siódmej czterdzieści pięć wieczorem. Umyłem się i przebrałem. Poszedłem na przechadzkę po starówce, której dziwne przycupnięte średniowieczne budynki przypominały hollywoodzkie dekoracje zbudowane dla Greta Garbo. Doszedłem do zamku, do punktu, w którym tory tramwajowe wystają w stronę drugiego brzegu rzeki Daugawa, pokazując miejsce, gdzie wysadzono spod nich most. Łaziłem wąskimi uliczkami, przy których stare, pochylone domostwa kuliły się ku sobie w poszukiwaniu ciepła. Nie byłem śledzony. Przypuszczam, że mój ogon wykalkulował, iż wkrótce zakończy przechadzkę albo skorzystał ze sposobności, by przejrzeć mój bagaż. W porównaniu z zimnymi, brukowanymi alejami hotelowa restauracja zdawała się pulsować wesołością. Niewielki zespół grał *Światła Moskwy*, kelnerzy pobrzękiwali metalowymi półmiskami i wymachiwali serwetami niczym zawiadowcy na stacji. Panowała tu atmosfera stonowanej hysterii, jak w operze, gdy orkiestra stroi instrumenty. Kelner uśmiechnął się i zaprowadził mnie do stolika w rogu z rezerwacją „Intourist only”. Podał mi napisane po angielsku menu. Było wymięte i poplamione.

Restauracja przypominała inne knajpy w Związku Radzieckim, choć, być może, była lepiej prowadzona niż większość z nich. Parkiet był wypastowany, obrusy nakrochmalone, a kelnerzy nosili czyste koszule. Przy stoliku obok okna siedziała delegacja z Afryki, a przy innym, w pobliżu tanecznego parkietu, widniały twarze Azjatów, którzy kiwali potakująco głowami za każdym razem, gdy ich rosyjski gospodarz zabierał głos. Tu i tam siedziały grupki oficerów w wojskowych butach i workowatych spodniach, z pancerzami orderów na piersiach. Gdy muzyka zaczynała grać, z pół tuzina stojących niepewnie na nogach mężczyzn rozpoczynało wędrowkę po restauracji, prosząc kobiety do tańca. Częściej odmawiały, niż przyjmowały zaproszenie, ale to nie zniechęcało zawianych danserów. Zamówiłem czerwony kawior, razowy chleb i dwie setki wódki. Jadłem powoli, obserwując taneczny parkiet. Próbowałem odgadnąć, które z kobiet to Rosjanki i żony stacjonujących tu mężczyzn, a które są łotewskimi dziewczynami.



Rozczochrany mężczyzna z naderwanym kołnierzykiem koszuli i dużym tobołkiem siadł naprzeciw mnie. Poprosił o ogień. Poczęstowałem go gauloise'em. Zbadał go uważnie, podziękował i zapalił. Zapytał mnie, czy jestem Anglikiem. Odpowiedziałem, że jestem Irlandczykiem. Stwierdził, że to niedobra pora roku na odwiedziny w Rydze. Najlepiej, oświadczył, przyjeżdżać tu w czerwcu. Zamówił kolejne dwie setki.

Jeden z oficerów przy sąsiednim stoliku zawołał do mojego towarzysza: - Handlarz?

Ten pochylił się do mnie. - Chcą ananasów - powiedział.

- Doprawdy?

- Tak - wyjaśnił - ja mam najlepsze w całym mieście. Patrzyliśmy, jak jeden z oficerów podnosi się na nogi. Był to niski blondyn. Miał złote epolety i czarne naszywki wojsk pancernych. Inni oficerowie dogadywali mu, ale on się nie uśmiechał. Przeszedł przez restaurację do długiego stołu, przy którym siedziała delegacja. Strzelił obcasami i pochylił się w lekkim ukłonie przed śliczną Eurazjatką. Wstała i wykonali poprawnego fokstrota wśród przedziwnych wygibasów bardziej eksperymentatorsko nastawionych par. Po tańcu oficer odprowadził dziewczynę z powrotem do delegacji i podszedł do nas. Szepnął coś do ucha siedzącemu ze mną rozczochrańcowi, który wyciągnął pakunek owinięty w stare wydania *Prawdy*. Był to duży ananas. Ruble przeszły z rąk do rąk.

Mój towarzysz mrugnął do mnie. - Czy w pańskim kraju trudno o ananasy? - Patrzyłem, jak oficer ofiarowuje ananasa dziewczynie.

- O ile wiem, to nie - odparłem. - Jak to się dzieje, że pan je ma, a inni nie?

Przyłożył wskazujący palec do nosa. - Przywożę je samolotem z Dżakarty - powiedział. - Jestem pilotem Aeroflotu. - Orkiestra grała *When the Saints Go Marching In*. - To moja ulubiona piosenka - stwierdził gość z Aeroflotu. - Znajdę sobie dziewczynę do tańca. - Taniec zamarkował wykonując wirowy ruch palcem i niemal wywracając butelkę z wódką. Oddalił się chwiejnie na parkiet. - Przypilnuj pan moich ananasów - zawołał.

- Dobrze - odparłem.

Łotwa - lub przynajmniej Ryga - jest bardziej wyrafinowana niż Leningrad lub Moskwa. Jeśli poprosi się służbę o podanie śniadania do pokoju, trudno im będzie zrozumieć tę ideę, ale zrobią to. Podobna sugestia ma w Leningradzie charakter wywrotowy. W Rydze kelnerki noszą czyste mundurki i nakrochmalone białe

czepeczki zgodnie z tradycją pani Beeton. W Leningradzie są to przetłuszczone, czarne kostiumy. Tak więc, gdy późną nocą kładłem się właśnie spać, nie zdziwił mnie widok kelnera we fraku, wtaczającego obficie załadowany jedzeniem wózek do mego pokoju.

- Nic nie zamawiałem - oświadczyłem.

Szerokie plecy kelnera wciskały się nadal przez drzwi. Wyglądało to, jakby układał kabel. Znalazłszy się w środku, odwrócił się i uśmiechnął.

- Nie wiedziałem, że wśród obsługi hotelowej są kagebiści - powiedziałem.

- Będę zobowiązany, jeśli będziesz mówił nieco ciszej - odparł pułkownik Stok. Podeszedł do umywalki, wziął szklanke, przycisnął jej krawędź do ściany, przykładając ucho do denka. Uniosłem butelkę Long Johna, którą przywiozłem z Helsinek. Stok spojrzął na mnie obojętnie i, wciąż nasłuchując przez ścianę, skinął głową. Gdy podeszedłem do niego, trzymał już szklanke w pozycji bojowej.

Wieczorowy strój był źle dopasowany. Wyglądał jak rekwizyt z filmu braci Marx. - Za godzinę odbierzesz telefon - powiedział. Łyknął drinka i przerwał jakby oczekując szmeru oklasków.

- Czy to właśnie nazywasz świadomością rewolucyjną?

Stok spojrzął na mnie spokojnie, starając się wyczytać w moich oczach jakąś złośliwą aluzję. - Tak - przyznał w końcu - rewolucyjna świadomość. - Pociągnął za jeden z końców krawata i węzeł się rozplatał. Krawat opadał na gors niczym mała, atramentowa kaskada. Stok oddał się dalszym przewidywaniom: - Za godzinę odbierzesz telefon. Umówią się z tobą na spotkanie gdzieś na Bulwarze Komsomolskim, prawdopodobnie obok Mostu Października. Jeśli udasz się na to spotkanie, będę zmuszony potraktować cię tak, jak traktuję innych. Radzę ci usilnie, byś tam nie szedł, ponieważ grozi ci niebezpieczeństwo.

- Z czyjej strony?

Stok posiadał wymiary starej, dębowej szafy ubraniowej. Być może niektóre rzeźbione ozdoby zniszczyły się podczas transportu, ale był twardy i ciężki jak zawsze. Przeszedł się po podłodze i, chociaż nie hałasował wiele, cały pokój zawibrował pod jego ciężarem.

- Nie z mojej ani moich ludzi - powiedział. - Obiecuję ci to.

- Stok wychylił whisky jednym haustem.

- Sądzisz, że ludzie, o których wspomniałeś, zrobią mi coś złego?

Zdjął wieczorową marynarkę i założył ją na wieszak leżący na mojej otwartej

walizce. - Tak sędzę - przyznał. - Sędzę, że zrobią ci coś złego. - Powiesił marynarkę na wieszaku, szarpnął sztywny kołnierzyk i rozpiął przy nim spinę. Wykrochmalony gors koszuli odskoczył z trzaskiem. Stok wrzucił garść spinek do popielniczki i skopał ze stóp czarne lakierki. Zginał na dywanie palce u nóg. - Moje stopy - rzekł. - Myślę, że młodzieniec taki jak ty nie rozumie przyjemności, jaką daje mi zdjęcie za ciasnych butów.

- Wygiął jedną stopę w koci grzbiet i westchnął: - Ufff.

- A to jest świadomość trade-unioniztyczna - stwierdziłem. Stok nic nie mówił przez chwilę, potem przeszył mnie wzrokiem i powiedział: - Dotknąłem Lenina. Stałem obok niego na Placu Rewolucji w lipcu 1920 - na Drugim Zjeździe - dotknąłem go. Więc nie mów do mnie słowami Lenina. Świadomość trade-unioniztyczna. - Stok skrzyżował ramiona przy twarzy i zaczął ściągać koszulę. Słowa utknęły pod białą, bawełnianą tkaniną. Nosił podkoszulek koloru khaki. Po chwili ukazał zaczerwienioną i uśmiechniętą twarz. - Znasz słowa poety Burnsa? - Powiesił spodnie na wieszaku. Ubrany był w długie kalesony. Elastyczne podwiązki podtrzymywały skarpetki.

- Znam *Do Haggis* - powiedziałem.

Stok skinął głową. - Sporo czytam Burnsa - oznajmił. - Powinieneś czytać go więcej. Dużo byś się nauczył. *Trudzimy się do zmiertzchu, trudzimy od zarania, by brzuch napelnić herbowego drania*. Burns to rozumiał. Facet, który uczył mnie angielskiego, mógł recytować Burnsa godzinami. - Stok podszedł do okna i zerknął na ulicę zza zasłony tak, jak się to robi na filmach gangsterskich. - Nie zaproponujesz mi drugiego drinka? - zapytał.

Poląłem whisky do szklanki. Stok wypił ją nie robiąc przerwy, by mi podziękować. - Teraz lepiej - powiedział tylko. Podszedł do wózka i zdjął zamasztywym ruchem przykrywającą go wykrochmaloną serwetę. Zamiast metalowych półmisków leżał tam oficerski mundur, czapka z daszkiem i wyglansowane oficerki. Stok sięgnął po bryczesy, wcisnął się w nie, upchał pod nie koszulę, a potem podszedł do mnie. Ponownie zgiął palce u stóp.

- Zastanawiasz się, dlaczego cię ostrzegam, zamiast nakryć was wszystkich? Dobra, powiem ci. Jeśli nakryję tych wszystkich kryminalistów i rozrabiaczy, nikt nie powie: „Jaki mądry jest pułkownik Stok, że złapał ich, nim wyrządzili krajowi szkodę”. Powiedzą: „Popatrzcie, ilu dywersantów działało pod nosem pułkownika Stoka”. Rozumiesz to, Angliku, znamy się nie od dziś. Moim życzeniem jest, by ci

kryminaliści zniknęli z mojego okręgu i porzucili swoje nierealne marzenia.

Stok zawiązywał krawat używając całej siły palców, jakby ten zrobiony był z metalu, a nie z materiału. Wbił się w marynarkę i potrząsnął ramionami, by wsunąć mankiety.

- Jakie są ich nierealne marzenia? - zapytałem.

Stok zacisnął duży węzeł krawata. Potem nalał sobie jeszcze drinka. - Nie próbuj wystrychnąć mnie na dudka, Angliku.

- Chcę tylko wiedzieć.

- Myślą, że Związek Radziecki jest w przededniu obalenia tyrańskich rządów. Myślą, że ludzie, którzy chodzą tam po ulicach, marzą o chwili, gdy znów oddadzą się kapitalistom. Myślą, że wszyscy śnią na jawie, marząc by pojechać do Ameryki. Myślą, że mogą rozprowadzać ulotki i złoto, a potężna armia monarchistów zmaterializuje się w ciągu jednej nocy. Nazywam to nierealnymi marzeniami. Rozumiesz?- Tak - powiedziałem.

Stok nałożył długą do pól uda watowaną kurtkę, którą rosyjscy żołnierze noszą jako mundur roboczy podczas mrozów. Nie widać na niej było oznak rangi. Podszedł do okna, wyciągnął nóż, przeciągnął nim po papierowej tas'mie, którą było oklejone, i otworzył. Potem otworzył zewnętrzne okno i wyszedł na schody przeciwpożarowe.

- Dziękuję za możliwość skorzystania z twojego pokoju.

- Przysługa za przysługę - odparłem. Uniósł swoją szklankę z whisky.

- Mówisz prawdę - oświadczył. - Cóż, rób jak chcesz. To wolny kraj. - Wypił.

Wziąłem jego szklankę.

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co czytasz w *Prawdzie* - powiedziałem.

Stok zszedł na dół, w ciemność.

Nalałem sobie drinka. Piłem go drobnymi łykami. Zastanawiałem się, co robić. Nie było mowy o skontaktowaniu się z Dawlishem. Bezpieczeństwo siatki Midwintera nie obchodziło mnie tak bardzo, ale połączenie telefoniczne z Nowym Jorkiem zajęłoby całe wieki. Może Midwinter już przechytrzył Stoka. Byłem innego zdania. Stok to ktoś, z kim nie da sobie rady żaden komputer. Może to podobało mi się w nim najbardziej.

### **Rozdział 13**

Po godzinie i dziesięciu minutach od odejścia Stoka, zadzwonił telefon. - Idź do diabła - powiedziałem do niego, ale po trzecim lub czwartym dzwonku uniosłem słuchawkę.

- Zachodnie ubrania - usłyszałem. - Bezpieczne. Dwie zbędne koszule. Bulwar przy Moście Października.

- Zostaję tutaj - powiedziałem. - Jestem chory.

- To wszystko - rozległo się ze słuchawki.

- Nie czekajcie na mnie - odparłem. Położyłem słuchawkę na widełki i powtórzyłem to na głos jeszcze raz. Podeszedłem do nocnego stolika i nalałem sobie bardzo, bardzo dużą whisky. Do diabła z nimi wszystkimi. Taką operację trzeba spisać na straty, ryzyko jest zbyt duże, by warto było grać dalej. Ale nie wypłem whisky. Powąchałem i wyszeptalem do niej plugawe słowo. Potem nałożyłem kurtkę i ciepłe buty. Wyszedłem z hotelu.

Przeszedłem przez plac 17 czerwca. Katedra Domska lśniła w śniegu i blasku księżyca. Przy Politechnice zaparkowały dwie małe taksówki bagażowe z taryfą dziesięciu kopiejek za kilometr. Obok nich rozmawiali dwaj mężczyźni. Obaj przejawiali nienaturalne zainteresowanie widokiem za plecami kolegi. Gdy ich mijalem, jeden zawołał do mnie: - Chce pan sprzedać jakieś zachodnie ciuchy? - Był to łysy, z którym rozmawiałem przez videotelefon.

- Mam parę zbędnych koszul - odparłem. - Bawelnianych. Mogę sprzedać, jeśli to nie jest zakazane.

- Dobrze - powiedział mężczyzna. Otworzył drzwi jednej z bagażówek. Wsiadłem. Kierowca z entuzjazmem zapalił silnik i ruszył na Most Października. Na drugim brzegu niebo było czerwone, bo zakłady przemysłu ciężkiego w okręgu lenińskim pracują także o północy. Na nabrzeżu widniał wielki napis: „Bałtyk morzem pokoju”.

W bagażówce tłoczyli się mężczyźni w wilgotnych kurtkach. Samochód był nimi tak obciążony, że trudno go było prowadzić po twardych, oblodzonych wybojach. Wycieraczki zaczęły wydawać charkotliwy odgłos, gdy opadające na szybę płatki śniegu zamarzyły w lodowe smugi. Nikt się nie odzywał. Jeden z mężczyzn siedzących z tyłu przestępował z nogi na nogę, usiłując pobudzić krążenie krwi. Światła jadącej za nami bagażówki rozbłyskiwały, gdy podskakiwała na wybojach, oświetlając twarze mężczyzn jadących wraz ze mną. Łysy wepchnął ząbek czosnku do ust.

- Lubisz czosnek? - zapytał dysząc mi nim w twarz.

- Nie z drugiej ręki - odparłem.

- Przeziębłem się - powiedział łysy. Wszyscy Rosjanie wierzą, że czosnek leczy przeziębienie. Podlubałem w szronie, który zamarzał na szybie. Cały świat był biały: wielkie, nietknięte farbą, zagruntowane płótno. Tu i tam ołówek słabo zaznaczył miejsca, w których pewnego dnia pojawią się rzędy drzew i doliny. Śnieg padał przez cały czas; nie przez jeden dzień, lecz całymi dniami; wiatr nanosił go w zasy i rozgrzebywał w potężne, mętne wiry wodne, które zamazywały nawet słabo widoczne linie ołówka. Jechaliśmy godzinę. W małych wioskach wciąż paliło się jedno lub dwa światła. Dwa razy niemal wpadliśmy na konia i furmankę. Minęliśmy trzy ciężarówki. Gdy w końcu zatrzymaliśmy się, bagażówka z tyłu wpadła w poślizg na lodzie i tylko o włos uniknęła zderzenia z nami. Znajdowaliśmy się wśród pól.

- Wsiadaj - powiedział łysy. Otworzyłem drzwi. Wiatr trzasnął mnie w nie osłoniętą skórę niczym uzbrojona drutem nahajka. Bagażówki zaparkowały pod drzewami. Łysy poczęstował mnie papierosem.

- Jesteś Amerykaninem? - zapytał.

- Tak - przyznałem. Nie było powodu, by dostarczać mu prawdziwych informacji.

- Jestem Polakiem - powiedział. - Mój syn także. - Wskazał na kierowcę. Na Łotwie rzymscy katolicy określają się jako Polacy. - Reszta to Rosjanie - stwierdził. - Nie lubię Rosjan. -

Skinałem głową.

Łysy pochylił się bliżej i powiedział bardzo cicho: - Tylko ty, ja i mój syn pracujemy dla Midwintera. Reszta to... - Skrzyżował po dwa palce u każdej dłoni. Oznaczało to więzienne kratki.

- Kryminaliści? - zapytałem. Dygotałem z zimna.

Possał papierosa, potem z niesmakiem zwilżył wargi. - Handlarze - stwierdził. - Taka jest umowa.

- Jaka?

- Za kilka minut przyjedzie tu wojskowa ciężarówka. Wykoleimy ją. Oni zabiorą ładunek, my - dokumenty.

- Jaki ładunek?

- Racje żywnościowe. Żywność i napoje. Tutaj kradnie się tylko żywność i napoje. Tym tylko można handlować bez pozwolenia. - Roześmiał mi się w twarz

czosnkiem.

- Jakie to dokumenty? - zapytałem. - Stany liczbowe według ewidencji żywnościowej?

- Właśnie - odparł łysy. - Najlepszy sposób, żeby sprawdzić obsadę jednostek na tym wybrzeżu. - Wyrzucił w śnieg niedopałek i wyszedł na środek drogi. Podążyłem za nim. Dwóch mężczyzn przypatrywało się szosie. Łysy wyciągnął czubek buta i dla próby przejechał nim po szklistej powierzchni lodu. Zmieszał śnieg z małą ilością wody zaczerpniętej z chłodnicy. Już zamarzała w lodowe lustro. - Ciężarówka będzie tu bezradna - oświadczył łysy. Udzieliło mi się nieco z jego pewności. Przez chwilę wszystko to wydawało mi się do zrobienia. Chciałbym zobaczyć te stany liczbowe, może wszystko pójdzie dobrze. Zawiązałem ciasniej szalik i zadygotałem: kogo oszukuję? Na szczycie wzniesienia dwukrotnie błysnęła latarka.

- Teraz - powiedział łysy. - To musi wystarczyć. - Postukał w lód czubkiem buta. - Nadjeżdża ciężarówka. - Wszyscy przykucnęliśmy za drzewami. Usłyszałem silnik dużej ciężarówki pracujący na niskim biegu.

- Myślisz, że się nam nie uda - szepnął łysy.

- Masz cholerną rację - odparłem.

- Pokażemy ci. Cicho, czysto, szybko i bez strzelaniny. Skinąłem głową. Łysy rozejrzał się, by upewnić się, że nie ma w zasięgu głosu żadnego „handlarza”. - Powiedz Midwinterowi, żeby nie przysyłał im broni. Współpracują z nim tylko dlatego, że obiecano im broń. Gdyby kiedyś ją dostali... - Uśmiechnął się. Światło odbite od śniegu podświetliło jego twarz. Miał czerwony nos i znużony, szeroki uśmiech, niczym kłown z rozmazaną szminką. Za nim błyskały reflektory ciężarówki, która podskakiwała na oblodzonych muldach.

Było coś z koszmaru w powolnym zbliżaniu się ciężarówki.

Mógłbym pomóc tym obłąkańcom lub walczyć przeciw nim po stronie Stoka; żaden z tych pomysłów nie wydał mi się pociągający. Myślałem o wszystkich ciepłych łóżkach, w których mógłbym się znajdować, i rozcierałem drętwiejące z zimna palce. Ciężarówka wrzuciła pierwszy bieg, gdy dojechała do ostatniego zjazdu. Kierowca musiał dostrzec przygotowany płat lodu odbijający światło księżyca, bo ujrzałem, jak jego biała twarz lgnie do szyby. Przednie koła zaczęły się ześlizgiwać, potem tylne natrafiły na lód i też obróciły się w miejscu. Ciężarówka stanęła. Kierowca zwiększył obroty, ale to tylko pogorszyło sytuację. Pojazd ślizgał się w

poprzek drogi. Ośmiu ludzi wypadło zza drzew. Unieśli boki ciężarówki. Ruszyła wolno do rowu odwadniającego. Kierowca dodał gazu, ale spod kół trysnął tylko śnieg, a motor zawył tak, że myślałem, iż wybuchnie. Samochód wywrócił się łagodnie do rowu i zaklinował tam. Przednie koło sterczało nad ziemią.

Unieszkodliwili ciężarówkę z zatrważającą brutalnością. Silnik zatrzymał się i przez moment panowała taka cisza, jaka zdarza się tylko w lesie. Trzasnęło, gdy kierowca otworzył drzwi i zeskoczył na dół. Nie okazywał po sobie zdziwienia.

Ręce trzymał nad głową, ale nie na tyle wysoko, by znać było po nim strach. Ktoś poklepał go po bokach w poszukiwaniu broni, ale nic nie znalazłszy, odepchnął na bok. Mężczyźni zaczęli rozwiązywać brezent z tyłu ciężarówki. Bryłki lodu odpadły od spodu ciężarówki z niespodziewanym hałasem, paru mężczyzn się wzdrygnęło. Żołnierz wyszczerzył zęby i sięgnął po na pół wypalonego papierosa, zatkniętego za nausznik czapki. Ruchy miał wolne, ale spojrzenie bystre. Rzuciłem mu zapalki. Zapalił papierosa, trzymając obie dłonie wysoko i na widoku.

Gdy odwiązano brezent, jeden z mężczyzn wspiał się do środka.

- To Iwan - mruknął łysy. - Niebezpieczny skurwiel.

Widać było światło latarki i słychać głos Iwana odczytującego napisy na skrzynkach. Łysy tłumaczył mi jego słowa. Rozległ się bełkotliwy rosyjski. - Mleko w proszku - powiedział łysy. Znow rosyjski. - Herbata i worek świeżych cytryn. - Znow rosyjski. - O, w dupę - oznajmił łysy - znalazł pistolet maszynowy. - Piorunem skoczył przez tylną klapę. Nie potrzebowałem nauczyciela rosyjskiego, by zrozumieć, że łysy twierdzi, iż dokumenty i broń są dla nas, a dla „handlarzy” tylko żywność i napoje. Obaj zeskoczyli z ciężarówki spierając się hałaśliwie. Iwan trzymał pistolet maszynowy. Zaczął poszturchiwać łysego lufą. Stali obrzucając się przekleństwami. Zdawali sobie sprawę, że wszyscy się im przypatrują. - Amerykanie dowiedzą się, co robisz - powiedział łysy wskazując na mnie. - Nie będzie więcej pieniędzy od Amerykanów. - Iwan wyszczerzył zęby i machnął pistoletem. Łysy powtórzył groźbę. Wolałem, żeby się zamknął. Był to dobry powód, żeby mnie wykończyć. Reszta skupiła się z jednej strony, spodziewając się aktu przemocy. Żołnierz skończył papierosa i włożył ręce do kieszeni, zamiast trzymać je w górze. Łysy wrzeszczał na Iwana. Obaj stali nieruchomo, a śnieg układał się na nich w koronkowy wzór. Przez chwilę wydawało się, że łysy opanuje sytuację siłą ducha. Ale mu się nie udało. Szybkim ruchem sięgnął po broń. Nie był wystarczająco szybki. Oddana na wprost seria przecięła łysego na dwoje i pchnęła go do tyłu do rowu niczym uderzenie



kowalskiego młota. Iwan strzelił znowu; krótka, eksperymentalna seria, jakby dostał pod choinkę nową wiertarkę elektryczną. Magazynek skończył się; słychać było tylko słaby trzask mechanizmu spustowego. W powietrzu unosił się dym, a strzały odbiły się echem, niczym klaskanie piłki po milczącym śniegu. Z rowu widać było tylko stopy łysego. Iwan uniósł temblak pistoletu i zarzucił go sobie na szyję. Nosił go jak pektorał biskupi, order zasługi lub jabłko królewskie. Wyciągnął z kieszeni drugi magazynek. Wcisnął go starannie.

Nikt nic nie mówił. Zaczęli wyładowywać skrzynki z ciężarówki. Kazali kierowcy pomagać. Ja stałem obok, przestępując z nogi na nogę, przytupując dla rozgrzewki i wpatrując się w horyzont z żywym zainteresowaniem.

Dwa ciężkie bombowce przeleciały po niebie na wysokości jakiś trzech kilometrów. Iwan przyniósł mi z szoferki poobijaną metalową skrzynkę. Otworzył wieko, by pokazać plik brudnych, pozaginanych kartek. Zasalutował z przesadą. Uśmiechnąłem się. Także się uśmiechnął i dźgnął mnie w brzuch lufą pistoletu tak silnie, że zachłysnąłem się powietrzem. Wciąż się uśmiechał. Przyjaciele wołali na niego. Skończyli przenosić skrzynki z ciężarówki do dwóch bagażówek. Nie widziałem żadnego powodu, który uzasadniałby pozostawienie mnie przy życiu. Uśmiechnąłem się więc nerwowo i walnąłem go w usta metalowym pudłem, próbując jednocześnie kopnąć w krocze, gdy się wygiął. Ochroniła go jednak ciężka kurtka. Trzymając metalową skrzynkę, spróbowałem go walnąć krawędzią dłoni, ale uderzyłem w metalową część pistoletu. Poczulem, jak pojedynczy wystrzał rozrywa mi ciało na ręce. Mężczyźni rozproszyli się, a kula zakwiliła w śniegu. Iwan odskoczył ode mnie. Kopnąłem go w nogę i nieomal straciłem równowagę. Iwan uśmiechnął się. Miał krew na ustach, ale nie tracił uśmiechu, bo trzymał pistolet maszynowy. Domorosły ekspert od karate, pomyślałem z nadzieją, że siostra dostanie po mnie adapter hi-fi i kolekcję płyt. Niektóre nagrania Goodmana były dość cenne.

Wtedy właśnie żołnierz uderzył Iwana łyżką do opon. Iwan zwałił się w moją stronę, skrzypiąc jak zardzewiałe zawiasy. Pobiegłem. Nie oglądałem się za siebie. Brnąłem przez ciemny las wpadając na pnie drzew i potykając się o korzenie. Rosyjski żołnierz był tuż za mną. Od strony drogi dobiegły do nas krzyki i długa seria z pistoletu maszynowego. Żołnierz upadł. Rzuciłem się płasko na ziemię. Znowu strzały; słyszałem, jak odłupują drzazgi z drzew. Podpełzłem do żołnierza. Miał zamknięte oczy. Pistolet znów strzelał. Wydawało mi się, że bliżej. Las był ciemny, nisko zwiślał nade mną i tylko dzięki strzałom zachowałem zmysł kierunku. Leżałem

nieruchomo. Rozległy się krzyki. Około dwudziestu metrów ode mnie przebiegł hałaśliwie jakiś człowiek. Znowu strzały; nic się nie ruszało. Domyśliłem się, że był to syn łysego. Zraniłem sobie dłoń o pistolet. Nie krwawiła zbyt obficie, ale mały palec odgiął się na bok i nie mogłem nim poruszać. Obwiązałem go czystą chusteczką do nosa. Pod drzewami było mroczno. Wzbity śnieżny pył trzymał się tuż nad ziemią. Było cicho. Szturchnąłem nieruchomego żołnierza, ale wyglądało, że jest martwy, więc wstałem cicho i powoli oddaliłem się od zgiełku i wrzawy.

Doszedłem niemal do skraju lasu, gdy usłyszałem jakiś głos. Coś ruszało się wśród drzew. Coś większego niż człowiek. O wiele większego. Zapatrzyłem się w mrok. Hałas łamanych gałązek ustał, ale coś oddychało. Nie był to ludzki oddech. Przyłgnałem do pnia drzewa, rozplaszczając się cienko jak żyłka. Wielki, dyszący stwór gdzieś w pobliżu zaczął mówić metalicznym i donośnym głosem. Mówił po rosyjsku. Przybliżył się, wciąż mówiąc. Był prawie niedostrzegalny: ubrany na białą oficer kawalerii na koniu.

- Podchodź ostrożnie - powiedział metaliczny głos. - Oni mają broń.

- Tak jest - odparł jeździec. Mówił do polowego radiotelefonu.

Za drzewami widziałem dolinę. Duży patrol kawalerii ciągnął przez nią krok za krokiem niczym pluskwy przez białe prześcieradło. Położyłem na ziemi metalową skrzynkę ze stanami liczbowymi oddziałów.

Jeździec obserwował mnie. Wyłączył radio i trącił konia, powodując go w moją stronę. Skóra zaskrzypiała, ale kopyta spoczywały spokojnie w śniegu. Do siodła przyczepiony był mały radar dopplerowski. Nad głową, na zimnym wietrze kiwała się łagodnie antena, a ekran świecił w twarz człowieka na koniu. Nie była to przyjemna twarz. Żołnierz poruszył lekko piętami i koń przysunął się blisko do mnie, jak policyjny koń napierający na tłum. Natarłem na twarde mięśnie. Ściągną naprężony się pod gładką derką. Lodowaty metal strzemięcia uderzał mnie w palec. Kwaśny oddech konia grzał mi twarz. Jeździec zsunął mapnik z uda i odpiął kaburę rewolweru. Znałem parę pożytecznych słów po rosyjsku.

- Nie strzelaj - zawołałem. Koń, który nie chciał mi wyrządzić krzywdy, podskakiwał w miejscu, wyrzucając pecyny śniegu, ale jeździec najechał na mnie, aż pistolet znalazł się centymetry od mojej twarzy. Uniósł broń i bez pośpiechu opuścił na moją czaszkę. Koń rzucił się trochę w bok i kolba rąbnęła mnie, ześlizgując się po głowie i niemal odrywając ucho. Przed oczyma zrobiło mi się czerwono. Złapałem za strzemię i przyłgnałem do lodowatego metalu. Odmrożenie, pomyślałem, a potem

kolba opadła precyzyjnie i wszystko podzieliło się na dwoje, jak w źle ustawionym celowniku optycznym. Zwałem się w czarny śnieg.

#### **Rozdział 14**

Powoli budziłem się, przechodząc wprost ze stanu nieświadomości w jakieś delirium. Moja dłoń przybrała rozmiary piłki nożnej i pulsowała bólem, który sięgał do łopatki. Wszędzie panowała ciemność, poza migoczącym czerwonym światełkiem. Czy to światełko było blisko gigantycznego światła w oddali? Spróbowałem się ruszyć, ale powalił mnie ból dłoni. Pogrążyłem się w nieświadomość. Wiele razy przechodziłem od jednego do drugiego, aż znalazłem siły, by złapać się kurczowo brzasku i nie opaść z powrotem w mrok.

Spoczywała na mnie ciężka, chłodna masa, a pode mną znajdowała się gładka, zakrzywiona powierzchnia przypominająca spód gargantuicznej probówki. Przeciagnałem po niej zdrową dłonią. Ciężar leżący na mnie poruszył się, przetaczając się po mnie jak zimny worek z ziemniakami. Uwolniłem spod niego głowę, by móc oddychać. Przy mojej twarzy poruszała się ludzka ręka. Ręka była dołączona do ramienia, a ramię należało do jednego z ciężarów. Ręka ciągnęła wolno ku brzegowi przykrywającego nas koca. Sunęła powoli i prawie niedostrzegalnie; palec i kciuk zawisły pożądliwie, gotowe do pochwycenia wystrzępionego brzegu. Znajdowałem się w łazience. Dłoń wciąż się ruszała. Wielka, brudna wanna. Ręka ruszyła szybciej, minęła brzeg koca i zatrzymała się, dyndając łagodnie w powietrzu jak samochodowa maskotka zawieszona na wstecznym lusterku. Była to martwa dłoń wymachująca w pośmiertnym pożegnaniu. Zwalono na mnie dwa martwe ciała. Zastanawiałem się, czy jest to droga prowadząca do piekła. Poruszyłem się wolno; dwóch martwych mężczyzn ześlizgiwało się pode mnie. Jednym był łysy, drugim - jego syn.

Wygramoliłem się na zwłoki i rozejrzałem po łazience; moje oczy przywykły już do nikłego czerwonego światła alarmowego. Gdzieś blisko zbiorniki na wodę czkały i gulgotały, a z kranu w ścianie z głębokim melodyjnym dźwiękiem ciurkało do miednicy. Na przeciwległej ścianie znajdowały się trzy umywalki. Nad środkową umocowano lusterko. Jeden z jego rogów był rozbity; zwisał ze śruby wiodąc samodzielny żywot. Rozległ się nieoczekiwany odgłos spuszczonej wody. Drzwi wucetu otworzyły się i pojawił się w nich żołnierz zapinający pas. Zagapił się na

mnie i ruszył powoli w moją stronę. Miał trudności z zapięciem sprzączki u pasa, ale nie odrywał wzroku od moich oczu. Zbliżywszy się do mnie, zaczął stąpać ostrożniej, a w końcu poruszał się jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Leżałem rozciągnięty na zwłokach, pokierszowana dłoń spoczywała na krawędzi wanny. Żołnierz spojrział na moją spuchniętą dłoń, potem przeniósł wzrok na twarz. Miał ciemną cerę oraz błyszczące i wilgotne oczy. Zapewne Ormianin. Przytrzymał spodnie jedną ręką, a drugą wyciągnął i szturchnął mnie.

Nie zawyłbym, gdyby szturchnął w jakąś inną część ciała. Moja dłoń była zmasakrowana, okaleczona i napęczniała ropą. Wrzasnąłem. Żołnierz odskoczył, przeżegnał się i zaszwargotał jakąś starą modlitwę albo zaklęcie przeciw czarom. Plecami walnął w ścianę i szorując nimi po murze pchał się do drzwi wciąż skołowaciały ze strachu. Dobrnąwszy tam, oderwał ode mnie oczy i po omacku przestąpił przez próg. Nie zapięte spodnie opadły, zaplątał się w nie i runął głową naprzód na korytarz. Usłyszałem, jak gramoli się na równe nogi; podkute buty poniosły go po kamiennej podłodze korytarza. Musiał pobić przy tym swój życiowy rekord.

Powolutku przeniosłem ciężar ciała na zdrową rękę i przerzuciłem stopy przez krawędź wanny. Bolały mnie mięśnie, o których nie wiedziałem, że w ogóle istnieją. Na stojąco łazienka była jeszcze zimniejsza i bardziej cuchnąca niż poprzednio. Podeszedłem do ciekącego kranu i wsadziłem spuchniętą rękę pod zimną bieżącą wodę. Opryskałem nią sobie twarz. Na filmach wygląda to na zabieg leczniczy, ale tutaj poczułem się jeszcze gorzej. Ręka bolała mnie tak samo, a w dodatku dygotałem teraz z zimna. Spróbowałem zakręcić kran, ale wciąż się z niego lało. Zataczając się podeszedłem do umywalki. Spojrzałem w lustro. Nie wiem, co spodziewałem się ujrzeć, ale, jak zawsze po wybicciu zęba lub skopaniu do nieprzytomności, zmiana wyglądu jest niewspółmierna do odczuwanego bólu. Dotknąłem spuchniętych warg i ucha, odbyłem apel własnych członków, ale poza ręką, zaczynającym podbiegać okiem i paroma otarciami naskórka nie było innych dowodów spotkania z rosyjskimi prywatnymi przedsiębiorstwami i radziecką kawalerią.

Byłem chory. Obolały. Prerażony. Wszystko okrywał przytłaczający całun kłęski. Zagapiłem się na siebie, zastanawiając się, co tu robię. Nie utożsamiałem się ze zmęczonym, prerażonym widmem porażki, które odpowiadało mi spojrzeniem z lustra. Zastanawiałem się, czy była to robota Harveya, który wydał mnie Stokowi. Może Signe powiedziała mu, że spaliśmy ze sobą. Signe z radością powiedziałyby coś

takiego, ale czy Harvey uwierzyłby jej? Tak, uwierzyłby. A może Londyn mnie zdradził. Robiono to przedtem, robić się będzie potem. Kto jest odpowiedzialny? Chciałem to wiedzieć. Jeżeli to tak ma się skończyć, chcę wiedzieć.

Odpowiedzialność za przegraną spoczywa na przegrywającym. Przegrałem.

Zadrzałem i sięgnąłem do kurka z gorącą wodą, ale zmieniłem zdanie. Umywalka opryskana była jasną, świeżą krwią. Zakrwawiony był też brudny ręcznik. Krew bryzgnęła na ścianę za umywalką; na podłodze widniały trzy krwawe kleksy. Krew była jasna, lśniąca i w ogóle nie przypominała sosu pomidorowego.

Próbowałem zwymiotować do toalety, ale nawet to mi się nie udało. Drżałem. Szok psychiczny - powiedziałem do siebie - sposób rozmiękczenia przed przesłuchaniem. Szok psychiczny, gdy odzyskujesz przytomność pod stosem trupów. Nie poddawaj się. Ale wciąż drżałem. Na korytarzu wydawano rozkazy i kwitowano ich odbiór monosylabami. Pułkownik Stok otworzył z trzaskiem drzwi. Był bez koszuli; wielka, włochata, muskularna postać z dużą szramą na ramionach. Przytykał do twarzy duży tampon z waty.

- Zawsze mi się to zdarza - powiedział. - Zawsze zacynam się przy goleniu. Czasami zastanawiam się, czy nie wrócić do ojcowskiej brzytwy. - Pochylił się do lustra i obnażył zęby do swego odbicia. - Mam wciąż trochę własnych zębów - stwierdził. Postukał się w zęby. - Chodzę do niezłego gościa - niezłego dentysty. Ci państwowi są do niczego. Lepiej chodzić do prywatnego. - Bąbelki krwi znów pojawiły się na jego brodzie. - Ci prywatni troszczą się o pacjentów.

Ponieważ wydawało się, że Stok przemawia wyłącznie do swego szczeniastego odbicia w upstrzonym lustrze, nic nie powiedziałem. Odrywał z tamponu kłębuszki waty i przykładał je do skrwawionych miejsc na twarzy, śpiewając *Ojczyzna słyszy, Ojczyzna wie* fałszywym basem. Gdy uznał, że zatamował krwawienie, obrócił się do mnie.

- A więc nie poszedłeś za moją radą. Nic nie odpowiedziałem. Stok podszedł i spojrzął na mnie w dół.

*O biedne, lśniące w bruździe, male*

*Stworzonko drżące z lęku całe,*

*Czyż musisz w pole opustoszałe*

*Gnać mi spod nóg?)*

Stok zacytował to z doskonałym akcentem górnej Szkocji.

- Robert Burns - oświadczył - *Do myszy*.

Wciąż nic nie mówiłem, ale zmusiłem oczy do otwarcia i patrzyłem spokojnie na Stoka.

- Nie masz zamiaru mówić - zaszydził Stok. Odparłem:

*Twe kragle lico niech będzie chwalone*

*Mocarny gazdo stada salcesonów*

Robert Burns, *Do Haggis*)

Stok dołączył do mnie, gdy wymawiałem trzy ostatnie słowa, a potem roześmiał się tak głośno, że myślałem, iż ze ściany odpadną jakieś potrzaskane kafelki. - *Do Haggis* - powtórzył; łyż rozkoszy wypełniły mu oczy. Wciąż śmiał się i powtarzał: - *Do Haggis*, gdy przyszedł strażnik, by zabrać mnie, „na dołek” i zamknąć w celi.

Prowizoryczne biuro Stoka mieściło się na końcu długiego korytarza, okolonego zakurzonymi szybami, przez które można było niemal dostrzec ciepłe gniazdko biurokratów. Na szklanym filunku jednych drzwi przyczepiono wypukły druk z napisem „Wydział Zdrowia”. Parę liter złuszczyło się, ale poprawiono je starannie farbą. W środku znajdowały się mikroskopijne biureczka, duża szafa na dokumenty, plakat informujący o konieczności gaszenia ognisk i drugi, przedstawiający dwóch mężczyzn o drewnianych twarzach przeprowadzających zabieg sztucznego oddychania. Za nimi stała otworem niewielka oszklona nyża, z której starszy urzędnik mógł nadzorować figle płątane przez podwładnych. Siedział tam Stok. Rozmawiał przez telefon, który wyglądał jak rekwizyt z filmu *The Young Mister Edison*.

Moje ubranie osuszono i z grubsza przeciągnięto żelazkiem. Czuć je było szarym mydłem, którego zapach jest tak charakterystyczny dla Rosji, jak zapach gauloise'ów i czosnku dla Paryża. Usiadłem w małym, wygodnym fotelu. Sztywne ubranie drażniło nocne otarcia i stłuczenia. Ręka pulsowała bólem.

Stok odłożył słuchawkę. Miał czysty i wyprasowany mundur ze lśniącoymi guzikami. Za nim, za cienką zasłoną zaczynało ciemnieć niebo. Musiałem być nieprzytomny przez dłuższy czas. Strażnicy zaszalutowali. Stok przyciągnął krzeselko i oparł na nim obute w oficerki stopy, potem zapalił cygaro i rzucił mi drugie wraz z zapalkami. Dwaj strażnicy przyglądali się temu zdumieni.

Stok powiedział: - *Spasibo* - do strażników, a oni odpowiedzieli: - *Towariszcz połkownik Stok* - i wyszli.

- Zapal je - powiedział Stok. - Nie wachaj go.
- Jeśli ci to nie przeszkadza - odparłem - to zrobię jedno i drugie.
- Kubańskie - oświadczył Stok. - Znakomite.

Potem spędziliśmy pięć minut dmuchając na siebie dymem z cygar, aż w końcu Stok powiedział: - Lenin nie palił, nienawidził kwiatów, nigdy nie miał w biurze miękkiego fotela, jadł tylko najprostsze potrawy, lubił czytać Turgeniewa i zawsze nastawiał zegarek piętnaście minut do tyłu. Nie jestem taki. Lubię wszystkie płody ziemi. Gdy przenoszę się do nowego biura, najpierw żądam fotela dla siebie i moich gości. Smakują mi pożywne burżuazyjne potrawy przy tych rzadkich okazjach, kiedy je jadam. Nie podoba mi się Turgeniew - myślę, że śmierć Bazarowa w *Ojcach i dzieciach* jest nieprzekonująca i nieuczciwa wobec czytelnika. I zawsze nastawiam zegarek o piętnaście minut do przodu. A jeśli chodzi o tytoń, to zdarzały się noce, gdy był dla mnie przyjacielem, ogniskiem i pożywieniem. Było wiele takich nocy.

Pałem, kiwałem głową i przypatrywałem się mu. Kłębuszki waty wciąż czepiały się świeżo wygolonej brody, ale oczy były mroczne, stare i znużone.

- Masz wystrzałowych przyjaciół - stwierdził Stok. - Wesołych, pełnych temperamentu, oddanych prywatnej przedsiębiorczości.

Wzruszyłem ramionami.

Nagle Stok powiedział: - Próbowali cię zabić. Cała piętnastka.

Aresztowaliśmy dziesięciu, włączając w to dwóch, którzy zmarli.

Dlaczego próbowali cię zabić? Czy zadawałeś się z dziewczyną któregoś z nich?

- Sądzę, że spędziłeś całą noc wypytyując ich o to.

- Tak. Wiem, dlaczego próbowali cię zabić. Zastanawiałem się tylko, czy ty wiesz.

- Zawsze życzliwie witam radę, przyjaciela.

- Twój stary przyjaciel Newbegin chce cię ukatrupić i usunąć z drogi.

- Dlaczego?

- Wysłano cię, byś szpiegował Newbegina, i to mu się nie podoba.

- Wierzysz w to?

- Żadne z przesłuchań, które prowadzę, nie kończy się, póki nie uzyskam wersji, w którą wierzę. - Stok otworzył akta w brązowej okładce, zajrzał do nich w milczeniu i zamknął. - Śmiecie - oświadczył. - Ludzie, których aresztowałem ostatniej nocy, to śmiecie.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że są to antyspołeczne elementy. Przestępcy. Nie mają nawet politycznego odchylenia. Śmiecie.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł młody oficer. Zwrócił się do Stoka wymieniając tylko jego stopień wojskowy - w armii radzieckiej jest to zazwyczaj znak bliskiego koleżeństwa - i położył na biurku kolejny nie oprawiony plik papierów, a potem nachylił się i zaszeptał pułkownikowi do ucha. Stok nie zmienił wyrazu twarzy, ale przyszło mi na myśl, że kosztowało go to sporo trudu. W końcu skinął głową, a major gwardii stanął przy biurku.

Stok otworzył akta i złożył podpisy na rogach ośmiu kartek. Potem wyciągnął ze spodu jeszcze sześć kartek, przejrzał je pospiesznie i także podpisał. Mówił wolno do akt, którym wciąż poświęcał uwagę: - Aresztowano dziesięciu ludzi i wymagane... - odwracał strony bez pośpiechu - ... trzydzieści pięć stron z uzasadnieniem i trzydzieści podpisów z czterech różnych wydziałów policji. Jestem zagrzebany w papierkowej robocie. Czy wiesz - pochylił się ku mnie, miękko stukając wielkimi palcami w otwarte, akta - że jeśli jutro zdecyduję się wypuścić jednego z nich, będzie trzy razy więcej papierkowej roboty. - Stok roześmiał się chrapliwie, jak gdyby więźniowie zastawili na niego pułapkę, a on chciał pokazać, że to go nie obchodzi.- Nigdzie nie ma lekko - powiedziałem.

- Tak - odparł Stok. Zaciągnął się starannie cygarem, a potem machnął nim w stronę majora. - Major Nogin z gwardii GRU)

- wyjaśnił. Major wydawał się zaskoczony, że przedstawia się go więźniowi, ale poradził sobie z tym. - Major został właśnie ojcem ośmioletniego chłopaka - oznajmił Stok, po czym rozległy się miękkie, szybko wymawiane rosyjskie słowa. Prawdopodobnie Stok uświadamiał majora co do mnie i mojego wydziału. Potem dał majorowi Noginowi cygaro. Major uśmiechnął się do nas obu i wyszedł z pokoju. - Jak na oficera GRU to miły chłopak - powiedział Stok.

Uśmiechnąłem się.

- Całą sprawę prowadzi GRU Bałtyckiego Okręgu Wojskowego. Rada Wojenna Okręgu wysłała mnie do wydziału okręgowego jako doradcę, ale ci młodzi ludzie nie potrzebują rad starszych. Zajmowali się emisariuszami NTS-u i dadzą sobie radę z tą nową paczką. - Stok śmignął gniewnie olbrzymią pięścią. - Nie posyłamy ludzi do innych krajów, żeby mieszały się w ich wewnętrzne sprawy. Dlaczego przysyłacie do nas swoich kryminalistów?



- A co ze zdławieniem rebelii w Budapeszcie? - zapytałem.

- A co z Zatoką Świń - krzyknął Stok. - Co z Suezem? Powiedz prawdę, Angliku, nie chce ci przejść przez gardło, że nam się udało, a wam - nie.

- Tak - przyznałem ze znużeniem. - Wam się udało, a nam - nie.

- Współczesne zwycięstwa odnosi się nie dzięki ruchom wojsk, ale dzięki niedostrzegalnym molekularnym zmianom. Zwycięstwa trzeba odnosić w ludzkich sercach.

- Wolę odnosić zwycięstwa w ludzkich umysłach - odparłem.

- No, Angliku. My, żołnierze, nie powinniśmy gadać jak politycy. Nasza robota polega na tym, że bierzemy głupawe i nierealne fantazje naszych polityków i staramy się, by zaistniały wśród ludzi z krwi i kości. - Stok wstał i założył ręce do tyłu. Odrzucił głowę jak człowiek w ataku bólu. - Jestem zmęczony - oświadczył.

- Jestem na pół martwy - odpowiedziałem. Wziął mnie za ramię. - No to chodź, będziemy się wspierać nawzajem.

- Jestem głodny - powiedziałem.

- Jasne, że jesteś, ja też. Chodźmy w jakieś cywilizowane miejsce, zjemy coś.

- Spojrzał na zegarek. - Ale muszę wrócić przed dziewiątą trzydzieści. Dziś w nocy Moskwa weźmie odwet.

- O czym mówisz?

- O piłce nożnej - odparł Stok. - Dziś w nocy, w telewizji.

„Luna Cafe” w Alei Rad wychodzi na ogrody i stary pomnik Wyzwolenia zbudowany za któregoś ze starych reżimów i będący - jak wieść niesie - czymś w rodzaju kamienia milowego w komunalnym łapówkarstwie. Przed drzwiami kawiarni tkwiła już niewielka kolejka młodzieży. Była to sobotnia noc; chłopcy nałożyli garnitury z angielskiej wełny za sto trzydzieści rubli, a dziewczęta trzymały pakuneczki z pięćdziesięciurublowymi szpilkami, które były za cenne, by nosić je na oblodzonych ulicach. Wszyscy ustąpili drogi baryłkowatemu pułkownikowi KGB w pełnym umundurowaniu oraz towarzyszącemu mu sparszywialemu cywilowi. Dostaliśmy mały stolik obok orkiestry, która fałszowała jazz znany jej ze wspomnień i fal radiowych.

Stok wziął menu. - Co powiesz na portwajn? - zapytał.

- Wolę wódkę. - Większa ilość wódki mogłaby znieczulić bolącą dłoń.

- Tu nie sprzedają wódki - odparł Stok. - To miły, kulturalny lokal. - Wybrał krzesło zwrócone w stronę drzwi i obserwował wchodzące młode pary. Parkiet był

zatłoczony.

- Gdy byłem młodym człowiekiem - powiedział Stok - śpiewaliśmy piosenkę *Gdzie lzy padają, wyrosnie róża*. Znasz tę piosenkę?

- Nie.

Stok zamówił dwa kieliszki portwajnu. Kelnerka spojrzała na ślady na mojej twarzy i na mundur Stoka. Oblicze miała uprzejme, lecz sztywne.

- Gdyby była to prawda, ta ziemia powinna zakwitnąć różami. Macie takie słowo na ludzi, którzy nie mają szczęścia?

- Pechowcy.

- O, to właściwe słowo. Tak, to kraj pechowców. To kraj, w którym zagłada wisi w powietrzu jak gaz trujący. Nie masz pojęcia, jakie okropności się tu działy. Wśród Łotyszów byli faszyci gorsi od Niemców. W Lasku Bikernieki zabili czterdzieści sześć tysięcy pięciuset cywili. W Lasku Dreilini, pięć kilometrów na wschód stąd, zabili trzynaście tysięcy. Na Złotej Gorce zamordowano trzydzieści osiem tysięcy.

Kiedy Stok mówił, spostrzegłem, jak znajoma postać pojawia się w drzwiach. Zostawił płaszcz na dole; na sobie miał tani, pospolity łotewski garnitur ze spodniami rozszerzonymi u dołu, jakby kupiono je w Savile Row. Usiadł po przeciwnej stronie sali. Widziałem go tylko przez chwilę, ale był to niewątpliwie wciąż bujający na swobodzie Ralph Pike.

- ...starców, ciężarne, kaleki - powiedział Stok. - Zabili ich wszystkich, czasami straszliwymi i długotrwałymi torturami. Niemcy byli tak zadowoleni, że znaleźli rozentuzjarmowanych zabójców, iż wykorzystali Rygę jako zakład przeróbki ludzi, których chcieli wykończyć. Zwozili ich tutaj transportami kolejowymi z Niemiec, Holandii, Czechosłowacji, Austrii, Francji, z całej Europy, bo łotewskie jednostki SS zabijały najbardziej wydajnie.

Raptem Pike mnie zauważył. Nie okazał w żaden sposób, że mnie poznaje, ale przełknął szybko zawartość kieliszka.

- ... mamy *dossiers* na setki takich Łotyszów. Zbrodniarze wojenni, którzy mieszkają teraz w Kanadzie, Ameryce, Nowej Zelandii, na całym świecie. Może sobie wyobrazasz, że ludzie winni takich okropności będą siedzieć cicho wdzięczni, że umknęli sprawiedliwości, ale nie. Te łajdaki to zapaleni rozrabiacze. Twój przyjaciel tutaj jest takim właśnie osobnikiem: zbrodniarz wojenny, który ma na sumieniu więcej zamordowanych dzieci, niż chce mi się wymieniwać. Myśli, że jego

zbrodnie poszły w zapomnienie, ale nasza pamięć nie jest tak krótka.

Ralph Pike dziwnie zeszywniał. Migał mi tylko zza tańczących par. Odchylił się na krzesło, ostrożnie obracając głowę, by objąć wzrokiem całą salę. Dwa stoliki na lewo od niego rozpoznałem przystojnego majora gwardii, który właśnie został ojcem.

- Nie myślałeś, że może tak wyglądać - powiedział Stok. - Wygląda tak szacownie, tak mieszczańsko.

Pike wpatrywał się we mnie i w umundurowane plecy Stoka. - Zastanawia się, czy się zabić - powiedział Stok.

- Tak?

- Nie martw się, nie zrobi tego. Tacy ludzie to nie pechowcy. Przeżywają, to zawodowcy w przeżywaniu. Taki nawet na szafocie nie zgryzie ampułki z trucizną.

Tancerze rozstąpili się. Moje oczy napotkały wzrok Pike'a.

Trzymał kieliszek z portwajnem i przełykał ciężko. Orkiestra grała omszały kawałek Victora Herberta *Letni wietrzyk śpiewa i szeleszczą drzewa*.

- Ostrzeż go - powiedział Stok. - Ostrzeż swego towarzysza, że grozi mu niebezpieczeństwo. Musicie mieć jakiś ustalony sygnał i chciałbym zobaczyć, jak wygląda.

- O kim mówisz?

- Bardzo dobrze - powiedział Stok z zachwytem. Pike zauważył właśnie majora gwardii Nogina. Stok machnął na kelnerkę i powiedział: - Jeszcze dwa portwajny.

- Jeśli masz go aresztować, zrób to - powiedziałem. - Nie baw się w kotka i myszkę jak sadysta.

- Zabił ponad dwustu ludzi - odparł Stok. - Ten człowiek osobiście torturował sześciu moich ludzi wziętych do niewoli w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. - Twarz Stoka zeszywniała. Nie przypominał siebie, tak jak matematycznie dokładne woskowe kukły nigdy nie są podobne do ludzi, których przedstawiają.

- Sądysz, że powinien odejść wolny? - zapytał Stok.

- Pamiętaj, że tak się składa, iż jestem aresztowany.

Stok sprzeciwił się potrząsając głową. - Jesteś ofiarą, nie więźniem. A teraz odpowiedz na moje pytanie. - Usta Stoka ściągnęła nienawiść, słowa z trudem się przez nie przeciskały.

- Opanuj się - powiedziałem.

- Mógłbym podejść tam i zabić go powolutku - wyznał Stok.

- Bardzo powoli, tak jak on ich zabijał.

Major Nogin spoglądał wyczekująco w stronę naszego stolika. Ralph Pike nie mógł oderwać oczu od majora. Wiedział, że ten czeka tylko na sygnał od Stoka.

- Lepiej weź się w garść - powiedziałem. - Major Nogin czeka na rozkazy.

Orkiestra grała:

*Gwiazdy cicho świecą w górze  
Wonnościami pachną róże  
Ptaki śpią, o miłości śnią.*

Pike rozmawiał z kelnerką, trzymając ją kurczowo za nadgarstek. Trudno było patrzeć na jego przerażenie i nie współodczuwać wraz z nim. Kelnerka szarpnięciem wyswobodziła ramię i odstała od niego. Ralph Pike zdecydowanie promieniował zagładą, a w krajutakim jak Łotwa szybko wyczuwa się tego rodzaju radiację.

Zastanawiałem się, czy Pike ma łacińskie powiedzonko na tę chwilę, może: *Bis peccare in bello non licet* - na wojnie nie wolno się mylić dwa razy.

- Czy chcesz mi poważnie i uczciwie powiedzieć, że taki człowiek powinien odejść wolny? Mów prawdę.

- Czym jest prawda - odparłem - jeśli nie powszechnym błędem?

Wielka dłoń Stoka sięgnęła przez stół i postukała mnie w pierś.

- Rozstrzelanie byłoby za dobre dla niego - powiedział. Muzyka grała *W ramionach twych bezpieczny odczuwam spokój wieczny.*

- Nieźle odegrałeś swoją kwestię - przyznałem. Odepchnąłem jego dłoń. - Upewniłeś się, że widziano mnie, jak rozmawiam z tobą podczas aresztowania tego człowieka w publicznym lokalu. Teraz mnie wypuścisz: implikuje to, że kupiłem swoją wolność jego kosztem. Moja organizacja spisze mnie na straty jako kogoś niepewnego. - Nianczyłem obolałą rękę. Była spuchnięta jak rękawica bokserska.

- Boisz się? - zapytał Stok. Nie rozkoszował się tym. Być może mi współczuł.

- Boję się tak - odpowiedziałem - że poraziło mi funkcje motoryczne, ale przynajmniej odruchy warunkowe działają prawidłowo, czego nie mogę powiedzieć o ślepej nienawiści. - I wtedy właśnie machnąłem ręką do majora gwardii Nogina, dając początek aresztowaniu Ralpa Pike'a.

*Nadejdzie świt, nie trzeba nam słońca*

*Do twego przytulony łona, zarzucam ramiona*

*Całuj mnie, całuj, całuj bez końca.*

## Część V Nowy Jork

*Przyjechali kozaki*

*Dawaj babo tabaki*

*Baba wzięła kijaka*

*I wybiła kozaka*

Rymowanka dziecięca

### Rozdział 15

Istnieją trzy rodzaje miast. Są miasta nadrzeczne - Londyn i Paryż - oraz miasta przybrzeżne, takie jak Chicago, Bejrut i Hawana. Istnieją też miasta-wyspy. Sztokholm i Wenecja to miasta-wyspy. Także Helsinki, Leningrad oraz Manhattan, który iskrzył się w pyłe, jak mokry palec wetknięty w cukier puder elektryczności. Samolot opadł na skrzydło w stronę Brooklynu i ciemnych wód Jamaica Bay, a potem łagodnie skierował się korytarzem powietrznym w dół, na lotnisko Kennedy'ego.

Lotnisko Kennedy'ego to dziurka od klucza do Ameryki. Zerkaś w nią i widzisz lśniące, dobrze naoliwione detale, wykańczany maszynowo, jaskrawy, połyskliwy metal; jest czyste, bezpieczne i działa bez zakłóceń. To wspaniała dziurka od klucza.

Wysiadłem z odrzutowca Air India żując betel i niańcząc spuchniętą rękę. Lotnisko zatłoczone było przez spieszących się ludzi; ludzi w stetsonach i tweedowych marynarkach, ludzi niosących garnitury w przejrzystych polietylenowych workach. Okazało się, że i ja się spieszę, aż uświadomiłem sobie, że nie mam dokąd. Zastanawiałem się, ilu ludzi dookoła wpadło w tę samą pułapkę. Kobieta z ułożonymi na wózku bagażami i zachrypłym bachorem przejechała mi po stopie. Kobieta w żółtym kombinezonie wypadła ze sklepu wrzeszcząc: - Czy kupił pan właśnie grę w scrabble?

- Nie.

- Zapomniał pan instrukcji - powiedziała. - Nie dołączają instrukcji.

Przez głośnik wołano: - Skycap do informacji. Kobieta w żółtym kombinezonie powiedziała: - Nie musi pan za nią płacić. Gra scrabble jest skomplikowana.

- Nie kupiłem jej - odparłem. Dama z mnóstwem paczek z napisami *Shannon duty-free shop* oświadczyła: - Uwielbiam po prostu chickenburgery i frytki smażone

po francusku. Nie jadłam prawdziwych francuskich frytek od chwili, gdy wyjechałam z San Francisco.

Kobieta z instrukcją gry w scrabble pomachała nią w powietrzu.

- Jeśli się nie wie, jak w to grać - westchnęła - scrabble to tylko kupa śmiecia.

- Tak - odparłem. Odwróciłem się od niej. - Nie musi pan za to płacić - powtórzyła.

Dama z paczkami ze sklepu wolnocłowego powiedziała: - Nawet w Paryżu. Nie było dobrych, prawdziwych francuskich frytek.

Mężczyzna w uniformie Air India zapytał: - Czy pan Dempsey? Pasażer Air India? - Radio tranzystorowe grało tak głośno, że musiał krzyżeć. Skinąłem głową. Obejrzał mój paszport, następnie wręczył mi dużą kopertę. Wewnątrz znajdowało się trzysta dolarów w banknotach, dwa dolary bilonem w plastikowej torebeczce z etykietką „drobne” i gruby plik literatury politycznej. Jedna broszura twierdziła, że osiemdziesiąt procent psychiatrów w USA to Rosjanie, wykształceni w Rosji i opłacani przez komunistów za indoktrynowanie Amerykanów. Zazwyczaj pierwszym krokiem jest seksualne napastowanie pacjentek. W drugiej głoszono, że program ochrony zdrowia psychicznego to żydowsko-komunistyczny spisek, którego celem jest wymordowanie USA. W dwóch broszurach twierdzono, że prezydent USA jest komunistą i sugerowano, bym „... kupił zaraz broń i stworzył tajny oddział pospolitego ruszenia”. Na ostatku szła naklejka z napisem: „Czy jesteś komuchem i sam o tym nie wiesz?”. Wepchnąłem z powrotem cały kłęb do koperty i zadzwoniłem do Mózgu. Odezwał się metaliczny głos: - Brak instrukcji. Zadzwon jutro o tej samej porze. Czy przeczytałeś dostarczoną literaturę? Podaj odpowiedź i rozłącz się.

- Przeczytałem - oświadczyłem. Dobrze było Dawlishowi mówić, że bym odbierał polecenia od Mózgu. On nie musiał ich wykonywać.

Wrzuciłem bagaż do poobijanej taksówki. - Washington Square - poleciłem.

- Tunelem czy przez most? - zapytał kierowca. - Zawsze się pytam. Tunelem czy przez most?

- Przez most - odpowiedziałem. - Trzymajmy się East River, kiedy możemy ją oglądać.

- A pewnie - powiedział kierowca. - Sześć dolców.

- Czy można gdzieś po drodze znaleźć doktora? - zapytałem go. - Chyba mam złamany palec.

- Jesteś Brytyjczykiem, brachu, to ci coś powim. W tern mieście jednego nie

kupisz: zupełnej ciszy. Wiesz, co biega? Zupełnej ciszy.

- Wiem, o co panu chodzi - powiedziałem - zupełnej ciszy. Wszedłem w ujęcie trójwymiarowego filmu, które ochrzciło się Manhattanem, w którym zawsze jest noc i, żeby tego dowieść, latarnie palą się na okrągło. Wolę przybywać do Nowego Jorku w nocy, żeby stopniowo pogrążyć się w miasto, jak w wannę z bardzo gorącą wodą. Zardzewiała taksówka klekotała jadąc po kręgosłupie miasta. Kierowca wyjaśnił mi, co jest nie tak z Kubą. Mijaliśmy milczące drapacze chmur, koszerne pizzerie, oszklone banki, polskie ośrodki gimnastyczne wypożyczające pasy wibracyjne, fabryki precli, apteki sprzedające napary miłosne i truciki na ryby, całodobowe supermarkety, w których wstydliwi młodzińcy kupują puszkowane grzechotniki. Nowy Jork, Nowy Jork; miejsce, w którym wolna jest przedsiębiorczość, nawet jeśli nie ma nic wolnego poza nią.

Z hotelu u stóp Piątej Alei przeprowadzałem krótkie wypadki między neony w przerwach między przemywaniem ran, liczeniem otarć i walką z bezsennością. Trzeciej nocy w Nowym Jorku usiadłem, by obejrzeć jeden z tych programów telewizyjnych, w których swobodna towarzyska pogawędka została doprowadzona do perfekcji dzięki godzinom próbnych przesłuchań. Słyszałem, jak na dworze deszcz pada na schody przeciwpożarowe i odbija się od okna. Zamknąłem szczelnie okno i podkręciłem ogrzewanie.

Wydaje mi się, że większość życia spędziłem w pokojach hotelowych, gdzie obsługa żąda zapłaty z góry, a ręczniki zamyka na kłódkę. Obecnie dorosłem do dywaników z Birmingham i obwolut według projektów Dufy'ego, ale zastanawiałem się, co musiałem za to poświęcić. Miałem niewielu przyjaciół. Trzymałem się z dala od ludzi, którzy sądzili, że utknąłem w jakimś zakamarku administracji państwowej, a ci, którzy wiedzieli, jaką mam robotę, trzymali się z dala ode mnie. Nalałem sobie drinka.

W telewizorze mężczyzna w otwartej limuzynie mówił: - Tu na Florydzie jest słonecznie i upalnie. Czemu by nie przylecieć tu dziś w nocy. Zapłacicie za dwa lata. - Złamany palec bolał mnie jak diabli. Wymoczyłem go w gorącej wodzie i środku antyseptycznym. Wypiłem jeszcze trochę whisky. Gdy zadzwonił telefon, poziom alkoholu znajdował się dobrze poniżej nalepki.

- Stage Delicatessen - powiedział głos w słuchawce. - Osiemdziesiąt trzy, czterdzieści siedem. Zaraz. Bezpiecznie. Czeka pan na wejście? - Zastanawiałem się, co się stanie, jeśli zignoruję telefon lub udam, że to nie jestem ja. Miałem jednak

mocne przecucie, że oni wiedzą, iż ja to ja. Czułem, że jeśli nawet znalazłbym się gdzieś na Madison Square w środku tłumu, potrafiliby zmusić ten metaliczny głos, by do mnie przemówił. Tak więc wsadziłem głowę pod zimny prysznic i wcisnąłem się w płaszcz. Oddźwierny wezwał taksówkę do Stage Delicatessen. Sklepy z tandetą jarzyły się od cen wyprzedaży i uśmiechniętych frajerów. Gliniarze byli zapięci na ostatni guzik i wrzeszczeli. Mężczyzna w niebieskim, popelinowym prochowcu stał na zewnątrz Stage Delicatessen machając plikiem gazet specjalizujących się w szowbiznesie. Zignorował podane hasło i odzew.

- Dobra, chytrusie - powiedział, gdy do niego podszedłem. -

Idziemy.

- Nigdzie nie pójde - odparłem - póki nie zjem gorącej kanapki z pastrami. -

Walcząc wręcz wpełchnęliśmy się w tłum, jak podczas Eton Wall Game. Obaj wzięliśmy po kanapce; facet w niebieskim prochowcu powtarzał po każdym kęsie: - Lepiej zjedzmy to na chybcika. - Czekał na nas czarny ford falcon z plaketką DPL (dyplomacja). Wsiedliśmy. Murzyn za kierownicą ruszył bez słowa. Minęliśmy Columbus Circle. Niebieski prochowiec żując wykałaczkę zagłębił się w artykuł zatytułowany *Bliz Boffs Borschi Biz*. Radio w samochodzie gadało: - ... Ruch na New Jersey Turnpike umiarkowany, w Lincoln Tunnel tłok. Droga dwadzieścia dwa - umiarkowany. Kochani, o tej porze roku trzeba pomyśleć o kupnie nowego samochodu - ... Kierowca przełączył radio na inną stację.

- Gdzie jedziemy? - zapytałem.

- Ty, chłopie, znasz swoje rozkazy - odpowiedział niebieski prochowiec - a ja znam swoje. Pasuje? - Kierowca nie odezwał się. Znajdowaliśmy się na Broadwayu przy siedemdziesiątych alejach. Jechaliśmy stale na północ. Nagle kierowca skręcił w lewo i zahamował na West Side przed średniowiecznym zameczkiem z rodzaju tych, jakie posiadają ludzie, którzy lubią przypatrywać się wysokościom pod ostrym kątem. Auto zatrzymało się. Szofer sięgnął po telefon w samochodzie.

- Idziemy, koleś - powiedział niebieski prochowiec. Wpełchnął plik gazet do kieszeni i skrzywił się, jakby uraziła go gdzieś wykałaczka. - Stary jest dzisiaj tak nabuzowany, jak podgrzana żelatyna wybuchowa - oświadczył. Dół budynku składał się z wieżyczek, balkonów i metalowych krat, a góra przypominała prawdziwie flamandzką faktorię handlową. Prochowiec nie zadzwonił, więc staliśmy wpatrując się w masywne drzwi.

- Na co czekamy? - zapytałem. - Może spuszcza zwodzony most?



Niebieski prochowiec spojrział na mnie tak, jakby starał się umiejscowić przebieg tętnicy na mojej szyi. Słysząc było dzwonienie łańcuchami, potem drzwi otworzyły się z lekkim brzęczeniem. Niebieski prochowiec wskazał na otwarte drzwi i wrócił do samochodu. Razem z kierowcą poczekali, aż wejdem, potem odjechali na południe. Być może ruszyli na kolejną kanapkę z pastrami.

Umebrowanie i wyposażenie tego starego domu było stare. W Ameryce oznacza to, że albo ktoś je zrobił własnoręcznie, albo że wyładowano je ze statku. W tym przypadku nie można było popełnić błędu: starocie były oświetlone reflektorami.

Drzwi otworzyło jakieś elektryczne urządzenie, ale dwóch czarnych oddźwiernych w szarych jedwabiach - z takimiż skarpetkami - stało w środku mówiąc unisono: - Dobry wieczór, sir. - Do holu wszedł wysoki mężczyzna i powitał mnie. Ubrany był w czerwony surdut rozcięty od piersi do kolan, z długimi, żółtymi wyłogami tworzącymi kołnierz pelerynki. Bryczesy - podobnie jak kamizelka - uszyte były z lśniącego białego jedwabiu. Włosy miał białe, upudrowane, przewiązane z tyłu czarną jedwabną kokardką. Był to mundur osiemnastowiecznego żołnierza. Poszedłem za nim przez długi, murmurowy hol. Przez drzwi po prawej stronie widziałem, jak dwóch takich samych żołnierzy otwiera skrzynkę szampana bagnetami. Zaprowadzono mnie do wysokiego pomieszczenia wyłożonego ciemną, dębową boazerią. Znajdował się tam długi stół jadalny, wokół którego siedziało siedmiu młodych ludzi. Wszyscy ubrani byli w takie same czerwone kurtki. Popijali z cynowych kufli. Włosy mieli przepisowo długie i białe. Młoda dziewczyna w długiej, wydekoltowanej sukni z szarfą i fartuszkim siedziała na ławie za stołem. Cała ta scena wyglądała jak kalkomania z pudełka czekoladek. Człowiek, który mnie tu wprowadził, sięgnął po stojący na walijskim kredensie kufel i napełnił go szampanem. Wręczył mi naczynie mówiąc: - Wrócę za chwilę.

- Proszę się nie spieszyć - odparłem.

Drzwi w przeciwległym końcu pokoju otworzyły się i weszła dziewczyna ubrana także w strój służebnej, ale uszyte z jedwabiu i z bogato haftowanym fartuszkim. Przyniosła tekturowe pudełko. Przez drzwi napłynęła muzyka Mozarta. Dziewczyna z pudełkiem zapytała: - Czy on ma złamaną rękę?

- Jeszcze nie - odpowiedziała pierwsza służebna, a przybyła zachichotała.

- To nowy rekrut - powiedział jeden z żołnierzy i machnął w moją stronę kciukiem przez ramię.

- Przyszedł porozmawiać z generałem. - Powiedział to tak, jakbym miał

zasiąść w Stellach podczas Sądneho Dnia.

Służebna z pudełkiem oznajmiła: - Witamy na wojnie wyzwolenczej. - Dwóch żołnierzy wyszczerzyło zęby. Chłapałem sobie ćwiartkę szampana, jakby była to gorzka lemoniada.

- Skąd pan pochodzi? - zapytała służebna.

- Jestem ze Stowarzyszenia SF - odparłem. - Sprzedaję subskrypcje na dwudziesty wiek.

- To brzmi okropnie - powiedziała. Wtedy wrócił pierwszy żołnierz i oświadczył: - Generał przyjmie pana teraz - wymawiając z budzącym grozę szacunkiem słowo „generał”. Wziął z kredensu kapelusz z piórem i nałożył go starannie.

- Nie sądzi pan, że powinienem wyglansować sobie moje buty z krokodylej skóry? - zapytałem, ale prowadził już mnie przez hol na schody. Muzyka rozbrzmiewała tu głośnie. Była to druga część koncertu A-major Mozarta. Żołnierz szedł przede mną, podtrzymując lewą ręką szablę, by nie obijała się o schody. Na górze staroświeckie lampy naftowe oświetlały długi, wyłożony czerwonym dywanem korytarz. Przeszliśmy przez troje drzwi, potem otworzył jeszcze jedno i wprowadził mnie do gabinetu. Stało tam inkrustowane biurko, na którym srebrne bibeloty ułożono z afektacją tak, że przypominało to fotografie w *House and Garden*. Na jednej ze ścian wisiały stare dokumenty - niektóre z nich były tylko podpisami - oprawione ze spokojną elegancją, ale poza tym ściany były puste, jeśli można to powiedzieć o ścianach obitych jedwabiem. W rogu pokoju znajdowały się drzwi łączące go z innym pomieszczeniem.

Dochodziła zza nich trzecia część koncertu Mozarta, rozwijająca się w gorączkowy, banalny, turecki motyw w tonacji minorowej, który zawsze wydawał mi się nie najlepszym zakończeniem tak wspaniałego początku. Jednakże ten zarzut dotyczy niemal wszystkiego, co mnie w życiu spotkało.

Muzyka skończyła się, rozległy się oklaski i otworzono drzwi. Do pokoju wszedł jeszcze jeden staroświecki żołnierz i powiedział: - Generał Midwinter - po czym obie czerwone kurtki zeszywniały niczym tknięte paraliżem. Wciąż klaskano.

Midwinter pojawił się w drzwiach. Twarzą obrócił się do drugiego pokoju klaszcząc z cicha biało urękawicznionymi dłońmi. Mówił do kogoś. Za nim widziałem jasno oświetlony pokój z wielkimi kandelabrami i kobietami w białych sukniach. Było to tak, jakby w mrocznym gabinecie przez otwór włazu zabłysnął

świt.

- Tędy - powiedział generał. Był drobnym mężczyzną, schludnym i wytwornym, jak większość niskich ludzi. Ubrany był w wyszywany złotem, angielski osiemnastowieczny mundur generalski z akselbantami i w buty za kolana. Wskazał drogę generalską laseczką i powtórzył: - Tędy, chłopcy. - Głos miał miękki, ale dźwięczały w nim twarde, mechaniczne tony, jak w zegarynce. Słowo "chłopcy" wypowiedział tak, jak jego przyjaciele mówili „generał”.

Generał zatknął pod pachę laseczkę i klaskał miękko, gdy mała orkiestra przechodziła przez gabinet. Gdy zniknęły ostatnie skrzypce i wiolonczela, generał zapalił lampę na uporządkowanym blacie biurka i usiadł za nim. Przetawiał parę srebrnych przycisków i przeciągnął dłonią po długich, białych włosach. Duży pierścień ze szmaragdem błysnął snopem światła w ciemny kąt pokoju. Wskazał mi krzesło i powiedział: - Opowiedz mi coś o sobie, chłopcze.

- Może zakończymy scenę zbiorową? - zasugerowałem, a on odparł: - Dobrze. Wy dwaj, jazda stąd. - Dwaj wartownicy zasalutowali i opuścili pokój. - Jaki jest twój numer telefonu? - zapytał generał Midwinter.

- Mieszkam na Piętnastej Alei, to jest Spring 7 - 7000.

- Pięć miliardów dziewięćset dwadzieścia dziewięć milionów - powiedział Midwinter. - Podniesione do kwadratu. Pierwiastek kwadratowy wynosi dwieście siedemdziesiąt siedem i czterdzieści dziewięć setnych. Mogę to zrobić z każdą podaną liczbą. Mój ojciec też to potrafił. Taki dar, jak sądzę.- To dlatego zrobili pana generałem? - zapytałem.

- Zrobili mnie generałem, bo jestem stary. Widzisz, starość to nieuleczalna choroba. Ludzie sądzą, że powinni coś dla ciebie zrobić. Mnie zrobiono generałem, masz coś przeciw temu? - Mrugnął do mnie, a potem zachmurzył się, jakby zmienił zdanie.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie mam nic przeciw temu - odparłem.

- To dobrze. - W tym słowie ukrył groźbę. Midwinter pochylił się do przodu i ostre światło uwydatniło jego lata. Jego ciało było miękkie: źle dopasowana maska z wilgotnymi, różowymi krawędziami wokół oczu. Żółta skóra wpadała miejscami w brązowy odcień, jaki mają kościane klawisze w pianinie, na którym przygrywa się w knajpie.

Dłonie w białych rękawiczkach przycisnęły się na blacie biurka, aż w końcu jedna z nich przesunęła się w stronę laseczki, uniosła i ostro walnęła nią w biurko.

- Powiedziano mi, że masz wojowniczy charakter - oznajmił Midwinter. -  
Odparłem, że to mi nie przeszkadza, bo sam jestem trochę wojowniczy.

- Wygląda na to, że obaj z tego nie wyrośniemy.

- Jeśli chodzi o ciebie, nie byłbym taki pewien. - Postukał laseczką w biurko i opuścił ją z łoskotem. - Gdy zobaczysz naszą organizację - nie tylko tu, ale na całym świecie - z chęcią dołączysz do nas. - Miękką, zwierzęcą dłoń znów uniosła laseczkę.

- Jesteś przyjęty na próbę. To symbol wiary, jaką w tobie pokładamy. -  
Podniósł jedną z brązowych, połyskliwych piłeczek *do* golfa, które widziałem u Pike'a i potoczył ją do mnie po biurku. Złapałem i przyjrzałem się jej. - W środku znajduje się garść amerykańskiej ziemi - ziemi wolności. Mam nadzieję, że będziesz cenil sobie tę garść ziemi i pozostaniesz jej wierny. To symbol prostej wiary wolnego narodu wyrastającego na wolnej ziemi. - Postukał w biurko, jakby leżał tam diagram, na który już wcześniej powinienem popatrzeć.

- Kiedy wrócisz ze szkolenia, sprawdzimy cię, a wtedy ci zaufamy.

- Założmy, że zadecydujecie, iż nie można mi ufać?

- Wtedy nie wrócisz - odparł Midwinter.

- A więc może to ja powinienem nie ufać panu?

- Nie, nie, nie - oświadczył Midwinter ojcowiskim tonem. -

Zobaczysz, że jestem jedyną osobą, której zawsze możesz ufać przyjąć do mnie, zwierzyć mi się. Jestem tutaj jedyną osobą, której możesz zaufać. Zawsze ufaj finansistom, bo zajmują się tym, co policzalne. Jeśli płacisz artyście, to skąd możesz wiedzieć, że za parę lat będzie sławny? Słuchasz zaleceń lekarza; kto wie, ilu facetów przedtem wykończył. To tajemnica między nim a Stowarzyszeniem Lekarzy. Architekt: może w zeszłym roku miał zdolnego asystenta? Ty możesz skończyć pod zwałem betonu. Co innego finansista. Kiedy decyduje się coś postawić, to są to obrazki prezydentów na dobrych amerykańskich dolarach. - Jedno z białych, miękkich zwierząt udało się na spoczynek, a drugie podeszło doń po biurku, by je obwąchać. - Rozumiesz mnie? - zapytał Midwinter.

- Rozumiem pana - odparłem. Midwinter skinął głową i roześmiał się astmatycznie.

- Pozwól chłopcze, że coś ci powiem. Robienie dużych pieniędzy nie jest zabawne. Kiedy stajesz się bogaty, dowiadujesz się, że bogacze to mięczaki i głupcy, którzy rozmawiają tylko o balach dla swoich córek. Starzy przyjaciele - twoi przyjaciele - nie chcą cię więcej znać. Biedacy nie chcą, żeby milioner wśród nich

przypominał im o przegranej. Tak więc stary bogacz to samotna istota. Samotna. -  
Zwierzę ze szmaragdowym pierścieniem na nodze szarpnęło za koronkowy mankiet  
Midwintera, pochwyciło raz jeszcze laseczkę i zatoczyło się.

- Biedny, stary bogacz ma w sobie coś z banału, prawda?

- Nie mam nic przeciw banałom, synu - powiedział Midwinter. - To  
najszybsza metoda porozumiewania się, jaką dotąd wymyślono, ale rozumiem, o co ci  
chodzi. Myślisz, że jestem samotnym starcem, który szuka grobu upamiętnionego  
przez historię. Kocham. To takie proste. Kocham. Kocham mój kraj. Rozumiesz  
mnie? - Zwierzę z laseczką chłostało śpiącego towarzysza w rytm wygłaszanych  
staccato oświadczeń Midwintera. Z sąsiedniego pokoju usłyszałem rytmiczne piski  
klarnetu i buczenie trąbki. - Rozumiesz mnie? - powtórzył Midwinter.

- Tak - odpowiedziałem cicho.

- Nie - oznajmił Midwinter.. Mówił głośno, ale nie było w tym wrogości.  
Pochylił się nad biurkiem patrząc na swoje ręce, laseczkę i na mnie, a potem mrugnął.  
Gdy znów zabrał głos, mówił cichym przekonującym tonem: - Nie rozumiesz, jakiego  
rodzaju miłość żywię do tego wspaniałego kraju, w którym żyjemy. Nie kocha się już  
w ten sposób - na mój sposób. Dzisiaj miłość to małżeństwo, a nagrodą za nią są  
alimenty lub powodzenie. Miłość dzisiaj to odwaga na polu bitwy, a nagrodą za nią są  
ordery i sława. Miłość to służba publiczna lub polityczna darowizna, a nagrodą jest  
popłatne stanowisko lub ambasada. Miłość to dama, którą zostawiłeś w St. Louis lub  
błyskawiczny podbój na tylnym siedzeniu samochodu. - Jedno z białych zwierząt  
poklepało go po kamizelce. - Moja miłość nie przypomina nic takiego. Moja miłość  
to wspaniały zespół odważnych, młodych ludzi, którzy dumni są z tego, że czynią  
swój kraj silnym. Kocham mój kraj, a darem mojej miłości jest sprawienie, by jej  
przedmiot był silny. Rozumiesz mnie, chłopcze? - Był podniecony.

- Tak jest - oświadczyłem bardzo głośno. Laseczka zamachała w powietrzu.

- Silny - powiedział Midwinter.

Zwierzę z laseczką rąbnęło śpiącego towarzysza w brzuch. Rozległ się  
okropny hałas rozłupywanego drewna. Jedna z nóg szarpnęła się konwulsyjnie i  
śpiące zwierzę umarło trzymając stopy w powietrzu. - Wiedziałem, że mnie  
zrozumiesz - powiedział Midwinter. - Wiedziałem. - Uniósł biedną, połamałaną rękę i  
zdjął białą rękawiczkę. Drewniane palce sztucznej lewej ręki były wygięte i  
zniszczone. Obracał je wolno w świetle. Gdy obserwowałem go, wydawało mi się, że  
spuchnięta ręka boli mnie bardziej niż przedtem.

Po krótkim pukaniu otworzyły się drzwi i weszła służebna z kartonowym pudełkiem. Orkiestra taneczna zaczęła grać *Dym wpada do oczu*. Midwinter wciąż patrzył na obracającą się rękę. Służebna nachyliła się i pocałowała go w policzek. - Obiecałeś - powiedziała z wyrzutem. Gdzieś z miasta dobiegł samotny jęk policyjnego samochodu. - Robią je za słabe - powiedział Midwinter. Opuściło go miłosne napięcie i zapadł w stan postkoitalnego smutku. Znow go pocałowała. - Nie powinieneś się za bardzo podniecać - zauważyła. Obróciła się do mnie. - Za bardzo się podnieca - wyjaśniła. Zawinęła mankiet, odsłaniając miejsce, gdzie sztuczną dłoń dopasowano do ramienia. Midwinter machnął na mnie laseczką. - Podobasz mi się - oświadczył. - Idź i zabaw się na naszym balu kostiumowym. Możemy ci załatwić jakiś kostium, jeżeli czujesz się za bardzo na widoku w zwykłym ubraniu. - Znow mrugnął, jakby w ten sposób oddalał swoich gości.

- Nie, dziękuję - powiedziałem. - Dostaję wysypki od mundurów. - Ten dom to było jedno z paru miejsc, gdzie wołałem odróżnić się od reszty.

Wyszedłem między Neli Gwynnesów z kamiennymi twarzami, i Czerwone Kubraki, które bez obawy prowadzą jaguary. Kości zostały rzucone, mosty spalone, a szkocka przelewała się po kostkach lodu. Znalazłem tam Harveya w mundurze z czerwoną kurtką. Uśmiechał się drobiąc tanecznym kroczkiem i udawał, że upuszcza talerze, by pochwycić je w ostatniej chwili. Dziewczęta mówiły: - Ooooch - i obrzucały się spojrzeniami przyglądając się swym fryzutom i pantofelkom. Stałem i przypatrywałem się Harveyowi, próbując się przebić przez jego nastroje ku skrytemu za nimi człowiekowi. Ruchy miał doskonale zgrane w czasie jak zawodnik, który nigdy nie biega, ale zawsze znajduje się tam, gdzie spada piłka. Oczy miał jasne, ale biała peruka przekrzywiła się. Byłem pewien, że jest nielicho pijany, ale głos mu nie zmętniał. Nie zmieniła się też głucha wymowa, która sprawia, że głos tyłu Amerykanów brzmi jakby mówili przez tubę.

Harvey dostrzegł mnie stojącego w kółku widzów. - Ty stary sukinsynu - powiedział leniwie odprężony, pochylił się i schwycił mnie za ramię, by upewnić się, że nie jestem zjawą. - Czas, żebyś się uśmiechnął, ty stary łajdaczynie. Wygląda, że się schlałeś - stwierdził. Przywołał gestem kelnera i pochwycił ze srebrnej tacy dwa drinki. Kelner zaczął się oddalać. - Stój tutaj - polecił Harvey. - Stój i nie ruszaj się, jak przystało na prawdziwego kelnera. - Harvey nalegał, żebym wypił trzy olbrzymie martini, zanim zwolnił kelnera. Patrzył, jak wychyłam drinki, i sam wlał w siebie trzy, po prostu żeby dotrzymać mi towarzystwa. - A teraz chodźmy - powiedział

ciągnąc mnie do drzwi. - Jedyna rzecz, która się liczy na tych zwariowanych balach, to gorzała.

Harvey złapał na dodatek jeszcze dwa drinki, a potem zatańczył. Orkiestra dostrzegła go i podjęła rytm. Było to tyle - a może więcej - niż mu było trzeba. Tancerze rozstąpili się, gdy na środku parkietu zręcznie i na luzie wykonywał numer Gene'a Kelly'ego. Popijał z obu szklanek, więc był w stanie kroczyć coraz bardziej majestatycznie i podskakiwać coraz wyżej. W końcu wirował z pustymi szklankami i miękko drobił nogami. Zaprzeszono tańców, a ludzie strzelali palcami i klaskali; nastrój wznosił się ku górze niczym domek z kart, chwiejny i nietrwały, ale wysoki i piękny. Entuzjazm udzielił się orkiestrze; perkusista uspokajał Harveya, a trąbka popychała go do wykonywania figur, które zazwyczaj były poza granicami jego możliwości. Chłopaki od postrzegania poza-zmysłowego stwierdziliby, że to telepatyczne radiacje widowni umożliwiły taniec Harveyowi. Na pewno wszyscy wspierali go z całych sił i równie pewne, że Harvey reagował na to, wykonując owej nocy numery, które zwróciłyby uwagę łowcy talentów z moskiewskiego Teatru Bolszoi. Gdy orkiestra wyczuła, że Harvey jest już zmęczony, poprowadziła go do finału, rozpostarła dla niego muzyczny dywan i zaciągnęła muzyczną kurtynę, a trąbka wydusiła oklaski z publiczności. Harvey stał uśmiechając się szeroko i czerwieniąc. Kelner wystąpił do przodu z wielką srebrną tacą, na której stały tylko dwa drinki. Jakiś dowcipniś wytrzasnął skądś gałązkę i zrobił z niej coś na kształt korony, a żołnierze wyciągnęli rapiery, tworząc z nich łuk, pod którym przeszedł Harvey. Wyszedł na balkon. Oklaski wciąż odbijały się echem w sali balowej.

- No, podobamy się im - stwierdził Harvey. - Niezły jesteś. - Była to bzdura, ponieważ tylko naśladowałem kroki Harveya, pauzując, gdy były dla mnie za trudne.

Harvey wyszczerzył zęby i powiedział: - Wiedziałem, że trzeba na to trzech dużych martini. Aż za dobrze cię znam.

Przestało padać. Na balkonie było chłodno. Nocny mrok sięgał aż do Broadwayu, gdzie pulsująca elektryczność zmieniała barwy szyb okiennych po drugiej stronie ulicy. Harvey wyciągnął dwa cygara. Pałac patrzyliśmy na lunę nad ciemnym miastem. - Zabawka milionera - oznajmił Harvey, a ja odparłem: - Tak, z ośmioma milionami pracujących części.

- Pracujące części - powiedział Harvey. - Tak. - Ulica pod nami była pusta, poza idącą samotnie, łkającą cicho dziewczyną i chłopcem z tyłu, który próbował jej coś wytłumaczyć. - Nie zabiliby ciebie - oświadczył Harvey. - To prawda, że daliby

ci wycisk, ale nigdy by cię nie zabili. Całą sprawę pogorszył Stok, wysyłając na nich patrol kawalerii.

- Lepszy już diabeł domowy niż dziki - powiedziałem.

W dole na ulicy łkająca dziewczyna pozwoliła się pocieszać chłopcu, a za nami rozległ się trzask drzwi prowadzących na balkon. Służebna, która nosiła w tekturowym pudełku zapasową rękę generała, weszła na balkon i przyłączyła się do nas. - Harvey, kochanie - powiedziała tym samym pełnym wyrzutu tonem, którym mówiła do generała Midwintera.

- O co chodzi, kotku? - zapytał Harvey. - Generał nie pożyczy ci swego samolotu?

- Przecież wiesz - powiedziała dziewczyna. - Wychodzę z gabinetu z generałem i widzę, jak robisz z siebie błazna. Czy nie rozumiesz, jak okropnie się wtedy czuję?

- Nie - odparł Harvey.

- Okropnie się wtedy czuję. Czuję się zażenowana, Harvey. Tak właśnie się wtedy czuję.

Harvey zmrużył oczy i zagapił się na nią. - Wiesz co, kotku? - wyznał. - Po alkoholu to jesteś prześliczna.

- Nie piłam, Harvey - odparła cierpliwie, jakby toczyli ten dialog już wiele razy.

- Nie - oświadczył Harvey z triumfem. - Ale ja piłem.

- Jeśli nasze małżeństwo nic dla ciebie nie znaczy - powiedziała - to przynajmniej powinieneś przywiązywać wagę do godności własnej. Za piętnaście minut idę do domu. - Następnie odeszła majestatycznie, szeleszcząc umiejętnie długą suknią dla spotęgowania efektu.

- Moja żona - wyjaśnił Harvey.

- Tak - powiedziałem.

- Któregoś dnia tak podłączę jej elektryczną szczoteczkę do zębów... -

Przerwał. Miał być to chyba żart, ale on się nie uśmiechnął.

- Szpieguje mnie. Wiesz o tym? Szpieguje mnie moja własna żona. Gdybyś ją słyszał, pomyślałbyś, że jestem płatnym pomagierem. Gdybyś ją słyszał, pomyślałbyś, że ten Midwinter to prawa ręka Pana Boga.

- Można to pomyśleć, gdy się słyszy, co wszyscy tutaj wygadują o Midwinterze.



- Właśnie. Te ciule myślą, że to Mac Arthur, George Washington, Davy Crockett i Jim Bowie wzięci razem do kupy.

- A ty nie?

- Tego nie powiedziałem. Myślę, że to wielki człowiek. Poważnie. Naprawdę wielki i potężny człowiek. Midwinter nigdy nie będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale będzie blisko prezydenta. Kiedy siły konserwatywne obejmą władzę nad tym krajem, będzie szarą eminencją stojącą przy tronie... chłopie, naprawdę mam na myśli tron. - Harvey uśmiechnął się. - Ale on nie ufa nikomu. Nie ufa nikomu.

- To wada powszechnie spotykana u ludzi z naszej branży.

- Uhm, ale ten facet podsłuchuje telefony, przejmuje pocztę, sprawdza przyjaciół i krewnych. Nawet nasyła agentów, żeby śledzili jego personel. To są naprawdę świńskie numery. Co ty na to?

- Skąd masz pewność, że ten balkon nie jest na podsłuchu?

- Nie jestem pewien, ale schlałem się tak, że gównu mnie to obchodzi. - Nagle Harvey pomyślał o czymś innym. - Dlaczego podmieniłeś jajka w paczce?

- Mówiłem ci już, Harvey, paczkę z jajkami ukradziono mi z bagażu w drodze na londyńskie lotnisko.

- Opowiedz mi o tym raz jeszcze.

- Już ci mówiłem. To był ten sam mężczyzna, który śledził mnie od gabinetu lekarskiego. Pełna twarz. Okulary w rogowej oprawie. Średni wzrost.

- Mówiłeś o sterczących uszach, zepsutych zębach, długich włosach, wymowie Anglika, który chciałby być wzięty za Jankesa, cuchnącym oddechu. Podałeś mi rozwlekły opis.

- No właśnie, okulary w rogowej oprawie założono tak, by mu sterczały uszy. Był Amerykaninem mówiącym z amerykańskim akcentem, który samogłoski wymawiał bezdźwięcznie cockneyem tak, żeby wydać się Anglikiem udającym amerykańską wymowę. Założył peruczkę, żeby zakryć łysinę na czubku głowy. (Kończyła się nad linią włosów, więc gdyby wciąż jej nie poklepywał, nikt nie zwróciłby na nią uwagi). Przyczernił sobie parę przednich zębów kosmetykiem dla aktorów i zepsuł oddech jakimś środkiem - najstarsza sztuczka w branży, żeby powstrzymać ludzi przed zaglądaniem ci w twarz. Ukradł bagaż po tym, jak przeszedł przez kontrolę celną. - Przerwałem.

Harvey uśmiechnął się szeroko. - Tak - powiedział. - To byłem ja.

- Powiedziałbym - ciągnąłem dalej - że był to pasażer w tranzycie, którego samolot zatrzymał się dla nabrania paliwa. Wysiadł z samolotu, przebrał się w kombinezon w ubikacji, odjechał samochodem dostawczym z załadowanym bagażem, wziął, co mu było trzeba, i wrócił do samolotu, właśnie gdy ogłaszano odlot, by podjąć przerwana podróż nie przechodząc nawet przez kontrolę celną. Nieźle jak na kogoś, kto grał w teatrzyku objazdowym po skończeniu college'u.

Harvey roześmiał się i dodał: - Korki w butach, szkła kontaktowe, żeby zmienić kolor oczu, żałoba za paznokciami i trochę różu na wargi, żeby twarz wydawała się blada. Zapomniałeś o tym. - Spoglądał w dół, przypatrując się własnym butom, które wykonywały taneczne pas.

- Sądysz, że taki cwany z ciebie bękart, prawda? - powiedział. Wciąż patrzył w dół i wciąż wykonywał taneczne kroczyki. Nie odpowiedziałem. - Całkiem cwany bękart. - Harvey porozdzielał słowa na sylaby i przy każdej robił krok w tańcu. Potem zmienił akcent i znów odtńczył to samo zdanie. Zakończył popis hołubcem. Odwrócił do mnie twarz. - Upewniłeś się, że twoje przewidywania co do Pike'a sprawdzą się co do joty, prawda? Jesteś jak te damulki, które zobaczywszy dwa noże skrzyżowane na stole, wszczynają awanturę, żeby dowieść, iż to zły znak. Pike jest spalony. Czy miło ci się gawędziło ze Stokiem?

Myślę, że Harvey chciał, żebym go uderzył. Nie wiem, czy pragnął bólu i cierpienia, czy też potrzebny był mu pretekst, by mi oddać, ale pewien jestem, że chciał, bym go uderzył.

- Gawędziliście sobie miło o Turgieniewie. Wiedziałaś, że Stok cię nie skrzywdzi. Jeśli tylko o niego chodzi, to ty jesteś przedstawicielem rządu Zjednoczonego Królestwa. Jeśli cię weźmie pod obcas, Londyn postąpi identycznie wobec łączników z radzieckiej siatki. Nie. Zakładając, że będziesz wystarczająco dyskretny, możesz się niczego w Rosji nie obawiać. Zbiera mi się na wymioty: gawędzisz ze Stokiem i śmiejesz się, podczas gdy nasz chłopak siedzi tam i umiera ze strachu.

- Stok - odpowiedziałem - jest całkiem w porządku w porównaniu z pewnymi ludźmi, z którymi pracuję, nie mówiąc o ludziach, przeciw którym pracuję. Stok wie, po której jest stronie. Ja też. Dlatego możemy rozmawiać.

- Stok to krwiożerczy, bezwzględny sukinsyn.

- Wszyscy tacy jesteśmy - odparłem. Bezwzględni i potępieni.

- Może poszedłbyś do Pike'a i mu to powiedział. Połowa z nas jest

bezwzględna, a druga połowa - potępiona. Powinieneś powiedzieć Pike'owi, do której połowy należy.

- Wszyscy jesteśmy w połowie bezwzględni i w połowie potępieni.

- Jesteś pijany - oświadczył Harvey. - Inaczej nie byłbyś taki staromodny.

Drzwi na balkon były otwarte. Spojrzałem przez nie i zauważyłem, że muzyka się urwała. Generał Midwinter stał przed orkiestrą, uśmiechając się dobrotliwie do ciasno stłoczonych gości. Urękawiczoną dłoń trzymał wysoko, jakby wystawił ją na licytację. Goście milczeli.

- Przerywamy waszą rozrywkę na krótką chwilę modlitwy - powiedział Midwinter, pochylając głowę i wszyscy poszli jego śladem.

- Ojcie Nasz, który jesteś w niebie - zaintonował Midwinter. - Pomóż nam rozbudzić nasz ukochany kraj w obliczu straszliwych zagrożeń. Pomóż nam oczyścić go i ochronić przed bezbożnymi siłami komunizmu, które nacierają nań od zewnątrz i od wewnątrz. W imię Jezusa, prosimy Cię, Panie, Amen. - Goście powiedzieli - Amen.

Spojrzałem na Harveya, ale wpatrywał się w swoją stopę, która skreśliła się, przygotowując do kolejnego tańca. Przecisnąłem się przez tłumy, które przypatrywały się, jak Midwinter schodzi z podium. Mercy Newbegin przepychała się z tyłu.

- Skąd Harvey wiedział, co powiedziałam generałowi Midwinterowi? - zapytała mnie w przelocie.

Wzruszyłem ramionami. Skąd, do diabła, wiedział, co powiedziałem pułkownikowi Stokowi?

## **Rozdział 16**

Następnego ranka mój telefon zadzwonił o dziewiętej czterdzieści pięć. Bolała mnie głowa. Głos, który zwracał się do mnie per „stary chłopie” zaproponował, żebym: „ruszył w kurs i spotkał się ze mną w Greenwich Village na rogu Beeker Street i MacDougala. Będę ubrany w zielony tweedowy płaszcz i brązowy pilśniak”.

A jakże, pomyślałem, z flagą brytyjską, powiewającą na jego rondzie. Tak więc przeszedłem przez Washington Square i obok gmachu MacDougala, gdzie mieszczą się kawiarnie dla zamożnych włóczykiów. Przy marmurowych stolikach i czarnych krzesłach nie było nikogo; mężczyźni w białych fartuchach zamiatali podłogi, nosili lód i opróżniali skrzynie z odpadkami. Dwa dzieciaki grały w warcaby kapslami od coca-coli na schodach pracowni jubilerskiej. Tuzin kotów i dwaj

kloszardzi spali pod markizą Con Edison. Zatrzymałem się na rogu Beeker Street. Był pogodny, chłodny dzień. Lodowaty wiatr dał ulicami miasta. Nigdzie nie widać było śladu kogoś, kto przypominałby tweedowego człowieka z telefonu. Przed domem pogrzebowym Perazzo odbywał się pogrzeb w starym stylu. Sześć czarnych fleetwoodów z szoferami Murzynami i wieńce z kwiatów rozmiarów ogródka działkowego. Trzech mężczyzn w czarnych płaszczach i ciemnych okularach uwijało się wokół limuzyn. Tłumek zgromadził się, by płakać i podziwiać. Patrzyłem, jak pierwszy fleetwood odjeżdża z rykiem silnika i włączonymi światłami, gdy poczułem, że trącają mnie łokciem w nerki. Usłyszałem miękki głos:

- Nie obracaj się, ananasie. Lepiej dla nas obu, żebyś nie wiedział, jak wyglądam. Liścik miłosny od starej firmy. Powodzenia i tak dalej. - Przerwał. - Fascynujący ludzie, prawda? Porządny pogrzeb podtrzymuje wysoki status.

- Zapamiętam to sobie - powiedziałem.

- Widzę, że nie tracisz ducha. Pokochasz Yillage. Fascynujące. Mieszkam tutaj. Nigdzie bym się nie przeniósł. Kocham Village. Fascynujący ludzie, co? - Poszturchał mnie czymś w zębra. Okazało się, że to brązowa koperta. - Tak - przytaknąłem.

Schwyciłem kopertę. Oddalił się. Usłyszałem szmer protestu, gdy włożył na nagniotki i rozdawał kuksańce, żeby przepchać się przez gapiów. Dałem mu dwie, trzy minuty na zniknięcie. Plakat na murze głosił: „Żyj i handluj w Village”. Przeszedłem obok niego i skierowałem się na północ, by zjeść śniadanie.

Na Washington Square kamerzyści mierzyli rozpiętość łuku i strugali ważniaków. Był to dzień, kiedy elewi z akademii policyjnej kierują ruchem ulicznym, a całe kilometry jaskrawo pomalowanych taksówek prześlizgują się bardzo wolno aleją pełnych wdzięku drapaczy chmur, niczym skłębione węże między drzewami w dżungli. Na Ósmej Ulicy unoszone wiatrem bezpańskie gazety poruszały się niczym zranione gołębie. Niebo zwieszało się nisko. Było brzemienne deszczem, który spadnie, gdy tylko wiatr ucichnie. Nawet teraz powietrze było wilgotne.

Wszedłem do kawiarni. Zająłem miejsce przy oknie i zamówiłem kanadyjski bekon i dzbanek kawy. Przy sąsiednim stoliku kilkoro dzieci w białych pulowerach do gry w krykieta kłóciło się, kto zamówił dwie francuskie grzanki za dużo. Ulicą przejechała na wrotkach kobieta w średnim wieku. Po drugiej stronie jakiś grubas zawieszał ogłoszenie: „Zostało tylko parę dni. Księgowy wypełni twój formularz podatkowy za 5 dolarów”. Poczul pierwsze krople deszczu i uniósł dłoń, żeby

przyjrzeć się bliżej wodnym rozpryskom, jakby było to złoto lub plan miasta.

Otworzyłem brązową kopertę, którą przekazał mi Anglik. Były w niej cztery listy wysłane pod adres mojego mieszkania w Londynie. Otworzyła je Jean. Był tam list Wojskowego Towarzystwa Historycznego oraz dwa rachunki za gaz i telefon zapłacone przez Jean. Czwarty list wysłał właściciel mieszkania w sprawie hałasów późno w nocy. Ja miałem hałasować - nie on. W kopercie znalazłem też kartkę od Jean. Pisała:

*Dawlish przeszedł zwycięsko przez styczniową batalię budżetową, więc i w tym wypadku miałeś rację, ty mądralo. Twoja sprzątaczką zostawiła wiadomość, że zalegasz jej z wypłatą za trzy tygodnie, a ma zamiar pojechać w odwiedziny do brata w Brighton - nie wiadomo, co to ma znaczyć - więc zapłaciłam jej gotówką z bieżących wydatków. Zapomniałeś odwołać dostawę mleka. Pan Dawlish twierdzi, że powinnam ci powiedzieć, iż bracia Pike to Łotysze z brytyjskimi paszportami. Są członkami jakiegoś klubu spod ciemnej gwiazdy, zrzeszającego łotewskich bezetów, ale poza tym nic więcej nie wiadomo. Oczywiście brak statutu i temu podobnych.*

*Ci Pike 'owie to bystra rodzinka. Wszyscy mają wykształcenie medyczne, ale Ralph Pike (młodszy, który pojechał, sam wiesz, gdzie) ma także wykształcenie biochemiczne. Prawdopodobnie wysłano go, by przyjrzał się tamtejszemu wyposażeniu biochemicznemu, bo nawet krótki rzut oka może być pouczający dla eksperta, a Pike jest ekspertem. Mamy tutaj pewność, że Pike 'owie nie braliby udziału w eksporcie wirusów (ani nawet nie okazałoby najmniejszej pomocy) tam, gdzie niedawno byłeś. Przeciwnie, pod względem politycznym na prawo od nich jest tylko ściana.*

*Niewiele mogę zrobić, by zaspokoić twoją ciekawość co do Kaarna 'y. Wiedział o istnieniu grupy osób zainteresowanych sprzedażą ukradzionego wirusa. Z powodów dotąd nam nie znanych uznał, że to Brytyjczycy. Dysponował podstawowym wykształceniem naukowym i możliwe, że, aby uzyskać informacje, zaproponował, iż przyjrzy się wirusowi i wyda opinię. To dlatego ubrany był w biały fartuch (pamiętam, że powiedziałeś, iż wyglądał jak dentysta na reklamie pasty do zębów). Sekcja zwłok wykazała niezbitcie, że nie został zamordowany pociskiem (otwarte okno miało chyba zmylić trop). Został zabity za pomocą narzędzia w kształcie igły (protokół mówi o ranie kłutej, ale głębokiej na cztery i ćwierć cala), które przebiło nerkę, arterię nerkową, otrzewną i pętlę jelita cienkiego. Nasuwa to myśl o nie znanym mu zabójcy, który podszedł z tyłu trzymając broń w prawej ręce i otoczył mu*

*szyję prawym ramieniem (ślady materiału w zębach), żeby nie krzyczał. Patologia w Helsinkach twierdzi, że „umiejętnie wybrano miejsce „. Komendzie Głównej Policji w Helsinkach nic nie wspomnieliśmy o jajkach, ale ich Służba Bezpieczeństwa zaczyna się tym interesować, więc może będziemy musieli przynajmniej jakoś im wyjaśnić kwestię surowych jajek na ciełe Kaarna 'y. Czy odebrałeś swoje pranie? Powiedziałam im, że to pilne, ale nie sądzę, by ich furgonetka przyjeżdżała po odbiór we wtorki. Podzieliłam niektóre akta na podzespoły i pozbyliśmy się części z nich, więc nie musisz się obawiać, że jak wrócisz, będziesz pracować w weekendy. Pan Dawlish kazał mi przekazać ci zwięzły wykład o wirusach (w załączeniu). To biologia dla czwartoklasistów, ale gdy widziałam cię ostatni raz, miałeś w sobie sporo biologa-czwartoklasisty. Całuję kochanie.*

JEAN

Na niebieskiej przebitce załączonej do listu przeczytałem, że:

*Dzięki temu zorientujesz się w sprawie surowych jajek na KaarnaHe i w pudełku od Pike 'a. Wirusy mają regularne, geometryczne kształty. Są większe od cząsteczek białka, ale mniejsze od bakterii. Wywołują paraliż dziecięcy, ospę, pryszczycę, grypę, choroby bydła, roślin, zapalenie gardła i raka. Co tydzień odkrywa się jakieś nowe. Atakują ludzi, rośliny, bakterie i zwierzęta. Niektóre wirusy atakują bakterie, inne - żywe komórki. Żyją w komórce gospodarza, którą opanowały. Dla medycyny problemem jest taki atak na wirusa, jaki nie szkodziłby zdrowym komórkom. Gdy wirus opanuje komórkę, przejmuje też kontrolę nad jej matrycą czy też systemem informacyjnym, co zmusza niejako gospodarza do produkowania nie składników mu właściwych, lecz nowych cząstek wirusowych.*

*Transport wirusa Wirus żyje w temperaturze ciepłoty ciała - 37°C - i można go wyhodować w zapłodnionym jajku kurzym. Trzeba prześwietlić jajo, żeby zobaczyć, jak będzie przebiegał wyląg, strepanować je, dokonać iniekcji wirusa do żółtka poprzez błonę jajową (to ta twarda, biaława skórka) i umieścić na swoim miejscu naruszony fragment skorupki.*

*Wirus, którym jesteście zainteresowani, to antywirus. Dostaje się do ciała drogą infekcji kropelkowej - to znaczy drogami oddechowymi - i pobudza system siateczkowo-śródbłonkowy do produkcji aminokwasów takich jak intezfezon, który hamuje rozwój innych wirusów, atakując obcy kwas nukleinowy, zanim przedostanie się do komórki.*

*Mam nadzieję, że jakoś ci się to przyda. Zajęło mi to cztery godziny w*

*wylęgarni jajogłowych i musiałem przetrwać dwa kieliszki sherry, trzy butelki wina, mały koniak oraz propozycję (małżeństwa). Przywieź jakieś płyty. Może Coletrane 'a, Kirka i Rollinsa?*

JEAN

Popijałem kawę. Zastanawiałem się, czy wykorzystują moją sekretarkę Jean, żeby odwaliała robotę innych wydziałów. Zastanawiałem się, czy przekazali komuś innemu związku zawodowe (brak sprzeciwu ze względu na bezpieczeństwo państwa), czy też trzymają je na mój powrót. Żaden z chłopaczków z *public-school* nie będzie w stanie wykonać tej roboty z takim wyczuciem jak ja. Niektórzy ludzie ze Związków Zawodowych chodzili ze mną do szkoły. W każdym razie ta praca wywołuje we mnie wątpliwości i pytania o lojalność, które ciągle spycham do potylicy. Przeraziły mnie akta spływające na moje biurko i, żeby wyjaśnić, jak bardzo chciałbym tego uniknąć, trzeba by... Wpadłem w ostry korkociąg rozmyślań, gdy usłyszałem pukanie w okno, przy którym siedziałem. Ociekało teraz deszczem, a na lśniącem chodniku Ósmej Ulicy zobaczyłem Signe. Stała tam przepełniona entuzjazmem i energią niczym bomba z włączonym zapalnikiem. Cerę miała opaloną i piegowatą, niczym brązowe wiejskie jajko. Gdy uśmiechnęła się swoim szerokim uśmiechem odrobinię za dużych ust, w których było nieco za dużo białych zębów, wyglądało to, jakby wybuch właśnie zdmuchnął jej czubek głowy. Deszcz odskakiwał od jezdni jak młócone zboże. Włosy Signe przyłgnęły jej do głowy; wyglądała, jakby ktoś wylał na nią słoik musztardy. Ubrana była w o wiele za dużą na siebie męską, nieprzemakalną, żółtą kurtkę, która lśniła na deszczu rozbłyskując niczym neon reklamujący złoto.

Znów zastukała w szybę. Paru gości spojrzęło na Signe i zamruczało z aprobatą. Zaprosiłam ją gestem, by weszła do środka i napiła się kawy, ale potrząsnęła głową układając usta w „Chcę ciebie”, jak schwytna złota rybka.

Zostawiłem na stoliku dwa dolary oraz nie do jedzonej kanapkę z bekonem i wyszedłem na ulicę. Signe zarzuciła mi na szyję żółte, nieprzemakalne ramiona i wycisnęła na policzku pocałunek. Ostry nosek był lodowato zimny, twarz miała mokrą od deszczu. Kipiała słowami i usprawiedliwieniami, ciągnąc mnie wciąż za ramię i wpatrując się w moją twarz, jakby nie mogła uwierzyć, że to naprawdę ja.

- Czy byłeś wczoraj w nocy na balu kostiumowym u generała Midwintera? - zapytała. - Było cudownie? Nie mów mi, że było cudownie, nie zniosłabym tego. Chciałam tam pójść. Widziałeś generała Midwintera? Jest wspaniały, prawda? Widziałeś Harveya? Skończyliśmy, Harvey ze mną, Harvey i ja. Była tam jego żona?

Czy pito szampana? Uwielbiam szampana. Kupisz szampana, jeśli przyrządzę dziś wieczór kolację? Tylko dla nas dwojga. Prawda, że to boski dom? Czy tańczyłeś? Dobra była orkiestra? Jak była ubrana Mercy Newbegin? Czy wszyscy byli w kostiumach? O której skończył się bal? Czy podano ostrygi? Uwielbiam ostrygi. Kupię dla nas dzisiaj ostrygi. Ostrygi i szampana. Prawda, że Mercy Newbegin jest okropna. Rozmawiałeś z nią? Czy nie jest okropna? Jak była ubrana? W jakie pantofelki? Czy tańczyli Paula Jonesa? Nienawidzę wszystkich kobiet. Poza dwiema, których nie znasz. Nie poszłam, bo Harvey i ja skończyliśmy ze sobą. No i nie chciałam widzieć tej Mercy Newbegin. No i nie miałam odpowiednich pantofli. - Przerwała. Uniosła ku mnie wzrok i powiedziała: - Nie myślałam, że jeszcze cię kiedyś zobaczę. Prawda, że mnie nie nienawidzisz?

- A powinienem?

- No, ja zawsze płacę ci na ramieniu. Mężczyźni tego nie lubią. A zwłaszcza nie lubią słuchać o innych mężczyznach. To naturalne. Nie chciałabym, żebyś mi opowiadał o swoich romansach.

- Naprawdę? - powiedziałem. - Właśnie miałem ci opowiedzieć o moich romansach.

- Mówisz poważnie? - zapytała z przypochlebnym niepokojem w głosie.

- Tylko tak żartuję - odparłem.

- To dobrze - stwierdziła. - Nie chcę, żeby w twoim życiu były inne kobiety poza mną.

Zdziwiłem się. - Jestem zdumiony - oświadczyłem.

- Jezdem zdumiony - szydziła Signe.

- Przemokniesz. Może złapię taksówkę.

- Nie, nie, nie - zaprotestowała. - Mieszkam na Ósmej Ulicy i lubię spacerować po deszczu.

- Ja też.

- Naprawdę lubisz?

- To z powodu mojego ojca. Był zaklinaczem deszczu w Arabii Saudyjskiej. - Dłoń Signe ścisnęła moją. - Dostał ataku serca, gdy jego wioskę podłączono do wodociągów.

Signe zajrzała mi w oczy. - To okropne. Opowiedz mi o tym. Opowiedziałem.

Mieszkanie Signe znajdowało się w niewielkim bloku wznoszącym się nad rzędem sklepów. Klatka schodowa wyglądała ponuro; jedno z okien było stłuczone.



Signe mieszkała na pierwszym piętrze. Przedpokój obito słomkowymi tapetami. Znajdował się tam także dziwny zestaw rogów, na którym Signe powiesiła żółtą, nieprzemakalną kurtkę. Poklepała je. - Powieś tu kurtkę. Plastikowe łosie rogi.

- Nie wiedziałem, że polowałaś na wielkiego, plastikowego łosia.

- Były tu już, gdy się wprowadziłam. Okropne, prawda? - Smagnęła koniuszkami palców przez włosy opryskując mnie wodą.

- Uspokój się - powiedziałem. - Wygoniłem raz psa, który się tak zachowywał.

- Przepraszam - odparła. - Zapomniałam, że wy, Anglicy, nie znosicie wody. - Zniknęła w łazience i wyłoniła się z niej z olbrzymim ręcznikiem zawiązanym niedbale wokół głowy. - Tędy - powiedział ręcznik. Wprowadziła mnie do dużego pokoju, który Amerykanie nazywają gabinetem. Wytapetowany był na biało-żółto. Na ścianach wisiały kawałki drewna. Później dowiedziałem się, że to rzeźby jednego z byłych chłopaków Signe. Wyglansowany parkiet wyzierał spod białych dywanów. Zasłony były wymiętoszone; białe story ozdobiono kutasami. Na podłodze leżały trzy kryminały w tanim wydaniu i numer *The Village Voice*, na którym rozsypał się puder. Łatwo było zauważyć wielkomiejskie nabytki, które Signe dodała do gotowego umeblowania apartamentu. Było to parę ogłoszeń o wyprzedaży antykwariatów na Trzeciej Alei, dywan ze skóry białego niedźwiedzia i dwa wyplatane krzesła, wyglądające niczym szamani w stroju roboczym i skrzypiące, gdy się na nich usiadało. Signe skoczyła przez pokój niczym kangur z gumy i wylądowała płasko na sofie. Podskakiwała i wtulała się w pół tuzina porzrzuconych jaskrawych poduszek.

- Moje mieszkanie - jęczała. - Moje, moje, moje.

- Tak - powiedziałem.

- Usiądź. Zrobię ci kawę.

- Porzuciłem doskonałą kanapkę z bekonem - oświadczyłem.

- Wypchaj się ze swoją kanapką z bekonem. Zrobię ci coś pysznego.

- Co? - zapytałem podejrziwie.

- Zobaczą, co jest w lodówce. Usiądź i przestań wyglądać tak angielsko.

- Jak się wygląda angielsko? - zapytałem. Przestałem protestować, że jestem Irlandczykiem.

- Zakłopotani - zachichotała. - Za wiele łokci i za wiele stóp. - Aby usiąść na wyplatanych krzesłach usunąłem marynarskie, bawełniane spodnie, biustonosz, podomkę, stronę listu napisanego po fińsku, słóiczek kremu Ponda, jakiś dezodorant kulkowy i nie dopiłam filiżankę zimnej czarnej kawy.

- Ach, jest tutaj - powiedziała Signe, która wróciła do pokoju i odebrała ode mnie zimną kawę. - Z cukrem i śmietanką?

- Śmietanka, bez cukru. - Suszyłem nogawki spodni przed kominkiem, aż zjawiała się Signe niosąc grzankę z szynką i kawę.

- Skończyłam z Harveyem - oświadczyła. - Parujesz.

- Zawsze paruję, gdy jestem sam na sam z dziewczyną. Co się stało?

- Nie mogłam dojść z nim do ładu. Te jego humory. Cały rozpływa się w uśmiechach, a za chwilę chce mi urwać głowę.

- To prawda. Tak właśnie się zachowuje. Tak się zachowuje wobec mnie.

- Nawet wobec Midwintera. Oni też zaczynają mieć go dość.

- Kto?

- Organizacja. Nasza organizacja. Nawet oni mają dość jego humorów.

- Nie jest przez to mniej skuteczny - powiedziałem.

- Jest, jeśli wszyscy go nienawidzą, prawda?

- Chyba tak.

- Powiedział mi, że cię zabije. To dlatego tak się o ciebie bałam.

- Miło wiedzieć, że w ogóle ktoś się bał - zauważyłem. - Ale dlaczego Harvey ma mnie zabić?

- Wiesz, dlaczego.

- Nie, nie wiem.

- Nie musisz na mnie krzyczeć.

- Nie, nie wiem.

- Dlaczego nie mogłeś tego powiedzieć spokojnie za pierwszym razem?

Dlatego, że ty go sprawdzasz.

- Nie wierzysz w to?

- Wierzę. Przeszarżowałeś ze swoją rolą. Ciągłe udajesz, że nie wiesz, kim jest generał Midwinter, i co to za organizacja. Nikt nie może być takim ignorantem, jakiego udajesz. - Czekala na moją odpowiedź.

- Mam więc szansę, by zostać łotrem lub głupcem - oświadczyłem. Signe zgodziła się.

- Harvey sądzi - powiedziałem - że Midwinter zatrudnił mnie, żebym go sprawdził.

Signe wydeła wargi. - Pocałuj, pocałuj - poprosiła. Podszedłem i pocałowałem.

- Nazywasz to pocałunkiem?
- Niech ci na razie wystarczy.
- Generał Midwinter mówi, że masz się do mnie przenieść.
- Signe, znowu kłamiesz.

- Nie, naprawdę. Nie lubi korzystać z hotelowych centrerek przy przekazywaniu rozkazów. Organizacja Midwintera płaci czynsz za moje oba mieszkania - w Nowym Jorku i w Helsinkach

- więc nie mogę się opierać, gdy przysyłają mi gości. Przygotowałam się na twoje przybycie. Chodź i zobacz.

Wszedłem do sypialni. Znajdowało się tam podwójne łóżko z pościelą w kwiatki. Na poduszkach leżały piżama i szlafroczek.

- Nasz buduar - oznajmiła Signe. Otworzyła szafę i wyrzuciła wieszaki, by zrobić miejsce na mój nie istniejący tuzin garniturów. Otworzyłem kredens i zważyło się na mnie około pięćdziesięciu par butów Signe. Klasnęła w ręce i roześmiała się. - Uwielbiam buty

- powiedziała. - Uwielbiam buty. - Uniosła pełne naręcze butów i ustawiła je ponownie z obsesyjną uwagą wyrównując starannie czubki w szeregu. Gdy zabrała głos zwracała się do butów. - Zostaniesz? - zapytała niespokojnie. - Okropnie się boję w nocy. Koty wywracają kubły na śmieci, a w zeszłym tygodniu ktoś wlaź na klatkę schodową, rozbił lustro i drzwi. Dlatego jest tam na dole tak obrzydliwie. Policja go złapała, ale jego matka przyjechała następnego dnia jaguarem i zapłaciła gospodarzowi trzysta dolarów, żeby nie wnosił oskarżenia. Zostaniesz, prawda? - Zarzuciła mi ramiona na szyję i wyszukała kręgosłup koniuszkami palców.

- Nie chciałbym, żebyś się bała w nocy - powiedziałem.

Wróciłem do hotelu, żeby zabrać bagaż: opróżnioną w trzech czwartych butelkę whisky, dwie książki w tanim wydaniu - *The Thirty Years War* Wedgwooda i *The Complete Guide to New York City* - cztery pary bawełnianych pumpów, skarpetki i bieliznę. Wszystko zmieściło się w jednej fibrowej walizeczce.

Zadzwoił telefon. Znany metaliczny głos oznajmił: - Dziś przeprowadzisz się do mieszkania panny Laine. Za parę dni pojedziesz na południe na przeszkolenie. Jeśli potrzeba ci pieniędzy, złóż teraz odpowiednie oświadczenie.

- Potrzeba mi pieniędzy - powiedziałem. - Tylko maszyny ich nie potrzebują. - Tym razem odwiesiłem słuchawkę, nim komputer zdążył się rozłączyć.

Był to idylliczny weekend. Midwinter nie dzwonił, Harvey o ile mi wiadomo,

nie próbował mnie zabić. Signe i ja włóczyliśmy się po Greenwich Village, gapiąc się tu i tam, podśmiewając się, objadając, robiąc zakupy i kłócąc się ze sobą bez złości. W sobotę w Village jest tłoczno od dziewczyn z brudnymi włosami i mężczyzn w różowych kalesonach z pudłami. W sklepach pełno jest wiejskich sandałów, przecenionych płyt, obrazów prymitywistów, naręczy krawatów po osiemdziesiąt centów każdy, topornej biżuterii, mrożonek po dwa dolary z własnych chłodni. Reklamy świetlne tykają gorączkowo niczym elektryczne szczoteczki do zębów, a trąbienie policyjnych syren brzmi jak kontrpunkt buczenia skrzyni biegów w wiekowych autobusach. Na rogu dziewczyna sprzedająca *Catholic Worker* częstowała papierosem *Socialism What It Means*. Jarzące się pomarańczowo słońce opadało powoli za Pier 56 i sprawiało, że pniaki wznoszące się w śródmieściu Manhattanu połyskiwały niczym mika.

Kolację zjedliśmy w Village, we francuskiej restauracji, z gorącym ketchupem udającym prowansalskie garni, zapalonymi świecami, pasiastymi fartuchami i kelnerami, którzy smarują wąsy pomadą i mówią jak Maurice Chevalier.

- Madame et monsieur, jak si tu państwiu podioba? - zapytał kelner i odszedł nie czekając na odpowiedź.

- Wsistko jest w całkowietim poziondku, jak mówimy w mojem kraju.

Signe wydawała się bardzo szczęśliwa i przyjemnie mi było na nią patrzeć. Ubrana była w białą suknię, co sprawiało, że jej ramiona wydawały się mocniej opalone niż w rzeczywistości. Jej włosy błyszcząły jak wypucowany mosiężny dzbanek. Drobne pukle miały czerwonobrazowy odcień. Oczy miała ciemne i starannie zrobione, ale warg nie pociągnęła szminką, policzki zaś przypudrowała prawie niedostrzegalnie.

- Cieszę się, że dyskutowałeś ze mną o poezji i jazzie.

- Ja też.

- Cicha restauracyjka lub miękka sofa to najlepsze miejsce na spędzenie wieczoru.

- Zgadzam się - powiedziałem.

- Spotkałam Harveya w restauracji - zadumała się. - Byłam tam z miłym chłopakiem. Potrzebowałam cukru i zamiast poczekać na przyjscie kelnera lub poprosić o to chłopaka, zwróciłam się do Harveya. Był samiuteńki. Zapytałam, czy mogę prosić o cukier, a on wziął nóż z nakrycia i udał, że wykrawa sobie serce, włożył je do cukierniczki i mi ją podał. Wydało mi się to zabawne, ale nie zwracałam

na niego uwagi, zwłaszcza że chłopak, z którym przyszłam, był wściekły. Za chwilę podszedł do Harveya kelner z torcikiem, na którym paliło się dwadzieścia sześć świeczek, postawił go przed nim, a Harvey odśpiewał - głośno i samotnie - całe *Sto lat, sto lat, niech żyje sobie ja*. Wszyscy zaklaskali, ludzie posyłali mu drinki i zaczęliśmy rozmawiać.

- A potem?

- Mieliśmy romans. Oblędny. Przez pierwszych parę tygodni nie mogliśmy oderwać oczu od siebie. Stale trzymaliśmy się za ręce. I gadaliśmy. Namiętnie. Patrzyliśmy na siebie przy kolacji czy na przyjęciu, potem wracaliśmy do domu, szliśmy do łóżka i gadaliśmy. Gadaliśmy, trochę się kochaliśmy. Gadaliśmy i gadaliśmy, jakbyśmy mogli sobie opowiedzieć wszystko, cośmy robili, widzieli, mówili i myśleli. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, jak kocham, gdy kocham. Patrzyłam po prostu Harveyowi w oczy i płynął ze mnie milczący krzyk, jakby kryło się we mnie dziecko, które nigdy nie przestaje łkać. To było wspaniałe, ale się skończyło. Zawsze się kończy.

- Naprawdę?

Uśmiechnęła się. - Wtedy, gdy ktoś się kocha w takim humorzastym nieudaczniku jak Harvey. Zapomnijmy o nim. Pomówmy o tobie. Wyślą cię na kurs do San Antonio w Teksasie. Mogę cię tam odwiedzić?

- Wiesz o tym więcej niż ja - powiedziałem. - Jasne, przyjedź do mnie.

- Za trzy tygodnie od dziś. O dziewiątej trzydzieści. W klubie na Huston Street. Muszą go nazywać klubem, inaczej nie wolno im byłoby podawać wódki. Jeśli zanotuję sobie to w kalendarzyku, czy na pewno tam się zjawisz?

- Będę tam - obiecałem. - Będzie cudownie. A teraz zamówmy szampana. Pol Roger rocznik 1955. Zapłacę za niego.

- Nie musisz płacić - powiedziałem i zamówiłem szampana.

- Uwielbiam szampana.

- Wciąż to powtarzasz. Może przeczucisz się na coś innego, na przykład na buty.

- Trafiasz na ślepo. Powiem ci, co jeszcze lubię. - Zamyśliła się głęboko. - Szampana; gorącą, perfumowaną kąpiel; Sibeliusa; małe kociaczki; bardzo, bardzo, bardzo drogą bieliznę, której prawie nie czuje się na sobie; narty w nocy; chodzić do wielkich magazynów na Piątej Alei i przymierzać wszystkie suknie i buty za trzysta dolarów, a potem mówić, że nic z tego mi nie odpowiada - robię to często - i... -

Zwilżyła wargi językiem, by zaznaczyć, jak głęboko się zamyśliła... - i żeby zawsze jakiś mężczyzna kochał się we mnie do szaleństwa, bo to mi daje poczucie pewności siebie, gdy mam do czynienia z ludźmi. I jeszcze lubię przechytrzać mężczyzn, którzy próbują przechytrzyć mnie.

- Co za lista. - Kelner przyniósł szampana i obniósł go dookoła, pobrzękując lodem w wiaderku, żeby przekonać nas, iż nie wyciągnął go z lodówki. Strzelił korek. Signe pochyliła się ku płonącym świecom, żeby wszyscy goście mogli jej się przyjrzeć. Popijała szampana, mrużąc oczy z namiętym wyrazem, który podpatrzyła na jakimś kiepskim filmie. Udałem, że kręcę korbą staroświeckiej kamery filmowej. Signe popijała szampana. Kelner zapytał: - Ci coś jeście cieba, madame? - Signe zaczęła pokasływać.

## **Część VI San Antonio**

*Zalecał się pan starosta*

*Nie miał ani szelązka.*

Rymowanka dziecięca

### **Rozdział 17**

Byłem jedynym pasażerem. Opuściłem Nowy Jork w odrzutowcu Midwintera. Prognoza pogody przewidywała lekki deszcz, śnieżyce i grubą warstwę chmur pierzastych, ale trzy i pół godziny później nad San Antonio w Teksasie nocne niebo było kryształowo czyste. Krajobraz w zieleni. Drzewa gęsto okryte liśćmi. Powietrze przylegało do ciała jak mokry kompres. Ludzie ruszali się w leniwym wieczornym upale niczym krokodyle w przybrzeżnym szlamie. Rozpiąłem kołnierzyk koszuli. Patrzyłem, jak dwaj generałowie odbierają honory wojskowe od swoich szoferów. Na ławkach siedział wysoki mężczyzna w dzinsach i stetsonie na głowie oraz meksykańska dziewczyna słuchająca na tranzystorze hiszpańskiej rozgłośni i mocująca się z rozkładówką *Playboya*.

- Szukasz pułkownika Newbeginia? - zawołał mężczyzna w stetsonie. Nie ruszył nawet palcem.

- Tak - powiedziałem. Przeciągnął się leniwie i wziął moją walizkę. Na ramieniu miał jedwabną naszywkę z napisem „Midwinter. Wolny Wybór Wolności”.

- Idziemy ‘ - rzekł. Przetoczył papierosa przez całą szerokość ust, nie używając przy tym rąk. Poszedłem za nim. Poszedłbym za każdym, kto potrafi to zrobić.

Harvey siedział w oliwkowobrazowej limuzynie typu combi. Na przodzie wymalowano odwróconymi jak w lustrze literami: „Zachowaj odległość”. Jechaliśmy przez wilgotną noc, a rzeczywistość przepływała w świetle reflektorów. Skierowaliśmy się na północ, wyjeżdżając z miasta autostradą międzystanową nr 281 aż do 46 autostrady stanowej. W Bergheim - trzy domy i stacja benzynowa - skręciliśmy w jedną z wąskich ścieżek bez numeracji. Kierowca ostrożnie prowadził samochód, który gwałtownie podskakiwał i zakręcał, przejeżdżając w bród rzeczki, lśniące jak świeżo wyasfaltowana nawierzchnia. Jęczał przy tym silnikiem i uderzał o podłoże.

Jakieś duże zwierzaki oślepione naszymi światłami odskakiwały od wodopojów w leśne poszycie. Na jednym z zakrętów kierowca zatrzymał się i błysnął światłami drogowymi. Odpowiedział mu błysk latarki. Podjechaliśmy wolno do miejsca, gdzie stał wartownik. Zaświecił latarką do samochodu, a potem bez słowa otworzył bramę na poboczu drogi. W świetle reflektorów odczytałem napis: „Stacja Doświadczalna Ministerstwa Rolnictwa. Niebezpieczne pułapki na zwierzęta. Nie idź dalej”. Były tam jeszcze czaszka i skrzyżowane piszczelce oraz wielki napis: „Niebezpieczeństwo”. Znaki powtarzały się regularnie co dziesięć metrów. Przejechaliśmy dwieście metrów. Kierowca przekręcił na tablicy rozdzielczej dźwigenkę oznaczoną napisem „garaż”, która wysyłała radiowy sygnał rozpoznawczy do drugiego obwarowania. Wyszedł stamtąd wartownik, poświecił dookoła latarką, a następnie przejechaliśmy przez ogrodzenie ze stalowej siatki z napisem: „Ministerstwo Rolnictwa. Grozi Ci niebezpieczeństwo. Nie ruszaj się. Wołaj o pomoc gajowego. Jest w pobliżu. Napięcie 600 volt”. Znak oświetlony był punktowymi reflektorami rozmieszczonymi na ogrodzeniu, które ciągnęło się całe mile po prawej i lewej stronie.

- Witamy w Teksasie - powiedział Harvey.

Mózg - to były trzy budynki wyglądające z zewnątrz na jednopiętrowe, ale sięgały głęboko w kamieniste zbocze. Przyciemnione szyby filtrowały jasne światło poranka, od którego można było się odciąć dzięki elektrycznie obsługiwanym, obrotowym żaluzjom. Harvey ubrany był w mundur koloru khaki z insygniami pułkownika na kołnierzu. Na rękawie miał czerwoną naszywkę „Wolny Wybór Wolności”.

Minęliśmy Mózg idąc kredową dróżką. Tu i tam na zboczu widziałem owce i kozy pasące się wśród polnych kwiatów i karłowatych drzew. Wysoko trójka jastrzębi szybowała w powietrzu. Słysząc było tylko cykanie owadów.

- Wszyscy zatrudnieni przez Midwintera - powiedział Harvey - przychodzą tutaj na przeszkolenie w pracy wywiadowczej. Niektórzy biorą udział w kursie doskonalącym dla kadry kierowniczej. Są między dwudziestym ósmym a trzydziestym szóstym rokiem życia. Przebywają tutaj przez piętnaście tygodni. Inni to uczestnicy wyższych kursów zarządzania dla dyrektorów, mają trzydzieści siedem - pięćdziesiąt lat. Ich kurs trwa trzynaście tygodni. Co najmniej osiemdziesiąt procent miało już doświadczenia w pracy w wywiadzie, choć werbujemy ich z innych organizacji gospodarczych (zwłaszcza z tych, w których Midwinter ma udziały), a czasami wprost z college'ów. Przechodzą prosty kurs administracyjny dla potrzeb wywiadu. Demonstrujemy im parę brudnych zagrań, ale to tylko podstawy, bo żaden z nich nie będzie wykorzystany jako agent działający w terenie. Nie dowiadują się więcej niż z lektury powieści z Bondem, ale rozumieją dzięki temu problemy, z jakimi stykają się prawdziwi agenci. Więc kiedy już będą siedzieć na tłustych tyłkach we Frankfurcie lub Langley, a jakiś skołowany facet napisze: „karabin automatyczny kalibru siedem koma dziewięć dwa centymetra”, zamiast siedem koma dziewięć dwa milimetra, to nie będą chcieli go wywalić za niestaranne pismo. Jezu, ale upał. Dobra, to jest przedszkole, więc nazywamy ich przedszkolakami. Uczestników kursów operacyjnych - agentów - nazywa się tu plujami. Trwa właśnie kurs plujów, dołączysz do niego na parę dni. - Harvey odgrzebał grubo wyrąbany stopień, złapał jedną ręką za szare gruzłowate drzewo, wyciągając do mnie drugą. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na typowo angielski krajobraz, ale tuż obok, jak okiem sięgnąć, widać było spieczoną, popękaną ziemię, martwe, skręcone drzewa, zbielałe kamienie niczym zwierzęce czaszki, i ogromne gruszki kaktusów obsypane jaskrawożółtymi kwiatami. Krajobraz był twardy, suchy i bezlitosny.

Harvey pomógł mi się wdrapać i wskazał na betonowy pas startowy znajdujący się dokładnie pod nami. - To lotnisko. Nazywamy ją Doliną Longhorn, więc jest to lotnisko Longhorn. Oczywiście, nie może tu wylądować duży samolot, ale czasami przydaje się własne lotnisko, - Spojrzał na zegarek. - Znajdujemy się na wzgórzu zwanym Loving Alto. *Alt o* to po meksykańsku łysa góra, a Loving był starym tropicielem i pierwszy tak ją ochrzcił. - Harvey osunął się na spaloną trawę. Na przeciwległym zboczu widziałem cztery sępy grzebiące w ścierwie szopa.



- O rany, jak dobrze posmażyć się w słońcu - oświadczył Harvey.

Uszykowane w szeregu włochate gąsienice żwawo pełzły za swoim przywódcą przez ścieżkę. Harvey spojrzął na zegarek. - Tam, nad błyszczącą rzeką - powiedział. Z otaczającego nas owadziego brzęku wyłowiłem dźwięk samolotowego silnika. Popatrzyłem tam, gdzie wskazywał palec Harveya, i ujrzałem samolot niezbyt wysoko nad horyzontem.- Wyrzuci bieliznę dokładnie nad doliną - zapowiedział Harvey. Prawie dokładnie w tej chwili pod samolotem rozpostarł się spadochron. - Najpierw instruktor - stwierdził Harvey. - To daje kursantom poczucie pewności siebie. O, teraz. - Sześć spadochronów wystrzeliło na niebie jak indiańskie dymne sygnały. - Dobrze im idzie - stwierdził. - Wylądują prosto w celu. Robimy trzy skoki za dnia i dwa w nocy. Instruktorzy są z Centrum Szkolenia Specjalnego US Army w Forcie Bragg. Nieźli twardziele.

- To miło - odparłem. Patrzyliśmy, jak skoczkowie zwijają spadochrony i odchodzą przez gęste poszycie wymachując przy tym meczetami. Co chwila słychać było młazszący wybuch granatu ręcznego lub serię z pistoletu automatycznego wraz z małym kłębkim dymu. W ogóle to do mnie nie pasowało i rzuciłem Harveyowi spojrzenie, żeby to zaznaczyć.

- To ci się spodoba - powiedział Harvey. Ruszył dalej. - Na dole, w dolinie, mówią, że znaleźli ślady dinozaura...

- Stać. Nie ruszać się - zawołano głośno i przenikliwie. Stałem nieruchomo; Harvey tak samo. Potrzebna mi była cała minuta, by dostrzec w krzaskach żołnierza. Miał twardą, opaloną twarz i jasne oczy. Ubrany był w nakrapianą, kamuflującą kurtkę i lekkiego stetsona; miał karabin automatyczny. Poruszał się wolno i ostrożnie wśród wyschłych korzeni i połamanych belek.

- Newbegin i kursant Dempsey ze świeżego naboru - powiedział Harvey.

- Zdejmijcie bardzo wolno wasze plastikowe identyfikatory. Połóżcie je na ziemi i odsunąć się.

Zdjęliśmy z koszul na piersiach plakietki, położyliśmy je na ziemi i odsunęliśmy się do tyłu. Wartownik podniósł plakietki, spojrzął na zdjęcia i na nasze twarze. - Pułkowniku Newbegin, proszę podać pański numer.

- 308334003 AS/90 - rzucił Harvey.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - powiedziałem.

- On jest z dzisiejszego naboru - oznajmił Harvey. - Przecież wam mówiłem.

- No, to chyba wszystko w porządku - oświadczył niechętnie strażnik. -

Widziałem już tu pana przedtem, panie pułkowniku Newbegin.

Wartownik podał nam nasze plakietki. - Jak nazywacie ten rodzaj broni? - zapytałem.

- AR 10 - powiedział Harvey. - Udoskonalila je Fairchild Aviation Armalite Division, wykorzystując aluminium i piankę plastikową. Siedemset pocisków i siedemset pięćdziesiąt stóp na sekundę. Cacuszko, waży tyle co nic. - Zwrócił się do wartownika:

- Daj mu, niech poczuje ciężar w ręku. - Wartownik przekazał mi broń. - Osiem funtów. Fantastyczne?

- Fantastyczne.

- Magazynek z dwudziestoma pociskami kalibru używanego w NATO: siedem koma sześćdziesiąt dwa. Popatrz na nowy typ spustu ognia ciągłego. Cacuszko, ta AR 10. - Harvey wziął karabin i omiół nim dookoła na próbę. Twarz mu się ściagnęła, zęby przygryzły dolną wargę. - Ręce do góry - wrzasnął. Ruszaliśmy się za wolno. - Ręce do góry, powiedziałem. No, przykręcamy żaróweczki. - Zwrócił się do wartownika. - Padnij - rozkazał.

- Dwadzieścia pompek. Dwadzieścia. Licz je. Nie ty, kretynie - powiedział do mnie. - Nie oddaje się broni. - Wartownik wyglądał żałośnie. Był to osiemnastoletni Meksykanin. Zatrudniano ich tutaj jako stałych wartowników.

- Dwadzieścia pompek - powtórzył Harvey.

- Harvey - powiedziałem - daj spokój. Jest za gorąco, żeby bawić się w Bergen-Belsen.

Harvey wyglądał, jakby miał wątpliwości, ale pozwolił zabrać sobie broń. - Masz, dzieciaku - rzekłem i rzuciłem ją wartownikowi. Ten wykorzystał okazję, żeby ponownie zaszyć się w krzakach.

- Nie powinieneś tego robić - oświadczył Harvey z pretensją.

- Ależ Harvey, jesteś wygodnickim, rozkosznym chłopaczkiem, który odnosi sukcesy tylko przez przypadek. Taka pogoń za wydajnością w ogóle do ciebie nie pasuje.

- Może masz rację - odparł Harvey. Następnie podniósł głos:

- Stąd możesz teraz lepiej zobaczyć te trzy budynki. Patrz, jak trzy większe otaczają mały płaski i bez okien. Ten budynek wygląda na waźniaka, prawda? Teraz tam pójdziemy. Nazywamy go Mózgiem. W innych mieszczą się sale wykładowe i hale gimnastyczne dla plujów i przedszkolaków. Te zabudowane

przejścia łączą trzy budynki, bo czasami mamy tutaj bardzo tajne osoby. To znaczy chcemy, żeby twarzą tych kursantów nie widziała reszta uczniów.

- Żelazna Maska - powiedziałem.- Właśnie - odparł Harvey. - Następny przystanek - Bastylia.

Jedyną nadziemną częścią Mózgu jest hol recepcyjny. Drzwi zewnętrzne mają wagę wrót do skarbcza bankowego. W środku powietrze jest czyste, suche i chłodne. Po lewej stronie znajduje się długi szereg kabin z kolorowymi drzwiami, opatrzonymi dużymi numerami. Dwóch umundurowanych mężczyzn siedziało na środku sali w akwarium ze zbrojnego szkła. Wewnątrz tej wieżyczki znajdowało się dwanaście monitorów, dzięki którym strażnicy mogli nadzorować dojścia do budynku i orientować się, kiedy otworzyć elektryczne drzwi. Gdy szliśmy po podłodze, widziałem, jak drobne figurki, Harveya i moja, poruszają się na dwóch ekranach. Podłoga była biała i zapewniała maksymalną widoczność na monitorze.

- Do przodu - powiedział drugi strażnik. Harvey zdjął plakietkę identyfikacyjną, wszedł na maszynę przypominającą dworcową wagę bagażową i włożył do niej identyfikator. - Plakietki identyfikacyjne - wyjaśnił Harvey - zmienia się co tydzień. Metalowa taśma na boku karty ma ładunek elektryczny - to jakby kawałek taśmy magnetofonowej. Ta maszyna odczytuje, aby się upewnić, że odpowiada aktualnemu wzorcowi, a jednocześnie fotografuje mnie, moją plakietkę oraz waży mnie. Jeśli coś z tego nie odpowiada zapisowi w maszynie, drzwi się zamykają - także drzwi od wind - i w Nowym Jorku oraz w dwudziestu miejscach na tym terenie rozlega się dźwięk alarmu.

- Kabina dwadzieścia jeden dwadzieścia - powiedział strażnik.

- I co teraz, Harvey? - zapytałem.

- Idź do kabiny - jest całkiem duża - rozbierz się i wejdź pod prysznic.

Prysznic zakręci się automatycznie, osuszy cię dmuchawa z ciepłym powietrzem. Potem przebierz się w biały kombinezon zrobiony z papieru. Zostaw wszystkie ruchomości w zdjętym ubraniu. Drzwi zamkną się za tobą automatycznie. Nie zabieraj ze sobą zegarka, ponieważ przy ostatnich drzwiach wmontowany jest wykrywacz metalu. Najmniejszy drobiazg i zacnie się straszny wrzask, więc nie zapomnij o czymś. Okulary i klucze przełóż przez małą szparkę. Zobaczysz wypisaną instrukcję w tej sprawie.

- W trzech językach? - zapytałem.

- W ośmiu - odpowiedział Harvey.

Wyszliśmy po drugiej stronie. Wyglądaliśmy jak dwa duchy. - Cały budynek - wyjaśnił Harvey - jest uszczelniony i nieprzenikalny dla pyłów. - Weszliśmy do windy i ruszyliśmy na dół. „Stój nieruchomo” - głosił napis na ścianie na przeciw drzwi windy.

- To monitor telewizyjny - powiedział Harvey. - Strażnik przy wejściu może obserwować jeżdżących z piętra na piętro. - Staliśmy nieruchomo. - Harvey uniósł słuchawkę zielonego telefonu i powiedział: - Wizyta 382 na poziomie różowym. - Rozbłysnął napis: - Potwierdzam zgodę.

Zeszliśmy długim korytarzem do drzwi z napisem: „Operacja Łotwa: Pilotarz”. W środku znajdował się długi rząd komputerów, wydających z siebie niski, melodyjny dźwięk, niczym kręcący się dziecinny bączek. - Ma to charakter operacyjny - powiedział Harvey. - Ryga to operacja pilotażowa i dlatego śledzimy ją tak uważnie. Te maszyny programują nasze operacje. Tu biorą początek wszystkie akcje wszystkich agentów.

Harvey opowiedział mi, że każda sekcja komputera została ochrzczone na wzór części ludzkiego mózgu: Rdzeń, Most, Śródmózgowie. Pokazał mi, jak dane informacje zwane „neuronami” są przepuszczane przez „synapsy”. Mówiłem „tak” na wszystko, ale dla mnie każda maszyna wygląda tak samo. Był to duży pokój, w którym kilkunastu ludzi naciskało guziki i wkładało szpule z taśmami do szarych urządzeń. Niektórzy z nich nosili słuchawki z dyndającymi wtyczkami, które niekiedy podłączali do maszyny, kiwając głowami z zawodowym znużeniem, niczym lekarze osłuchujący pierś pacjenta.

- Teraz uważaj - powiedział Harvey. Wskazał na rząd ośmiu drzwi w ścianie naprzeciwko. - To laboratorium indoktrynacyjne.

- Wejdźcie do numeru czwartego - powiedział ktoś z personelu. - Zaraz puścimy strumień.

Za drzwiami numer cztery znajdowała się przegroda światło-szczelna, a za nią mroczna kabina przypominająca sterówkę wielkiego samolotu. W pomieszczeniu czuć było dziwny, korzenny zapach. Siedział tam człowiek w lotniczym fotelu i patrzył w ekran telewizora. Niektóre obrazy były kolorowe, niektóre czarno-białe. Niektóre były nieruchome, inne były fragmentami filmu. Było tam ujęcie wiejskiej uliczki z domami ze zniszczonych desek i mnóstwem koni dookoła. Z boku, na drugim ekranie pojawiał się nieustannie strumień odpowiadających tym obrazom słów w rosyjskim i łotewskim językach: koń, dom, ludzie, ulica. Puszczono to na

zasadzie strumienia świadomości - Harvey mi to potem wyjaśnił - w celu stałego wzbogacenia słownictwa kursanta. Z głośnika dobiegał mówiący po łotewsku głos, ale Harvey wręczył mi słuchawki z angielskim tłumaczeniem. - ... aż skończyłeś szesnaście lat - stwierdził komentarz. - Potem przyjechał twój wujek Manfred. Był żołnierzem. - Zdjęcie wuja Manfreda pojawiło się na ekranie.

- Tak wyglądał wuj Manfred w 1939 roku, gdy miałeś szesnaście lat. Ponownie ujrzałeś go w 1946. Wyglądał tak. Po raz ostatni widziałeś go w 1959. Wyglądał tak. A teraz puszcze ci szpulę z życiem wuja Manfreda, ale przedtem mam parę pytań. - Dodatkowy ekran przestał nadawać strumień słów. - Co zawierają te dwie butelki na ekranie?

- Z zielonym kapslem - jogurt, ze srebrnym - mleko - odparł kursant.

- Dobrze. - Butelki zniknęły i pojawiła się ulica. - Jak się nazywa to kino i co grano tam w Wielkanocny weekend?

- Nigdy nie chodzę do kina - powiedział kursant.

- Bardzo dobrze - stwierdził komentator - ale musiałeś zauważyć plakaty. To chyba w tym miejscu czekasz na tramwaj wracając z pracy do domu?

Nastąpiła dłuższa przerwa. - Przepraszam - powiedział kursant.

- Będziemy musieli jeszcze raz przerobić miejscową geografie

- stwierdził komentator. - Na razie damy temu spokój. Teraz puścimy parę razy wuja Manfreda.

Na ekranie szybko, jedno za drugim wyświetlono zdjęcia mężczyzny. Ułożone były w porządku chronologicznym. Widziałem, jak starzeje się na moich oczach. Rysy twarzy, i rozstaw oczu zmieniały się wraz ze zmianą zdjęć. Niesamowicie było na to patrzeć. Zadrzałem. Harvey zauważył to. - No właśnie - powiedział. - Ja też tak się przy tym czuję. Zauważ, że puścili tylko krótką sekwencję. Później będą puszczać coraz dłuższe epizody, aż całe życie przewinie się, w ciągu trzech minut. Oczywiście to zapada prosto w podświadomość; nie ma mowy o zapamiętywaniu.

- Jeszcze raz - oświadczył głos i strumień obrazów ponownie przepłynął przez ekran.

- W ciągu pięciu dni - powiedział Harvey, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz kabiny - możemy tak zaindoktrynować człowieka, że naprawdę będzie bardziej wierzył legendzie niż własnym wspomnieniom. Gdy ten facet znajdzie się w Rydze, będzie wiedział, jak poruszać się po mieście, będzie znał każdy fragment swego życiorysu od dnia, gdy ojciec podarował mu jasnobrazowego pluszowego misia, po

film, który oglądał zeszłej nocy. Nie musi pamiętać liczb i faktów, po prostu rzeczywiście zna ludzi i rzeczy ze swojej legendy. Robimy zdjęcia specjalne, fotografujemy jego motocykl, psa, wykorzystujemy aktorów do kręcenia filmów z krewnymi, siedzącymi w pokojach, w których dorastał. Pokazujemy zdjęcia i filmy jego rodzinnego miasta z czasów, gdy był dzieckiem. Gdy stąd odjeżdżają, nikt nie jest w stanie ich złamać, wierzą we własną legendę, są schizofrenikami. Zauważyłeś ten zapach? Zawsze panuje tu taka sama temperatura, wilgotność i ten zapach, tak że umysł jest warunkowany przez otoczenie. Harvey podszedł do drzwi z napisem „Sala Wypoczynkowa”.

- Co powiesz na chwilę wypoczynku? - zapytał. - Tu właśnie trzymamy gorącą blondynę.

- Wiedziałem, że to science fiction - odparłem.

- W czasie kursu indoktrynacyjnego uczniom należy się chwila przerwy - powiedział Harvey. - Siedzą tutaj przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, rozmawiając w języku docelowego kraju od pobudki do chwili, gdy pójdą spać, tam, w tych małych kabinach. Nawet wtedy nie dają im spokoju, bo budzi się ich nagle w nocy i zadaje pytania w języku, którego mają nie znać. Jeśli choćby wyrazem twarzy dadzą znać, że zamierzają odpowiedzieć, dokłada im się automatycznie kolejne dwanaście godzin. Uczą się szybko, wierz mi, uczą się szybko.

W pokoju wypoczynkowym znajdowała się lada barowa z kawą, pączkami, zimnym mlekiem, gorącą zupą, tabletkami alka seltzer, chlebem i opiekaczem do grzanek. Harvey nalał dwie szklanki mleka i położył dwa pączki na tekturowe talerzyki. Usiedliśmy w wygodnych krzesłach z włókna szklanego. Rozłożono tu kilkanaście magazynów, był telewizor, cztery telefony - w tym jeden czerwony z napisem „alarmowy” - i mała oświetlona tablica, na której podawano aktualne informacje meteorologiczne: „Temperatura minimalna 70. W San Antonio 79. Wilgotność 92%. Ciśnienie 296. Częściowe zachmurzenie. Wiatr południowo-wschodni, 12 mil na godzinę”. Nie było tu blondynki poza damą w telewizji, pokazującą nam płyn do czyszczenia w nowej, nie tłukącej się, plastikowej butelce.

- Skomplikowane, co? - zapytał Harvey między kęsami pączka.

- To największe niedomówienie roku - powiedziałem.

- Kosztował ponad miliard dolarów - oznajmił Harvey - Ponad miliard. Stary - generał Midwinter - ma prywatny apartament siedem pięter pod powierzchnią ziemi. Nie wolno mi go ci pokazać, ale to coś kapitalnego. Ma tam nawet basen pływacki.

Pompy zmieniające w nim wodę kosztowały trzysta tysięcy dolarów każda”  
Fantastyczne: oświetlenie jest tam tak urządzone, że ma się wrażenie, iż to światło  
dienne. Może oglądać otaczający krajobraz na kblorowej telewizji, jeśli ma ochotę.  
Naprawdę fantastyczne: szesnaście pokoi gościnnych, każdy z łazienką wielką jak  
mój salon.

- Miło wiedzieć, że będzie przyjmować gości po przeżyciu Trzeciej Wojny  
Światowej.

- Szybciej się tu usmażę, niż przeżyję. Mam tutaj cztery miesiące ciągłej  
służby. Odchodzę od zmysłów.

- Tak - przytaknałem.

- Nie chce cię zanudzać - powiedział Harvey - ale powinieneś zrozumieć, że ta  
kupa drutu praktycznie rzecz biorąc może myśleć - to programowanie linearne - co  
oznacza, że zamiast przebiegać przez wszystkie człony alternatywy, jest w stanie się  
domyślić, który z nich jest właściwy. Co więcej, prawie nic nie pracuje tutaj w notacji  
binarnej - to normalna metoda komputerów - bo to zwykły wybór między „tak” i  
„nie”. (Jeżeli możesz wczytywać tylko „tak” i „nie”, to na zapis cyfry  
dziewięćdziesiąt dziewięć potrzeba siedem dziurek). Te urządzenia pracują na  
chipach ceramicznych, które magazynują elektryczność. Przechowują w pamięci  
każdą kwotę od jedyńki do dziewięciu. To dlatego całe urządzenie jest takie małe. -  
Dopiliśmy mleko. - No, wracamy do kamieniołomów - powiedział wstając Harvey. - I  
jeśli można cię prosić o przysługę: na miłość boską, przestań wciąż powtarzać „tak”. -  
Harvey przeszedł przez dwoje drzwi i zjechał w dół ruchomymi schodami. -  
Nazywamy to Spoidłem Wielkim: to najbardziej skomplikowany z istniejących do  
dziś komputerów. Urządzenia w tym budynku kosztowały ponad sto milionów  
dolarów, a za wyposażenie i oprzyrządowanie Midwinter wybulił prawie drugie tyle.  
Ci... są wszyscy absolwentami college’ów i wyższych kursów matematyki lub czegoś  
podobnego.

Przeszliśmy przez małe pomieszczenie banku danych. Operatorzy posługiwali  
się dziurkaczami, a potem przenosili wyniki na taśmę. Dwóch stało pod tablicą z  
zakazem palenia, próbując ukryć zapalone papierosy, a jeden absolwent college’u i  
wyższych kursów siedział pod napisem głoszącym „Myśl na poziomie”, czytając  
ilustrowany magazyn zatytułowany *Potwory Wudu opanowują Ziemię*.

- Widziałeś urządzenia operacyjne - powiedział Harvey. - Pracują nad  
projektem Łotwa. Jeśli projekt Łotwa zakończy się sukcesem, to wszystkie zasoby

Mózgu znajdują swoje zastosowania. - Przerwał przed zamkniętymi drzwiami z napisem „Projekt Główny”. Na zewnątrz stało dwóch strażników okrytych khaki i nieruchomych niczym sklepowe manekiny. Wymienili hasło i odzew z Harveyem, a następnie każdy z nich rozpiął koszulę i wyłowił kluczyk zawieszony na łańcuszku na szyi. W drzwiach znajdowały się trzy dziurki oznaczone Alpha, Beta i Kappa. Harvey wyciągnął kluczyk pasujący do trzeciego zamka i nad wszystkimi trzema zapaliło się czerwone światło. Harvey otworzył drzwi. Ten pokój był olbrzymi jak dok lotniskowca. Wszędzie rozciągały się rzędy komputerów. Jarzyło się tu tylko parę białych świateł. Odgłos naszych kroków odbijał się echem, jakby z przeciwnego końca ktoś szedł nam na spotkanie. Urządzenia tylko tykały. „Wyłączone” głosiła plastikowa kartka. Ponad szeregami urządzeń widniały napisy: „Okręg 21 wraz z Odessą, Okręg 34 do umocnień Kurska, Moskiewska centrala oraz centra rządowe niezależnie od miejsca położenia, Strefa Przybrzeżna 40.”

Maszyny szumiały i prychały z cicha, jakby ostrzeżono je, by zniżyły głos. Cienka warstewka oleju, okrywająca każdy istotny komponent, emalia i metalowe taśmy były tak rozgrzane, że aromatyzowały powietrze, dotrzymując kroku wymieniającym je urządzeniom klimatyzacyjnym. Zapach był oświecający i skuteczny niczym eter w izbie przyjęć olbrzymiego szpitala, prowadzonego przez maszyny i dla maszyn.

- Co jest takiego w tej operacji na Łotwie - uświadomiłem sobie, że mówię szeptem - co te maszyny zastosują wobec Rosji?

- Zwykle sprawy - odparł Harvey. - Sabotaż linii komunikacyjnych, kryjówek z bronią, instrukcje do wojny partyzanckiej, przygotowanie lotnisk i punktów zrzutu, podziemne radiostacje, rekonesanse i minowanie strefy przybrzeżnej, no i praca dla wojskowej dwójki. Normalna robota.

- Normalna robota? - zapytałem. - Jeśli to jest normalna robota, to, na miłość boską, nigdy nie próbuj zaskoczyć mnie czymś nadzwyczajnym. To wojna totalna w poszukiwaniu teatru działań..

- Nie martw się - odparł Harvey. - To tylko dla Midwintera. Trójwymiarowe szachy, tak trzeba na to spojrzeć. Trójwymiarowe szachy dla milionera.

- Mat królowi - powiedziałem.

## **Rozdział 18**

Harvey mieszkał z żoną i dwojgiem dzieci parę mil za miastem przy drodze do



Laredo i granicy meksykańskiej. Pojechałem przez miasto, zamiast obwodnicą. Nie jest to typowe amerykańskie miasto, pospolite, oszklone, chromowane i z neonami; Alamo City to miejski łachman przetarty na brzegach i wołający o świeżą farbę. Minąłem sklepy z odzieżą z drugiej ręki oraz szyld: „Używane książki i rewolwery” na Commerce Street. Teksaszczyki dzielą miasto z Meksykanami, a Teksaszczyki i Meksykanie - z żołnierzami. Była siódma wieczór i żandarmeria węszyła już wokół klubów i barów położonych w - używając określenia Teksaszczyków - „okupowanym Meksyku”. Za granicą miasta napisy tłoczyły się przy autostradzie: „Alkohole”, „Leki”, „Śniadania przez cały dzień”, „Radarowa kontrola prędkości”, „Uważaj na jelenie ryczące po zmierzchu”, „Wyjście”, „Zapnij pasy”, „Mexiteria”, „Zestaw firmowy za 10 dolarów”, „Wstąp na Pizzę”, „Benzyna”, „Poborowi 25.9”, „Ziemniaki 35c”. Wypatrywałem stacji benzynowej znajdującej się na mapie Harveya i skręciłem na nie utwardzoną drogę, na której kamienie waliły w podwozie łazika. Pasma kurzu osiadły na przyciemnionej przedniej szybie. Znajdowały się tu całe jpołacie uschłych pniaków, przypominające pole bitwy z I Wojny Światowej. Miejscami ziemia obsunęła się, odsłaniając zbieleńskie kamienie połyskujące w zapadającym zmierzchu. Daleko przede mną na wąskiej polnej drodze stało pół tuzina krów. Mężczyzna w pikapie walnął ręką o drzwiczki wykrzykując: - Hej, hej. Krzyk był głośniejszy niż szum samochodów na opuszczonej przeze mnie autostradzie. Wypatrywałem tablicy sygnalizującej teren wydzielony ze względu na plagę korników. Skręciłem tam i podążyłem za dwiema bliźniaczymi koleinami, które znaczyły ścieżkę do domu.

Zbocze pokrywały białozółte polne kwiaty, a blisko domu rosła kępka drzewek. Dom był wąski, przezroczysty i świecił się żółtym światłem. Jeden koniec budynku podparła stalowa łapa, drugi wgryził się w skałę. Pod wyższym końcem stał szary buick - widziałem, jak prowadził go Harvey - i długi, czarny lincoln Continental wyglądający, jakby Prezydent Stanów Zjednoczonych zajechał tu nim na pizzę i piwo.

Harvey pomachał mi z balkonu i wrzucił kostki lodu do dużej szklanki. W powietrzu unosił się orzeźwiający po upalnym dniu zapach polnych kwiatów i trawy. Dwa dzieciaki Harveya uganiały się w pizamach wśród drzew. Mercy Newbegin zawołała do nich: - Dzieci, czas do łóżka - co wywołało jeszcze więcej indiańskich wrzasków bojowych i krzyk: - Mamo, jeszcze pięć minut. - Mercy Newbegin odparła: - Dobrze, ale dokładnie pięć minut. - Weszła do salonu, w którym zabawiałem się z martini. Dom cechowała wykwinna prostota. Przypominał trochę oszklony barak

wojskowy, ale pełno tu było mahoniów, hebanów i skór zebrzych, a wysoki miedziany stożek na środku pokoju przemieniał się w kominek po włączeniu do kontaktu. Harvey wyciągnął się jak długi na owczej skórze w rogu pokoju. Mercy usiadła przy nim.

- Widział pan Mózg? - zapytała mnie Mercy. Ubrana była w koronkową piżamę z surowego jedwabiu, z rodzaju tych, które nosi się na reklamach drinków.

- Czy widział go? - odparł Harvey. - Odbył pełną turę: lotnisko-hotel-muzea-galeria-zabytki-lotnisko. Zniósł to po bohatersku.

- Dlaczego tak się o tym wyrażasz? - powiedziała Mercy. - Na pewno interesuje cię, jak działa Mózg. Przecież to twoja praca.

Harvey chrząknął.

- Dzieci - zawołała Mercy' - jesteście już w łóżkach? - Rozległ się gwar dziecięcych głosów, potem młodsze dziecko zajrzało przez drzwi. - Jest tu Simon, tatusiu?

- Nie - odpowiedział Harvey - nie sędzę. Simon to kot - wyjaśnił mi. - Był spekulantem wojennym.

- Nie był, tato - zaprzeczyło dziecko.

- Był, Hank - oświadczył Harvey - matka i ja nie chcieliśmy ci o tym mówić. - Harvey zwrócił się do mnie: - Widzisz, podczas wojny koreańskiej ten kot...

- Nie, nie był - powiedział Hank bardzo głośno. Był jednocześnie bardzo rozgniewany i zadowolony.

- No to dlaczego - odparł Harvey bardzo rozsądnie - kręci się tu w długim płaszczu z karakułowym kołnierzem? I dlaczego pali cygara? Pali cygara. Wytlumacz to, jeśli potrafisz.

- Nie był spekulantem wojennym - powiedział Hank. - Simon nie pali cygar.

- Może nie wtedy - upierał się Harvey - kiedy jesteś w pobliżu, ale kiedy wychodzi spotkać się z kotem Wilsonów...

- Dość tego, Harvey - oświadczyła Mercy. - Nabawisz moje dziecko kompleksów, zanim skończysz.

- Twoja matka nie chce, żebyś wiedział o cygarach Simona - stwierdził Harvey.

- Hank, idziemy do kąpieli - oznajmiła Mercy i wyprowadziła go. Usłyszałem, jak dziecko pyta: - Cygara z czekolady, mamusiu, czy takie prawdziwe?

- Mercy ma słabość do tego staruszka, Midwintera, czuje, że ma obowiązek go

popierać. Wiesz, o co mi chodzi?

- Wydaje się, że liczy na nią - powiedziałem.

- Chodzi ci o jego rękę. Ten Midwinter to showman. Nigdy o tym nie zapominaj. To reklamiarz do szpiku kości.

Mercy Newbegin wróciła do pokoju i zamknęła rozsuwane drzwi. - Czasami, Harvey, doprowadzasz mnie do płaczu.

- Więc płacz, kochanie - odparł Harvey.

- Żaden inny mężczyzna nie potrafiłby tak niszczyć mego małżeństwa.

- No, to święta racja, kochanie, jestem twoim mężem. Czego ci trzeba, więcej romansów?

- O wiele mniej.

- Kobiety nie mają w sobie romantyzmu - oświadczył Harvey. - Przeciwnie niż mężczyźni.

- Trudno, żeby kobieta była romantyczna, gdy chodzi o miłostki jej męża - stwierdziła Mercy. Uśmiechnęła się i nalala Harveyowi kolejnego drinka. Napięcie zelżało.

Mercy przyglądała mężowi czuprynę. - Poszłam dzisiaj na wyprzedaż, kochanie.

- Kupiłaś coś?

- Sprzedawali tam nylony, dwadzieścia osiem centów taniej, niż zwykle płacę. Dwie kobiety podarły nylony - naprawdę dobre - które miałam na sobie, a trzecia przejechała-dziecięcym wózkiem po butach za dziewięćdziesiąt dolarów. Czysty zysk: dolar sześć dziesiąt osiem centów. Czysta strata: para pończoch za dwa dolary para butów za dziewięćdziesiąt dolarów. Drzwi rozsunęły się.

- Umyłem się, mamó - powiedział Hank.

- No, to powiedz szybko dobranoc - poleciła Mercy.

- Simon nie był naprawdę spekulantem wojennym, prawda tato?

- Nie, oczywiście, synu, że nie był - przyznał uprzejmie Harvey. - Po prostu, na miarę swoich sił przykładał się do zwycięstwa. - Raptem Harvey obrócił się do mnie: - Mamy tu drugiego kota, nazywa się Boswell. To przywódca związkowy. Zorganizował wszystkie koty w sąsiedztwie poza Simonem. Chłopie, ale to kanciarz. Bierze więcej łapówek niż...

Hank niesłuchanie się podniecił. - Nie jest, tato - wrzasnął. - Nie jest, nie jest, nie jest...

Mercy podniosła Hanka i przerzuciła go przez ramię. - Do łóżka - powiedziała.

- Nabawisz mnie kompleksu, tato, zanim skończysz - wrzasnął Hank.

Kolację podano na patio. Z tego krańca domu - podpartego łapą - rozpościerał się wspaniały widok. Przez szczelinę między dwiema górami światła San Antonia marszczyły się w falującym, nagrzanym powietrzu. - Jestem mieszcuchem - oświadczył Harvey - ale ta kraina krów ma w sobie wiele czaru. Wyobraź sobie wielkie stada długorogiego bydła - może po trzy tysiące sztuk - idące tędy na północ, tam gdzie forsa i pożeracze befsztyków. Stąd wychodziły wielkie tabuny bydła. Twardziele tacy jak Charles Goodnight, John Chisholm i Oliver Loving przecierali szlaki do stacji kolejowych w Cheyenne, Dodge City, Ellsworth i Abilene. Wiesz, jak wędrowali?

- Nie mam pojęcia - odparłem.

- Zrobiłem sobie wycieczkę szlakiem Goodnighta do Fort Summer, a potem szlakiem Lovinga do Cheyenne. Był 1946 rok. Kupiłem jeepa z demobilu i pojechałem wzdłuż Pecos River, tak jak Loving. Stąd do Cheyenne jest dziewięćset mil lotem ptaka, szlak liczy blisko tysiąc czterysta. Podróżowałem naprawdę powoli. Zajęło mi to dziesięć dni, ale w 1867 Loving przeszedł go w trzy miesiące. Koniokradzi, przestępcy, burze podmywające brzegi rzek, Indianie, susza. Ci szefowie poganiaczy...

- Czy Harvey znowu bawi się w kowbojów i Indian? - zapytała Mercy. - Pomóż mi przy wózku, Harvey.

- To interesujące - zauważyłem.

- Niech lepiej nie słyszy, co pan mówi - powiedziała - bo wyciągnie rewolwery i zademonstruje młynek z biodra i strzał bandyty.

- Strzał z biodra i młynek bandyty - poprawił Harvey ze znużeniem. - Wymawiaj to właściwie. - Usiedliśmy i Harvey rozdzielił pieczonego kurczaka na trzy talerze. - Tak, jasnie panie - mówił - szlak kończył się w małym Dodge, gdzie Earp wyzwałby każdego, kto nie zdałby swojego gnata na północ od linii kolei.

- Patrz, co robisz, Harvey. Podawaj, jak należy, albo daj mi to zrobić.

- Tak, pszepani - powiedział Harvey. - *Hombres*, którzy zaszliby do piekła i dali popalić samemu diabłu.

- Nie odkorowałeś wina, Harvey. Kurczę wystygnie, jeśli nie przestaniesz.

- Może ja otworzę wino? - zaproponowałem.

- Proszę bardzo, panie Dempsey. Czasami Harvey tak się podnieca. To po prostu wielkie dziecko. Ale kocham go.

Otworzyłem ostrożnie wino. Był to znakomity Chambertine.

- Niezłe wino - zauważyłem.

- Postaraliśmy się o coś dobrego. Harvey twierdzi, że zna się pan na burgundach.

- Powiedziałem, że je lubi - poprawił Harvey.

- Co za różnica - odparła Mercy, nie życząc sobie odpowiedzi. Mercy Newbegin była przystojną kobietą, która w migoczącym blasku świec wyglądała jeszcze przystojniej. Była drobnej budowy. Jej ramiona wyglądały białe i krucho na tle surowego jedwabiu. Można by powiedzieć, że miała znakomity układ kostny. Cera była bez zmarszczek, koloru kości słoniowej i, choć można było podejrzewać, że jej wzorowy stan jest dziełem salonu piękności, nie umniejszało to w niczym harmonii twarzy, w której brązowe oczy wydawały się większe niż w rzeczywistości, podobnie jak słońce o zachodzie. Była jedwabno-satynową dziewczyną i trudno było sobie ją wyobrazić w drelichach i bawełnie.

- Prawda, że generał Midwinter ma klasę? - powiedziała. - Ma własny pociąg. Ma domy w Paryżu, Londynie, Frankfurtach i na Hawajach. Opowiadają, że w każdym z nich służba codzien nie przygotowuje posiłki i zastawia stół na wypadek, gdyby przyjechał.

To jest coś, prawda? I ten samolot - przyleciał pan nim - czy zna pan kogoś, kto ma dwa czterosilnikowe samoloty odrzutowe do prywatnego użytku?

- Nie - odpowiedziałem.

- Życie, jakie on prowadzi, sprawia, że czuję się rozgoryczona. Tkwię tutaj, w Teksasie, całymi tygodniami. Podczas suszy pchły tropikalne są nie do zniesienia, a wraz z powodziami pojawiają się grzechotniki i miedzianki...

- Łap się za kurczaka - powiedział Harvey - póki jest gorący.

Mercy ujęła porcelanę i srebro elegancką dłonią i odmierzyła porcję dzikiego ryżu oraz królewskiej sałaty. Dała mi okazję, bym zajrzał głęboko w kryształowo-brązowe oczy.

- Założę się, że wasza królowa nie ma dwóch czterosilnikowych odrzutowców na swój własny użytek. Jeden z nich ma wystrój dziewiętnastowiecznego klipra. Nawet wasza królowa...

- Lepiej nie stawaj do licytacji z tym facetem - przerwał Harvey. - Może

podoba mu się odgrywać durnia, ale kiedy poczuje, że mu się dostało, robi się z niego złośliwy sukinsyn.

Mercy obdarzyła mnie sterylnym uśmiechem. - Jestem pewna, że to nieprawda.

- A więc jest nas dwoje - powiedziałem, a Harvey się roześmiał.

- Wy, Brytyjczycy, tak mądrze umiecie przegrywać.

- To przychodzi wraz z doświadczeniem - odparłem.

- Coś ci powiem o tym facecie - oznajmił Harvey wskazując na mnie kciukiem. - Po raz pierwszy zobaczyłem go we Frankfurcie. Siedział w nowym, zabłoconym, sportowym modelu jensena z wystrzałową blondyną, naprawdę wystrzałową. Ubrany był w stare ciuchy, palił gauloise'a i słuchał kwartetu Beethovena. Chłopie, pomyślałem, potrafisz być snobem na tyle sposobów na raz. No, ten facet... - przerwał na chwilę, by przypomnieć sobie nazwisko, którym się posługiwałem - ten Dempsey zna się na tym.

- Nigdy nie pamiętam nazwisk - powiedziała Mercy. - Pamiętam, jak byłem w college'u, dzwonili do mnie mężczyźni, a ja nie miałam najmniejszego pojęcia, kto to jest. Więc pytałam się: jaki masz teraz samochód? - i to pomagało mi przypomnieć sobie. Pomagało mi też zdecydować, czy mam z nim wyjść. - Mercy zaśmiała się subtelnie.

- Mężowie to produkt uboczny małżeństwa - stwierdził Harvey.

- Odpad produkcyjny - poprawiła Mercy Newbegin. Roześmiała się i dotknęła jego ramienia, żeby pokazać, iż tak nie myśli.

- Wciąż powtarzam Harveyowi, żeby sprzedał tego buicka. Wyobraża pan sobie, co ludzie o nim myślą, kiedy widzą go w buicku? Zwłaszcza, że generał Midwinter ma o nim tak dobre mniemanie. Buick do nas nie pasuje, Harvey.

- Miałś na myśli - do ciebie - powiedział Harvey.

- Mógłbyś jeździć do pracy moim lincolnem - rzekła Mercy. - Z klasą.

- Lubię buicka - odparł Harvey.

- Harveyowi bardzo zależy, żebyśmy żyli z jego dochodów. Przecież to takie głupie. To grzeszna duma. Mówiłam mu już: to grzeszna duma, a ja i moje dzieci cierpimy na tym.

- Nie cierpisz - powiedział Harvey - Ciągłe kupujesz sobie suknie u Mainbochera, ciągle masz swoje konie...

- Na Long Island - stwierdziła Mercy. - Nie tutaj.

- Więc jeździsz do domu, na Long Island co miesiąc - powiedział Harvey. - Zawsze w lutym jeździsz do St.Moritz, do Paryża na wiosenne pokazy mody, do Wenecji w czerwcu, do Ascot w lipcu...

- Za własne pieniądze, kochanie. Nie biorę ich z twojego koszyczkowego - roześmiała się. Miała doskonale proporcjonalne rysy oraz doskonale proporcjonalne dłonie i stopy. Rozbłyskujące w uśmiechu zęby były równe i drobne. Gdy rozmowa zasługiwała, by ją spuentować, odrzucała głowę i wybuchała starannie modulowanym śmiechem. - Nie biorę pieniędzy z jego koszyczkowego - powiedziała i roześmiała się raz jeszcze.

## **Rozdział 19**

Następnego ranka o szóstej czterdzieści pięć moja wizyta u Mózgu zaczęła się na poważnie. W mesie wzięłem na śniadanie sok pomarańczowy, płatki, szynkę, jajka i kawę. Trudno było znaleźć czas na papierosa, bo zaraz zaprowadzono nas do magazynu. Każdemu wydano sześć koszul khaki i tyleż spodni, pas, nóż z rękojeścią pełniącą rolę kastetu, skarpetki i bieliznę oraz lekkiego stetsona. Przebraliśmy się w te komplety i zgromadziliśmy w klasie IB o siódmej czterdzieści pięć. Każda mundurowa koszula miała na ramieniu szeroką czerwoną naszywkę z płataniną białych linii, przypominającą splecione razem trzy duże litery W. Harvey załatwił, że na mojej koszuli nosiłem napis „obserwator”, co znaczyło, że będę mógł sobie przypomnieć o wcześniej wyznaczonym spotkaniu, gdy zaczniesz się pod górkę. Naszywka oznacza „Wolny Wybór Wolności”, wyjaśnił instruktor. Był to krótko ostrzyżony facet z Harvardu, z podwiniętymi rękawami i rozpiętym kołnierzykiem. Wokół klasy widniały napisy głoszące: „Myśl na poziomie”. W każdej klasie był przynajmniej jeden taki. Sporo czasu zajmowało wytłumaczenie jego znaczenia zagranicznym kursantom. Nie wiem, czy kiedyś dokładnie je zrozumieli. Ja - nie rozumiałem. W innych częściach budynku znajdowały się napisy mówiące, że: „50% USA jest zdominowane przez komunistów”, „Pornografia i pobudzenie to narzędzia komunizmu” oraz „Bez ciebie USA staną się częścią światowego systemu sowieckiego”.

Żaden z instruktorów i studentów nie znał prawdziwych nazwisk innych osób, a nawet nazwisk przybranych. Nadano nam numery. Pierwsze dziewięć dni (nie było dni wolnych - „Komunizm nie staje na spocznij w niedzielę”) poświęcono zajęciom teoretycznym. Geografia, ze szczególnym naciskiem na rozmieszczenie państw bloku

komunistycznego i Wolnego Świata, historia partii komunistycznej, marksizm, leninizm, stalinizm, materializm wewnątrz ZSRR. Struktura klasowa zagranicznych krajów. Siła partii komunistycznych w różnych obcych krajach.

Dziesiątego dnia ośmiu uczestników mojego kursu przeszło na trzy dni do zajęć fotograficznych, czterech - do kluczy i zamków, a siedmiu poświęciło się studiom nad rzymskim katolicyzmem (Byli to agenci, którym mogło ułatwić pracę podanie się za katolików). Reszta wysłuchiwała serii wykładów o rosyjskich i łotewskich obyczajach i rozpoznawaniu mundurów oraz pojazdów bojowych armii radzieckiej. Potem poddano nas prostemu egzaminowi, który polegał na wykreślaniu głupich odpowiedzi i pozostawieniu najmniej głupiej z nich.

Czternastego dnia przenieśliśmy się do innej części budynku szkolnego. Miały to być zajęcia praktyczne. Obnosiłem się z pokiereszowanym palcem, pokazując go każdemu, kto chciał mnie zapędzić do ostrych numerów. Każdy kurs miał „oficera prowadzącego”, który brał w nim udział od początku do końca. Szkolenie składało się z walki na noże, wspinaczki skalnej, strzelania, obsługiwania materiałów wybuchowych, sabotażu linii kolejowych, ćwiczeń nocnych, czytania map oraz z pięciu skoków spadochronowych: trzech za dnia i dwóch w nocy. Poza jednym Murzynem i parą Bawarczyków, wszyscy studenci byli dobrze przed trzydziestką i mogli pobić na głowę nas, starszych panów, wąpiących w zalety agentów, którzy potrafili biegać, skakać i robić przewroty do przodu.

Spędziłem trzy dni na Zajęciach Praktycznych. Naderwałem sobie mięsień na plecach, jeden palec u nogi ślimaczył się i byłem całkowicie pewien, że oblużowała mi się koronka zęba. Zawsze jestem absolutnie pewien, że jedna z moich koronek się oblużowała. Poszturchiwałem ją językiem, próbując się na coś zdecydować, gdy zadzwonił telefon przy łóżku. To Signe telefonowała ze śródmieścia San Antonio.

- Nie zapomniałeś, że dziś wieczorem jesteśmy umówieni na kolację?

- Jasne, że nie - odparłem, chociaż o tym zapomniałem.

- W klubie „Pieczony Kartofel” o dziewiątej trzydzieści. Wypijemy coś i zastanowimy się, gdzie pójść. Zgoda?

- Zgoda.

„Pieczony Kartofel” to bar na Houston Street w śródmieściu San Antonio. Na zewnątrz różowa, neonowa spirala obwieszcza: „Striptiz. Już teraz. Dwanaście dziewcząt”. Przy wejściu zawieszono królewskiego pokera z fotografii dziewczyn. Długa sala była ciemna, ale światło za barem ukazywało barmana, który ucziwie



nalewał do kreski. Zająłem miejsce przy ladzie i dziewczynie, której przykryte cekinami piersi prawie trącały mnie w rękę. Muzyka zamilkła, dziewczyna ukloniła się i zniknęła za plastikową zasłoną.

- Co podać? - zapytał barman. Zamówiłem Jacka Danielsa. Obok szafy grającej zajęły miejsca dwie dziewczyny, ale żadna z nich nie była Signe. Podano mi drinka. Dziewczęca głowa wychyłała zza plastikowej zasłony i krzyknęła: - Wrzuć dziewiętnastkę

- do jednej z dziewczyn przy szafie grającej. Gramofon ruszył konwulsyjnie i rozległa się głośna bigbitowa muzyka. Striptizerka zawirowała powoli na niewielkiej, pokrytej farbą płycie przy końcu baru. Rozpięła suknię i powiesiła ją porządnie na wieszaku. Potem zdjęła bieliznę, nie tracąc przy tym równowagi - sztuka, za którą zebrała oklaski - i przeszła się po kontuarze kołysząc piersiami. Rytm i ruchy stały się bardziej orgiastyczne, aż nagle się skończyły zziądaną ciszą. Pojawiła się kolejna dziewczyna.

- Jak ci się to podoba? - zapytał barman. Podał mi drinka i kartę członkowską.

- To tak - odpowiedziałem - jakby jeść czekoladę nie odwijając jej ze sreberka.

- W tym cały kłopot - stwierdził barman. Przytaknął ruchem głowy.

- Czy około dziewiętej trzydzieści widział pan tu blondynkę? - zapytałem.

- Hej, nazywasz się Dempsey?

- Tak - powiedziałem. Podał mi zatkniętą za butelkę Long Johna kartkę.

Napisano na niej: „Szybko do Sachmeyera”, a potem adres w meksykańskiej dzielnicy, blisko drogi szybkiego ruchu. Napisano ją szminką. Gdy wkładałem kartkę do kieszeni, otworzyły się drzwi i dwóch żandarmów weszło do baru. Ich białe czapki i pałki zaślniły w rozproszonym świetle odbitym od ciała striptizerki. Popatrzyli przez chwilę na dziewczynę, przeszli miękkiem krokiem za rzędem siedzących przy barze mężczyzn, a potem cicho i łagodnie wyslizgnęli się na ulicę.

- To twoja laleczka? - zapytał barman. Nie czekał na odpowiedź. - Niezła sztuka.

- Tak - przyznałem.

- Słuchaj, nazywam się Callaghan, też jestem ze starej ojczyzny - oznajmił.

- Tak - powiedziałem. - No, chyba już pójdę.

- Ta twoja dziewczyna lubi się zgrywać. Przyszedł jej znajomy, powiedział: „Łapki w górę” udając, że ma broń, a ona zgrywała się razem z nim, aż wyszli. On też

odstawiał niezłe numery. Napisała tę kartkę udając, że szuka czegoś w torebce. Masz zwariowanych przyjaciół. Podoba mi się ich poczucie humoru. Trudno sobie dać radę bez niego, zwłaszcza w mojej robocie. Właśnie niedawno... hej, nie dopiłeś swojego Jacka Danielsa.

Adres, który napisała Signe, znajdował się na południe od Milam Square. Za Banana and Produce Company opuszczony budynek powiewał rozdartymi plakatami: „Papa Schwartz na sędziego okręgowego”, „Sanders ponownie do parlamentu stanowego”, „Parking zarezerwowany dla domu pogrzebowego”.

Na ulicach tłoczyły się wąskie witryny sklepów i kapiące od brudu kafejki. Na wystawach sklepowych figurki świętych dzieliły miejsce z pułapkami na szczury, wyświechtanymi magazynami filmowymi, i obciążonymi kośćmi do gry. Znalazłem sklep, którego szukałem: otwarta Biblia i cytat z niej wypisany bielidłem na szybie. W przejściu duża, plastikowa wywieszka głosiła: „Sachmeyer. Dentysta. Pierwsze piętro. Wejdz”. Wszedłem.

Znalazłem proste drewniane drzwi z napisem „Wejść”. Były zamknięte na klucz. Pomacałem na górnej framudze i, jak można się było domyślić, znalazłem tam klucz. Wszedłem. Pierwsza była poczekalnia - zaniedbane pomieszczenie, gdzie tapicerka wylewała się z porzniętych nożami plastikowych obić. Wszedłem do gabinetu. Był to duży pokój z dwoma oknami, które rozbłyskiwały neonowym światłem znajdującego się na zewnątrz szyldu. Neon tykał z cicha przy zmianie kolorów. W na przemian różowym i niebieskim świetle ujrzałem tace wypełnione kleszczami, zdzieraczami, lusterkami dentystycznymi, wziernikami i wiertłami oraz jeszcze dwa stoliki pod instrumenty, zawierające mniej więcej to samo w większej ilości. Był tam rentgen, rolki waty spoczywające na bojlerze, uchwyty na formy i sztanca oraz szklane półeczki uśmiechające się sztucznymi zębami. Był też duży fotel dentystyczny z umieszczoną nad nim okrągłą lampą. W fotelu znajdował się mężczyzna. Jego ciało osunęło się bez życia, jak poszarpana szmaciana lalka. Głowa ześliznęła się z zagłówka, a ręce niemal dotknęły podłogi. Był to rosły mężczyzna z zakrzywionym nosem i pobrużdżoną, zatroskaną twarzą. Z ust wypełzła mu długa, martwa dżdżownica zaschłej krwi. Przybierał kolor różowy i niebieski, znów niebieski i różowy, a potem niebieski. Policyjny motocykl z włączoną syreną przejechał z rykiem po estakadzie, znajdującej się na wysokości okna gabinetu. Dźwięk syreny ścichł w dalekiej, upalnej nocy. Zbliżyłem się do ciała. Na klapie marynarki znajdował się emaliowany znaczek z symbolem WWW. Nie wiem, jak

długo wpatrywałem się w mężczyznę, ale przerwały mi dźwięki ludzkich głosów w poczekalni. Uniosłem dentystyczne dółtko, postanawiając drogo sprzedać życie.

- Liam, czy to ty, kochanie? - To był głos Signe.

- Tak - powiedziałem ochryple.

- Co tam robisz w ciemnościach, najdroższy? - zapytała wchodząc po omacku do pokoju i zapalając wszystkie światła. Harvey znajdował się tuż za nią.

- Czekaliśmy na ciebie na dole - powiedział. - Nie spodziewaliśmy się, że wpadniesz tutaj z powodu zębów trzonowych. - Roześmiał się, jakby udało mu się powiedzieć coś bardzo dowcipnego. Za Harveyem stał jeszcze jeden człowiek. Zdjął marynarkę i wdział białą kurtkę.

- Chyba się do państwa nie przyłączę - powiedział z ciężkim, niemieckim akcentem. - Pewien facet może się tu zjawić w każdej chwili.

- Spójrz na twarz Liama - powiedziała Signe.

- Sądysz, że odkryłeś tu jakiś nikczemny spisek? - zapytał Harvey z nonszalancją.

- Dr Sachmeyer pracuje nad zębami amerykańskich kursantów Mózgu - wyjaśniła Signe. - Można odkryć czyjaś narodowość patrząc mu w zęby. Dr Sachmeyer musi zrobić im europejskie uzębienie.

- Umieram z głodu - oświadczył Harvey. - Zjemy coś chińskiego czy meksykańskiego? Komu w de, temu w ce. - Wyciągnął palce jak pistolety, a Signe uniosła ręce. - Stawiam kolację - powiedział Harvey. - Niezawisły Angol zaprzedał duszę Mózgowi i wszechmocny szef poganiaczy Midwinter wzywa go, by wykonał specjalne zadanie.

- Jakiego rodzaju? - zapytałem.

- Zadanie - Niebezpieczeństwo. Param-pam-pa-pam - odparł Harvey, imitując początkowy akord otwierający serial telewizyjny.

- Jaki rodzaj niebezpieczeństwa? - zapytałem, chociaż doszedłem już do wniosku, że Harvey jest podpity.

- Towarzyszenie tej księżnej - odparł Harvey wskazując na Signe, która uderzyła go żartobliwie. Przyszło mi do głowy, że kłócili się ze sobą i nie całkiem doszli do porozumienia.

- Mogę podolać temu rodzajowi niebezpieczeństwa - stwierdziłem.

Apetyt Harveya odniósł nad nim zwycięstwo zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej, na tej samej ulicy, i chociaż Signe nalegała, żeby udać się do śródmieścia,

Harvey postawił na swoim. Była to wychodząca na trotuar meksykańska restauracja, w której menu wypisano na szybie. Telewizor, umieszczony wysoko w rogu, nastawiono na walki bokserskie, a hiszpański komentator dostał takiej samej wścieklizny, jak walczący. Pod ekranem, niebaczna na tę rzeź, siedziała grupa mieszkańców śródmieścia wydzielająca Guerlaina i Old Spice'a i zapoznająca się z życiem ludu.

Harvey błaznował udając, że jest rewolwerowcem, co miało znaczyć, iż jest wobec mnie sarkastyczny. Signe zachowywała się powściągliwie i cały czas trzymała mnie kurczowo za ramię, jakby bała się Harveya.

- Czemu siedzisz jak na szpilkach? - zapytał ją Harvey.

- Tak tu gorąco. Jak myślisz, może pójde do toalety i zdejmę pas? - powiedziała.

- Jazda - odparł Harvey. - Baw się dobrze - ale Signe się nie ruszyła. Patrzyła na mnie.

Słowo „pas” rozwiązało problem. Mężczyzna w fotelu dentystycznym był krzywonosym sprzedawcą pasów z podwiązkami. Fragolli, nasz kontakt w Leningradzie. Nie miał nic wspólnego z Ameryką. Jak to możliwe, że miał amerykańskie uzębienie? Harvey i Signe wypchnęli mnie stamtąd zbyt szybko.

- Właśnie - powiedziałem między kęsami *frijoles*. - Nabijacie mnie w butelkę.

Signe złapała mnie kurczowo za ramię. - Nie odchodź - powiedziała.

- Kłamaliście oboje - oświadczyłem.

Signe spojrzała na mnie rozszerzonymi smutkiem oczyma. - Zostań tu - powiedziała, dotknęła moich palców i pogłaskała je. Bokserzy w telewizji zadawali sobie ciosy i parowali je.

- Nie - odparłem.

Uniosła moją dłoń i włożyła koniuszki palców w miękkie, półotwarte usta. Wyrwałem rękę.

Jeden z ludzi przy stoliku w rogu mówił właśnie: - ...nazwy wyspy, gdzie najpotężniejsze siły natury zostały objawione człowiekowi. To dlatego nazwali ten kostium bikini - a jego towarzysze ze śródmieścia zgodnie się roześmieli. Wypadłem na ulicę.

Oświetlone sklepy wymalowały żółte pasy na chodnikach. Grupki mężczyzn stały tu i tam. Gadali, klócili się, grali w karty. Lamy sklepowe oświetlały ich, jakby były to wartościowe eksponaty rozmieszczone w muzeum. W powietrzu wisiał

dziwny, wszechogarniający błękit, charakterystyczny dla tropikalnych nocy, oraz słodki zapach kminku i gorącego chili. Wracalem w pośpiechu drogą, którą tu przyszlismy. Rozpryskiwalem kałuże żółtego światła, minalem sklep wypelniony drobnymi figurami błękitnych bokserów toczących w milczeniu zajadłą walkę. Otarlem się o grupkę Meksykanów i ruszyłem biegiem. Za sklepem z Biblią w oknie zapuscilem się po omacku na klatkę schodową prowadzącą do Sachmayera i wszedłem na schody. W poczekalni wpadłem na mężczyznę w samej koszuli zabawiającego się słomkowym kapeluszem. Pod ramieniem miał dużą kaburę, a za nim stał w progu policjant w niebieskiej koszuli, muszce, hełmie motocyklowym i bryczesach.

- Gdzie się tak spieszymy? - zapytał wysoki gliniarz.

- Co się tu dzieje? - odparłem. Policjanci uważają natychmiastową odpowiedź za pewną oznakę winy.

Mężczyzna ze słomkowym kapeluszem włożył go na głowę i wyciągnął nie wiadomo skąd zapalone cygaro. Zaciągnął się nim.

- Trup jakiegoś gnojka w fotelu dentystycznym. A teraz odpowiedz na moje pytanie. Kim, do diabła, jesteś?

Syrena zawyla bardzo głośno. Na dworze rozległ się pisk opon.

- Jestem angielskim reporterem - powiedziałem. - Poszukuję lokalnego kolorytu.

Jeszcze dwóch gliniarzy z wyciągniętymi rewolwerami wgramoliło się na schody. Głos wyłączonej syreny zamierał przez dłuższy czas. Jeden z gliniarzy za moimi plecami założył mi nelsona. Detektyw z cygarem przemówił tym samym co poprzednio niespiesznym tonem.

- Zabierzcie tego klienta na posterunek. Pokażcie mu trochę lokalnego kolorytu. Może powie wam, jak to się dzieje, że wie o morderstwie w tym mieście przed wami.

- Szukam tylko lokalnego kolorytu - oświadczyłem. - Nie guza.

Łopatki policyjnej radioli wciąż jęczały z cicha.

- Uważajcie z tym Angolem. Nie chcemy, żeby Scotland Yard wlał nam w paradę w tej sprawie. - Wszyscy policjanci głośno się roześmieli. Detektyw musiał być co najmniej kapitanem. Patrolowi sprawdzili mnie na dół po schodach i przeszukując mnie wykonali rutynowy numer: ręce-na-dach-samochodu-nie ruszać-się. Gapiłem się na oślepiający blask wirującego światła. Za plecami usłyszałem głos

Harveya: - Cześć, Bernie - i odpowiedź detektywa: - Cześć, Harv. - Obaj byli na luzie. Nalepka na policyjnym samochodzie głosiła: - „Twoje bezpieczeństwo - to nasz interes”.

- To swój chłopak, Bernie - powiedział Harvey. - Generał chce, żebym dziś wieczór wysłał go do Nowego Jorku.

Gliniarz skończył mnie rewidować i rozkazał:

- Włóż do samochodu. - Jeśli generał bierze za niego odpowiedzialność - stwierdził - ... widzisz, może będziemy musieli go wezwać.

- Jasne, jasne - oświadczył Harvey. - Słuchaj, Bern, byłem razem z nim prawie przez trzy godziny.

- Dobra - powiedział detektyw. - Ale musisz uzupełnić zaległości w moim funduszu wyborczym.

- Wiem, Bernie, pogadam o tym z generałem.

- Nie zapomnij - powtórzył detektyw. - Byłem rad, że jest tak blisko wyborów.

- Krzyknął do dwóch gliniarzy, żeby przekazali mnie Harveyowi.

- Wracaj i dokończ swoje *frijoles* - powiedział Harvey. - Właśnie w ten sposób, wyskakując w środku posiłku, można nabawić się niestrawności.

- To nie niestrawności się boję - odparłem.

## **Część VII Nowy Jork**

*Raz dwa trzy cztery*

*Maszerują oficery*

*A za nimi oficerki*

*Pogubiły swoje serki*

Rymowanka dziecięca

### **Rozdział 20**

Piąta rano. Manhattan niebieszczył się od chłodu. Łatwo było sobie wyobrazić w soczystym upale południowego Teksasu, że nadeszło lato; trzydzieści sekund spędzonych w Nowym Jorku rozwiewało to złudzenie. Przejeżdżałem przez śródmieście Manhattanu w prowadzonym przez szofera cadillacu generała Midwintera (tym z obiciami ze skór leoparda). Piąta nad ranem to martwe oko cyklonu nocy na Manhattanie. Przez tę jedną godzinę miasto spoczywa bezwładnie.

Karawany zajechały przed miejskie szpitale, ale jeszcze nie zaczęto ich ładować. Zamknięto ostatnie kino na Czterdziestej Drugiej Ulicy i nawet w salach bilardowych zatknięto kije do stojaków. Taryfy zniknęły, ale w biurówcach nie pojawili się jeszcze sprzątacze. Zamknięto knajpki, ale nie otworzono jeszcze kafejek. Ostatni kloszard owinał się gazetami i wyciągnął na ostatniej ławce w Battery Park. Dalej, na targowisku, inni otoczyli płonące beczki smoły. Dziennikarze prowadzący rubrykę „z ostatniej chwili” wyłączyli radia w samochodach; było tak zimno, że nawet włamywacze pozostali w swoich mieszkaniach ku nieutulonemu żalowi policjantów marzących o tym, by rozmrozić sobie uszy w okolicznych domach. Siedemdziesiąt tysięcy miejskich, bezpieczeństwa kotów wykonało ostatni skok na gołębie w Riverside Park lub na szczury na targowisku, a teraz i one zapadły w sen pod długimi rzędami nieruchomych samochodów. Nawet hiszpańskojęzyczne rozgłośnie zawiesiły działalność. Sprężona para syczała z prędkością czterystu kilometrów na godzinę pod powierzchnią jezdni wystrzelając tu i ówdzie widmowymi obłokami. Mokre gazety snuły się, jak okiem sięgnąć, po ciągnących się długo w dal ulicach, aż do nabiegłego krwią świtu. Poza tym nic się w mieście nie ruszało.

Samochód jechał cały czas Broadwayem aż do Wall Street, gdzie zatrzymał się przed szklanym urwiskiem, w którym odbijały się mniejsze budynki, jakby uwięzły tam w pułapce. Szczupły mężczyzna bez koszuli, z pistoletem i w skrzypiących butach otworzył szklane drzwi, a potem zamknął je znów na klucz i poprowadził mnie ku rzędowi wind z napisem: „Bezpośrednie połączenie. Tylko na 41-50 piętra”. Człowiek z pistoletem żuł z zadumą gumę. - To cudowne, prawda - powiedział cicho, tak jak ludzie mówią w nocy. - Współczesna nauka. - Nacisnął guzik windy po raz trzeci.

- Tak - odparłem. - To tylko kwestia czasu, zanim maszyny będą naciskać guziki wzywając ludzi.

Powtarzał to sobie, gdy zniknął za zamykającymi się drzwiami. Winda jechała tak szybko, że strzeliło mi w uszach. Cyfry migają niczym przy grze w Bingo. Gdy zatrzymałem się, rozległo się „bim-bom”. Stał tam mężczyzna w białych spodniach i przepoconej bluzie z napisem „Midwinter Minig Athletic Team” na piersiach.

- Tędy, koleś - powiedział i ruszył korytarzem strzelając w powietrze białym ręcznikiem. Na końcu korytarza mieściła się sala gimnastyczna. Dokładnie pośrodku był generał Midwinter. Pedałował metodycznie. - Podejdz tu, chłopcze - zawołał. Ubrany był w szerokie, białe szorty, biały podkoszulek i białe, bawełniane

rękawiczki. - Przybywasz w samą porę - powiedział, jakby przemawiał do pakunku, zadowolony ze skuteczności własnej organizacji i transportu. - Słyszałem, że nie było ci lekko na Zajęciach Praktycznych. - Spojrzał na mnie i mrugnął. - Pedaluję z Nowego Jorku do Houston - powiedział.

- Pięć i trzy czwarte - oznajmił człowiek z „Midwinter Mining Athletic Team”. Midwinter pedałował w milczeniu przez chwilę, a potem rzekł: - Utrzymuję kondycję, chłopcze. W zdrowym ciele zdrowy duch. Pozbądź się nadwagi.

- I tak podobam się sobie - odparłem. Midwinter zapatrzył się na kierownicę.

- Pobłażanie sobie idzie w parze z podnietami i pornografią. To rozmiękcza kraj. To są narzędzia komunizmu. - Czoło miał wilgotne od potu.

- Rosjanie nienawidzą pornografii - oznajmiłem.

- U siebie - powiedział Midwinter. Sapał teraz lekko. - U siebie - powtórzył i kiwnął na mnie palcem. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że mruganie Midwintera to tik nerwowy. - Budowali statki z drewna i ludzi z żelaza - powiedział. - Teraz budują statki z żelaza i ludzi z drewna.

- Rosjanie?

- Nie, nie Rosjanie - odparł Midwinter.

- Dokładnie sześć mil, panie generale - oświadczył człowiek w sportowym podkoszulku. Midwinter zszedł z roweru treningowego, starając się nie przejechać ani centymetra ponad normę. Sięgnął za siebie po ręcznik, nie oglądając się, czy tam się znajduje. Mężczyzna w sportowym podkoszulku postarał się, żeby się znalazł, a potem nałożył gumową rękawiczkę na pokrytą bawełną sztuczną dłoń Midwintera. Midwinter przeszedł do kabiny i zniknął pod prysznicem. Rozległ się hałas wody i donośny głos Midwintera oświadczył: - Obecnie istnieją tylko dwa rodzaje nastawień duchowych. Albo oczekujesz, że wszystko załatwi ci rząd, jakbyś był jakimś inwalidą. Albo oczekujesz, że dostaniesz wszystko od pieluch po porcelanę z jakiejś państwowej fabryki, a twoje ciało skończy w przyłomie kompostu, gdzie przygotowuje się nawóz.

- Życie pośmiertne w charakterze nawozu nie jest moim największym problemem - oświadczyłem. Midwinter nie usłyszał albo wolał nie usłyszeć. Głos ciągnął dalej:

- ... albo uważasz, że każdy jest obdarzony wolnością, by walczyć o to, co uważa za słuszne. - Hałas wody ustał, ale Midwinter nie zniżył głosu. - Ja w to wierzę. Na szczęście nasz kraj budzi się ze snu, wielu ludzi wyznaje, że i oni w to



wierzą. - Zapadła cisza, a gdy Midwinter znów się pojawił, ubrany był w biały szlafrok kąpielowy. Ściągnął gumową rękawiczkę z bawełnianej ręki. Rozległ się odgłos cmoknięcia. Rzucił ją na podłogę.

- Interesują mnie fakty - oznajmił.

- Doprawdy? W dzisiejszych czasach niewielu ludzi się nimi interesuje.

Midwinter przemówił miękki głosem, jakby wciągnął mnie do bardzo szczególnego interesu: - W sondażu Gallupa osiemdziesiąt jeden procent Amerykanów oświadczyło, że woli wojnę nuklearną od komunizmu. W Brytanii uważa tak tylko dwadzieścia jeden procent. Gorąckokrwisci Amerykanie skupiają się wokół antykomunistycznych przywódców; nie ma teraz czasu na wewnętrzne kłótnie. USA musi podwoić wydatki na zbrojenia. Musimy umieścić na orbicie efektywnego satelitę wojskowego i lepiej, żeby Ruscy wiedzieli, że użyjemy go - nie powinniśmy pieścić się z nim tak, jak z bombą atomową - musimy natychmiast podwoić wydatki. - Spojrzał na mnie i oko drgnęło w nerwowym tiku. - Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem pana? - powiedziałem. - To ta sama Ameryka, która zerwała z Jerzym III, ponieważ sześćdziesiąt tysięcy funtów to było za dużo, żeby płacić na wojsko. Ale nawet jeśli to jest dobry pomysł, to czy ZSRR nie pójdzie po prostu do przodu i czy też nie podwoi swojego budżetu wojskowego?

Midwinter poklepał mnie po ramieniu. - Może. Ale my wydajemy obecnie dziesięć procent dochodu narodowego brutto. Możemy to podwoić bez większych cierpień. A ZSRR już wydaje dwadzieścia procent swojego dochodu narodowego. Jeśli podwoi tę sumę, chłopcze, to się załamie. Rozumiesz mnie: załamie się. Europa musi przestać ukrywać się za bronią nuklearną Wuja Sama... Musi ubrać w mundury trochę swoich rozkoszników. Musi zmęźnieć. Zewrzeć szeregi i rąbnąć ich z całej siły. Rozumiesz mnie?

- Z mojego punktu siedzenia brzmi to niebezpiecznie - powiedziałem.

- To jest niebezpieczne - odparł Midwinter. - Pomiędzy 1945 a 1950 Czerwoni rozprzestrzeniaли się z prędkością sześćdziesięciu mil kwadratowych na godzinę. Odwrót przybliżyła groźbę wojny, ponieważ w końcu uderzymy na nich, a, moim zdaniem, im wcześniej, tym lepiej.

- Pożądam faktów tak samo jak pan, ale fakty nie zastąpią inteligencji. Pan sądzi, że najlepszym sposobem stawienia czoła niebezpieczeństwu jest stworzenie prywatnej armii dzięki zyskom z puszek z olejem i fasolą, mrożonego soku pomarańczowego i z reklam oraz prowadzenie własnej, nie wypowiedzianej wojny

przeciwko Rosjanom.

Machnął zdrową dłonią w powietrzu; duży pierścień ze szmaragdem błysnął w chłodnym świetle poranka. - Właśnie, synu. Chruszczow powiedział kiedyś, że będzie popierał wszystkie wojny antykolonialne ponieważ, oświadczył, cytuję, mają one charakter powstań ludowych, koniec cytatu. No i to właśnie zamierzam zrobić na obszarach okupowanych przez Czerwonych. Rozumiesz mnie?

- Tego rodzaju decyzje - powiedziałem - powinny należeć wyłącznie do rządu.

- Wierzę, że człowiek obdarzony jest wolnością, by walczyć o to, co uważa za słuszne. - Oko Midwintera znowu mrugnęło.

- Może jest - przyznałem. - Ale to nie pan walczy. Walczą biedne sukinsynki, takie jak Harvey Newbegin.

- Uspokój się, synu - powiedział Midwinter. - Zdejm nogę z gazu.

Spojrzałem na Midwintera i pożałowałem, że próbowałem się z nim spierać. Byłem zmęczony wojną; nienawiść przyprawiała mnie o mdłości. Byłem zmęczony i bałem się Midwintera, bo on nie był zmęczony. Był odważny, potężny, zdecydowany. Polityka była zwykłą walką czarnych i białych twardzieli - jak w telewizyjnym westernie - dyplomacja miała służyć demonstrowaniu twardości. Midwinter był wspaniały, poruszał się jak bokser wagi muszej, unoszony poczuciem pewności siebie. Miał wszystkie szare komórki, które można kupić za pieniądze i wiedział, nie oglądając się przez ramię, że tysiące Amerykanów maszeruje za nim bębniąc, trąbiąc i wymachując wielką atomową pałą. Ale dobry agent powinien myśleć szybko i trzymać gębę na kłódkę. Trzymałem więc gębę na kłódkę. - Czy ochrania pan Amerykę - zapytałem - zatrudniając drugorzędnych bandziorów w Rydze? Dotując gwałt i zbrodnie w ZSRR? Wszystko to tylko wzmacnia tamtejszy rząd i policję.

- Ja mówię o... - powiedział głośno Midwinter, ale tym razem zagłuszyłem go.

- W porządku. W Ameryce robi pan nawet więcej, żeby pomóc Rosjanom. Rozprowadza pan fałszywe oskarżenia i budzi w kraju fałszywe obawy. Obrzuca pan błotem Kongres. Obrzuca pan błotem Sąd Najwyższy. Obrzuca pan błotem nawet Prezydenta. W komunistach nie podoba się panu to, że nie może im pan wydawać rozkazów. Ja wolę Amerykę z urnami wyborczymi i wolę, żeby moje rozkazy wydawał ktoś, kto ma twarz, a nie telefon. Nie można telefonowi zajrzeć w oczy, żeby sprawdzić, czy kłamie.

Odwróciłem się od nich. Jedyny ocalały z „Midwinter Mining Athletic Team” gapił się na mnie.

Midwinter był szybki. Zdrowa ręka złapała mnie za ramię.

- Zostaniesz - powiedział cicho. - Wysłuchasz mnie. - Wyrwałem mu się, ale rosły mężczyzna w przepoconej bluzie zajął miejsce między mną a drzwiami. - Powiedz mu, Caroni - polecił Midwinter. - Powiedz mu, że nigdzie nie pójdzie, zanim mnie nie wysłucha. - Popatrzyliśmy na siebie.

- Dobra - odparłem. - A teraz niech pan puści moje ramię. Miętosi pan mój jedyny porządny garnitur.

- Jesteś zmęczony - stwierdził Midwinter. - Jesteś wyczerpany. - Jego twarz przeszła od fazy numer jeden: groźba, do fazy numer dwa: dobroć. - Caroni - krzyknął - załatw temu facetowi ciepły garnitur, buty, koszulę i resztę. Zaprowadź go pod mój prysznic. No i popracuj nad nim. Spędził całą noc w samolocie. Odśwież go. Zjemy śniadanie za godzinę.

- Dobrze, panie generale - powiedział beznamiętnie Caroni.

- Zostaję tutaj, Caroni - oznajmił Midwinter. - Zrobię jeszcze trzy mile. W ten sposób dojadę do linii kolejowej w Tennessee.

Wziąłem prysznic, a Caroni ułożył mnie na leżance i dał dobry wycisk mojej nadwadze, wyjaśniając przy tym niektóre subtelniejsze kwestie związane z zawałem serca. Garnitur - sztuczne tworzywo i czesana wełna, wzór w jodełkę - nadszedł jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej w niebieskim pudle, używanym w magazynach Brooks Brothers. Gdy wprowadzono mnie do prywatnego apartamentu Midwintera, wyglądałem jakbym przyszedł sprzedać mu polisę ubezpieczeniową.

Stół zastawiony był skandynawskim srebrem i przykryty jasno-żółtym lnianym obrusem. W tym apartamencie - przeciwnie niż w jego rezydencji w dzielnicy willowej - pełno było nierdzewnej stali, nowoczesnych, abstrakcyjnych obrazów i krzeseł, które musiał zaprojektować architekt. Midwinter siedział pod obrazem Matisse'a na dziwacznym, odrutowanym tronie, w którym wyglądał jak aktor ze złego filmu o kosmonautach. Wlepił oczy w dwuokularową lornetkę i gapił się przez okno.

- Czy wiesz na co patrzę? - zapytał. Rozpościerał się stąd wspaniały widok na Statuę Wolności, Ellis Island oraz, prawie niewidoczne we mgle, szczyty Staten. Fale w zatoce były chłodne i szare, a każdą z nich pocętkowała brudna piana. Pół tuzina holowników zataczało się ku Hudson River. Na promie ze Staten Island zaczęto upychać pasażerów z biletami miesięcznymi.

- Napływa jakiś wielki statek? - zapytałem.

- Patrzę na jastrzębie, rozpiętość skrzydeł trzy stopy, wielkie sokoły wędrownie; żywią się małymi ptakami. - Opuścił lornetkę. - Mieszkają na tych ozdobionych budynkach. Upodobały sobie zwłaszcza gotyckie wieże kościelne. Zwykle patrzę rano, jak polują. Prawdziwa prędkość. Prawdziwa klasa. - Odwrócił się, by spojrzeć na mnie. - Słuchaj... - powiedział nagle bardzo głośno. - Ten garnitur wygląda bardzo dobrze. Załatwił ci go Caroni?

- Tak - odparłem.

- No to każe mu, żeby mi dostarczył taki sam.

- Niech pan posłucha, panie Midwinter - zacząłem - doceniam komplementy prawione przez bogatych, zapracowanych ludzi, a zwłaszcza, gdy są nieszczerze, ponieważ nie muszą oni pochlebiać nikomu, jeżeli tego nie chcą. Ale czasami sprawia to, że czuję się zakłopotany, więc jeśli panu wszystko jedno, wolałbym usłyszeć od razu, czego pan sobie życzy.

- Jesteś bezpośrednim młodzieńcem - powiedział Midwinter. Podoba mi się to. Amerykanie lubią trochę gry wstępnej, zanim przejdą do interesów. Trochę „jak-się-ma-pańska-żona-i-roz-koszne-dzieci” - zanim wydadzą rozkaz. Wy, Brytyjczycy, się w to nie bawicie, co?

- Nie chciałbym wprowadzić pana w błąd, panie Midwinter - odparłem - wielu się w to bawi.

Midwinter położył lornetkę na stole i nalał nam kawę. Zjadł sporo jajecznicy na grzance, zanim odezwał się ponownie i to tylko po to, by zapytać, czy mi smakuje. Zniknął ostatni kąsek. Midwinter zajął się wargami, ocierając je serwetką, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Twój przyjaciel Harvey Newbegin zdezerterował - powiedział.

- Zdezerterował?

- Zdezerterował.

- W moim słowniku dezzerteruje się tylko z wojska. Chce pan powiedzieć, że porzucił pański zespół?

- Chcę powiedzieć, że porzucił ten kraj. - Przypatrywał mi się uważnie. - Zaskoczony, co? Rozmawiałem w nocy przez telefon z jego słodką żoneczką. Przeszedł przez granicę - granicę z Meksykiem - zaraz po tym, jak odjechałeś wczoraj w nocy. Domyślamy się, że chce przejść do Rosjan.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Nie zgadzasz się z tym?

- Tego nie powiedziałem.

- Ach! - krzyknął Midwinter. - Zgadzasz się, tak? Jasne, synu. Wystawił cię na strzał i dostałeś lanie. Gdyby ci ruscy gliniarze się nie wtrącili, byłbyś martwy. Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś był martwy, a moi chłopcy wolni, ale to nie zmienia faktu, że Harvey kazał im dać ci wycisk. Potem, gdy uwięzili cię komunistyczne gliny, nagle zabrali cię, żebyś był świadkiem aresztowania. Jak sądzisz, dlaczego to zrobili?- Sądzę, że zabrali mnie tam, żebym wrócił obciążony.

- Właśnie - powiedział Midwinter. - Dlaczego?

- Obciąża się kogoś winą za zdradę, żeby ochronić zdrajcę.

- Właśnie - stwierdził Midwinter. - Newbegin dobił już przedtem targu z komunistami, ale mógł uniknąć oskarżenia przez krótki, dodatkowy czas, robiąc cię w rulon. Zrozumiałeś to, co? Podejrzewałeś Newbegina.

- To prawda - odparłem.

- Niejedno można z ciebie wydusić, synu. Ty naprawdę odróżnisz mustanga od perszerona. - Błysnął ku mnie przyjaznym uśmiechem.

- Tak - odpowiedziałem. - Ale nie rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje.

- Chcę, żebyś sprowadził tu Harveya Newbegina. - Midwinter wskazał na puste krzesło przy oknie, żeby dokładnie mi wytłumaczyć, gdzie mam dostarczyć Harveya. - Nieważne, ile to będzie kosztowało. Daj listę wszystkiego, czego ci potrzeba. Wykorzystaj moich wszystkich ludzi. Mogę ci zapewnić całkowitą współpracę policji wszędzie w Stanach...

- Ale jego nie ma w Stanach - powiedziałem cierpliwie.

- No to ty to wyniuchasz - oznajmił Midwinter. - Wiem tylko tyle, że prawdopodobnie jesteś jedyną żyjącą osobą, która jest dla Harveya Newbegina bliskim przyjacielem. Masa ludzi może go odnaleźć, ale facet, który go znajdzie, musi mu umieć przemówić do rozumu. Co więcej - dodał Midwinter figlarnie - wyobrażam sobie, że masz powody, by nie być do niego szczególnie przyjacielsko nastawionym.

- Kiedy zahaczysz wieloryba, wolno zwijaj linkę - powiedziałem. -  
Odgrywanie roli Judasza nie jest w moim stylu.

- Bez obrazy, synu - odparł Midwinter. - Może ty jesteś w stanie okazywać tolerancję i podchodzić do sprawy niczym chłodny zawodowiec po tym, jak skopano cię prawie na śmierć. Jeśli możesz, podziwiam to, podziwiam cię. Tutaj też nie ma miejsca na wady osobowości, a organizacja góruje nad wszystkim. Ta organizacja znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek na świecie. Jeśli Harvey Newbegin przekaże

posiadane informacje Rosjanom, nigdy sobie tego nie wybaczę.

- I prawdopodobnie CIA siądzie panu na kark z powodu zagrożenia bezpieczeństwa państwowego.

Midwinter przytaknął nerwowym ruchem głowy. - Tak - powiedział. - Mogę upaść i to z wielkim hukiem. - Rąbnął krawędzią sztucznej ręki w stół jak mistrz karate podczas rozgrzewki.

- Mamy do czynienia z jeszcze jednym czynnikiem - rzekł Midwinter. - Ta dziewczyna, nazywa się... - Udał, że szuka w pamięci.

- Signe Laine - podrzuciłem.

- Racja - przytaknął Midwinter. - Czy można jej ufać?

- Można jej ufać w niektórych sprawach - odpowiedziałem.

- Jest uczuciowo związana z Harveyem Newbeginem - oznajmił Midwinter. - Ta dziewczyna, Laine, jest członkiem naszej organizacji. Przy normalnym rozwoju wypadków, jej powierzyłbym zadanie nawiązania kontaktu z Harveyem, ale w tych okolicznościach - znowu poklepał swoją rękę - zostajesz tylko ty. Nie dopuść, żeby wpadł w ręce Rosjan.

- On już jest w rękach Rosjan - odparłem.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedział Midwinter. - O przewidywanie, analizowanie naszych posunięć i decyzji. Wiesz, o co mi chodzi. Nie powinien zostać ich doradcą.

- Chce pan śmierci Harveya Newbegina - zaznaczyłem.

- Spokojnie, chłopcze - powiedział Midwinter. - Przez wiele lat kochałem Harveya Newbegina i jego żonę. Harvey ma próżną, neurotyczną osobowość. Rozmawiałem już dziś rano z jego psychoanalitykiem. Zgadza się ze mną. Harvey żyje w świecie fantazji: seksualnych, romansowych, politycznych i towarzyskich. Miewał już wątpliwości co do własnej roboty. Pomów z nim. Powiedz mu... - Miękką, plamista twarz starego człowieka zmarszczyła się, jakby zaraz miała opaść. - Powiedz, że mu przebaczone. Nie będziemy o tym wszystkim więcej mówić i będzie mógł spędzić rok odpoczywając na plaży. Powiedz mu, że nawet rozmawiałem z Mercy. Powiedziałem jej, żeby przestała tak go naciskać.

- Być może powinien jej pan to powiedzieć dawno temu - stwierdziłem.

- Powiniennem - przyznał Midwinter. Posmarował masłem grzanekę, operując nadgarstkiem jak szermierz, a potem ugryzł kromkę w rogu. - Chciała dla męża tylko wszystkiego najlepszego.

- Tak jak Lady Macbeth - powiedziałem. Przybrzeżna łódź policyjna rzuciła kotwicę na szarych wodach zatoki, a gliniarz w kurtce zapinanej na zamek błyskawiczny dziabął unoszący się na wodzie tobołek. Midwinter żuł grzanekę. - Powinienem być - powtórzył.

Skończyłem jeść i położyłem na stole ręcznie haftowaną serwetkę.

Gliniarze przymocowali tobołek do łodzi, która odpłynęła głośno posapując.

- Uda ci się sprowadzić zbłąkaną owcę - oświadczył Midwinter.

- Możliwe - odparłem.

Twarz Midwintera zachmurzyła się, gdy się zastanawiał, czy powiedzieć mi, jaka kara grozi za porażkę. Wyobrażam sobie, że większość rozmów Midwintera kończy się podaniem kary grożącej za porażkę. Patrzyliśmy na siebie, a potem Midwinter powiedział: - Sprowadzisz zbłąkaną owcę - przez zaciśnięte zęby, decydując się zakończyć zachęcającym akcentem.

- Dobra - oświadczyłem. - Był pan ze mną szczery, a teraz ja będę szczery z panem. Przede wszystkim, niech lepiej pan sobie uświadomi, że pańska organizacja w północnej Europie zda się psu na budę.

- Powiem ci dokładnie... - zaczął Midwinter.

- Wysłuchaj mnie pan - przerwałem. - Newbegin od dawna werbował dla pana agentów-widma. Odprowadza na lewo pańskie pieniądze. Daje paczkę z pieniędzmi jednemu waszemu agentowi, który następnie przekazuje ją drugiemu prawdziwemu agentowi, ten przekazuje ją trzeciemu, a tak się składa, że to jest Harvey Newbegin w fikuśnym przebraniu. Harvey oddaje potem pieniądze do banku na swoje konto. Prawdopodobnie robi to z każdą siatką, do której ma dostęp. Reszta siatki istnieje tylko na papierze.

- Miesiąc temu nie uwierzyłbym w to - powiedział Midwinter.

- No cóż, lepiej żeby pan uwierzył w to teraz - oświadczyłem - ponieważ sporo od tego zależy. Znam niektóre z tych dętych siatek i wiem, gdzie odkłada pieniądze, ale muszę znać je wszystkie, żeby na pewno móc dostać Newbegin. Nie ma czasu do stracenia.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Midwinter.

- Powinienem pobrać z Mózgu personalia i zdjęcia wszystkich pańskich agentów, którzy mieli dostęp do Harveya Newbegin.

- To Finlandia i Wielka Brytania. Dwa kluczowe obszary - powiedział Midwinter. - Nasza cała operacja pilotażowa.

- Dobrze - powiedziałem. - Niech mnie pan upoważni do uzyskania tych informacji i pokaże odpowiedni kod telefoniczny.

- To złożona sprawa - odparł Midwinter grając na czas. - I, co więcej, mógłbyś rozłożyć całą naszą operację.

- Już jest rozłożona - stwierdziłem. - Nie możecie wykorzystać żadnego z tych agentów, jeśli Harvey Newbegin zaczął sypać.

- Może to prawda - przyznał Midwinter - ale według normalnej procedury należałoby utrzymać ich w stanie *abgeschaltet*), *sz* Rosjanie ujawnią Newbegin lub my go znajdziemy.

- Taki jest mój warunek - powiedziałem. - Kiedy po raz pierwszy powiedział pan, że jestem jedynym człowiekiem, który może się zbliżyć do Newbegin, nie wierzyłem panu. Ale ma pan rację. Jestem jedyny.

- Mógłbyś rozłożyć cały mój plan. - Popatrzył na mnie bez wyrazu. Nie mrugał. - Chcesz za wiele.

- Dobra - przyznałem. - Dam panu premię za uбиcie targu.

- Co takiego? - zapytał Midwinter.

- Większość pieniędzy ukradzionych panu przez Harveya Newbegin wpłacono do Bexar County National Bank, 235 North Saint Mary, San Antonio na konto pani Mercy Newbegin.

Stary człowiek załamał się, jakbym uderzył go w twarz. Wiedziałem, że wygrałem, a problem etyki nie sprawił mi szczególnego kłopotu.

- Cóż - stwierdził Midwinter. - Nie musisz brać mnie pod but. Wiesz, że muszę się zgodzić.

Pozwoliłem mu więc dojść do ładu ze zdradą Mercy Newbegin - dzierżycielki jego lewej ręki - tak powoli, jak sobie tego życzył. Przyłożył lornetkę do oczu i stał bez ruchu patrząc na morze. Gdy się odezwał, nie oderwał od niej wzroku:

- Przyjdź tu o dwunastej, zapytaj o głównego kierownika do spraw technicznych Midwinter Mining. Będzie na ciebie czekał na piętrze zajmowanym przez Midwinter Science Foundation. Powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć.-

Dziękuję za garnitur - powiedziałem. - Proszę mi za niego potrącić z wypłaty.

- Zrobię to - odpowiedział Midwinter. Niezwykle łagodnie rąbnął sztuczną dłonią o krawędź stołu, jakby pokonywał straszliwy opór. Gdy wychodziłem, usłyszałem brzęczyk interkomu Midwintera. Głos Caroniego powiedział: - Widać teraz jastrzębia, panie generale. Na dzwonnicy.



Hol parteru w biurowcu Midwintera zatłoczony był schludnymi, szczupłymi, krótko ostrzyżonymi młodzieńcami o twarzach przyprószonych talkiem. Wszyscy nosili imię i nazwisko na konferencyjnych plakietkach. Mrowili się po holu, jakby wysypano ich z puszek. Umundurowany strażnik zapytał: - Pan na Konwencję Mrozonek? - ale facet ze skrzypiącymi butami powiedział: - W porządku, Charlie. On był u generała. - Na dworze był lodowato zimny ranek. Zmierzchało.

Poszedłem ulicą. Szofer Midwintera zawołał do mnie z wolno jadącego cadillaca. Uniósł słuchawkę telefoniczną spoczywającą na desce rozdzielczej. - Generał - wyjaśnił machając słuchawką. - Mówi, że jestem do pańskiej dyspozycji. - Podziękuj mu - powiedziałem. - A potem spadaj. Takie wielkie, czarne gabloty wnerwiają moich przyjaciół.

- Moich też - odparł szofer i radośnie dodał gazu jadąc ku Brooklyn Tunnel. Strzeliło z gaźnika. Formacja wróbli zakręciła ostro i rozświergotała się, nieświadoma, że z góry przypatrują się jej jastrzębie.

Pojechałem taksówką do mieszkania Signe na Ósmej Ulicy. Dzwoniłem i stukałem do drzwi, ale nie było odpowiedzi. Zszedłem na ulicę do kawiarni, rozmieniłem pieniądze na drobne i zadzwoniłem pod podany mi numer kontaktowy. Organizację Midwintera naprawdę musiano postawić na baczność, bo natychmiast przełączono mnie na osobisty telefon Midwintera.

- Obserwuj je, Caroni - usłyszałem głos Midwintera. Potem powiedział wyraźniej - Tu Midwinter.

- Dempsey. Potrzebuję kogoś do obstawy lokalu w mieście.

- Glinę?

- Glina nada się znakomicie - odparłem.

- Przyślę tam kogoś za dziesięć minut - powiedział Midwinter, - Podaj adres. - Obok okna przejechała taksówka.

- Już po kłopotcie - oświadczyłem. - Wiadomy obiekt właśnie przyjechał.

- Newbegin?

- To nie będzie takie proste - powiedziałem. - Będziemy w kontakcie.

Midwinter mówił właśnie: - Gdzie jesteś? - gdy się rozłączyłem. Przeszedłem przez ulicę i poczekałem, aż odjedzie taksówka, którą przybyła Signe.

Gdy Signe mnie ujrzała, objęła mnie śmiejąc się, pociągając nosem i płacząc. Wziąłem jej torbę z napisem „Braniff Airlines” i dwa pudła z zimowymi butami i zaniósłem do jej mieszkania. Podeszła do lustra. - Dzięki Bogu, że nic ci nie jest -

powiedziała, patrząc w lustro. Wyciągnęła męską chustkę do nosa i ostrożnie przytykała ją wokół oczu tak, żeby nie rozmazać makijażu. - Harvey chciał cię zostawić w tym gabinecie lekarskim. Chciał, żeby cię aresztowano. Sprzeczałam się z nim. - Odwróciła się do mnie od lustra. - Uratowałam cię - powiedziała.

- Dziękuję.

- Nie mówmy o tym. Ja cię tylko uratowałam, to wszystko.

- Co chcesz, żebym zrobił: kupił ci parę butów?

- On opuścił żonę. Chciał, żebym z nim uciekła, ale ja nie pojechałam.

- Gdzie nie pojechałaś?

- Nie wiem. Sądzę, że on też nie wie. Zdenerwował mnie. Nie mogę tak nagle wyjechać. Mam tu książki i meble, i jeszcze więcej rzeczy w Helsinkach. Nie mogę tak nagle wyjechać. - Pomogła mi zdjąć płaszcz i przejechała mi chłodnymi palcami po twarzy, jakby chciała się upewnić, że jestem realny.

- Na czym w końcu stało?

- Harvey powiedział, że teraz albo nigdy, jeśli chodzi o odejście od żony.

Chciał ze mną uciec. Nie kocham go. No, nie kocham go tak. Nie kocham go aż tak, żeby uciec i żyć z nim. Chodzi mi, że kochać kogoś to jedno, a uciec... - Przerwała, aby zapłakać, ale podjęła inną decyzję. - Jestem taka rozkojarzona. Dlaczego mężczyźni biorą wszystko tak poważnie? Niszczą wszystko, biorąc na poważnie moje powiedzonka.

- Kiedy masz wrócić do Helsinek?

- Za trzy dni.

- Harvey wie o tym?

- Tak.

- Napisze do ciebie lub zatelefonuje. Zrób, co ci powie.

- Dam sobie radę z Harveyem - powiedziała Signe. - Nie potrzebuję lekcji.

- Nie udzielałem ci żadnej.

- Dam sobie z nim radę. Lubi historyjki. - Zapłakała z cicha. - To dlatego go kocham, bo lubi moje historyjki.

- Nie kochasz go - przypomniałem jej, ale ona chciała odegrać wielką scenę.

- Na pewien sposób - oświadczyła. - Kocham mieć go przy sobie.

- Tak - powiedziałem. - Ale kochasz mieć przy sobie najróżniejszych ludzi. -

Otoczyła mnie w pasie ramionami i mocno ścisnęła.

- Harvey nie jest ambitny - przyznała - a w tym mieście to zbrodnia. Musisz

być agresywny, rozpychać się łokciami i robić pieniądze. Harvey jest dobry i łagodny. - Ucałowałem jej mokre oczy. Łkała spazmatycznie i było jej z tym bardzo miło. Za oknem ujrzałem żółty plakat. Człowiek na plakacie urządził awanturę w restauracji. - *Czy znasz kogoś takiego?* - głosił plakat. - *Rozrabiacz. Ludzie, którzy są kłopotliwi, często miewają kłopoty. Czy powinieneś im pomóc? Czy możesz im pomóc? Dbaj o zdrowie psychiczne. Konto: Box 3000 NY 1.*

Gdy Signe znowu się odezwała, jej głos był cichy i bardzo dojrzały:

- Harvey wie wszystko o tych urządzeniach komputerowych, prawda? -

Przerwała. - Jeśli spróbuje pojechać do Rosji, to czy będą chcieli go zabić?

- Nie wiem.

- Jak ważne są te urządzenia? Tak ważne, jak mówią?

- Komputery są jak gra w scrabble - powiedziałem jej. - To tylko kupa śmiecia, jeśli się nie wie, jak je obsługiwać.

## **Część VIII Londyn**

*Ele mele hyc*

*gdzie się mamy kryć:*

*czy pod słomę, czy pod dach,*

*wszędzie mamy strach.*

Rymowanka dziecięca

### **Rozdział 21**

Marzec. Londyn wyglądał jak dno wyschniętego akwarium. Nieustanne deszcze i mroź przypuściły atak na ostatnie skrawki farby pospiesznie położonej w lecie. Białe kości prześwitywały przez miękkie ciało miasta. Brudne, zaparkowane rzędami auta wyglądały na porzucone. Na Charlotte Street personel zacierał wyziębłe dłonie z umęczonym wyrazem twarzy, który w innych krajach przybiera się tylko podczas oblężenia.

- Wejść - zawołał Dawlish. Siedział przed małym kominkiem, w którym paliło się węglem, i grzebał tam zagiętym na ostrym końcu starym francuskim bagnetem z uzbrojenia piechoty. Dawlishowi potrzebne było wpadające przez dwa okna światło, przesączające się przez jego kolekcję lekko nadłamanych antyków, które skupował na oślepi, a potem popadał w zwątpienie nad własnymi nabytkami. Wszystko czuć tu

było naftaliną i zleżałym kurzem. Miał stojak na parasole ze stopy słonia, oszkloną szafkę biblioteczną zapchaną wydaniem Dickensa, Balzaka i jaskrawymi książeczkami, które ucza, jak rozpoznać wazę z epoki Ming, jeśli się znajdzie taką u straganiarza na targowisku. Na nieszczęście dla Dawlisha większość straganiarzy przeczytała te same książki. Na ścianach wisały gablotki z motylami i ćmami - jedna z nich miała strzaskane szkło - i tuzin oprawionych zdjęć drużyn krykieta. Odwiedzający biuro zabawiali się w zgadywanie, który to Dawlish w każdej drużynie, ale Jean twierdziła, że kupił je wszystkie tanio na straganie. Położyłem sześciostronicowe sprawozdanie na biurku. Wydział Depesz, gdzie gromadzili się, popijając herbatę, służbowi kierowcy - puszczał na gramofonie płyty z orkiestrą dętą. Zawsze z orkiestrą dętą.

- Chcesz kupić starego vileya? - zapytał Dawlish. Sprawiała mu kłopoty płaska bryła węgla.

- Sprzedaje go pan? - Był bardzo przywiązany do swego starego samochodu.- Nie chcę go sprzedać - powiedział Dawlish. Równy potok jego słów mąciły zawzięte ataki, które przepuszczał na kawał węgla. - Ale po prostu już nie można sobie dać z nim rady. Za każdym razem, gdy wyjeżdżam z warsztatu, znowu zaczyna coś stukać. Staję się samochodowym hipochondrykiem.

- Tak - potwierdziłem. - Przypuszczam, że jest zbywalny. Dawlish porzucił pomysł rozłupania bryły węgla. - Wszystko

jest zbywalne - oświadczył. - Wszystko. Jeśli sprawia więcej kłopotów, niż jest warte, nie należy się liczyć z sentymentami. - Machnął ku mnie rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem.

- To prawda - przyznałem. Patrzyłem na wiszącą na ścianie gablotkę z motylami. - Cudowne kolory - powiedziałem. Dawlish chrząknął i dziabnął bryłę węgla. Ciągle nie udawało mu się jej rozwalić. Ułożył na niej parę mniejszych kawałków. - Co socjaliści zamierzają zrobić z *public-schools*? - zapytał. Byłem jednym z nielicznych chłopaków z *grammar-school*, z którymi Dawlish kiedykolwiek miał styczność. Uważał mnie za autorytet od wszystkich aspektów lewicowej polityki. Podważył bryłę węgla bagnetem, osadził ją na sztorc i tak zostawił. Podmuch powietrza spod uniesionej bryły sprawił, że palenisko parsknęło jak kociak, ale nie zajęło się płomieniem.

- Poślą tam swoich synów - powiedziałem.

- Naprawdę? - zapytał Dawlish, nie okazując wielkiego zainteresowania.

Klasnął w dłonie, żeby otrzepać je z węglowego pyłu, i wytarł je w ścierkę od kurzu.

- Utworzą niebywałą grupę nacisku. Biczowników z klasy robotniczej.

- Och, nie wiem. „Żegnaj gorzkie piwo, witaj słodkie wino” - cóż jest bardziej charakterystycznego dla klasy robotniczej niż to.

- Eton - rzekł Dawlish - to nie *public-schol*, to terapia grupowa dla dziedzicznie obciążonych zboczeńców. - Dawlish ukończył Harrow.

- Terapia? - zapytałem, ale Dawlish niespokojnie obserwował kominek. Zstępujący prąd powietrza napełnił nagle pokój kłębamii dymu. - Cholera - powiedział, ale nic z tym nie zrobił i wkrótce ogień znów zapłonął jak trzeba.

Dawlish zdjął okulary i przetarł je starannie dużą chustką. Gdy uznał, że wystarczy, wetknął chustkę do rękawa. Był to znak, że powinniśmy przejść do interesów. Pogrążył się w lekturze notatek.

Pod koniec każdej strony pociągał nosem. Gdy skończył, przyklepał zagięte rogi, żeby je wyrównać, i zapatrzył się na kartki, jakby starał się skomasować wszystkie posiadane informacje w jedną bryłkę organicznej materii. - Dobrą stroną przestępczej działalności twego przyjaciela Harveya Newbegin jest to, że wymyślając fikcyjny personel, by chować do kieszeni jego płace, pozostawił nam niewielu facetów z Wyboru Wolności, o których musimy się martwić. - Wyjął jedną kartkę z mojego raportu i położył ją na środku biurka. Spodziewałem się, że coś z niej zacytuje, ale on rozkręcił nad nią fajkę. Zwęglone drobiny upadły dokładnie na sam środek papieru. - Szwecja. Pełno ich tam. Relatywnie rzecz biorąc, mieliśmy szczęście. - Strząsnął brudki do kosza i dmuchnął na papier, zanim przystąpił do lektury. - Według twojego opisu w tym sprawozdaniu penetracja organizacji Midwintera przyszła ci za łatwo.

- To celowe - powiedziałem. - Ponieważ popiera ją CIA i Departament Stanu, chciałem, żeby wiedzieli, iż, pomimo całego blichtru, jest to zespół amatorów i nigdy nie będzie niczym innym.

Dawlish potrząsnął głową. - Jesteś za ambitny, mój chłopcze, za bardzo się palisz do podzielenia się naszymi sekretami z całym światem. Wiemy teraz, ile są warci Jasiowie od Midwintera, to po co ich ostrzegać. Po co pomagać im udoskonalić ich kontrwywiad? Lepszy diabeł oswojony niż dziki.

- Chciałbym ujrzyć ich skompromitowanych. Chciałbym ujrzyć skompromitowane te wszystkie prywatne wywiady.

- Skompromitowane - podrwiwał Dawlish. - Kompromitacja to tylko stan

ducha. Rozumujesz jak ten facet Kaarna. Nawiasem mówiąc, czego się w końcu dowiedział?

- Natknął się na ich siatkę, usłyszał historyjkę, że to Brytyjczycy i uwierzył. Dostało mu się w ręce trochę jajek, ale nie wiedział, skąd pochodzą, i dokąd mają trafić. Jako dziennikarz zaczął zgadywać. Wciąż zgadywał, kiedy go zabili.

- Czy Newbegin chce uciec do Roskich? - Dawlish zapisywał coś w notatniku.

- Kto wie, co zrobi? Całymi latami sprzeniewierzał pieniądze Midwintera. Musiał dorobić się fortuny. Ponieważ większość tych informacji przekazywał Rosjanom, ma prawdopodobnie okrągłe konto w moskiewskim Banku Narodowym.

- Przedsiębiorczy dowcipniś ten Newbegin - powiedział Dawlish z uznaniem.

- Podoba mi się sposób, w jaki ukradł jaja z wirusem, zamiast po prostu otrzymać je od ciebie. Znakomite zagranie, mało prawdopodobne, by podejrzenie padło na człowieka, który miał odebrać przesyłkę.

- Jest dobry, jeśli chodzi o oddalenie od siebie podejrzeń - zgodziłem się. - Podobną sztuczkę wykonał z Ralphem Pike'em. Po tych wszystkich staraniach, żeby wysłać go samolotem, któż podejrzewałby, że Harvey nadał cynk Rosjanom, żeby czekali na Pike'a?

- A szczytem wszystkiego - dodał Dawlish - jest to, że poprosił Stoka, by nie aresztowano Ralpa Pike'a, aż nie znajdziesz się w pobliżu, żeby Harvey mógł uniknąć podejrzeń o zdradę. - Dawlish przedmuchał nie zapaloną fajkę. - Numer pierwsza klasa. Takie numery sprawiają, że siedzimy jak na szpilkach.

- My? - powiedziałem. - Ostatnio nie widywałem pana obok siebie.

- W przerośni. Mówiłem w przerośni. - Nabił fajkę i zapalił. - Ale dlaczego - jeśli Stok i Harvey Newbegin są takimi przyjaciółmi - Stok ocalił cię przed śmiercią z rąk bandytów?

- Stok obawiał się papierkowej roboty związanej z moją śmiercią. Pytania z Moskwy. Obawiał się odwetu wobec swoich ludzi tutaj. Niech pan nie robi błędu, Stok to bardzo twardy klient - powiedziałem. - Ludzie, którzy z nim pracują, nazywają go Boef Strogonoff, bo „wylewa na faceta tyle śmietanki, że ten nie zauważa, iż został pokrajany na plasterki. Ale Stok nie chce u siebie bałaganu, tak samo jak my go nie chcemy.

Dawlish skinął głową i zanotował to.

- A więc, co robisz, żeby zlokalizować Newbegin'a?

- Podchodzę do tego z czterech stron. Po pierwsze, może po raz ostatni zabrać

wirusa do Rosji, jako kartę wstępu. Wiemy, że jajka pochodzą z Zakładów Doświadczalnych w Porton i mamy zdjęcie tamtejszego agenta Midwintera, które kazałem przekazać sobie ich komputerowi w San Antonio. Ochrona Zakładów obserwuje go uważnie, ale nic nie robi, poza przesłaniem nam informacji, jeśli spróbuje podprowadzić jeszcze trochę jaj. Po drugie: Newbegin może zechcieć położyć łapę na pieniądzach, które podwędził, więc nakazałem poszukiwania w bankach brytyjskich wszystkich zablokowanych kont, które mają za podstawę San Antonio. Po trzecie: Harvey Newbegin kocha się do szaleństwa w fińskiej dziewczynie, Signe Laine, więc kazałem komuś ją obserwować...

- Nie liczyłbym za bardzo na ten kierunek poszukiwań - przerwał Dawlish. - Mężczyzna nie porzuca żony i dwojga dzieci dla młodej dziewczyny, z którą i tak miał już romans.

- Po czwarte - ciągnąłem - kazałem sprawdzić listy pasażerów w samolotach lecących do Leningradu, Moskwy i Helsinek.

- Może się przez to prześliznąć - stwierdził Dawlish. - Jest aktorem, pamiętaj o tym. Nie można stosować normalnych zasad do ludzi, których największą ambicją jest wysłuchiwanie klapiących o siebie rąk.

- Możliwe - powiedziałem - ale myślę, że w tej sprawie nie powinniśmy tracić wyczucia proporcji. Jeśli ucieknie do Rosjan, to zakładając, że nie dostanie wirusa, nie będzie to oznaczać końca świata.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Nauczyłem się tego, gdy kazano mi wręczać bilety na samolot lalusiom z Foreign Office i pomagać im czmychnąć przed chłopakami ze Special Branch.

- Ach - powiedział Dawlish - ale gdyby stanęli przed sądem, sprawiłoby to trudności rządowi. Istnieje coś takiego jak wybory, wiesz przecież.

Wiedziałem, że Dawlish tylko mnie prowokuje, ponieważ co najmniej dwa razy zdarzyło się już nam toczyć ten spór. Nie chodziło o to, że Dawlish twardo obstawał przy swoim, po prostu lubił widzieć, jak się wściekam.

Dawlish ponownie przeczytał brudnopis. - Ten facet w fotelu dentystycznym. Skąd wiesz, że był martwy?

- Policjant tak powiedział.

- Policjant tak powiedział. - Dawlish pokiwał głową. - A ty, oczywiście, mu uwierzyłeś. No cóż, nie możesz nawet być pewien, że to był policjant. Nie był w mundurze.

- Pracował tam z całą kupą policjantów - powiedziałem cierpliwie.

Równie cierpliwie Dawlish odparł: - A ja tu pracuję z całą kupą imbecyli, ale to nie sprawia, że jestem imbecylem.

- Życzy pan sobie życzliwej opinii?

- Wykreśl to z raportu. Jeśli Minister pomyśli, że mam tutaj ludzi, którzy nawet nie potrafią rozpoznać zwłok, gdy je zobaczą... - Młasnął z dezaprobatą.

Wszystko to wygląda cholernie prosto, jeśli się siedzi w fotelu Dawlisha i czyta meldunki; nie ma sensu wyjaśniać, że zawsze zdarzają się niedociągnięcia, chyba że ktoś fałszuje swoje raporty.

- Mam tu urzędowe polecenie przysłane dalekopisem - zakomunikował Dawlish. - Mam zlokalizować Newbegina, zatrzymać go i poinformować Amerykanów. Pod żadnym warunkiem, głosi polecenie, Newbegin nie może wpaść w ręce Rosjan. Pod żadnym warunkiem, wiesz, co to oznacza?

- Tak - powiedziałem.

- Dobrze - stwierdził Dawlish. - To polecenie urzędowe. To nie są faceci od Wolności Wyboru, czy jak tam się zwa, ale Departament Stanu USA przemawiający głosem Gabinetu. Takie są rozkazy. Urzędowe. - Dawlish zdjął okulary i poskubał się w grzbiet nosa, zaciskając oczy z całej siły. Gdy otworzył je, wydawał się nieco zdziwiony, że nie zniknął wraz z całym biurem. Przez krótki czas wpatrywaliśmy się w siebie z martwym wyrazem twarzy. Gdy odezwał się ponownie, mówił bardzo wolno: - Jeżeli o mnie chodzi - powiedział Dawlish - mam nadzieję, że ten Newbegin nie zostanie znaleziony na moim terenie. Mam nadzieję, że Newbegin będzie się trzymał daleko ode mnie i zostanie aresztowany w czymś takim jak Helsinki. Załatwię wtedy, że jego kompani - Dr Pike i spółka - zostaną zgarnięci przez ludzi z ochrony Porton lub kogoś takiego. Wszystko po cichu i we własnym sosie. Ale jeśli stanie się inaczej, jeżeli my aresztujemy Harveya Newbegina, a o kradzieży wirusów z Porton przez braci Pike dowie się amerykański przesłuchujący, to cała historia zostanie rozdmuchana do rozmiarów prasowej sensacji na pierwszej stronie. Nie możemy wydawać (D-notice) gazetom w Ameryce.

- Zrozumiałem pana w całej pełni, sir - powiedziałem.

- To dlatego chciałbym zdjąć cię z tej sprawy - oznajmił Dawlish. - Na następnym etapie operacji natrafisz na najróżniejsze problemy, bo jesteś zbyt związany z osobami biorącymi w tym udział.

- Muszę dalej prowadzić tę sprawę właśnie z tego powodu - nalegałem.



- Władze w swej nieskończonej mądrości zarządziły, że to ja kieruję tym departamentem - oświadczył dobrodusznie Dawlish. - Więc nie obsadzaj mnie w roli Don Kichota z tobą jako Sancho.

- No to może pan przestanie mnie obsadzać w roli Sama Wellera z panem jako Pickwickiem.

Dawlish rozważnie pokiwał głową.

- Jesteś pewien, że będziesz w stanie zrobić wszystko, co trzeba? - zapytał. - Może to wymagać nieco brutalności, siły, ignorancji. To znaczy... no wiesz, Newbegin. Może to być twardy orzech do zgryzienia.

- Zatoszczę się o to - powiedziałem. - Satysfakcja gwarantowana.

- Moja satysfakcja ma tu pierwszeństwo.

- Tak - przyznałem. Dawlish uniósł lśniąca brązową kulę, którą organizacja Midwintera dawała każdemu swemu absolwentowi. - Ziemia Wolności - wyjaśniłem.

- Tak. - Dawlish potrząsnął kulą, powąchał i wsłuchał się w nią. - Sądzę, że ktoś ją pobrudził.

- To amerykański brud - powiedziałem. Dawlish położył kulę z powrotem na biurko.

- Nie chcemy go tutaj - oświadczył. - Mamy dość własnych brudów.

## **Rozdział 22**

Następne trzy dni spędziłem niczym kot czający się przy mysich dziurach. Harvey Newbegin nie od dziś uczestniczył w tej grze. Zignorował zestaw poleceń wydanych mu przez Mózg i trzymał się z dala od obserwowanych przez nas ludzi. Z drugiej strony, nie wpadł w ogóle w oko naszym ludziom w Leningradzie. Po południu trzeciego dnia wyszedłem koło szóstej z biura do Schmidta, żeby kupić coś do jedzenia. Gdy wróciłem do zaparkowanego samochodu i włączyłem telefon, telefonista powtarzał pilne wezwanie: - Obój dziesięć, obój dziesięć, kontrola drogowa do obój dziesięć. Mam dla ciebie pilną wiadomość. Obój dziesięć, odezwij się. - Najpierw pomyślałem, że to tylko Dawlish, który usiłuje mnie złapać na dodatkowy wieczór jako oficera dyżurnego. Ludziom mieszkającym w śródmieściu zawsze przypadają alarmowe zlecenia, ponieważ ci, którzy ulokowali się w takich miejscach jak Guilford, odpowiadają po prostu, że powrót na Charlotte Street zajmie im godzinę, a w tym czasie jest już po kryzysie. Mimo to odebrałem telefon w samochodzie. Powiedziano mi, że klient nazwiskiem Turnstone chce się ze mną

skontaktować. Proszę łączyć się linią naziemną. Turnstone był kryptonimem całej operacji związane z Newbeginem, więc, ponieważ znajdowałem się tylko parę metrów od biura, ruszyłem do pokoju operacyjnego na Charlotte Street. Budynek, który gości tajną centralą telefoniczną, szyfrantów oraz masę ludzi nie mieszczących się na South Audley Street, to duży, nowy dom tuż obok miejsca, gdzie pracuję. Wszedłem do mego biura i stamtąd do nowego bloku, ponieważ trzeba spędzić pół godziny na uporaniu się z tamtejszym odźwiernym, nawet jeśli się jest krewnym premiera. Wszedłem do pokoju operacyjnego. Była tam Bessie. Wydział Depesz załatwił całodobową telefonistkę do operacji Turnstone. Bessie znała wszystkie szczegóły.

- To konstabl ze Special Branch, który obserwuje gabinet lekarski przy Kings Cross.

- Z powodu Pike'a - powiedziałem.

- Właśnie - odparła Bessie. - To człowiek nazwiskiem Pike. Ten Newbegin odwiedził gabinet lekarski dziś wieczorem - mam zanotowany czas na meldunku - i wyszedł dziesięć minut temu.

- Rozumiem - rzekłem. - Co dalej?

- Konstabl ma piórbiornik - to taki drobiazg przypominający wieczne pióro, który brzęczy, jeśli się naciśnie ten przycisk. Zaraz go nacisnę. - Zrobiła to z przesadą, żeby mi dokładnie wyjaśnić. - To sprawia, że piórbiornik brzęczy. Teraz konstabl wie, że możesz odebrać od niego wiadomość. Oczywiście nie wiedziałam, że się znajdziesz w centrali, więc miałam zamiar przełączyć telefon na twoją linię - powiedziała Bessie. Na tablicy zapaliło się białe światło. - To potwierdzenie odbioru - wyjaśniła. Nie miałem nic do roboty. Mogłem tylko siedzieć tu i gawędzić z Bessie, aż konstabl ze Special Branch znajdzie telefon i zadzwoni do nas.

- W przyszłym roku - rzuciła Bessie - dostaniemy jakieś satelitarne odbiorniki i będziemy mogli wykreślić na mapie linię, żeby zorientować się, skąd nadaje piórbiornik.

- Czysty Dick Trący - oświadczyłem.

- Nie - odparła. - W Ameryce mają jeszcze bardziej zaawansowaną technologię.

- Tak słyszałem - rzekłem. - Co u Ossie? - Austin, mąż Bessie Butterwoth, od czasu do czasu brał u nas prace zleczone.

- Nie za dobrze - odparła Bessie. - Wiesz, nie robi się młodszy. Powiedziałam

mu niedawno: nie robisz się młodszy, Austin. Teraz, kiedy dzieci dorosły i wyszły z domu, damy sobie radę z moją pensją, ale on wciąż lubi pracować. W końcu wyrabiasz się w robocie, jesteś z tego dumny, a potem trudno ci z niej zrezygnować. Pracuje od piętnastego roku życia. To dla niego tak naturalne jak oddychanie.

- Macie jakieś plany na wakacje?

- „Imperial Hotel” w Torquay. Zawsze tam jeździmy, Austin powiada, że my ich znamy i oni nas znają. Zawsze tam jeździmy. Czasami wołałabym coś innego, ale oni nas znają i my znamy ich, więc Austin to lubi.

- Tak - przyznałem. Rozległ się brzęczyk.

- To będzie on - powiedziała Bessie. - Ten numer jest zarezerwowany tylko dla niego. Tak. Łączę cię. Wymieńcie pozdrowienia. Pamiętaj, to normalna linia.

- Rita Hayworth - powiedziałem. Głos po drugiej stronie odparł: - Bogini miłości - i dodał: - podejrzany odpowiadający opisowi Harveya Newbegin. Jedzie teraz na południe.

- A wy pozwoliliście mu odjechać - stwierdziłem zupełnie spokojnie.

- Nie ma powodu do paniki, proszę pana - odparł konstabl. - To nie robota na rower i notatnik. Prowadzą go dwa samochody i jeszcze jeden konstabl na piechotę, oprócz mnie.

- Sądzę, że w danych okolicznościach zachowałem się w sposób niezwykle opanowany - stwierdziłem.

- Tak, proszę pana - odpowiedział konstabl. - To rzucający się w oczy samochód, łatwo go śledzić, proszę pana. Taki garbusek. Chyba Heinkel.

- Czym rzuca się w oczy?

- No cóż, przede wszystkim jest czerwony jak skrzynka pocztowa. Po drugie, ma napis z przodu „To jest zminiaturyzowany rolls royce” i, po trzecie, ktoś napisał - „Naucz się parkować, głupku” - na zakurzonej, tylnej szybie.

Gdy powiedziałem Bessie, że jakiś samochód śledzi Heinkela, połączyła nas z wewnętrzną informacją w Metropolitan Police i usłyszeliśmy, jak policyjny wóz melduje, że Harvey jedzie śródmieściem Londynu, przez Waterloo Bridge, Waterloo Road, Elephant i Castle. Bessie zapisała adres, gdzie Harvey zaparkował.

Wręczyła mi go z wyrazem zdziwienia na twarzy. - To twój...

- Mój adres - powiedziałem. - Tak, byłbym teraz właśnie tam, gdyby do mnie nie zadzwoniono.

Wróciłem do mieszkania. Harvey wciąż dzwonił do drzwi, a konstabl po

cywilnemu rozmawiał z nim i uskarżał się, że jestem spóźniony. Gdy przybyłem, policjant po cywilnemu powiedział coś o papierach, które ma odbrać, a ja mu odparłem, że będą gotowe dopiero rano.

- Dobry numer - powiedział Harvey. - Ten facet po odbiór dokumentów. W ten sposób wiedziałem, że masz już niedługo wrócić.

Chrząknąłem zastanawiając się, czy Harvey w to wierzy. Przygotowałem mu kawę, podczas gdy on grzebał na półce z książkami.

- *Upadek Krety, Histoire de VArm.ee Francaise, Kampanie Bullera, Uzbrojenia a taktyka.* Co to, masz hysia na punkcie wojska?

- Tak - odpowiedziałem z kuchni.

- Trzeba mieć fioła, żeby to czytać - powiedział Harvey. - Nie masz jakiejś książki, którą zrozumiałby taki łazęga jak ja?

- Nie trzymałbym ich w domu - odparłem i dałem mu kawę.

- Odszedłem od żony - oznajmił Harvey. - Nigdy nie wrócę.

- Przykro mi.

- Przynajmniej nie muszę się martwić, czy będzie mnie stać na wysłanie dzieciaków na obóz - zachichotał z przymusem. - Wiesz, że zviałem z organizacji Midwintera?

- Wiem.

- Czy twoi ludzie... Szukał po kieszeniach. - Czy twoi ludzie... - Uniósł wzrok.

- Co, moi ludzie?

- Czy przygarną mnie do domu?

- Nie - odparłem. - Gospodarzami w angielskich domach są Amerykanie.

- Zapłaciłbym czynsz. Podałbym im szczegóły o Grupie Brytyjskiej

Midwintera. Zdjęcia... wszystko.

- Ja już zgromadziłem szczegóły o Grupie Północnoeuropejskiej Midwintera. Zdjęcia... wszystko - odparłem.

- Ach, tak - mruknął Harvey. - Midwinter powiedział ci, jak telefonicznie pobrać dane i zdjęcia z banku informacji komputera. Rozumiem, w takim razie możesz ich wszystkich zwinąć, kiedy ci się podoba. Czy oni mnie szukają?

- Harvey, sprawiasz kłopoty moim szefom. Nie chcą cię zatrudnić i nie chcą cię aresztować. Chcą po prostu, żebyś zniknął.

- Harvey skinął głową. - Ale kiedy będziesz jechał - powiedziałem - pozwól, że ja się tym zajmę. Wojsko i ministerstwo włączyły się teraz do sprawy. Jeden z ich

ludzi za bardzo się napali i... - Wzruszyłem ramionami wydając obrzydliwy dźwięk.

- Dobra - zgodził się Harvey. - Dam ci znać. - Wstał. Ubrany był w niezwykle angielski tweedowy garnitur, który sprzedają tylko w Ameryce. Szukał po kieszeniach, przesiewając klucze, karty kredytowe, pozwijane banknoty i wpychając je z powrotem.

- Czy miałeś kiedyś takie uczucie - zapytał - mnie się to zdarza czasami, że wszyscy mężczyźni na świecie poruszają się tak prędko, że zaczynają płonąć? Myśląc. Wszystkie kobiety stoją nieruchomo, a ty przemykasz obok nich ze straszliwą prędkością, no wiesz, i zaczynasz płonąć od myślenia. - Przerwał, a ja się nie odzywałem. Wkrótce znowu zaczął, nie zwracając uwagi, czy słucham: - Wszystkie one tam będą, bez ruchu, z dziećmi, układając fryzury. Nieruchome. Całkowicie nieruchome. Będą tam inni mężczyźni, poruszający się z tą samą prędkością, i także palący się, ale kobiety będą nieruchome. - Zaczął szukać wśród coraz większej ilości paprochów. - Co one robią z tymi wszystkimi pieniędzmi? - zapytał. - Moja żona połyka pieniądze jak solone orzeszki, nigdy nie ma ich dosyć. Pieniądze, pieniądze, pieniądze, cały czas o tym myśli.

- Co to? - zapytałem.

- Królicza łapka. Podobno przynosi szczęście - odparł Harvey. Był to żaloszny, poskręcany, kawałek sierści i kości.

- Powiedz o tym królikowi.

Harvey skinął głową. Znalazł pogięte zdjęcie Signe i spojrzał na nie, żeby upewnić się, iż dziewczyna istnieje. - Muszę znowu z nią porozmawiać - oświadczył. Okręcił zdjęcie, żeby pokazać mi, o kogo chodzi. - Mówi, że już mnie nie kocha, ale ja wiem, że mnie kocha. Zobaczę się z nią znów w Helsinkach. Przekonam ją.

Bez entuzjazmu skinąłem głową.

- Nie rozumiesz tego - powiedział Harvey. - Coś takiego zdarza się tylko raz w życiu. Spójrz na nią: na fakturę jej włosów, miękkie ręce, skórę. Jest w niej młodość.

- Kiedyś była w nas wszystkich - odparłem.

- Nie taka.

- Cóż, ja...

- Mówię poważnie - oświadczył Harvey. - Niewielu ludzi ma tę właściwość, tę tajemniczą właściwość. To przeraża mnie. Jest miękka, ufna i wrażliwa, jak skrzywdzone zwierzę. Minęły tygodnie od czasu, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy,

kiedy ośmieliłem się do niej przemówić. Zwykle przychodziłem do domu w nocy i modliłem się: Boże, spraw, żeby mnie pokochała. Boże, już nigdy o nic cię nie poproszę, tylko spraw, żeby mnie pokochała. Nawet teraz, kiedy ją widzę, stoję gapiąc się na nią, jak wiejski ćwok wśród drapaczy chmur. Po raz pierwszy ujrzałem ją, gdy wychodziła ze sklepu z obuwem. Poszedłem za nią do biura, gdzie pracowała. Kręciłem się tam w porze lunchu i w końcu pewnego wieczoru odezwałem się do niej w restauracji. Nawet teraz nie mogę po prostu uwierzyć, że mnie kocha. Nie mogę w to uwierzyć. - Harvey łyknął kawy, a ja pomyślałam - no i co z domysłami Dawlisha - zadowolony, że, jak dotąd, to ja miałem rację. - Niewinność - powiedział Harvey. - Widzisz, w niej to jest. Dla niewinnego wszystko na świecie jest możliwe, bo nie ma wpisanego w pamięć doświadczenia, że coś jest niemożliwe. Rozumiesz... niewinność to wiedza, że możesz coś zrobić, a doświadczenie to wiedza, że czegoś nie możesz zrobić.

- Doświadczenie to sposób na podzyrowanie przesądów - powiedziałem.

- Nie - odparł Harvey. - Kiedy po raz ostatni odwołałeś się do swego doświadczenia? Kiedy zwątpiłeś w szanse powodzenia, właśnie wtedy.

- Napij się jeszcze kawy - rzekłem. Nie było sensu prowadzić normalnej dyskusji z Harveyem. - Harvey - powiedziałem - masz psychozę maniackalno-depresyjną. Faza maniackalna.

- No właśnie - przyznał Harvey. - Jestem trochę chory.

- Naprawdę?

- Śmiejesz się, ale mam gorączkę, sto dwa stopnie.

- Skąd wiesz?

- Noszę termometr, stąd. Chcesz, żebym zmierzył ci temperaturę?

- A po co, do cholery?

- To ważne, żebyś był w dobrej formie. Na wypadek, gdyby coś mi się stało.

- Jeśli jesteś naprawdę chory, to wezwę lekarza.

- Nie, czuję się dobrze, znakomicie. - Powiedział to w sposób, który miał znaczyć: Wolę umrzeć w zaprzęgu.

- Jak sobie życzysz - odparłem.

- To, na co cierpię, może człowieka kompletnie rozłożyć. Bywa bardzo złośliwe. - Uniósł butelkę Long Johna, spojrział na mnie, a ja skinąłem głową. Nalał po pół szklaneczki szkockiej dla każdego z nas i wypił swoją porcję jednym haustem.

- Ta dziewczyna - znów się odezwał. - Nawet nie wiesz, przez co przeszła.

- Opowiedz mi - poprosiłem.

- Widzisz - powiedział Harvey - choć ojciec Signe nigdy nie uzyskał należnego międzynarodowego uznania, ale to jego koncepcje stały za wynalazkiem bomby atomowej. Po wojnie to go dopadło. Czuł się winny i zrobił się bardzo markotny. Nie chciał niczego, oprócz słuchania Sibeliusa. Była to zamożna rodzina, więc stać go było na utrzymanie orkiestry w olbrzymim domu w Laponii. Siedział tam i nic tylko słuchał Sibeliusa dniami i nocami. Czasami w domu nie było nic do jedzenia, a orkiestra wciąż grała, cały czas. To musiało być straszne dla Signe, bo jej matka podłączona była do sztucznego płuca. Możesz to sobie wyobrazić?

- Z łatwością - odparłem. - Z łatwością.

Harvey pozostał u mnie, gadając i rozpijając moje zapasy whisky.

O dziewiątej zasugerowałem, że moglibyśmy wyjść i coś zjeść.

- Ugotuj jajko - powiedział. - Niewiele mi trzeba. - Przyrządziłem wyjęty z zamrażarki stek i pizzę, podczas gdy Harvey ćwiczył palcówki na moim starym bechsteinie. Harvey znał tylko parę piosenek i składały się one na dziwną kolekcję: *Two linie girls in blue, The Wearing of the Green. VII take you home again, Kathleen i don 't want to play in your heart.* Z uwagą i skupieniem odśpiewał i odegrał wszystkie. Przy trudniejszych akordach opadały mu powieki, a głos zniżał się do szeptu, by przy łatwiejszych partiach ryknąć całą mocą. Gdy zaniósłem jedzenie do saloniku, Harvey umieścił talerz na pianinie i grał nowe akordy gadając i pałaszując. - Chciałbym cię prosić o parę przysług - powiedział.

- Wal.

- Po pierwsze, czy mógłbym przespać się na sofie? Chyba dziś za mną chodzili.

- Nie przywlokłeś tutaj ogona? - zapytałem zaalarmowany. - Nie podprowadziłeś nikogo do mojego mieszkania? - Wstałem i nerwowo pobudzony przeszedłem się po pokoju. Przedstawienie to chyba przekonało Harveya.

- Na Boga, nie - odparł. - Zgubiłem ich. Nie martw się o to. Jestem czysty, ale oni wiedzą, w którym hotelu mieszkam. Jeśli tam wrócę, znowu złapię ogon.

- Dobra - zgodziłem się niechętnie. - Jesteś pewien, że nie przyszli tutaj za tobą?

- To prawdopodobnie tylko ktoś z ludzi Midwintera - odparł Harvey. - Chodzi mi o to, że oni wiedzą, gdzie mieszkasz, więc jaka różnica?

- To kwestia zasad - oświadczyłem.

- Tak - powiedział Harvey. - No to, dziękuję.

- Będę musiał wyjść przed jedenastą wieczór - powiedziałem. - Przepracuję całą noc.

- Nad czym?

- Będę oficerem dyżurnym - zełgałem. - Wyznaczyli mnie, gdy wyszedłem. Najgorsze zlecenia przypadają zawsze nam, chałturszczykom. Wrócę koło południa. Będziesz jeszcze tutaj?

- Chciałbym zostać tu dwa lub trzy dni.

- Jasne - przytaknąłem. - To by mi odpowiadało. Harvey uderzył w akord w tonacji minorowej.

- Chodzi o Signe - powiedział Harvey. - Jest na ciebie napalona, wiesz o tym.

- Nic nie rzekłem. - Chciałbym, żebyś pojechał ze mną do Helsinek - ciągnął Harvey.

- Pomógł mi namówić ją, żeby wyjechała razem ze mną. Jestem pewien, że to mi się uda przy twojej pomocy.

To szło aż za dobrze, za łatwo. Zaczynałem być nieufny albo też ujrzałem moją rolę w nowym świetle.

- Nie, nie wiem, Harvey - wahałem się.

- Nie poproszę cię o żadną więcej przysługę - powiedział Harvey. - Już nigdy. I zaprosimy cię na chrzestnego naszego pierwszego dziecka. - Zagrał początkowe takty *Marsza Weselnego*.

- Dobra, Harvey - odparłem. - Pojedziemy razem do Helsinek.

Harvey odegrał mały muzyczny tryl.

### **Rozdział 23**

Zostawiłem Harveya w mieszkaniu. Byłem pewien, że nie zechce nigdzie wyjść beze mnie. Ale nie byłem tego na tyle pewien, by odwołać naszego człowieka, który wciąż obserwował mieszkanie. Z samochodu zadzwoniłem do biura. Harriman i oficer dyżurny mają spotkać się ze mną. Oficerem dyżurnym był Chico.

Zadzwoniłem do Dawlisha i powiedziałem mu, że chcę natychmiast zablokować kradzieże z Zakładu Doświadczalnego. Zasugerowałem, byśmy pozwolili ochronie z Porton położyć łapę na agencie pracującym wewnątrz laboratorium jutro rano, gdy przyjdzie do pracy, ale że ja sam zaaresztuję Pike'a.

- Ma pan kogoś, kto odbierze ode mnie Pike między drugą a trzecią po południu? - zapytałem. - W tym czasie będę już miał gotowe jego pismne



oświadczenie.

- Historia jakiego rodzaju?

- Taka bez początku - wysiliłem się na niezdarny kalambur.

- To właśnie taka historia, której potrzeba nam na parę dni - odpowiedział Dawlish. Roześmiał się. Lubił kalambury.

Pojechałem do podmiejskiego mieszkania Pike'a razem z Harrimanem i Chico. Była zimna noc. Wiatr targał samochodem niczym rozwścieczony tłum. Dom Ralpa Pike'a spoczywał w mroku, ale podjazd do posiadłości Dr Felixa Pike'a zatłoczony był samochodami wszelkich kształtów i rozmiarów, a w domu paliły się wszystkie lampy. W oknach na parterze rozsunięto zasłony i żółte światło rozlało się po trawniku. W środku ludzie w wieczorowych strojach pili i rozmawiali, a za nimi, w końcu pokoju tańczyły pary w takt muzyki płynącej z wyszukanego gramofonu i sześciu głośników. Hiszpański służący otworzył drzwi. - Zaparkowali panowie w złym miejscu - powiedział, zauważwszy, że nie nosimy wieczorowych strojów.

- Nie ma tu nigdzie miejsca - odpowiedziałem i przepchaliśmy się dalej bez ceremonii. - Gdzie jest Dr Pike? - zapytałem.

- Jest chyba zajęty - powiedział służący. - Mój pan... - Ruszaj - przerwałem brutalnie. Okręcił się na pięcie i pogрузzył w dym i wrzawę. Harriman i Chico weszli przy grawiurach, oddalając machnięciem ręki tace pełne napitków. Pike pojawił się w kasztanowym fraku z jedwabnymi wyłogami i ramionami tak wypchanymi, jakby nie wyjął wieszaka. Poglądził brokatową kamizelkę i utrzymał na twarzy uśmiech, tak że udało mu się nie dopuścić do opadnięcia szczęki. - Dempsey - wykrzyknął, jakby nie zauważył mnie przedtem po drugiej stronie pokoju. - Czemuż zawdzięczam ten zaszczyt? - Nic nie odpowiedziałem.

- Doktor Pike, doktor Rodney Felix Pike? - zapytał Harriman.

- W czym rzecz? - powiedział Pike. Złapał za węzeł muszki i przycisnął go silnie do tarczycy.

- Pan doktor Pike? - dopytywał się Harriman.

- Tak - odparł Pike. - Do cholery, równie dobrze...

- Sadzę, że lepiej, żebyśmy poszli gdzieś na stronę - powiedział Harriman równocześnie z Pike'em, ale nieco głośniej. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Bardzo dobrze - oświadczył Pike. Odwrócił się i wszedł na schody. - Johnson - zawołał przez ramię - przynieś do gabinetu szampana i cztery porcje

kurczaka. - Tylko Pike mógł wpaść na pomysł nazwania hiszpańskiego służącego Johnsonem.

Gabinet należał do tego rodzaju pomieszczeń, jakie lekarze urządzają w swych domach w celu obniżenia podatku. Światło zwykłej lampy połyskiwało na dębowej boazerii, szablach i strzelbach skałkowych rozwieszonych nad kominkiem. Na starym biurku leżały egzemplarze *Country Life* i stały trzy karafki z bristolskiego szkła. Wszyscy usiedliśmy na fotelach w stylu królowej Anny, poza Pike'em, który podszedł do drzwi, by upewnić się, że są zamknięte. - Może mi powiecie kim, do cholery, jesteście? - zapytał w końcu.

- Inspektor Simpson ze Special Branch, proszę pana - odparł Harriman. - A to jest sierżant Arkwright - wskazał na Chico.

- A ten facet? - powiedział Pike, wskazując na mnie.

- Przejdę do tego, proszę pana - oznajmił Harriman. Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł służący w białej kurtce. Przyniósł butelkę szampana, cztery kieliszki i tacę z kanapkami.

- Jest dobrze zamrożony, proszę pana. Czy życzy pan sobie wiaderko z lodem?

- Nie, tak jest dobrze - powiedział Pike. Stał przed oszkloną szafką biblioteczną, bezmyślnie kręcąc kluczem w zamku. Gdy kelner wyszedł, Harriman wskazał na mnie.

- Ten człowiek został aresztowany w związku z kradzieżą własności publicznej z Laboratorium Mikrobiologicznego w Porton, która to nieruchomość jest obszarem zakazanym w rozumieniu Official Secrets Act. - Harriman spojrzał na Pike'a. - Muszę pana przestrzec, proszę pana, że wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane w charakterze dowodu.

Na dole gramofon grał mambę. Pike patrzył na książki w szafce.

- Chciałbym zobaczyć wasze legitymacje policyjne - oznajmił. Dali mu je, a ja powiedziałem: - Dostali nas, Pike. Jeśli myślisz, że uda ci się z tego wybrnąć, a ja pójdę do więzienia na dwadzieścia lat, to się mylisz. - Pike przyjrzał się uważnie legitymacjom i zwrócił je, udając, że mnie nie słyszy, a potem podszedł do telefonu. Zastąpił mu drogę Chico. - Nie radziłbym tego panu - powiedział Harriman. - Jeszcze nie teraz. Przed wszystkim na dole jest masa gości. Zachowujemy się bardzo kulturalnie. Nie chce pan chyba, żebyśmy zeszli na dół i przesłuchali pańskich przyjaciół.

- Czego chcecie? - zapytał Pike. Rozległo się pukanie do drzwi, potem otwarto je gwałtownie na oścież. Mężczyzna w białej kurtce powiedział: - Sąsiedni dom, proszę pana. Pali się tam komin. - Kobieta z różowofiołkowymi włosami stała tuż za służącym; - Komin płonie, Felixie - powtórzyła. - Czy mam obudzić Nigela? - Muzyka na dole nagle się urwała. Służący w białej kurtce starał się dodać otuchy kobiecie: - To wygląda gorzej niż jest w rzeczywistości, proszę pani. Nie ma bezpieczeństwa. - Rozejrzał się po nas, oczekując na polecenia. - Wezwij straż pożarną - powiedział Pike. Za to im płacą. - Pike odwrócił się do książek.

- Rozrzuca wielkie iskry - oznajmiła kobieta. Spadają na trawnik, ale właśnie położyłam Nigela spać. - Wyszła. Niebawem znów rozległa się muzyka. - Ten człowiek twierdzi, że wziął od pana skradzione rzeczy - powiedział Harriman.

- Jakie skradzione rzeczy? - zapytał Pike.

- Jajka. Zapłodnione kurze jajka zawierające wirusy. Te same, które otrzymał pan, wiedząc, że to skradziona własność publiczna.

- Pike odwrócił się do szafki. Wszyscy patrzyliśmy na siebie. Panowała cisza. Wydawało się, że zegar tyka bardzo głośno. - Felixie

- zawołał kobiecy głos - robi się coraz gorzej, a oni jeszcze nie przyjechali. - Pike stał tuż za mną. W pokoju było tak cicho, że słyszałem oddech Pike'a, chociaż muzyka wciąż grała na dole. Kobieta zawołała jeszcze raz, ale Pike wciąż nie odpowiadał.

- Opowiem panu o tym - powiedziałem do Harrimana. Odwróciłem się, żeby popatrzeć na Pike'a. - Jeśli chce pan udawać, że położył pan jajka, pańska sprawa.

Pike zagapił się na mnie, ale nic nie powiedział. Zwróciłem się do Harrimana. - Nakryliście nas, więc nie ma rady. Brat Pike'a... - Poczulem ogłuszający cios zadany w bok głowy, moje zęby zwarły się, a pokój ogarnęła mgła, jak na rozpływającym się ujęciu w filmie. Potrząsnąłem głową obawiając się niemal, że odpadnie i potoczy się pod szafkę, pod którą będziemy musieli grzebać łaskami, żeby ją wyciągnąć. Przycisnąłem ręce do głowy. W uszach brzmiały skrzekliwe głosy, a pokój zalewały fale jaskrawoniebieskiego światła. Harriman założył Pike'owi nelsona, a Chico trzymał stary pistolet, który lśnił czerwienią przy muszce. Kobieta znowu zawołała. Pokój wypełniły hałas klaksonu i błękitne błyski.

- Na miłość boską - mówił do mnie Pike - czy nie ma pan poczucia własnej godności?

Na dworze wyła strażacka syrena. Ujrzałem przez okno, jak motopompa

wjeżdża ostrożnie na podjazd. Błyskające niebiesko światło układało się we wzór na suficie.

- Jeśli chce pan udawać, że położył pan jajka... - ponownie odezwałem się do Pike'a. Ruszył się, ale nie była to poważna próba oswobodzenia się. Kobieta na dole zawołała: - Felix, kochanie. Lepiej zjeżdż i porozmawiaj ze strażakiem. - Potem usłyszałem, jak mówi: - Może nie dosłyszał.

- Miałem nadzieję, że okaże się pan bardziej chętny do współpracy - powiedział Harriman.

- Jestem zajęty, kochanie - zawołał Pike. Gramofon zaczął grać *Gdy zaczynam kochać* i rozległ się dźwięk pełnych godności oklasków, gdy goście zademonstrowali nieugiętego przeciwności ducha.

- Domyślam się, że zaprzeczy pan, iż spotkał się pan ze mną w parku i przywiózł tutaj na spotkanie z bratem - powiedziałem.

- Chciałbym usłyszeć, co pan na to odpowie - zaznaczył Harriman.

- Nie mam nic do powiedzenia - oświadczył Pike. Harriman rozejrzał się po pokoju, jakby sprawdzając, ilu nas tu

się znajduje. Chico owijał stary pistolet w brudną chustkę do nosa.

- Napad przy użyciu broni palnej - powiedziałem. - W sensie prawnym to zbrodnia. - Harriman puścił Pike'a i bardzo cicho powiedział do niego: - Prawdę mówiąc, proszę pana, nie żywię szacunku dla takich jak on. - Wskazał na mnie ruchem głowy. - Szumowiny ludzkie. Pójdą na wszystko. Ale znają prawo, trzeba im to przyznać. On wie, że Public Stores Act nie stwarza poważniejszego zagrożenia, i za odbiór jajek może zostać oskarżony tylko o wykroczenie. Przede wszystkim, chciałbym dostać pańską wersję na piśmie. Chciałbym wykorzystać pańskie zeznania, żeby go przygwoździć. Ale on zdecydował się rozegrać to zupełnie inaczej. Wyjdzie z tego bez szwanku. Zobacz pan. Ucierpią idealisci, tacy jak pan. Zawsze tak się dzieje. - Zapukano krótko do drzwi i otwarto je. - Musisz wyjść, Felixie - powiedział zdesperowany, kobiecy głos. Kobieta wepchnęła przed sobą do pokoju strażnika o zaczerwienionej twarzy. - Proszę mu powiedzieć, że musi zejść na dół - oznajmiła. Przy otwartych drzwiach muzykę z gramofonu było słycać głośniej; dobiegł też do mnie głos radiotelefonu w wozie strażackim i hałas pracującej pompy.

- Nie chcę alarmować pańskich gości, ale musimy coś ustalić, proszę pana.

- Co pan chce, żeby zrobić? - zapytał Pike wysokim, załamującym się głosem.

- Nie grozi niebezpieczeństwo, proszę pana - odparł strażak.

- Wyczerpały nam się zbiorniki, a chcielibyśmy umieścić urządzenia na podjeździe, zanim podłączymy główny wąż. Obecnie zablokowaliśmy ulicę, a samochody pańskich gości zablokowały nas.

- Nie grozi niebezpieczeństwo, ale potrzebna mi wolna przestrzeń. Przeciągnął palcami po pasku od hełmu.

- Potrzebna im wolna przestrzeń, Felixie - zaznaczyła kobieta.

- Chwileczkę - powiedział Pike - chwileczkę. - Wypchnął panią Pike i strażaka za drzwi i zamknął je na klucz.

Harriman mówił dalej do Pike'a, jakby nic się nie wydarzyło: -

Czy wie pan, że te jajka wysyłano do Związku Radzieckiego, proszę pana?

- To śmieszne - stwierdził powoli i cierpliwie Pike. - Wszyscy jesteśmy członkami ruchu Wolna Łotwa. Pracujemy z Amerykanami. Jestem amerykańskim tajnym agentem. Wszystkie nasze plany mają na celu usunięcie z Łotwy komunistów. - Wyjaśnił to Harrimanowi, jakby ten został właśnie nowym członkiem.

- Samochody - usłyszałem, jak strażak krzyczy przez drzwi.

- Domagam się, by pozwolono mi złożyć teraz pisemne oświadczenie - oznajmiłem Harrimanowi.

- Bardzo dobrze - odparł Harriman. - Pojedźcie z nim, sierżancie Arkwright - polecił Chico i obaj ruszyliśmy do drzwi.

- Nie - powiedział głośno Pike. - Muszę pójść z nim. - Przecisnął się obok strażaka i kobiety. Wyminął nas na schodach. Słyszałem, jak za nami strażak mówi: - Ale powiedziałem mu, że nic mu nie grozi. W ogóle nic mu nie grozi.

Zabraliśmy doktora Felixa Pike'a do Ministerstwa Wojny. Trzech policjantów czekało na nas w holu. Przygotowali nam parę biurowych pokoi. Pike zaproponował, że złoży oświadczenie. Harriman położył przed nim kartkę, a Pike zaczął pisać. W pierwszym punkcie podał datę i miejsce urodzenia (Ryga na Łotwie) i społeczny status rodziców. Reszta oświadczenia niewiele różniła się od politycznego manifestu, opowiadającego się za natychmiastową zbrojną inwazją na Łotwę w celu obalenia komunizmu. Kiedy Harriman powiedział mu, że bezpośrednio interesuje go kradzież wirusów z laboratorium rządowego w Porton, Pike bardzo się gorączkował. Podarł swoje oświadczenie i skrzyżował ramiona. Zasiadł świecąc białą koszuli niczym reklama detergentowego proszku do prania.

- Nie możecie mnie tu przetrzymywać wbrew mej woli - powiedział Pike.

- Mogę, proszę pana - oświadczył Harriman. - Przetrzymuję pana na mocy paragrafu 195 Kodeksu Wojskowego. Osoba, która weszła w sposób nie wyjaśniony w posiadanie własności wojska, może zostać aresztowana bez nakazu sądowego. Nie jest pan aresztowany, ale pozostanie pan tutaj, aż uzyskam wyjaśnienie.

- Żądam obecności mojego adwokata - powiedział Pike. - A ja żądam wyjaśnienia - oznajmił Harriman i dialog ten powtórzył się szesnaście razy.

W końcu Pike powiedział: - Jestem lekarzem. Powinien pan okazać mi nieco szacunku.

- Lekarze nie tworzą klubu nadludzi - odparł uprzejmie Harriman.

- Och, doprawdy - rzekł Pike. - Czasami w to wątpię. Gdy widzę niektórych moich pacjentów-podludzi.

Jeden z żandarmów z ministerstwa - szczupły mężczyzna pod czterdziestkę - podszedł do Pike i trzasnął go dłonią w twarz. Trzy policzki głośno zabrzmiały w pokoju. Ręka policjanta poruszała się szybciej, niż wzrok mógł pochwycić. - Niech pan się z nimi nie zaczyna spierać - powiedział grzecznie żandarm do Harrimana. - Będzie się pan kręcił dookoła Wojtek. - Żandarm spojrzał na Harrimana, którego twarz pozostała bez wyrazu. - Chodzi mi... - powiedział żandarm. - Chodzi o to. Chcemy iść do domu, prawda?

Pike zbieleł. Z nosa leciała mu krew. Przód białej koszuli usiany był krwawymi grochami. Pike zagapił się na nas, potem spojrzał w dół, na plamy. Sądzę, że nie wierzył, iż został uderzony, póki nie zobaczył upstrzonego gorsu koszuli. Rozmazał krew chustką do nosa i starannie zdjął krawat. Zwinął go i włożył do kieszeni. Na twarzy miał smugi krwi i głośno pociągał nosem, żeby powstrzymać krwawienie.

- Pisz - powiedział żandarm. - Przestań smarkać i zacznij pisać. - Trzasnął w kartkę, zostawiając na niej niewielki, krwawy odcisk palca. Pike wyjął wieczne pióro i zdjął z niego nakrętkę, wciąż pociągając nosem. Potem zaczął pisać niechlujnym charakterem pisma, którego wyćwiczenie zabiera lekarzom jakieś sześć lat.

- Zabierzcie doktora Pike'a do sąsiedniego pokoju - polecił Harriman policjantowi.

- I skończcie z ostrymi numerami - zaznaczyłem.

Pike wytrzeszczył na mnie oczy - wciąż myślał, że jestem współwięźniem. - Pilnuj swego nosa - powiedział gniewnie. - Nie potrzebuję obrony takich jak ty. To, co zrobiłem, zrobiłem dla Ameryki i Łotwy, ojczyzny mego ojca i mojej żony. - Z

nosa znów zaczęła mu lecieć krew.

- Znowu leci panu krew z nosa - powiedziałem. Policjant wziął pióro i papier i wyprowadził Pike'a z pokoju. Drzwi zamknęły się. Harriman ziewnął i poczęstował mnie papierosem.

- Myślę, że wszystko pójdzie dobrze - stwierdził. - A Chico myśli że jesteś geniuszem. - Uśmiechnął się, żeby zaznaczyć iż się z tym zgadza. - Nieważne, co powiem, i tak wbił obie do głowy ze podłożyłeś ogień pod komin u brata Pike'a.

- To cudownie - stwierdziłem ponuro. - Ani się obejrzymy, a Dawlish zacznie myśleć tak samo.

## **Część IX Helsinki i Leningrad**

*Spadły buty ze stolka*

*i zabiły pacholka*

Rymowanka dziecięca

### **Rozdział 24**

Wylądowałem w Helsinkach z prostym zadaniem. Harvey Newbegin ma zostać aresztowany przez Amerykanów tak, żebym się nie wplątał w ten interes. Był to prościutki problem. Każdy z naszych stażystów prosto po kursie w Guilford mógłby to zrobić, pójść do kina i na kolację, i jeszcze udałoby się mu złapać powrotny samolot do Londynu. W pięć minut po wylądowaniu wiedziałem, że Dawlish miał rację. Zadanie powinien przejąć ktoś nowy, kto nie znał Harveya przez ponad dziesięć lat i mógłby dostarczyć go jakiemuś zaróżowionemu agentowi CIA niczym kosz delikatesowy: proszę tu podpisać, należy się trzysta dolarów. Ja nie mógłbym tego zrobić. Jestem optymistą. Słuchając ostatniego aktu *Cyganerii* wciąż myślę, że Mimi ozdrowieje. Pomimo dowodów nie uwierzyłem do końca, że Harvey polecił mnie zabić pod Rygą bandziorem. Sądziłem, że uda mi się wszystko jakoś uładzić. No cóż, to dowodzi tylko, że powinienem sobie poszukać innej pracy. Podejrzewałem to od wielu lat.

Jeśli Amerykanie szukali Harveya, nie robili tego za dobrze. Miałem niejasną nadzieję, że zwiną go, gdy wylądujemy w Helsinkach, ale Harvey miał papiery na nazwisko szwedzkiego obywatela Eriks-sona, co oznaczało, że nawet nie musi

pokazywać paszportu. Pojechaliśmy autobusem tylko z trzema innymi pasażerami. Harvey poprosił kierowcę, by wysadził nas przy krytym przystanku, o milę od lotniska. Na polach leżała szara skorupa zamrożonego śniegu. Czekaliśmy, aż zniknął autobus, potem podjechał do nas łagodnie volkswagen Signe. Nie straciliśmy wiele czasu na powitania. Wrzuciliśmy torby podróżne za tylne siedzenie, a następnie Signe zawiozła nas do miasta, robiąc długi objazd, tak że wjechaliśmy szosą od strony Turku.

- Zrobiłam dokładnie tak, jak prosiłeś - powiedziała do Harveya. - Mieszkanie, do którego jedziemy, wynajęłam przez pocztę pod fałszywym nazwiskiem i nic nie zapłaciłam z góry. Potem wyjechałam i z wielkim hałasem wynajęłam mieszkanie w Porvoo. Każdą wolną chwilę spędzałam w Porvoo sprząając, odkurzając i ustawiając nowe łóżko. Wczoraj zamówiłam kwiaty, wędzonego łososa i te *lasimestarin sillit*, które tak lubisz, oraz dodatkowe prześcieradła. Powiedziałam, żeby to przysłali za trzy dni od dziś. - Tylne koła volkswagena wpadły w lekki poślizg na oblodzonej drodze, ale Signe wyszła z niego bez wysiłku.

- Jesteś niesamowita - oświadczył Harvey i uniósł jej rękę z kierownicy, całując w grzbiet dłoni, - Czy nie przypomina miąższu świeżej bagietki - powiedział do mnie przez ramię.

- Wyjąłeś mi to prosto z ust - stwierdziłem.

- Będziemy prowadzili *menage a trois* - oznajmiła Signe. Obróciła się do mnie. - Podoba ci się to?

- Moja koncepcja *menage a trois* obejmowała zawsze mnie i dwie dziewczyny.

- Ale z dwoma mężczyznami - powiedziała Signe - ma się więcej na utrzymanie.

- Nie samym chlebem mężczyzna żyje - odparłem. Signe pocałowała Harveya w ucho. Gdy dochodziło do sterowania Harveyem, europejski instykt Signe wart był dziesięć razy więcej niż emancypacja Mercy Newbegin rodem z Nowego Świata. Signe nigdy nie próbowała wojować z Harveyem i unikała zderzenia czołowego; rezygnowała i zgadzała się na wszystko dla doraźnej korzyści, licząc na to, że później zręcznie doprowadzi Harveya do zmiany decyzji. Była jak broń uniesiona do ciosu, badająca i próbująca zamiary przeciwnika. Signe była zrodzona do infiltracji, niemal nie sposób było się w niej nie zakochać, ale trzeba było mieć umysł niewiniątka, żeby uwierzyć choć w połowę z tego, co opowiadała. Przy niej Harvey miał umysł



niewiniątka.

Cały czas siedzieliśmy w domu, z wyjątkiem wypadu na stary film z Ingrid Bergman i krótkiej wycieczki, którą zrobił Harvey, by kupić Signe dwa tuziny róż, cztery fińskie marki za każdy. Harvey nigdy nie wspominał o tym, że mogą go szukać Amerykanie. Bawiliśmy się dobrze w tym mieszkaniu, choć było to obrzydliwe miejsce, w którym każdy pokój czuć było świeżą farbą. Drugiego wieczoru dowiedziałem się, co to takiego *lasimestarin silli*. Były to marynowane na słodko surowe śledzie. Harvey zjadł ich sześć, potem stek, frytki i szarlotkę. Później siedzieliśmy i gadaliśmy o tym, czy wszyscy Ormianie są niscy i ciemni; czy papierosy Marlboro smakują inaczej, jeśli wyprodukowano je w Finlandii; czy mój złamany palec zagoi się i będzie wyglądał jak nowy; jakiej kwaśnej śmietany dodaje się do barszczu; czy robotnicy w Ameryce mogą sobie pozwolić na szampana; czy Rambler jest tak szybki jak Studebaker Hawk; jak ocenić wiek konia po zębach i czy Ameryka powinna przyjąć system metryczny. Gdy zaspokoiliśmy głód wiedzy Signe, pograżyliśmy się w lekturze. Ja czytałem stary numer *The Econo-mist*, Harvey przedzierał się przez fińskie podpisy pod obrazkami, a Signe dzierżyła numer angielskiego pisma dla kobiet. Nie czytała go, lecz łapała poszczególne fragmenty i ciskała je nam, niczym kółka podczas gry w serse.

- Słuchajcie - powiedziała Signe i zaczęła czytać na głos - ... „Ujrzała Richarda. Jego zamglone, zielonkawe oczy i uśmiech były przeznaczone tylko dla niej i kryła się w nich dziwnie podniecająca obietnica. Wiedziała, że znalazł dla niej miejsce gdzieś w samotnym zakątku swego serca” - Czy to nie cudowne?

- Sądzę, że to wspaniałe - powiedziałem.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała Signe.

- Jasne, że nie - rzucił Harvey z irytacją. - Kiedy wreszcie wbijesz sobie do łba, że to zawodowy kłamca. To artysta oszukaństwa. Kłamstwo jest dla niego tym, czym jamb pięciostopowy był dla Szekspira.

- Dzięki, Harvey - powiedziałem.

- Nie zwracaj w ogóle na niego uwagi - poradziła Signe. - Wścieka się, bo Popeye mówi po fińsku.

- Rip Kirby - poprawił Harvey. - To jedyny komiks, który czytam.

Okolo północy Signe zrobiła kakao i położyliśmy się spać, każdy w osobnym pokoju. Zostawiłem drzwi uchylone. Jedenaście po pierwszej usłyszałem, jak Harvey przechodzi przez salonik. Rozległo się gulgotanie, gdy łyknął z jednej z butelek

stojących na barku. Wszedł z mieszkania jak najciszej. Obserwowałem go z okna: był sam. Podeszedłem do drzwi pokoju Signe i usłyszałem, jak przewraca się niespokojnie na łóżku. Zdecydowałem, że mogę wszystko popsuć, jeśli spróbuję śledzić Harveya na opustoszałych ulicach, więc wróciłem do łóżka, zapaliłem papierosa znajdując argumenty na poparcie sądu, iż Harvey wróci po Signe, nim zniknie na dobre. Usłyszałem kroki w saloniku i pukanie do drzwi mego pokoju.- Wejdz - powiedziałem.

- Chcesz herbaty? - zapytała Signe.

- Tak - odparłem.

Poszła do kuchni. Usłyszałem trzask zapalki i bulgot napełnianego wodą czajnika. Nie ruszyłem się z łóżka. Wkrótce pojawiła się Signe wraz z tacą, na której stłoczyła czajniczek, dzbanek z mlekiem, cukier, grzanki, masło, miód i złote filiżanki, które na podpisanym przez nas inwentarzu widniały w dziale „Wartościowe”.

- Nie ma nawet drugiej - zaprotestowałem.

- Uwielbiam jadać w środku nocy - powiedziała Signe. Nalała herbatę. - Z mlekiem czy cytryną? Harvey wszedł. - Ubrana była w starą piżamę Harveya. Kurtkę zapięła tylko dwa guziki. Na piżamę włożyła jedwabną podomkę.

- Wiem - odparłem. - Z mlekiem.

- Ale wróci. Nie wszedł na długo.

- Skąd wiesz? Bez cukru.

- Nie zabrał tej starej maszyny do pisania. Nigdy bez niej wychodzi. Chce się ze mną ożenić.

- To cudownie - powiedziałem.

- Oczywiście, to nie cudownie - odparła. - Wiesz, że nie. On mnie nie kocha. Ma fioła na moim punkcie, ale mnie nie kocha. Powiedział, że będzie na mnie czekał. Jaka dziewczyna zechce tracić czas dla mężczyzny, który pozwala sobie, by na nią czekać? Poza tym chce zamieszkać w Rosji.

- Tak - przytaknąłem.

- W Rosji, słyszysz? W Rosji.

- Słyszę - stwierdziłem.

- Możesz sobie wyobrazić, że ja, Finka, zamieszkam w Rosji?

- Nie wiem.

Usiadła na łóżku. - Ostatniego dnia Wojny Zimowej, po podpisaniu rozejmu

wymiana ognia miała zostać wstrzymana w południe, więc w ostatnich godzinach fińscy żołnierze zdawali wyposażenie, a ci, którzy nie znajdowali się na linii frontu, wycofywali się. Wszystkie drogi na zapleczu armii zatłoczone były końmi, cywilami i żołnierzami. Wszyscy byli zadowoleni, że wojna się skończyła, chociaż oddaliśmy Rosjanom naszą piękną Karelię. Za piętnaście dwunasta zaczęło się rosyjskie bombardowanie. Mówi się, że było to jedno z najcięższych bombardowań, jakie kiedykolwiek przeprowadzono. Tysiące Finów zabito w ciągu ostatnich piętnastu minut, wielu zostało tylko rannych i przywlekli się, żeby nam o tym opowiedzieć. - Uśmiechnęła się. - Chciałabym oglądać Rosjan wyłącznie przez teleskop.

- Może powinnaś jaśniej wyłożyć swój punkt widzenia Harveyowi, zamiast podsycać jego najróżniejsze złudzenia.

- Nie podsycam ich. To znaczy, miałam z nim romans, ale dziewczyna może mieć romanse, a mężczyzna nie powinien dostawać fioła. Chodzi mi o to, że Harvey ma fioła. - Długa jedwabna podomka Signe była złoto-czarna. Wstała i potrząsnęła jej połą. - Nie sądzisz, że wyglądam w tym jak leopard?

- Troszeczkę jak leopard - przyznałem.

- Jestem leopardem. Rzucę się na ciebie.

- Nie rób tego, no, grzeczna dziewczynka. Pij herbatę, zanim wystygnie.

- Jestem leopardem. Jestem chytra i okrutna. - Ton jej głosu zmienił się. - Nie pojedę z Harveyem do Rosji.

- W porządku - stwierdziłem.

- Harvey powiedział, że uważasz, iż to wspaniały pomysł.

- No cóż - mruknąłem - Harvey jest do ciebie bardzo przywiązany.

- Bardzo przywiązany - szydziła. - Leopardy chcą czegoś więcej.

- Dobra - oznajmiłem. - Jest szaleńczo, namiętnie i rozpaczliwie w tobie zakochany.

- No, nie musisz robić z tego takiej... ekscentrycznej sprawy. Nie musisz o tym mówić tak, jakby się czymś zaraził.

- No to przepraszam - powiedziałem - ale jeśli tak to odczuwasz wobec niego, to mogę okazać trochę mniej entuzjazmu.

- Och, o to chodzi. Myślisz o Harveyu. Przez cały czas przykro ci z powodu Harveya. A ja tu myślę, że jesteś zazdrosny, że ci się podobam, gdy tymczasem tobie jest przykro, bo Harvey wpadł w tarapaty przez taką okropną dziewczynę jak ja. O to chodzi. Mogłam się domyślić.

- Nie płacz, Signe - powiedziałem. - Nalej mi herbaty, no, grzeczna dziewczynka.

- Już ci się nie podobam?

- Podobasz mi się.

- W niedzielę - rzekła Signe. - Harvey wyjeżdża do Rosji w niedzielę.

Odjedzie południowym pociągiem do Leningradu.

Czy wszystko ułoży się inaczej, gdy się pożegna i wyjedzie do Rosji?

- W jakim sensie?

- Czy ułoży się inaczej między nami? Wiesz przecież.

- To cudowny pomysł - oświadczyłem. - Ale pojedę do Rosji z Harveyem.

- Ale mnie naciągasz - obwieściła.

- Nie rozsypuj cukru na łóżko.

Signe wskoczyła na łóżko i walnęła mnie żartobliwie, ale z wyraźnym seksualnym podtekstem. - Jestem leopardem - krzychała. - Mam długie i okrutne paznoki. Przyłożyła mi do kręgosłupa długie paznokcie i przeliczyła kręgi piersiowe aż do okolicy lędźwiowej. - Jestem leworęcznym leopardem - powiedziała. Koniuszki palców poruszały się ostrożnie, jak archeolog odgrzebujący kruche znalezisko. Odmierzyła szerokość czterech palców w lewą stronę i dźgnęła mnie paznokciem.

- Ojej - powiedziałem. - Signe, albo włącz do łóżka, albo nalej więcej wrzątku do czajniczka.

- Czy wiesz, gdzie poszedł Harvey? - Ocierała głowę o moje ramię. Twarz miała lepka od kremu.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to - odparłem, wiedząc, że chce mi powiedzieć.

- Wyszedł, żeby się spotkać z lekarzem z Anglii - przerwała.

- A teraz słuchasz.

- Słucham - przyznałem.

- Jakaś pani Pike - lekarka - przywiozła te zapłodnione jaja kurze. Ta kobieta sądzi, że pojedą do Ameryki, ale Harvey musi je zabrać do Rosji, inaczej Rosjanie nie pozwolą mu tam zostać.

Musiała je odebrać od agenta w laboratorium w Porton, zanim żeśmy go aresztowali. Przechowywane we właściwej temperaturze będą zupełnie w porządku; pani Pike znała się na tym.

- Harvey oszalał, że ci wszystko mówi - powiedziałem.

- Wiem - odparła Signe. - Leopardy są chytre, bezlitosne i nie można im ufać.

Sięgnęła ponad mną do lampki nocnej. Ta cholerna kurtka od pizamy była na nią o wiele za duża. Światło zgasło.

- Między nami leopardami - powiedziałem. - Pamiętaj, że pawian to jedyne zwierzę, które może nas zmusić do ucieczki.

## **Rozdział 25**

Do niedzieli wszystko zapiałem na ostatni guzik. Poinformowałem Londyn. Miałem wizę do Leningradu, a Harvey wydawał się zadowolony, że zgodziłem się z nim pojechać. W niedzielę rano wstaliśmy późno. Harvey i ja wolno pakowaliśmy walizki. Signe popijała kawę, słuchając wyników ligi angielskiej i stawiając znaczki na kuponie fińskiego totolotka. Nie wygrała. Chyba Leeds United przegrał, zamiast zremisować, właśnie gdy skończyliśmy pakowanie. Na dworcu zjedliśmy spóźnione śniadanie. Restauracja znajduje się na pierwszym piętrze i widać z niej długą salę, gdzie sprzedaje się w kioskach hamburgery, koszule, kwiaty, dzbanuszki, *Mechanix Illustrated* i *Playboya*.

Dwóch policjantów w futrzanych czapkach i niebieskich płaszczach oczyszczało ławki z włóczęgów, a inny gliniarz po cywilnemu oparł się o skrytkę zajadając hot-doga. Czyścibut przypatrywał się butom przechodniów. Na dworze, na zimnej i nie zadaszonej stacji końcowej ustawiono rzędami pociągi. Wagony były ciemne, brązowo-szare, zrobione z cienkich, pionowo ustawionych, drewnianych listew. Były wysokie i kanciaste, z kilkunastoma obrzydliwymi wentylatorami na dachu. Z tyłu ostatniego pociągu doczepiono trzy czerwone metalowe wagony. Żółty pas biegł pod szerokimi oknami. Na każdym wagonie znajdował się radziecki herb i biała tabliczka z napisem „Helsinki-Moskwa”. Z kominów tych wagonów unosiła się cienka smuga dymu.

Przy stopniach do wagonu stał rosyjski konduktor. Był to potężny mężczyzna w futrzanej czapce i niebieskiej kurtce. Wziął od nas bilety. Obserwował uścisk Harveya i Signe z beznamytnym zainteresowaniem. Wokoło pełno było śniegu, a buchająca para i gwizd pociągów dały Signe okazję do odegrania Anny Kareniny. Przygotowała się do tej roli nakładając odpowiednią futrzaną czapkę, mufkę i płaszcz z wysoko postawionym kołnierzem. Pocałowałem Signe po bratersku, a gdy ustępowałem miejsca Harveyowi, by odegrał scenę pożegnania, ona zagłębiła

paznokcie w czule miejsce na kręgosłupie. Zdumiewające, jak oboje bawili się odgrywając swe role. Poprawiła kołnierz przy płaszczu Harveya, jakby wysyłała go po raz pierwszy do szkoły. Miała łzy w oczach i oczekiwałem niemal, że zmieni zdanie i wsiądzie do pociągu tylko po to, by odegrać raz jeszcze tę samą scenę w Leningradzie.

Gdy w końcu Harvey wszedł do mojego przedziału, przycisnął nos do szyby machając ciągle, aż Signe zmieniła się w kropeczkę na zaśnieżonym dworcowym peronie. Konduktor zdjął kurtkę i podrzucił paliwa do fantastycznego małego piecyka stojącego w końcu korytarza. Niebawem przyniósł nam w niklowanym termosie słabą herbatę z cytryną oraz paczkę moskiewskich herbatników. Harvey rozparł się na siedzeniu. Podjął decyzję. Teraz popijał herbatę przypatrując się załadowanym drewnem, naftą i ciekłą parafiną długim pociągom, które pobrzękiwały jadąc w tę samą stronę co my. Dym wydrapywał *graffitti* na pokrytym łupkiem niebie. Szarpnęło, dźwięknęło i pociąg stanął. Bezbarwna północna zima leżała ciężko i bezwładnie po każdej stronie, a na niej drobne przecinki cywilizacji - płoty, druty, ścieżki i nieruchome pociągi - poruszały się jedne za drugimi, niczym mrówki idące przez popielate zwłoki.

- Ta zima nigdy się nie skończy - powiedział Harvey, a ja skinąłem głową. Wiedziałem, że dla niego nigdy się nie skończy.

Rozległ się zgrzyt hamulców. Jakieś małe zwierzaki - może króliki - wybiegły zza drzew rosnących na końcu pola przestraszone nieoczekiwanym hałasem.

- Uważasz, że to kurwa - powiedział Harvey. - Nie możesz zrozumieć, co ja w niej widzę.

Co za para, pomyślałem, oboje starają się wyglądać na głupszych niż w rzeczywistości.

- Bardzo ją lubię - przyznałem.

- Ale?

Wzruszyłem ramionami.

- Ale co? - zażądał odpowiedzi Harvey.

- To dziecko, Harvey - powiedziałem. - Zastępuje ci nie żonę, ale dzieci. - Harvey wpatrywał się w śnieg i lód z założonymi ramionami. Jego twarz drgnęła nieznacznie. Być może przytaknął.

Patrzyliśmy na siebie bez słowa.

- To po prostu było niemożliwe - powiedział Harvey. - Było cudownie, gdy to

trwało, ale to było aż za doskonałe. Szczęście osobiste musi ustąpić na drugi plan, gdy życie jest zagrożone. - Nie wiedziałem, o czym mówi. - Miło mi, że tak na to patrzysz - powiedziałem.

- Wiedziałaś cały ozas? - Skinąłem głową. - To nie był ważny agent. Był kurierem, pracował dla Rosjan przez parę lat, a oni nie cenili go wysoko. Aż do czasu, gdy Signe go zabiła. Wtedy zmienili zdanie. Po tym, jak Signe zabiła go szpilką do włosów - nauczono ją tego w szkole Midwintera - i ukradła mu dokumenty, stał się nagle ważnym bohaterem i męczennikiem. Nie wiedziałem

- oznajmił Harvey. - To zabawne. Nie wiedziałem, aż Signe mi wczoraj powiedziała. - Ramiona trzymał ciasno przy sobie, niczym obręcze na beczce. - Tak się teraz rzeczy mają. Nic jej nie zrobią, ale gdyby pojechała do Rosji, prosiłaby się o kłopoty.

Skinąłem głową. - Prosiłaby się - zgodziłem się.

- Zabiła czterech ludzi, jeśli wliczyć w to rosyjskiego kuriera i Kaarna'ę. Jest urzędowym zabójcą w organizacji Midwintera. Zdumiewająca dziewczyna.

- Tak - powiedziałem.

- Teraz poślubi swego kuzyna. Bez miłości, po prostu dla pozorów, on jest funkcjonariuszem policji. Małżeństwo bez miłości, biedaczysko. - Założone ramiona rozluźniły się.

- Mąż?

- Tak - powiedział Harvey. - Biedaczysko. Wolałbym, żeby mi przedtem powiedziała. I tak nigdy bym się z nią nie ożenił. - Wyciągnął papierosy i poczęstował mnie, lecz odmówiłem.

- Ale ty jesteś żonaty - przypomniałem mu.

- Ale nie na poważnie - odparł Harvey. Potrząsnął głową ze zdziwienia. - Biedaczysko.

- Tak - powiedziałem. - Biedaczysko.

Pociąg wydał z siebie długi, śmiertelny jęk rozdieranego metalu i trach-trach-trach-trach przebiegło jak dreszcz przez całą jego długość.

- Harvey - rzekłem - znamy się od dawna. Nigdy przedtem nawet nie próbowałem udzielać ci rad, prawda?

Harvey nic nie powiedział. - Gdy ten pociąg - ciągnąłem - dojedzie do stacji w Vainikkala, obaj wtedy wysiadziemy.

Harvey wciąż patrzył przez okno, ale tym razem ruszył wyraźnie twarzą, by

zaznaczyć, że on nie wysiadzie.

- Próbujesz zrobić coś niemożliwego, Harvey - powiedziałem.

- A Waszyngton będzie musiał przekonać wszystkich, że to niemożliwe.

Harvey, oni zmiażdżą cię jak komara. Może im to zabierze rok, ale zrobią to. Kiedy agent dysponuje taką wiedzą jak ty...

- Potrząsnąłem głową. - Wejdz w układ z Midwinterem. Da ci emeryturę na resztę życia.

- I upewni się, żeby to długo nie trwało - powiedział Harvey.

- Możemy opracować szczegóły, żeby cię ochronić, jeśli tego się obawiasz.

Weź roczny urlop, łów ryby, odpręż się. Przekonam Signe. Będzie cię odwiedzać...

- Nie będzie. To koniec. Powiedzieliśmy sobie do widzenia.

- Są inne dziewczyny... Harvey znów potrząsnął głową.

- Jeśli to o dziewczyny chodzi...

- Chryste Panie - powiedział Harvey. - Mówisz do mnie, jakbym był szyfrantem z Berlina Wschodniego. Dziewczyny, szampan, ruletka i sportowe samochody. Słuchaj, kocham Signe. Czy nie jesteś w stanie tego zrozumieć? Jestem zadowolony, że nie ma jej przy mnie. Jest zbyt cudowna, żeby się mieszać w ten śmierdzący interes. - Harvey wykonywał palcem i kciukiem dziobiące ruchy, podkreślając każde słowo, jakby ujmował je i rozmieszczał na horyzoncie formując długi, wąty sznur. - Kocham ją właśnie w ten sposób. Namówiłem ją, żeby została w Helsinkach. Nie potrzebne mi wasze wszawe wakacje wśród europejskich luksusów, ale przede wszystkim nie potrzeba mi dziewczyn.

Źle mi poszło. Spróbowałem jeszcze raz. - Dobra, Harvey - powiedziałem. - Rozegramy to tak, jak chcesz. Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz. Wiesz, jakie mamy rozkazy, obaj jesteśmy z tej samej branży. Wymyślmy coś, co uszczęśliwi Waszyngton i uszczęśliwi też ciebie.

- Czy nigdy nie rezygnujesz? Nie możesz zrozumieć, że nie jestem po prostu defektorem?

- No to kim jesteś? Komiwojazerem sprzedającym seks pozamałżeński?

- Daj mi spokój. - Harvey wcisnął się w kąt i ujął koniuszek nosa między palce i kciuk, jakby było to jeszcze jedno słowo, które usiłował wyrwać.

- Jak myślisz, co się stanie, gdy przejedziesz granicę? - zapytałem. - Myślisz, że będą na ciebie czekać z medalem? Myślisz, że przyjedziesz akurat na czas, żeby obserwować defiladę majową z mauzoleum Lenina? Wiesz, co się dzieje z



defektorami, którzy do nas przechodzą, dlaczego uważasz, że z tobą będzie inaczej? Skończysz ucząc angielskiego w szkole partyjnej w Kijowie. W najlepszym wypadku, tak, w najlepszym wypadku.

- A jak myślisz, dlaczego uciekam? - zakpił Harvey. - Dlatego, że Midwinter nie dał mi podwyżki pięćdziesięciu dolarów?

- Nie wiem, po co to robisz - odparłem. - Ale wiem, że gdy pociąg odjedzie z Vainikkala, będzie za późno na zmianę decyzji. To będzie oznaczać pa-pa twoim dzieciakom, pa-pa twojej żonie, pa-pa Signe i pa-pa ojczyźnie.

- To już nie jest moja ojczyzna - powiedział Harvey. - Próbowali zrobić ze mnie Amerykanina, ale im się nie udało. Nie chcę, żeby Walt Disney, Hollywood, Detroit i Madison Avenue mówili mi, jak mam się ubierać, myśleć, jakie mam mieć nadzieje. Ale oni piszą scenariusz do amerykańskiego snu. Co noc Amerykanie idą spać, sądząc, że gdy się nazajutrz obudzą, nie będzie już czerwonych Chin. Śnią, że Rosjanie w końcu dojdą do rozumu. *Time*, *Life* i *Reader's Digest* będą miały rosyjskojęzyczne wydania, a rosyjskie panie domu będą nosić elastyczne majtki i zamartwiać się, które stacje benzynowe mają czyste ubikacje oraz, czy w Odessie podobać się będzie Metropolitan Opera.

- Midwinter tak nie myśli.

- Jasne, że myśli. On po prostu sądzi, że najpierw musimy pogrozić im pięścią, to cała różnica. Słuchaj - zwierzył się - nie mam żadnych zdecydowanych poglądów politycznych, ale jestem Rosjaninem. Mówię po rosyjsku prawie tak dobrze jak pułkownik Stok. Po prostu wracam do domu, to wszystko.

- Dobra - powiedziałem. - Ale bez jajek, Harvey. Mogę się wycofać i nie skopać cię przedtem po kostkach, ale nie mogę pozwolić, żebyś zabrał jajka. To znaczy... - Wyciągnąłem ku niemu otwartą dłoń. Harvey zrozumiał ten ruch jako groźbę. - Tylko bez żadnych numerów - powiedział. - Mam w koszuli cztery zapłodnione kurze jaja. To jedyne, które się udały z całej partii tysiąca dwustu. Nie twierdzą, że wasi chłopcy nie będą mogli tego powtórzyć. Będą. Ale wiesz, że nie uwierzą ci w żadne historyjki o rozbitych jajkach.

Skinałem głową.

- Widzisz, te jajka spoczywają na moim ciele. Są ożywione, te kolonie wirusów, bo ogrzewam je ciałem. Przetoczę się tylko po siedzeniu i będę nosił na sobie jajecznicę. Powiem ci, co zrobimy. Przyjedziesz ze mną do Leningradu, a ja powiem ich chłopakom, aby zreprodukowali tego wirusa i dali ci cztery jajka

zapakowane w identyczny sposób, żebyś zabrał je z powrotem do Londynu. Umowa stoi?

- To śmiesz - powiedziałem - ale w tej chwili nie mogę wymyślić nic innego.

- To klawo - oznajmił Harvey. Dopił zimną herbatę i patrzył na wiejski krajobraz. - Naprawdę jestem zadowolony, że oddałeś swój strzał. Spieło mnie, gdy na to czekałem.

Pociąg zatrzymał się i ruszał wiele razy przez całą drogę do granicy. Harvey spoglądał posepnie przez okno, gdy obok przejeżdżał długi pociąg towarowy.

- Pociągi - powiedział. - Kiedyś były ważne. Pamiętasz resortowane podwozia, lodówki, wentylacje, wagony do załadunku? Pamiętasz te opisy?

- To powoli wraca - stwierdziłem. - Harvey skinął głową i powiedział: - Jestem zadowolony, że wiesz, iż Signe zabiła tego rosyjskiego kuriera. - Uśmiechnął się i wypuścił dym bardzo powoli, tak że zniknął za nim jak za welonem. - Wiesz, jaka jest Signe.

- Uważałeś, że wymyśliła tę historię? - oskarżyłem go.

- Do diabła, nie - odparł Harvey. Palił papierosa. - Bardziej się martwiła tym, że mnie opuszcza, niż ja, że ją opuszczam. O wiele bardziej. - Znowu zaczął padać śnieg. - To chyba najokropniejsza zima ze wszystkich - powiedział.

- Tak. Z twego punktu siedzenia - powiedziałem. Pociąg znów stanął.

- Vainikkala - wykrzyczano nazwę fińskiej stacji przygranicznej.

- Chodźmy na kawę - zaproponowałem. - Mamy dwadzieścia minut, gdy będą podłączać rosyjską lokomotywę. Ostatnia filiżanka prawdziwej kawy na jakiś czas.

Harvey ani drgnął. - Ostatnia filiżanka prawdziwej kawy, Harvey. Na całe życie.

Harvey wyszczerzył zęby i nałożył kurtkę ostrożnie, żeby nie uszkodzić jaj.

- Bez zgrywnych numerów - powiedział.

Podniosłem ręce w geście poddania i ruszyłem przodem przez korytarz.

- Za wielu tu Finów - oznajmiłem.

Rosyjski konduktor uniósł wzrok znad piecyka i szeroko się uśmiechnął.

Harvey zagadał do niego po rosyjsku i powiedział, żeby przypilnował, by pociąg nie odjechał bez nas, i że chcemy jeszcze herbaty i herbatników, gdy wrócimy. - Po co nam herbata i herbatniki? - zapytałem. - Wsiadamy z pociągu i idziemy do bufetu.

- Nie musimy ich jeść - odparł Harvey. - Ale stary trochę na tym zarobi i będzie sobie mógł coś kupić w Finlandii.

- Wygląda na to, że mu się powodzi - oświadczyłem. - Sądzę po tej butelce Gordon's gin, którą tak kurczowo trzyma.

- To prezent - wyjaśnił Harvey. - Powiedział mi, że to prezent od kogoś, kogo prawie nie zna.

Harvey był bardzo dumny, że mówi po rosyjsku.

Wypiliśmy kawę w dużym dworcowym bufecie. Był czysty, ciepły, jasno oświetlony i panowała w nim higieniczna skandynawska atmosfera, która dobrze pasowała do bożonarodzeniowego krajobrazu roztaczającego się na dworze. Staliśmy w padającym śniegu przypatrując się lokomotywie: olbrzymia, zielona zabawka z jaskrawoczerwonymi kołami i czerwoną gwiazdą na napletku. Stuknęła łagodnie w pociąg, który już się pozbył fińskich wagonów.

- I co dalej? - zapytał Harvey.

- Radzieccy i fińscy celnicy i kontrola paszportowa wejdą do pociągu, i zajmą się nami, gdy będziemy przejeżdżać przez strefę graniczną. W Wyborgu podłączą lokomotywę spalinową i dodadzą parę dodatkowych wagonów, żeby zabrać do Leningradu podróżnych ze strefy przygranicznej.

- Więc gdy wrócę do pociągu, mogę się czuć tak dobrze jak w Rosji? - Albo tak źle - oświadczyłem. Wszedłem po stopniach do pociągu.

- Tak źle - powiedział Harvey. - Co masz takiego, czego nie mogą mieć ludzie w Leningradzie?

- Mówiąc szczerze, bilet powrotny do Helsinek.

Harvey kuksnął mnie w ramię, a gdy chciałem mu oddać - również na żarty - powiedział: - Uwważaj. Jestem karmiącą matką. - Myślał, że zapomniałem, iż ma na sobie jajka. Nie zapomniałem.

Długo wędrowaliśmy do Leningradu. Popołudnie zaczynało zmierzchać. Wciąż padał śnieg. Płatki jaśniały na tle ciemniejącego nieba. Harvey zdjął kurtkę i usiadł w rogu przedziału. Stolik przykryty był białą, haftowaną serwetą, znajdowała się tam też lampka do czytania.

Wydawało się, że pociąg toczy się od wielu godzin, przystając i ruszając co parę metrów, żeby obsługa mogła przerzucać dźwignie zwrotnic, posypać je solą, zapalić lampy i pomachać chorągiewkami. Zatrzymaliśmy się w lesie. Duża polana miała rozmiary boiska piłkarskiego.

Po przeciwpożarowej przecince nadjeżdżał duży, czarny, rosyjski samochód. Jechał ostrożnie po wyboistej ścieżce, omijając stosy podkładów kolejowych i kępy

zarośli. W tym miejscu leśna droga przebiegała około pięćdziesiąt metrów od torów kolejowych. Samochód mógł się do nas zbliżyć mniej więcej na taką odległość.

Zatrzymał się.

- A więc to Rosja - powiedziałem do Harveya. Włączyłem lampkę przy stoliku. Nasze twarze odbijały się od okna w żółtym świetle.

- Jestem pewien, że aż do Leningradu nie będziemy mieli tu wagonu restauracyjnego? - zapytał Harvey.

- Zapytaj ich - odparłem. - Jesteś w przyjaznych stosunkach z kierownictwem.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że to moja ostania szansa? - zapytał Harvey.

- Za późno - odparłem. - Przyszło MWD. - Przez pół otwarte drzwi widziałem, jak przechadzają się po korytarzu, jakby pociąg do nich należał. Otworzyli drzwi z trzaskiem. - Dokumenty - powiedział najniższy z nich i zasalutował. Nosili kurtki i koszule koloru khaki, ciemne spodnie i zielone czapki z daszkiem.

Sierżant, który zasalutował, przyjrzał się pobieżnie paszportowi Harveya, jakby łańciski alfabet sprawiał mu trudności. Kapitan sięgnął ponad nim i wyrwał paszport. - Newbegin? - zapytał.

- Tak - odparł Harvey.

- Udajecie się do Leningradu? - Harvey skinął głową.

- Proszę za mną, weźcie swój bagaż. - Kapitan odwrócił się i chciał wyjść z przedziału. Sierżant strzelił palcami, by pogonić Harveya. Nie wydawali się zbyt przyjaźnie usposobieni.

- Ja też pójdę - powiedziałem.

Kapitan skierował się ponownie w stronę przedziału i zwrócił się do mnie: - Zostaniecie w pociągu. Pan Newbegin pojedzie do Leningradu samochodem. Zostaniecie w wagonie. Wydano mi w tej sprawie dokładne rozkazy.

Sierżant wepchnął mnie z powrotem do przedziału i zamknął drzwi. Słyszałem, jak na korytarzu kapitan rozkazuje sierżantowi, żeby nie podchodził za blisko do Newbegina. Domyśliłem się, że obawia się, iż potłucze jajka. Pociąg znów ruszył i przejechał parę metrów. Zatrzymał się. Otwarłem okno akurat w momencie, gdy mężczyzna w mundurze kapitana zeskakiwał na ziemię i pomagał Harveyowi znieść walizkę. Drogę do zwózki drewna dzieliło od torów ponad czterdzieści metrów i, chociaż wołga podjechała, by dotrzymać kroku pociągowi, wciąż był do niej spory kawałek piechotą w głębokim śniegu. Śnieg okrył przednią szybę samochodu siwizną, ale wycieraczki utrzymywały w czystości dwa czarne, lśniące trójkąty. Spaliny

unosily się śmierdzącymi kłębami, jakie wydziela rosyjskie paliwo. Prawie że mogłem wyczuć ich zapach z miejsca, z którego wychylałem się z pociągu. Trzej mężczyźni poruszali się bardzo wolno, niczym lekkoatleci na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Harvey odwrócił się do mnie i się uśmiechnął. Pomachałem mu na pożegnanie. Dwaj Rosjanie popychali go ku otwartym drzwiczkom samochodu. Być może dlatego, że znajdowali się w kopnym śniegu albo dlatego, że nosili bardzo grube wierzchnie odzienie, poruszali się z powolnym, baletowym wdziękiem. Harvey zdejmował płaszcz wykonując piruet. Stał za nim sierżant trzymający kartonowe pudełko na jaja. Kierowca pochylił się głęboko do przodu na siedzeniu. Utkwił wzrok w pociągu, jakby ujrzał coś takiego po raz pierwszy i trochę się bał. Harvey zdjął płaszcz i marynarkę, żeby wydostać jaja umieszczone pod koszulą. Wiatr wydymał mu koszulę niczym spinaker, a twarz szczypały boleśnie igielki mrozu. Kapitan roześmiał się i skinął na niego, żeby się pośpieszył i mogli obaj wsiąść do ogrzanego samochodu. Nie wiem dokładnie, co się następnie stało, ale raptem Harvey - wciąż w koszuli wydętej wiatrem tak, że przypominał reklamówkę Michelina - puścił się biegiem. Biegł w stronę pociągu. Ruszał się przedziwnie; z powodu głębokiego śniegu musiał wysoko unosić stopy, niczym koń specjalnie wytrenowany na wyścigi kłusaków. Przebrnął przez pierwszy tor ślizgając się i staczając po oblodzonych podkładach. Utrzymywał równowagę wspierając się co chwila na palcach prawej ręki. W ślad za Harveyem sunęła kolumna mrówek, małych, czerwonych mrówek. Harvey potknął się i zapadł po pas w śniegu, ale wygrzebał się, uniósł i pobiegł wykonując dziwne, konwulsyjne ruchy, klucząc i kręcąc, padając i koziołkując w powietrzu, muskając ziemię czubkiem palca i wyprężając się na całą wysokość niczym diabełek wyskakujący z pudełka. Harvey wezwał na pomoc wszystkie swoje umiejętności, wykonując tę długą, baletową sekwencję. Jego zmysł równowagi, wycucie czasu i prędkość zostały poddane próbie, gdy skakał, padał i ślizgał się przez kopny śnieg.

Sierżant odrzucił puste pudełko i stanął w klasycznej pozycji zajmowanej przy strzelaniu z pistoletu, z lekko zgiętym łokciem. Ramię drgnęło gwałtownie, gdy strzelił do Harveya. Kierowca samochodu wycisnął sprzęgło. Samochód podskakując ruszył za Harveyem. Harvey próbował dostać się do pociągu. Kolumna małych mrówek wciąż podążała za nim po śniegu i uświadomiłem sobie, że to rozsiewane przez wiatr kropelki krwi. Kapitan wychylił się przez okno wołgi i też strzelił do Harveya z dużego pistoletu. Wydawało się mało możliwe, by go trafił, bo samochód podskakiwał w górę i w dół na lodowych muldach, starych podkładach i

przymarzniętych twardo do ziemi zwałach odpadków.

Pociąg zabrzączał przeciągle i szarpnął do przodu. Harvey był bardzo blisko pociągu, który teraz jednak mu umknął. Samochód stanął w miejscu, gdzie leśna droga ostro skręcała od torów. Sierżant przestał strzelać. Stał samotny i nieruchomy. Wyciągnął rękę z pistoletem, głowę przechylił na jedną stronę, niczym karykatura statui wolności. Pistolet wycelował spokojnie w drzwi do pociągu. Harvey musiał się wspiąć po metalowych schodkach; gdy wyciągnie ramię, by schwytać za poręcz, jego ciało rozciągnie się na całą długość. Łatwy cel, nawet przy strzale z pistoletu. Harvey dobiegał do pociągu. Patrzyłem, jak sierżant strzela. Pistolet podskakiwał mu w dłoni. Prawie nie było widać dymu.

Oddał trzy strzały, jeden po drugim. Po pierwszym nie spojrział, czy trafił, tylko dalej umieszczał pociski w celu. Nie sądzę, by Harvey wiedział, co go czeka na stopniach pociągu; zdarzył mu się szczęśliwy traf, jeden z niewielu w jego życiu. Pośliznął się. Pośliznął się na podkładzie albo potknął o szynę lub hak szynowy i rozciągnął się jak długi w śniegu. Widziałem go niewyraźnie, ale gdy uniósł się z wgłębienia, które zrobił w śniegu, spostrzegłem, że jeden łokieć jest czerwony od krwi i ma na sobie pasmajtki z potłuczonych, surowych jajek. Wyjęcie pustego magazynku, odszukanie nowego w kieszeni, założenie go i powrót do pozycji strzeleckiej zajęło sierżantowi dziesięć sekund, ale Harveyowi nie było trzeba aż tyle, by rzucić się głową naprzód w otwarte drzwi wagonu. Gdy wyszedłem na korytarz, wił się jak węgorz leżąc na brzuchu. Pociąg szarpnął do przodu z okropnym jękiem, a potem zaczął nabierać prędkości. Harvey oddychał wolno, wciągając głośno i głęboko hausty powietrza. Dygotał na całym ciele. Przetoczył się bardzo powoli na plecy, aż mnie zauważył.

- Chryste, ale się bałem - powiedział. - Chryste.

- Widzę, że masz żółty brzuch - zauważyłem.

Harvey skinął głową, wciąż pracując wszystkimi mięśniami, żeby utrzymać pracę płuc. - Myślałem, że ten sukinsyn wypali mi w plecy, gdy tu leżałem - powiedział w końcu.

- Pozwól, rzucę okiem na twoje ramię - poprosiłem.

- Pozwolić rzucić ci okiem - powiedział Harvey. - Myślisz, że nie wiem, iż to byli wasi ludzie? Ten napis ostrzegający przed lodem na zwrotnicach jest po fińsku. Wciąż jesteśmy po fińskiej stronie granicy. To byli wasi ludzie ubrani jak rosyjscy pogranicznicy.

- To byli Amerykanie - powiedziałem. - My zrobilibyśmy to lepiej. Pozwól, że przyjrę się ręce.

- Czego chcesz, dokończyć za nich robotę?

- Nie bądź taki uszczypliwy, Harvey. Nie stawiałem ci zarzutów, gdy twoi protegowani przygotowali mi nagły i niespodziewany koniec pod Rygą.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - oświadczył Harvey.

- Słowo honoru, Harvey? - zapytałem. Harvey zawahał się. Nie mógł złamać słowa honoru. Mógł oszukiwać, kraść, kazać zabić Kaarna'ę i człowieka w dentystycznym fotelu. Mógł nawet poleci swoim chłopcom, by spróbowali mnie zabić, ale nie mógł złamać słowa honoru. Honor był czymś ważnym dla Harveya.

- Dobra. Obejrzyj moje ramię - powiedział. Uniósł ku mnie łokieć. -

Rozciąłem go o drzwi samochodu. - Z przedziału konduktora słyszałem chrapanie mężczyzny pogrążonego w pijackim śnie. Kątem oka zauważyłem, że wołga nabiera szybkości, odjeżdżając wąską, leśną drogą. Harvey miał plaster w swojej walizce. Przylepiłem go mocno na ranę. - To tylko draśnięcie - powiedziałem. Nie minęło wiele czasu, a zajęli się nami prawdziwi celnicy.

## **Rozdział 26**

Tej nocy obaj zatrzymaliśmy się w hotelu „Europa”. Następnego ranka razem zjedliśmy śniadanie w barze - sernik i kwaśna śmietana. Pokręciłem się, żeby się pożegnać z jak największym wdziękiem.

- Pojedziesz na lotnisko? - zapytałem. - Wsiądę w przedpołudniowy samolot.

- Co tam na mnie czeka? Dwudziestu ludzi z obstawy i wyścielany pluszem odrzutowiec?

- Nie bądź taki, Harvey.

- Nie bądź taki, Harvey - powtórzył Harvey. - Powinienem natychmiast wydać cię Rosjanom, to powinienem zrobić.

- Słuchaj, Harvey. Choć aż za długo bawiłeś się w elektroniczne Monopoly w Teksasie, to nie wyobrażaj sobie, że masz coś wspólnego z wywiadem. Każdy wyższy funkcjonariusz w rosyjskim wywiadzie wie, że zeszłej nocy przyjechałem pociągiem do tego miasta. Wiedzą, kim jestem dokładnie tak, jak ja wiem, kim oni są. Nikt już nie nakłada peruki i nie wsadza wkładek do butów, żeby szkicować fortyfikacje.

- Ja to robiłem - powiedział Harvey.

- Ty to robiłeś i to zmyliło nas na parę tygodni. Nie mogłem nikogo

przekonać, że tacy ludzie istnieją w rzeczywistości, a nie w nocnych programach w telewizji.

- Wciąż mógłbym im opowiedzieć o tobie parę rzeczy, o których nie wiedzą.

- Nie licz na to, synu. Posłuchaj mojej rady i trzymaj gębę na kłódkę, bo moim zdaniem to miasto rozczaruje cię do głębi, a gdy się tak stanie, będziesz potrzebował jakiegoś miłego i przyjaznego kraju, do którego mógłbyś się przenieść - a takich miejsc jest coraz mniej - zwłaszcza że następnym razem nie będziesz miał na zbyciu jajek lub ważnych informacji.

- Jeżeli myślisz...- Nic nie mów - przerwałem mu. - Mógłbyś spędzić resztę życia żałując tego.

- Żałuję tylko tego, że chłopcy z Rygi nie rozwalili ci łba. - Harvey otarł usta z kwaśnej śmietany i odrzucił serwetkę.

- Odprowadzę cię do taksówki - powiedział. Wyszliśmy na dwór. Zanosilo się na odwilż. Wzdłuż Newskiego Prospektu olbrzymie rury odpływowe jęczały i rzeziły wyrzucając na chodnik lodowe lawiny. Pługi śnieżne usuwały ostatnie ślady nocnego śniegu, ale w chwili, gdy Harvey zauważył, jak czysto jest na ulicach, samobójczy oddział płatków zawirował ku dołowi, przygotowując drogę nowej burzy śnieżnej.

Przejechało parę taksówek, ale wszystkie były zajęte. Jedna z nich zapaliła zielone światelka, gdy nas zauważyła. Przypuszczam, że kierowca jechał do domu - na całym świecie kierowcy zjeżdżają do domów, gdy pogoda ma się pogorszyć. Harvey wpadł w przygnębienie, bo nie mógł znaleźć taksówki. Domyślałem się, że uważał, iż wszyscy powinni mu gratulować i dziękować za nawrócenie. - Rozboliła mnie głowa - powiedział. - A wczoraj w nocy miałem gorączkę i bolał mnie zraniony łokieć. Założę się, że mam teraz gorączkę.

- Chcesz wrócić do hotelu?

- Nie, nic mi nie będzie, ale robi mi się ciemno przed oczyma. Gdy tylko się pochylę, robi mi się ciemno przed oczyma. Co to takiego, czy to coś poważnego?

- To dlatego, że rzeczywistość maluje się w ciemnych kolorach, a ty widzisz to we właściwym świetle tylko wtedy, gdy się pochylasz.

- Za grosz nikt cię nie obchodzi. Jestem chory. - Ale nie wrócił do hotelu.

Szliśmy powoli Newskim Prospektem. Było tu tłoczno; przypominał wzburzone morze zmierzwionych okryć i futer. Widać było szerokie mongolskie twarze, drobnych Ormian z czarnymi wąsikami o twarzach ściągniętych mrozem; oficerów marynarki wojennej w czarnych mundurach i żołnierzy w wysokich, karakułowych



czapkach.

Chłopak z kolorową kokardą złapał Harveya za ramię. - Ty Amerykanin? - zapytał. - Chcesz coś sprzedać, aparat fotograficzny... - Nie, nie jestem - odparł Harvey i wyrwał ramię. Młodzieniec natknął się na grupkę oficerów marynarki i, gdy przechodziliśmy obok, usłyszałem, jak go besztają. - Uraził mnie w ramię - wyjaśnił Harvey. - Moje chore ramię. - Pomasażował je. Chciał przejść przez Newski przy czerwonym świetle, ale odwiodłem go od tego. - Czy ostatecznym przeznaczeniem człowieka jest, by rządziły nim maszyny? - zapytał Harvey. Uśmiechnął się. Próbowałem wysondować głębię jego ironii. Czy w ten sposób skomentował Mózg za miliard dolarów? Trudno powiedzieć. Nigdy się nie dowiem, bo była to faktycznie jego ostatnia, skierowana do mnie wypowiedź. Szliśmy po Newskim skrajem chodnika. Harvey gładził zadraśnięte ramię, a ja szukałem wzrokiem taksówki.

- Tak - odparłem, wciąż rozglądając się za taksówką.

- Po drugiej stronie jest więcej taksówek - powiedział Harvey. Staliśmy na rogu przypatrując się pędzącym po jezdni samochodom. - Tam - krzyknąłem. - O, taksówka.

Zszedł z chodnika. Rozległ się pisk hamulców, ktoś krzyknął, ale autobus rąbnął prościutko w Harveya, który zniknął pod nim. Pojazd zatelepał się dwa razy, a gdy wciśnięto hamulce, zablokowane koła wpadły w poślizg na czerwonej oleistej substancji. Tobałek łachmanów wytoczył się spod tyłu autobusu, który, obracając się, nieruchomiał, aż ustawił się w poprzek jezdni. Podłużna kałuża oleju była posmżona krwią. Dwa buty sterczały pod dziwnym kątem z tobołka. Kierowca wysiadł sztywno z autobusu. Była to kobieta po trzydziestce. Jej szeroką, chłopską twarz zaokrągliła jeszcze ciasno zawiązana pod brodą chustka. Wycierała dłonie o biodra, patrząc, jak człowiek, który krzyknął - drobny, żyłasty mężczyzna - przykłęknął obok tobołka, poskrobał go łagodnie i zaraz zdjął futrzaną czapkę.

- Nie żyje - zawołał.

Kierowca krzyczała załamując ręce. Raz po raz intonowała krótką, rosyjską modlitwę. W motocyklu z przyczepą przyjechało dwóch policjantów. Odsunęli klapy przy czapkach-uszankach i zaczęli wypytywać gapiów. Jeden z pasażerów autobusu wskazał na mnie, a gdy policjant rozglądał się dookoła, wycofałem się w tłum. Człowiek stojący tuż za mną nie usunął się na bok. Wciąż blokował mi drogę ucieczki, gdy zbliżył się do mnie gliniarz z drogówki. Gliniarz zaczął mówić do mnie po rosyjsku, ale stojący z tyłu człowiek pokazał im legitymację. Policjant zsalutował

i zrobił w tył zwrot. - Tędy - powiedział mężczyzna. - Zabiorę cię na lotnisko. - Modlitwę kierowcy przerwało rozziewające łkanie. Policjanci unieśli ciało Harveya, więc mogła dojrzeć jego twarz. Nie chciałem jechać z tym człowiekiem, chciałem pocieszyć kobietę. Chciałem powiedziec, że to nie była jej wina. Chciałem wyjaśnić, że stała się tylko ofiarą zbiegu okoliczności, którego najprawdopodobniej nie była w stanie uniknąć. Ale gdy się nad tym zastanawiałem, pomyślałem, że może to była jej wina. Może to Harvey był ofiarą zbiegu okoliczności, a kierowca i parę milionów innych ludzi nie robiło nic, żeby wyleczyć zwariowany świat. Świat, w którym jestem dumny z tego, że trzymam się własnej strony i pogardzam Harveyem za jego kodeks honorowy i za to, że mówił prawdę.

- Na lotnisko - powtórzył mężczyzna.

Jeden z policjantów zaczął posypywać piaskiem kałużę oleju i krwi.

- Tak, bardzo proszę, pułkowniku Stok - odparłem. Obok rozmarzająca rura odpływowa zadudniła i wyrzygała na chodnik zwał mokrego lodu.

Stok wyszedł z tłumu i strzelił palcami. Z drugiej strony ulicy przemknął przez jezdnię zis i zatrzymał się przed nami. Kierowca wyskoczył i otworzył drzwi. Stok zaprosił mnie ruchem ręki do środka. W samochodzie grało radio. Nadawano ostrzeżenie. Lód pękał na Nowie, ostrzegano ludzi, żeby po nim nie chodzili. Stok kazał kierowcy wyłączyć radio.

- Lód - powiedział. - Wiem o nim wszystko. - Wyciągnął z kieszeni flaszkę i podał mi ją. - Napij się. To na rozgrzewkę.

Wypiłem trochę i zaniósłem się kaszlem. Było to coś gęstego i tak gorzkiego, że prawie nie dawało się pić.

- Balsam Ryski - powiedział Stok. - To cię rozgrzeje.

- Rozgrzeje mnie? Co mam z tym zrobić? Podpalić? - Ale i tak wypilem jeszcze łyk, gdy samochód wjechał w ulicę wiodącą na lotnisko. Obejrzałem się w stronę autobusu. Ile piasku by nasypali, i tak olej i krew będą przebijały spod niego.

Niektóre zisy wyposażone są w specjalnie nastrojone klaksony, które ostrzegają pełniących służbę policjantów, klakson i nie zatrzymując się przejeżdżał z rykiem silnika przez skrzyżowania.

- Obchodzę dzisiaj rocznicę - powiedział Stok. - Mojej rany. - Pomasaował ramię. - Snajper zranił mnie podczas wojny fińskiej. Gdyby wypił mniej wódki, możliwe że mnie by zabił. - Roześmiał się. - Ich snajperzy nieczęsto chybiaли - nazywaliśmy ich kukułkami. Przenikali całe mile za linię frontu i zabijali nawet

generałów. Niektórzy z nich mieszały się z nami na froncie, jedli z naszych kuchni polowych, a potem znikali w swoich kryjówkach. Godne uwagi. Tamten dzień przypominał nieco dzisiejszy. Oblodzenie, trochę padało. Byłem w pułku pancernym. Ujrzelśmy grupę żołnierzy w mundurach służby kontroli ruchu Armii Czerwonej, z opaskami. Pomachali chorągiewkami i skierowali nas z drogi. Nie było to nic nadzwyczajnego, często jeździliśmy po polach. Ale ci ludzie to byli Finowie ubrani w mundury Armii Czerwonej. Nagle dostaliśmy się pod potężny ostrzał. Nie zamknąłem luku. Musiałem patrzeć. To był błąd. - Pomasował ramię i roześmiał się. - To był mój pierwszy dzień w akcji na froncie.

- A to pech.

- Mamy w Rosji przysłowie: pierwsze koty za płoty. - Wciąż trzymał się za ramię. - Czasami w zimne dni łapie mnie skurcz mięśni. Medycy na froncie nie bardzo umieli zaszywać rany, a nie uwierzyłbyś, jak wtedy było zimno. Walki toczyły się nawet przy czterdziestu stopniach poniżej zera. Lód tworzył się na otwartych ranach. Lód to coś strasznego. - Stok wyciągnął paczkę papierosów. Zapaliliśmy obaj. - Znam się na lodzie - powtórzył. Wypuścił wielki kłęb dymu. Kierowca nacisnął klakson. - Walczyłem gdzieś tutaj podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Pewnego razu wyjechaliśmy na nartach, żeby pobrać próbki lodu. Musieliśmy wiedzieć, czy lód na jeziorze Ilmeń wytrzyma ciężar czołgów - czterdzieści trzy tony - żebyśmy mogli zaatakować z flanki faszystowską 290 Dywizję Piechoty. Czterdzieści trzy tony to trzysta funtów na centymetr kwadratowy. Lód na jeziorze Ilmeń był wspaniały. Woda zamarzała niemal do dna jeziora, ale czy wiesz, że czasami można było zauważyć, jak lód się ugina, ugina się pod ciężarem czołgów. Oczywiście czołgi musiały trzymać się w dużych odstępach, gdy przejeżdżaliśmy przez jezioro. W przodzie znajdowały się dwie rzeki. Prąd wody oznacza, że lód w tych miejscach nigdy nie będzie bardzo gruby. Podczas rekonesansu wrzucaliśmy drewniane bale do wody. Wmarzały tam i utwardzały powierzchnię. Przeciągnęliśmy stalową linę od czołgu do czołgu - jak podczas górskiej wspinaczki - i pierwsze cztery czołgi przejechały przez lód i bale bez kłopotów, choć tu i ówdzie słychać było trzaski. Gdy piąty czołg minął połowę drogi, strzeliło jakby z pistoletu. Cztery pierwsze czołgi przyspieszyły obroty silników, a gdy piąty zatonął, wyciągnęły go przez taflę lodu - gruba była na jakieś półmetra - z okropnym trzaskiem. Chyba przez trzy minuty czołgi się nie poruszały, napinając się jak... Stok przerwał. Ścisnął olbrzymie dłonie i strzelił stawami palców. - Potem z wielkim hukiem piąty czołg się wynurzył.

- Załoga nie mogła przeżyć trzech minut w lodowatej wodzie. Zaskoczyło to Stoka. - Załoga? No, nie, było wtedy wiele załóg.

- Roześmiał się i przez chwilę patrzył na swoją młodość. - Zawsze jest pełno ludzi - powiedział. - Pełno, żeby poszli za mną, pełno, żeby poszli za tobą. - Przy Pałacu Zimowym skręciliśmy przez jezdnię. Kilkanaście autobusów turystycznych i długi rząd ludzi czekało cierpliwie, żeby obejrzeć skarby carów.

- Pełno, żeby pójść za Harveyem Newbeginem - stwierdziłem.

- Harvey Newbegin - powiedział Stok, dobierając słowa starannie niż zazwyczaj - był typowym produktem waszego marnotrawnego kapitalistycznego systemu.

- Jest taki człowiek, nazywa się generał Midwinter - odparłem - który sądzi, że Harvey był typowym przykładem waszego systemu.

- Jest tylko jeden generał Zima - stwierdził Stok - a on jest po naszej stronie. - Samochód pędził wzdłuż brzegu Newy. Po drugiej stronie przez welon padającego śniegu ujrzałem Twierdzę Pietropawłowską i stary krążownik „Aurora”. W Ogrodzie Letnim posągi wsadzono w drewniane skrzynie, żeby nie popękały na mrozie.

Zaczęło śnieżyć coraz gęściej i widoczność zmniejszyła się tak bardzo, że zastanawiałem się, czy nie odwołają samolotu. Zastanawiałem się też, czy Stok naprawdę wiezie mnie na lotnisko.

- Czy Harvey Newbegin był twoim przyjacielem? - zapytał Stok.

- Mówiąc uczciwie - odparłem - to nie wiem.

- Nie bardzo wierzył w Zachód.

- Nie bardzo wierzył w cokolwiek - powiedziałem. - Uważał, że wiara to luksus.

- Na Zachodzie to jest luksus - stwierdził Stok. - Chrześcijaństwo uczy, abyś ciężko pracował dzisiaj za żadną lub niewielką zapłatę, a jutro umrzesz i obudzisz się w raju. Taka wiara to luksus.

Wzruszyłem ramionami. - A marksizm naucza, żeby pracować dzisiaj ciężko za żadną lub niewielką zapłatę, a jutro umrzesz i twoje dzieci obudzą się w raju. Co za różnica?

Stok nie odpowiedział. Szczypał się w brodę i patrzył na zatłoczone ulice.

- Wysoki funkcjonariusz waszego Kościoła - odparł w końcu

- wystąpił ostatnio na konferencji. Powiedział, że nie obawia się bezbożnego świata, ale Kościoła bez wiary. To jest także problem komunizmu. Nie obawiamy się

psychopatycznej wrogości waszych Midwinterów, oni nawet nam pomagają, bo nasi ludzie natychmiast jednoczą się, gdy widzą, jaką nienawiścią nas się darzy. Musimy się obawiać utraty własnej czystości - braku wiary u przywódców, rezygnacji z zasad na rzecz praktycznej polityki. Na Zachodzie wszystkie ruchy polityczne - od ogłupiałej lewicy po nawiedzoną prawicę - nauczyły się rezygnować ze swych pierwotnych - być może naiwnych - celów w imię kompromisu, którego wymaga realna władza. W Rosji także zawarliśmy kompromis. - Przerwał.

- Kompromis to nie jest pejoratywne słowo - powiedziałem.

- Jeżeli mamy wybierać między kompromisem a wojną, ja wybieram kompromis.

- Nie mówię o kompromisie pomiędzy nami a Zachodem - wyjaśnił Stok. - Mówię o kompromisie między dzisiejszym rosyjskim socjalizmem - potężnym, realistycznym, znającym świat

- a rosyjskim socjalizmem mej młodości, a nawet młodości mego ojca - bezkompromisowym, idealistycznym, czystym.

- Nie mówisz o socjalizmie - stwierdziłem. - Mówisz o młodości. Nie żałujesz przemijania ideałów wieku chłopięcego, żałujesz, że przeminęły chłopięce lata.

- Być może masz rację - powiedział Stok.

- Mam - odparłem. - Wszystko, co wydarzyło mi się przez ostatnie parę tygodni, zawdzięczam smętnej zawiści i uwielbieniu, które starość żywi dla młodości.

- No dobrze, zobaczymy - powiedział Stok. - Za dziesięć lat dowiemy się, który system zapewni przynajmniej lepsze warunki życiowe. Zobaczymy, gdzie zdarzy się cud gospodarczy. Zobaczymy, kto gdzie będzie podróżował, żeby kupić artykuły luksusowe.

- Miło mi słyszeć, że opowiadasz się za systemem konkurencyjnym - stwierdziłem. - Jedziesz za szybko - powiedział Stok do kierowcy. - Wyprzedź ostrożnie tę ciężarówkę. - Obrócił się do mnie, ciepło się uśmiechając. - Dlaczego wepchnąłeś swojego przyjaciela Harveya pod autobus?

Spokojnie patrzyliśmy na siebie. Stok miał zacięcia na podbródku. Krew zaschła w lśniące, ciemne gruzelki. - Próbowaliście dokonać zabójstwa na granicy i się wam to nie udało, więc wyznaczono ci zadanie zamordowania Newbegin tutaj, w centrum naszego Leningradu. Prawda?

Łyknąłem jeszcze Balsamu Ryskiego i nic nie odpowiedziałem.

- Kim jesteś, Angliku, płatnym mordercą, najemnym zabójcą?

- Wszyscy żołnierze są tacy - odparłem. Stok spojrział na mnie zamyślony i w końcu skinął głową. Pędziliśmy na lotnisko niewiarygodnie długą szosą, która kończyła się przy jakimś dziwnym pomniku, którego nigdy nie zwiedzałem. Skręciliśmy w prawo, przez wjazd na lotnisko. Kierowca podjechał do metalowej bariery i nacisnął klakson. Żołnierz odsunął barierkę, ruszyliśmy po asfalcie, wjechaliśmy trzęsąc się na beton i zatrzymaliśmy się obok Iła-18, w którym obracały się turbiny silników. Stok sięgnął do czarnego, cywilnego płaszcza i wyciągnął mój paszport. - Zabrałem go z hotelu, panie... - zerknął do paszportu... - panie Dempsey.

- Dziękuję - odparłem.

Stok nie ruszył się, żeby wypuścić mnie z samochodu. Gawędził dalej, jakby podmuch z turboodrzutowych silników nie kołysał nami łagodnie na resorach: - Wyobraź sobie, Angliku, że dwie potężne armie zbliżają się ku sobie po rozległym, bezludnym terenie. Nie wydano im rozkazów, żadna też nie przypuszcza, że druga istnieje. Wiesz, jak maszerują wojska. Jeden człowiek daleko w przodzie ma lornetkę, pistolet maszynowy i licznik Geigera. Za nim podążają pojazdy pancerne, ciężarówki, medycy, a na końcu dentyści, generałowie i kawior. Tak więc na samym czubku szpicu dwóch armii znajdują się dwaj niezbyt mądry ludzie, którzy, gdy się spotkają, będą musieli zdecydować, czy wyciągnąć dłoń, czy nacisnąć spust. W zależności od tego, co zrobią, tej nocy oba wojska albo wspólnie rozbiją obóz i będą wymieniać się kawałami i wódką, albo też będą walczyć rozdierając się na strzępy, używając do tego najskuteczniejszych ludzkich wynalazków. My stanowimy tę szpicę - zakończył Stok.

- Towarzyszu-pułkownik Stok, jesteś nieuleczalnym romantykiem - powiedziałem.

- Być może - odparł Stok. - Ale nie próbuj po raz drugi tej sztuczki z przebieraniem waszych ludzi w radzieckie mundury. Zwłaszcza w moim okręgu.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- No to nie próbuj tego po raz pierwszy - powiedział Stok. Otworzył drzwi po swojej stronie i strzelił palcami. Kierowca obiegnął szybko samochód i przytrzymał drzwi. Wsiadałem z samochodu przeciskając się obok Stoka. Spojrział na mnie nieruchomo niczym Budda i trzasnął stawami palców. Wyciągnął otwartą dłoń, jakby oczekiwał, że coś na nią położę. Nie uściśnalem jej. Wszedłem po stopniach do samolotu. W przejściu stał żołnierz i sprawdzał paszporty wszystkich pasażerów. Oddychałem z trudnością aż do chwili, gdy znaleźliśmy się nad morzem. Dopiero

wtedy uświadomiłem sobie, że wciąż trzymam piersiówkę Stoka. Na zewnątrz śnieg walił w samolot niczym chmara szarańczy. Nie zanosiło się na odwilż.

## Część X Londyn

*Poszła baba po popiół,  
Diabeł babę utopił,  
ni popiołu, ni baby,  
tylko z baby dwa schaby.*

Rymowanka dziecięca

### Rozdział 27

- Odpowiedzialność to tylko stan ducha - powiedział Dawlish. - Oczywiście, że Stok będzie wściekły, cała jego robota na nic, ale z naszego punktu widzenia wszystko skończyło się ślicznie. Wszyscy są zadowoleni, w rzeczy samej minister użył właśnie takich słów: „Afera Newbegin skończyła się ślicznie”.

Popatrzyłem na Dawlisha, zastanawiając się, co naprawdę się kluje pod tą dystangowaną siwizną.

- Operacja się udała - powtórzył Dawlish, jakby wyjaśniał coś dziecku.

- Operacja się udała, ale pacjent umarł - odparłem.

- Nie powinienes żądać za wiele. Sukces to tylko stan ducha. Nie wzywają nas, zanim gdzieś coś już się nie popsulo. Cały kłopot ze współczesnymi młodymi ludźmi polega na tym, że czczą sukces. Nie bądź taki ambitny.

- Czy nie wydaje się panu - zapytałem - że Harvey Newbegin mógł otrzymać polecenie ucieczki do Rosji od CIA lub Departamentu Stanu? Zdarzało mu się pracować dla nich. Istnieje taka możliwość.

- Nie jest naszym zadaniem obliczanie permutacji podstępów. Gdyby Newbegin jeszcze żył, siedzielibyśmy tutaj i mielibyśmy kłopot. Martwy Newbegin oznacza, że nie ma ryzyka. - Pochylił się, żeby strząsnąć popiół do kosza i zeszywniał, jakby coś nowego przyszło mu do głowy. Przekreślił głowę, żeby na mnie popatrzeć. - Naprawdę widziałeś, że jest martwy? - Skinąłem głową. - To było jego ciało? Żadnej możliwości podmiiany? - Zaczął porządkować biurko.

Dawlish ma zdecydowanie pokretny umysł. - Niech pan tego jeszcze bardziej nie komplikuje - poprosiłem. - To były zwłoki Harveya Newbegin. Chce to pan na piśmie?

Dawlish potrząsnął głową. Skręcił parę kartek ze sprawozdania i wrzucił je do kosza. - Zamknij akta - powiedział. - Sprawdź w archiwum, żeby sporządzili podteczki i daj wszystko, co mamy, porannemu gońcowi od Rossa z Ministerstwa Wojny. Prawdopodobnie zarchiwizuje to pod hasłem „Pike”. Sprawdź to telefonicznie i oznacz odpowiednio nasze fiszki. - Dawlish wygrzebał kupkę pinezek, spinaczy i wstążek z porannej korespondencji i wyrzucił ją. Uniósł z biurka poczerńiałą żarówkę..- Dlaczego elektrycy wszędzie zostawiają tu przepalone żarówki?

- Bo nie wolno im nic wynosić z tego budynku - odparłem. Dawlish wiedział o tym tak samo jak ja. Zważył żarówkę na dłoni, a potem wrzucił ją łagodnie do kosza. Stłukła się. Nie wie, czy chciał, żeby tak się stało, niszczenie przedmiotów, nawet zużytych żarówek, nie było w jego stylu. Spojrzał na mnie unosząc brwi, ale nic nie powiedziałem.

Oczywiście, że sprawa nie została zamknięta. Nigdy nie będzie. Przypomina to eksperyment laboratoryjny, w którym wstrzykuje się coś jakiejś cholernej myszce i wszystko jest w najzupełniejszym porządku przez sto mysich pokoleń, a potem wydają one z siebie potomstwo z dwiema głowami. Jak dotąd nauka twierdzi, że to bezpieczne. My robimy to samo. Ogłaszamy, że to bezpieczne, ale nie dziwi nas, gdy pojawia się dwugłowy potwór. To była pierwsza rzecz, jaka wydarzyła się rano, o dziewiątej czterdzieści pięć. Właśnie przyszedłem do biura. Czytałem list od mojego gospodarza, który stwierdził, że gra na pianinie i wyśpiewywanie *The Wearing of the Green* pół godziny po północy łamie warunki najmu. Gospodarz wspominał tylko o tej jednej piosence i nie było jasne, czy jego sprzeciw ma charakter polityczny, muzyczny, czy towarzyski. Co więcej, głosił dalej list od właściciela, na dworze zaparkowano mały samochód, na którym wyskrobano obraźliwe uwagi. Niech będę tak uprzejmy i usunę go albo umyję.

- To może być parówka - mówiła Jean - ale sądzę, że chodzi o szczotkowanie pod włos. - Zadzwonił telefon, powiedziała: - Bardzo dobrze - i rozłączyła się. - Na dworze czeka samochód. Włosy są bardzo delikatne. Jeśli stale szczotkuje się je w złą stronę, zaczynają się łamać.

- Co za samochód? - zapytałem.'

- Wycieczka do Salisbury. Najpierw czujesz, że włókna stają się sztywne i



szorstkie, a potem rozszczepiają się na końcach. - Owinęła włos wokół palca.

- Co za samochód?

- Wycieczka do Salisbury. I oczywiście nie układają się w fale. Są włókniste.

Nie chcę, żeby się to stało.

- Po co?

- Masz pojechać i odwiedzić doktora Pike'a w więzieniu. Ale mam tu najlepszego fryzjera, żeby się nimi zajął. Geraldo. Przefasonuje je i będą mogły odrosnąć proste.

- Pierwszy raz o tym słyszę.

- Jest o tym na notatce pod twoimi lekkostrawnymi herbatnikami. Koniec ze szczotkowaniem i na pewno z parówką, aż odrosną odzyskując miękki połysk.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Myślałam, że od razu tam zajrzysz. Kiedy włosy zaczynają się łamać, zaczyna to wyglądać bardzo poważnie. Źle to działa na ich porost. Nie wiem, czy to nie oznacza...

- Dobrze już, przepraszam. Nie pomyślałem, co mówię, kiedy wczoraj powiedziałem ci, że jesteś mi potrzebna tylko do pisania na maszynie i odbierania telefonów. Błagam o wybaczenie. A ponieważ wyłożyłaś już swoją sprawę, skończ z zaplanowanym na dziś sabotażem. - Wstałem i włożyłem raporty do aktówki. - Pojechałabyś lepiej ze mną. Są tu prawdopodobnie wszystkie informacje, których ja potrzebuję, a ty posiadasz.

- To prawda - powiedziała Jean. - Jeśli byś się porządnie zajmował aktami, zamiast dostawać bzika na punkcie paru z nich i lekceważyć całą resztę, to wiedziałbyś, jaki jest twój rozkład dnia. Nie mogę się wszystkim zajmować.

- Tak - przyznałem.

- A w środę chciałabym...

- Pójść do fryzjera - dokończyłem. - Dobra, nie musisz nadawać bodźców podprogowych. A teraz idziemy. - Jean podeszła do swego biurka, odszukała zalakowaną kopertę z kryptonimem „Turnstone” i numerem katalogowym. W rogu bardzo lekko napisano słowo „Pike”. - Życzyłbym sobie, żebyś tego nie robiła - powiedziałem wskazując na napis ołówkiem. - Na South Audley Street poszaleli z powodu dwóch naszych akt, które miały na zewnątrz wypisane ołówkiem nazwiska. To stwarza możliwość poważnego przecieku. Nigdy już tego nie rób, Jean.

- Ja tego nie zrobiłam - wyjaśniła Jean. - To pan Dawlish.

- Idziemy - oznajmiłem. Jean powiedziała centrali, gdzie będziemy, zakomunikowała Alice, że nie trzeba nam będzie przynosić porannej neski, umocowała taśmy, wstążki itp. na metalowej szafie, poprawiła szminkę na ustach i zmieniła buty. Wyszliśmy.

- Dlaczego Pike jest w Salisbury?

- Trzymają go tam jako psychotyka leczonego w wojskowym więzieniu. Jest izolowany i nie bardzo chcieli, żebyśmy nawet my go odwiedzili, ale Dawlish nalegał na to.

- Jak znam Rossa, zwłaszcza żebyśmy my go nie odwiedzili. Jean wzruszyła ramionami.

- Ross nie może trzymać go dłużej niż miesiąc - powiedziałem. - Nie może trzymać go przez całe życie, jeśli nie leczy się z własnej woli.

- Nie leczy się z własnej woli - wyjaśniła Jean. - Protestuje jak szalony. Ross podsunął mu plik papierów do podpisania i Pike dowiedział się, że złożył podanie o przyjęcie do Korpusu Medycznego Królewskich Sił Zbrojnych. Przyjęli go i od razu wsadzili do więzienia. Rozwalił celę i teraz trzymają go na oddziale dla psychicznie chorych. Ross waruje przy nim jak pies. Wygląda na to, że będzie tam siedział, aż Ross upewni się, że siatka Midwintera zupełnie się rozpadła. Widzisz, Ross dostał opeer za te jajka z Porton. W Gabinetecie dostali białej gorączki, a czytając między wierszami dowiedział się, że to właśnie my wyciągnęliśmy kasztany z ognia.

- Ross był chyba wniebowzięty - powiedziałem nie bez zadowolenia. - Więc co mam zrobić, podpisać coś?

- Nie - wyjaśniła Jean. - Masz namówić Pike'a, żeby poradził w liście żonie, by wyjechała z kraju.

- Ho-ho.

- Tak. Gabinetowi rozpaczliwie zależy na tym, żeby nie było u nas w tym roku kolejnego, wielkiego procesu szpiegowskiego. Amerykanie i tak już utrudniają nam życie. Ta afery - amatorska siatka szpiegowska Midwintera - może stać się wielką publiczną sensacją w Stanach i zwiększyć naciski, żeby USA nie dzieliły się swoimi tajemnicami z Brytanią.

- A więc pani Pike dołączy do wielkiej armii klientów wyekspirowanych na Wschód, zanim chłopaki ze Special Branch pojawią się dysząc i sapiąc z nakazem aresztowania, na którym nie wysechł jeszcze atrament. To tylko kwestia czasu, zanim Special Branch wpadnie na to, co jest grane.

- To tylko kwestia czasu - powiedziała Jean - zanim *Daily Worker* wpadnie na to.

Zabraliśmy akta pisane na przebitce z Korpusu Medycznego Królewskich Sił Zbrojnych w Lower Barrack, Winchester i zatrzymaliśmy się w Stockbridge na lunch. Stamtąd było już niedaleko.

Palce zimy sięgnęły głęboko w białą gardziel rolniczego krajobrazu. Na drzewach nie było śladu liści, ziemia była brązowa, wypastował ją wilgotny wiatr. Farmy leżały ciche i nieruchome, a wioski wyglądały na opuszczone, jakby nie oczekiwano już na powrót wiosny. Więzienie położone jest na wąskim paśmie wzgórz na samym skraju równiny. Tylko oddział psychiatryczny prowadzony jest wyłącznie przez wojsko. Są to nowoczesne budynki, a na dworze znajduje się duża abstrakcyjna rzeźba i dwie fontanny, które włącza się, gdy ma się pojawić ktoś ważny. Rabaty - obecnie brązowe i nagie - wzdłuż podjazdu miały rozmiar i kształt świeżo wykopanych grobów. Sekretarz gubernatora oczekiwał nas przy głównym wejściu. Było to kafkowskie miejsce, które wydawało się za duże dla ludzkich istot i pachniało eterem.

Sekretarz gubernatora wywijał do nas dużą, żółtawą kopertę. Był to drobny, prześliczny mężczyzna, który wyglądał niczym rozpakowany z folii. Koniuszki jego palców ruszały się nieustannie, jakby ubabrał je sobie w czymś lepkim i chciał to wytrzeć. Wysunął ku mnie trzepoczącą rączkę i zezwolił, bym ją uściśnął. Potem pozdrowił Jean i przeszedł do ataku z kopią regulaminu więziennego, którą podpisałem. Jean odparowała cios aktami Korpusu Medycznego i wyprowadziła prosty za pomocą paszportu Pike'a. Sekretarz oddał hakiem w postaci instrukcji gubernatora, której przedtem nie widzieliśmy. Podpisując ją Jean straciła równowagę, ale zadała parę szybkich na korpus za pomocą akt od Rossa z Ministerstwa Wojny. Gdy facet opatrywał je zamasztywanym podpisem, Jean zrobiła wypad dzięki stenogramom z posiedzeń Gabinetu, które nie miały nic wspólnego z tą sprawą. Dobrze oceniła przeciwnika, który poddał się, nim je przeczytał.

- Mamy bardzo wygodny pokój przesłuchań - powiedział sekretarz.

Bardziej niż prawdopodobne, że był na podsłuchu.

- Zobaczymy się z nim w jego celi - oznajmiłem. - Może przyśle pan tam herbatę.

- Znakomicie - oświadczył sekretarz. - Mówi się, że ma panwłasne sposoby. - Uśmiechnął się, by zaznaczyć, że tego nie pochwała. Długo czekałem, aż powie: „To

wbrew przepisom” - ale nie zrobił tego. Przeszliśmy przez główny hol do kantoru starszego strażnika. W środku muskularny strażnik z sięgającym do kolan łańcuchem kluczy uniósł wzrok znad biurka, jakby nie postawiono go tutaj po to, by nas czekał.

- Zabierzcie tych ludzi do trzeciego pawilonu - rygor obostrzony - powiedział sekretarz. Wręczył strażnikowi kartę z żółtej bibułki, którą przedtem podpisałem.

- Pokwitowanie musi się znaleźć w moim biurze, zanim ta dama i ten dżentelmen wyjdą przez bramę. - Obrócił się do nas i wytłumaczył ćwierkając: - W przeciwnym razie nie wydobędziecie się stąd. - Odwrócił się z powrotem do strażnika. - W porządku, Jenkins?

- Tak jest - powiedział Jenkins. Sekretarz Gubernatora wyciągnął do nas ruchliwą rączkę.

- To wbrew przepisom - zauważyłem.

- Tak - odparł i odszedł pykając wargami.

Jenkins podszedł do szafy na akta. - Czy napiją się państwo herbaty? - zapytał przez ramię.

- Tak, bardzo proszę - odparła Jean. Strażnik otworzył kluczem szafę i wyciągnął torbę cukru. - Przyniosę państwu cukier. Muszę go zamykać na klucz - wyjaśnił. - Nocna zmiana mi go podbiera.

W trzecim pawilonie trzyma się więźniów, którzy wymagają stałego nadzoru. Jest oddalony od innych budynków. Wiatr wcisnął trawę w błoto. Nie widać było ogrodników lub strażników. Więzienie dla psychicznie chorych przypomina nowoczesną szkołę podstawową, z której usunięto wszystkie dające się połamać przedmioty. Bramy zaprojektowano według nowoczesnego wzoru, aby uniknąć wrażenia, że trzyma się kogoś za kratkami. Odstępy w nich były zaś tak wąskie, że nie mógł się przez nie przecisnąć człowiek. Wciąż było słychać dzwonienie i pbrzękiwanie kluczy. Wszędzie było aż za czysto. Przy każdych drzwiach, które mijaliśmy, Jenkins wyśpiewywał nazwę pomieszczenia: jadalnia, bawalnica, pokój do odpoczynku, klasa szkolna, fizjoterapia, biblioteka, pomieszczenie do elektrowstrząsów. Jasne było, że Jenkinsa trzyma się specjalnie dla odwiedzających. W wypastowanym na wysoki połysk korytarzu, który prowadził do celi Pike'a, wisiały kopie bardziej zrównoważonych impresjonistów. Na zewnątrz celi wsunięto w drewnianą ramkę karty z jego nazwiskiem, numerem, wyznaniem - ta była kolorowa, by kapelan mógł ją zauważyć - rodzajem diety (normalna), ale zauważyłem, że nie było tam informacji o wyroku i przypadku chorobowym.

Cela Pike'a była mała, lecz jasna i - co bardzo dziwne w więzieniu - okno umieszczono tak nisko, że można było przez nie wyglądać, choć wzrok nie sięgał dalej niż dziesięć metrów. Pomieszczenie, a także wąską rogózkę z włókna kokosowego, pomalowano na oślepiająco żółty kolor. Na ścianie wisiał regulamin więzienny wypisany mikroskopijnym druczkiem. Znajdowało się tam szpitalne łóżko, trójkątna umywalka i klozet z bieżącą wodą. Na ścianie wisiał krucyfiks, zdjęcie domu Pike'a, zdjęcie jego żony i fotografia królowej. Królowa była w kolorze. Obok łóżka umieszczono małą lampkę z barakowym abażurem i kutasami z czerwonego plastyku. Pike czytał *Ja, Klaudiusz*. Użył bibułki do papierosów jako zakładki i położył książkę na stole.

- Goście do ciebie, Pike - powiedział strażnik. - Nie próbuj taków wowych. - Widać było, że Pike rozumiał ten dziwny język, bo stanął sztywno na baczność. Ubrany był w znoszony mundur wojskowy. Strażnik podszedł do Pike'a i poddał go inspekcji. Nie kryła się w tym groźba. Robił to jak matka, która wymyła swoje dziecko po tym, jak wylało na siebie talerz zupy mlecznej, a teraz chce się upewnić, że jest zupełnie czyste. Strażnik odwrócił się do mnie i powiedział innym tonem: - Dwie herbaty dla pana i pani. Położę cukier na tacy. Czy chce pan herbatę dla więźnia?

- To byłoby miło z waszej strony - odparłem.

Gdy strażnik wyszedł, Pike powiedział: - Nieźle się w tym wszystkim urządziłeś, co?

- Jestem zapracowanym człowiekiem, Pike - oświadczyłem. - Gdyby tylko o mnie chodziło, to dostarczyłbym cię do radzieckiej ambasady i zapomniał o całej sprawie, ale zakładając, że nie będziesz utrudniać mi jeszcze bardziej roboty, spróbuję pozostać wobec ciebie tak nieuprzedzony, jak tylko jest to możliwe.

- Dobra, no to posłuchaj...

- Dam ci znać, kiedy i co zechcę wysłuchać - odparłem. - W każdym razie obecnie zajmuje się tobą wojsko, ja z tym nie mam nic wspólnego. - Czego więc chcesz? - Dotknął guzików sprawdzając, czy są porządnie zapięte. Stwierdziwszy to, rzucił mi wyzywające spojrzenie.

- Jestem tu, żeby ci powiedzieć, iż jeśli twoja żona zdecyduje się wyjechać z kraju, nikt jej w tym nie przeszkodzi.

- Co za uprzejmość - obruszył się Pike. Gładził mundur szybkimi, nerwowymi ruchami.

- Lepiej się nie pomył, Pike. Wiemy, że w zeszłym tygodniu zabrała kolejną - dodam, że ostatnią - partię skradzionych wirusów do Helsinek. Wczoraj wróciła do Anglii. Chociaż sądzi, że zrobiła to dla Amerykanów, te jajka miały trafić do Rosjan. Na szczęście nie dotarły do nich.

- Do Rosjan - powtórzył szyderczo Pike. - Opowiadali mi tu różne historyjki, ale ta jest najlepsza ze wszystkiego. Jestem amerykańskim agentem. Pracuję dla tajnej amerykańskiej organizacji, która nazywa się Wolny Wybór Wolności.

- Już czas, żebyś przeszedł na czas przeszły - poradziłem. - I czas, żebyś sobie wbił do wypchanego receptami łba, że kradzież z supertajnego zakładu rządowego to bardzo poważne przestępstwo, nawet jeśli miała zamiar ugotować te jajka na miękko i zjeść

z masłem i chlebem.

- Co to, groźby? - odparł Pike. Rozpiął guzik kieszeni, jakby chciał stamtąd wydostać notatnik, a potem zapiął go z powrotem. - W Old Bailey była cała kupa takich jak ty. Powiedzieli mi, że psychicznie chorym więźniom nie wolno pisać podań do ministra spraw wewnętrznych i ministra obrony, ale ja wniosę tę sprawę do Izby, do Izby Lordów, jeśli to konieczne. - Słowa płynęły gładko i potoczyście, jakby powtarzał je sobie wiele razy, przy tym w nie wierząc.

- Nic nigdzie nie wniesiesz, Pike. Jeśli pozwolę ci wyjść stąd i udać się do... do kogokolwiek, Izby Lekarskiej, twojego posła lub matki, ułożysz historyjkę o tym, że przypadkowo wstąpiłeś do wojska, a armia trzymała cię w zakładzie odosobnienia dla wariatów. Sądzisz, że ktokolwiek w to uwierzy? Powiedzą, że masz hysia, tak jak psychiatrzy wojskowi, których przyślą, żeby cię zbadali. Będziesz w kaftanie bezpieczeństwa, zanim zorientujesz się, co się z tobą dzieje. Potem zaczniesz szamotać się, krzyczeć i wrzeszczeć, że jesteś zdrowy i niewinny, a wszyscy będą jeszcze bardziej przekonani, że masz hysia.

- Żaden psychiatra nie pozwoli sobie na coś takiego - oświadczył Pike.

- Jesteś naiwny, Pike - powiedziałem. - Może na tym od dawna polega twój problem. Psychiatra wojskowy podtrzyma diagnozę swoich kolegów. Byłeś lekarzem, Pike. Wiesz, jacy są lekarze. Zawsze zgadzają się ze swoimi kolegami. Czy nigdy nie zdarzyło ci się potwierdzić fałszywej diagnozy? No właśnie, tak zrobi ten psychiatra, zwłaszcza po przeczytaniu twojego dossier. - Poklepałem je. - Twierdzi się tutaj, że udając doktora naraziłeś na szwank zdrowie czternastu osób.

- To stek kłamstw - odparł Pike z rozpaczą. - Wiesz o tym. Mój Boże, co za

diabelstwo. Trzy dni temu przyszedł tu jakiś człowiek i utrzymywał, że byłem kiedyś oficerem artylerii w Kuwejcie. W zeszłym tygodniu mówili, że byłem aborterem. Próbują mnie wpędzić w chorobę psychiczną. Wiesz, że to prawda.

- Wiem tylko to, co jest w twoich aktach - powiedziałem. - Bawiłeś się w amatorską grę szpiegowską dla cudownych dzieci. Robiąc to, ludzie się kaleczą. Większość z nich jest o wiele bardziej interesująca niż ty. A teraz przejdźmy do interesu. Gdzie chciałbyś, żeby twoja żona pojechała?

- Nigdzie.

- Jak wolisz, ale kiedy żonę zaarrestują, twoje dziecko zostanie najprawdopodobniej oddane pod kuratelę sądu. Chłopiec skończy w sierocińcu. Żona dostanie najmniej siedem lat. - Włożyłem wszystkie papiery do teczki i zamknąłem ją.

Pike wpatrzył się we mnie. Trudno było mi rozpoznać człowieka, z którym spotkałem się w gabinecie na King's Cross. Przylizane, stalowe włosy były teraz miękkie jak wata i usiane siwizną. Oczy zapadły się głęboko pod czaszkę, a wygłaszanym protestom nie towarzyszyła żadna aktywność ruchowa. Był jak człowiek dubbingujący filmową ścieżkę dźwiękową, który nie jest w stanie robić tego przekonująco. Przeciągnął palcem po szyi wokół mundurowej bluzy i potarł ją podbródkiem. Poczęstowałem go papierosem. Gdy mu go przypalałem, nasze oczy się spotkały. Żadnego z nas nie było stać na okazanie najmniejszego śladu życzliwości.

- No dobrze. Mamy krewnych w Mediolanie. Mogłaby tam pojechać.

- Masz tu papier - powiedziałem - napisz do niej list sugerujący, żeby pojechała do Mediolanu. Niech to będzie bardzo przekonująca sugestia, bo jeśli nie wyjedzie w ciągu paru dni, nie będę w stanie zapobiec jej aresztowaniu.

- Inny wydział - powiedział Pike sarkastycznie.

- Inny wydział - przyznałem i wręczyłem mu pióro oraz papier, a gdy skończył pisać, dałem mu filiżankę herbaty z dwiema kostkami cukru.

## **Rozdział 28**

Jean przepisywała na maszynie akta organizacji Midwintera. Przerwała. - Co za śliczna nazwa - Szlak Lovinga. Dlaczego się tak nazywa?

- Człowiek nazwiskiem Oliver Loving przepędził stado bydła z pastwisk w Teksasie do stacji w Cheyenne.

- Śliczna nazwa. Szlak Lovinga - powiedziała Jean. - Myślę, że im wszystkim

o to chodziło. Generał Midwinter kochający Amerykę mocno, choć niezbyt mądrze.

- Niedomówienie roku.

- Nie pani Newbegin. Wiem, że ją znienawidziłeś, ale jestem pewna, że to jakiś spaczony rodzaj miłości zaprowadził ją do tego ociekającego lukrem Midwintera i sprawił, że naciskała na Harveya, by odniósł wielki sukces.

- Kradzież. Czy to twoja koncepcja sukcesu?

- Próbuję ich zrozumieć.

- Pani Pike i pani Newbegin należą do dokładnie tego samego gatunku.

Twarde, agresywne, zajadłe, kierujące swoimi mężami, jak drugorzędny menago kandydatką na gwiazdę muzyki pop. Pracujesz nad tymi aktami cały dzień, wiesz, że takie kobiety prawie nigdy nie myślą w kategoriach politycznych. Są biologicznie umotywowane i z racji biologicznych kobiety tego gatunku zawsze przeżyją. Zrzuć taką do Pekinu, a po sześciu miesiącach każda z nich będzie miała wielki dom, wytworne suknie i zdalnie sterowanego męża.

- Co się stało z Harveyem Newbeginem? Czy w jego urzędzeniu do zdalnego sterowania przepaliły się bezpieczniki?

- Harvey kochał młodość. Jak wielu ludzi, którzy zazdroszczą innym młodości, tak naprawdę chciał pozbyć się wspomnień. Harvey pragnął wciąż zaczynać od nowa: poprzez małżeństwo, poprzez ucieczkę do Rosjan. Nic go nie obchodziło, jeśli tylko miał okazję zacząć od zera.

- Powiedziałałabym, że to wina jego żony. Czuł się jak w potrzasku.

- Wszyscy czujemy się jak w potrzasku. To sposób na racjonalizację naszej szarej rzeczywistości, przeciwstawionej różowym perspektywom.

- To mi przypomina - powiedziała Jean - że muszę ci odnowić prenumeratę *Reader's Digest*.

- Bardzo zabawne. - Połączyłem w łańcuch piętnaście spinaczy, ale gdy go pociągnąłem, trzeci od końca przekręcił się i oderwał.

- Dlaczego Harvey Newbegin uciekł do Rosjan? - zapytała Jean. - Wciąż tego nie rozumiem.

- Był niestabilnym człowiekiem, żyjącym w świecie pod wysokim ciśnieniem - powiedziałem. - Nie ma tu łatwego, gładkiego wytłumaczenia. Nie był komunistycznym szpiegiem, rewolucjonistą czy marksistowskim wywrotowcem. Nigdy tacy nie są. Skończył się czas filozofów polityki. Ludzie nie zdradzają już swojej ojczyzny dla idei. Reagują na bieżące problemy. Robią to, co robią, ponieważ



pragną nowego samochodu, boją się, że wyrzucą ich z pracy, zakochują się w nastolatce lub nienawidzą żony albo dlatego, że pragną uciec od tego wszystkiego. Brak tu jednoznacznego motywu. Nigdy go nie ma, powinienem o tym wiedzieć. Jest tylko nieskładna mieszanina oportunistów, ambicji i dobrych zamiarów, które wyszły na złe. Droga do piekła jest tym wybrukowana. Posuwasz się po niej o cal każdego dnia i możesz odbyć bezbolesną podróż.

- Co powiesz o Signe, patrząc na nią z twojej różowej perspektywy? Kociak?

- Nie - odparłem. - Wiesz... młode dziewczyny.

- Nie - powiedziała Jean drewnianym głosem. - To ty wiesz.

- To młoda dziewczyna, która nagle odkrywa, że jest piękną kobietą.

Mężczyźni, którzy niedawno mówili jej, żeby siedziała cicho, nagle czekają na nią i wsłuchują się w każde słowo. Władza. Trochę jej to uderzyło do głowy, nic nadzwyczajnego. Do szaleństwa zakochana jednego dnia, odkochana - drugiego. Przemiała gra, z tym że Harvey wziął to na poważnie. Ale Harvey był aktorem, rozkoszował się tym.

- Przeczytałam raport lekarski w sprawie śmierci Kaarna'y - powiedziała Jean.

- Policja w Helsinkach twierdzi, że było to cienkie, ostre narzędzie, ranę zadał praworęczny sprawca z tyłu, cios był skierowany z góry na dół.

- Wyprzedziłem cię - przerwałem jej. - Szpilka do kapelusza, którą posłużyła się leworęczna dziewczyna obejmująca go ramionami, gdy oboje leżeli w łóżku, dałaby ten sam rodzaj rany. Rosyjski kurier umarł od takiej samej rany pięć miesięcy wcześniej. Przydarzyło się to też paru innym. Sprawnie przeliczała kręgi w kręgosłupie.

- Siady ubrania w zębach? - powiedziała rzeczowo Jean.

- Wszyscy mamy swoje sposobiki - odparłem.

- Mój Boże - stwierdziła Jean. - Chcesz powiedzieć, że ona była urzędowym zabójcą w organizacji Midwintera, tak jak to twierdził Harvey.

- Na to wygląda - powiedziałem. - To dlatego staruszek Midwinter pytał mnie, czy jest emocjonalnie związana. Wciąż myślał o tym, żeby wykorzystać ją przeciw Harveyowi.

- Co to się z nią teraz stanie?

- Dawlish ma nadzieję, że moglibyśmy zatrudnić Signe Laine i panią Pike.

- Szantaż.

- Brzydkie słowo, ale jeśli zaoferujemy im pracę, trudno im będzie odmówić.

Tak więc Ross z Ministerstwa Wojny znalazł sposób, by zatrzymać doktora Felixa Pike'a w areszcie, unikając publicznego procesu, ale nawet Ross nie mógł udawać, że pani Pike wstąpiła do wojska i zwariowała. Zawarliśmy milczące porozumienie z Rossem, że zostawi nam panią Pike. Chcieliśmy trzymać ją pod obserwacją, mając na uwadze werbunek.

Ross nie złamałby tego porozumienia, ale znał inne sposoby, żeby podłożyć nam świnie. Wczesnym piątkowym popołudniem dowiedzieliśmy się, że Special Branch zainteresowała się panią Pike. Wszyscy wiedzieliśmy, że kryje się za tym przebiegła ręka Rossa. Szczwany sukinynek.

- Szczwany sukinynek - powiedziałem. Jean zamknęła z trzaskiem akta i wyciągnęła dużą, złotawą kopertę. W środku znajdowały się dwa bilety na samolot i plik amerykańskiej waluty. - Dawlish życzy sobie, żebyś wsadził panią Pike do samolotu. - Spojrzała na zegarek. - Special Branch przyjedzie tam z nakazem aresztowania dziś wieczór, więc mimo wszystko musisz wykorzystać list od Pike'a. Jeśli się pośpieszysz, będziesz miał godzinę na to, żeby ją przekonać.

- Nienawidzę tej cholерnej roboty.

- Wiem.

- Muszę stwierdzić, że okazujesz wiele współczucia.

- Nie płacą mi za okazywanie współczucia - odparła Jean. - Nie rozumiem, dlaczego zawsze czujesz taką skruchę z powodu wykonywanej roboty. To proste jak drut: wsadź panią Pike do samolotu, zanim ją wsadzą do aresztu. Myślałam, że lubisz odgrywać dobrego samarytanina.

Wziąłem bilety i wsadziłem je do kieszeni. - Ty też możesz pojechać - oświadczyłem. - Wtedy zobaczysz, jakie to cholernie przyjemne.

Jean wzruszyła ramionami i podała szoferowi adres Pike'a. Piątkowa noc w opanowanym przez dacje krajobrazie. Zalało fundamenty i unosiła się z nich wilgoć. Maklerzy giełdowi w Daimlerach i niechlujnych ubraniach przybędą tutaj odprężeni, a w poniedziałek rano odjadą wyczerpani i napięci. Był to chłodny wieczór. Przez lekką mgłę można było niemal dostrzec grzanki do herbaty, kociołki pyrkoczące w duchówkach, dwukołki i kapelusze myśliwskie. Besterton okazało się śmietniskiem stylów architektonicznych od domów z czerwonej cegły z drewnianym szkieletem po fałszywego Jerzego rezydencji Pike'a. Przebudowana stodoła, w której mieszkał Ralph Pike, nosiła ślady spaleniźny na dwóch górnych oknach. Dzisiaj nie było samochodów na podjeździe ani muzyki czy jakiegokolwiek znaku życia.

Zadzwoiłem do drzwi. Podszedł do nich hiszpański służący.

- Słucham?

- Do pani Pike.

- Nie ma jej - odparł i zaczął zamykać drzwi.

- Lepiej dowiedz się, gdzie jest - oznajmiłem - zanim ja dowiem się, czy masz pozwolenie na pracę.

Wpuścił nas nie bez oporu. Usiedliśmy na długiej sofie ozdobionej gałkami, wśród rzeźb z kości słoniowej, starych tabakierek z zabawnymi wierszykami, srebrnych piórników i noży do papieru. Jamnik zwinął się w precel na palenisku, wśród starannie wyczyszczonych pogrzebaczy. Wrócił służący. - Pani Pike jest tutaj - powiedział i wręczył mi jasnopomarańczową kartkę.

*Prywatna Szkoła Podstawowa w Besterton zaprasza rodziców i swych przyjaciół na wielkie przedstawienie. Dzyń, dzyń-bim-bom. Występują uczniowie Prywatnej Szkoły Podstawowej w Besterton. Wstęp od 18.30. Przedstawienie rozpoczyna się o 19. Wstęp wolny. Zbiórka srebra na cele charytatywne. Przyjdźcie wcześniej. Kawa i napoje orzeźwiające dostępne po zwykłych cenach. Nauczyciele będą radzi odpowiedzieć na pytania rodziców.*

- Chodź, Jean - powiedziałem.

Zimny wiatr wył wśród drutów telegraficznych. Uleciały ostatnie cząsteczki dziennego światła. Wielki bursztyn oświetlającego jezdnię księżycy wzywał do rozważli lekkożylny wszechświat. W rowach rechotały ropuchy. Gdzieś niedaleko sówka-pójdźka wołała: puć-puć-puć.

Jean wzięła mnie za ramię i powiedziała:

*W chwili narodzin twych wrzasnęła sowa -*

*Zły znak; a puszczyk wołał czas zły wróżąc;*

*Psy wyły, burze straszne przewracały*

*Drzewa...*

- Jedynym moim wypadem na pole szekspirowskiego dramatu była rola ducha ojca Hamleta. Replikował mi Marcellus mówiąc: *Patrzcie, to nadchodzi znowu.* Wchodzi duch. Stoi i straszy, aż ktoś mówi: *Stój i przemów, ja tobie nakazuję, przemów,* następnie duch wychodzi bez słowa.

- Tworzyłeś sobie wzory zachowania na późniejsze lata - stwierdziła Jean.

- Duch - powiedziałem - miał kwestię:

*Już nadchodzi godzina, co mnie zmusza do powrotu w płomienie siarki, w*

mękę, a potem było coś o tym, że: *choćby rozpusta szła w zaloty do niej w postaci gońca nieba, to żądza, wprędce niebiańskie łoża sobie uprzykszywszy, żywić się będzie brudem* ale nie podobał im się sposób, w jaki to mówiłem, i w końcu kazali innemu chłopcu wygłosić to zza kulis przez metalową tubę.

Szkoła to był duży dom, który kiedyś zwano „Folwarkiem”. Jej grunty podzielono na prostokąty. Na każdym z nich stanął nowoczesny dom. Dużą tablicę z napisem „Prywatna Szkoła Podstawowa w Besterton” - przybito do bramy wiodącej do ogrodu, żeby przyciągnąć uwagę małych mieszkańców wioski, którzy odmawiali kontaktu z ludnością z wyższych grup dochodowych.

Dama w futrze siedziała na krześle w progu. - Jest pan ojcem? - zapytała, gdy podszedłem z Jean.

- Pracujemy nad tym - odparłem. Uśmiechnęła się ponuro i wpuściła nas do środka. Duża, ręcznie wyrysowana strzałka wskazywała korytarz, który czuć było pod ręcznikami i ścierkami do tablicy. Przeszliśmy przez drzwi z napisem „Świetlica”. Monotonne dźwięki starannie wystukiwane na pianinie dobiegały z głównej części holu. Pani Phillipa Pike znajdowała się za sceną. Dałem jej kartkę od męża. Patrzyła na mnie przez dłuższy czas, zanim ją rozłożyła. Gdy przeczytała, nie wydawała się zaskoczona.

- Nigdzie nie jadę - powiedziała. Światła było tylko tyle, bym mógł dostrzec jej twarz, ale za nią mała dziewczynka na scenie została pochwycona w krzyżowy ogień zielonych reflektorów. Nosila pokryte cekinami skrzydła, które trzepotały, gdy się poruszała, iskrząc się w ostrym zielonym świetle.

- Zrobiłaby pani mądrze idąc za radą męża - powiedziałem.

- Możliwe, że ma więcej danych, by ocenić sytuację. Dziewczynka mówiła:

*Północny wiatr duje,*

*Śnieżek popaduje,*

*Co tu robić - kogut płacze,*

*Biedaczek.*

- Nie, nie sądzę - odparła pani Pike. - Stwierdził pan, że jest w więzieniu. To nie jest dobre miejsce, żeby ocenić czyjąkolwiek sytuację poza własną.

- Nie mówiłem, gdzie się znajduje, powiedziałem, że mam od niego wiadomość.

Dziewczynka mówiła: *W stodole usiądzie, Tam mu ciepło będzie, Schowa głowę pod skrzydełko, Poczuj ciepłko.*

Reflektory zmieniły się na różowe, gdy ukryła głowę pod nylonowym skrzydłem.

Pani Pike zaciągnęła kołnierzyk na szyi, jakby i ona poczuła podmuch północnego wiatru. - Felix był durniem - powiedziała nie zwracając się do nikogo. Jej twarz oświetliły jasnoróżowe reflektory i widziałem miejsce, gdzie, nieco poniżej szczęki, kończył się puder w kremie. - Ktoś powinien zapłacić - powiedziała. - Ktoś skorzystał na ich pracy - niebezpiecznej pracy - ktoś skorzystał, a ktoś powinien zapłacić. Dlaczego mam ucierpieć ja, dlaczego to dziecko?

Spojrzałem na panią Pike, drobną, kobietę bez twarzy, z kosztownie zabarwionymi włosami i oczkami rozświetlonymi urazą, gdyż szpiegostwo się jej nie opłaciło. Zaległo milczenie, gdy próbowałem opanować gniew. Kiedy się odezwałem, mówiłem spokojnie.

- To bardzo proste - powiedziałem. - Oto bilet lotniczy do Mediolanu dla pani i syna. Jeśli złapie pani najbliższy samolot, opłacę pani wydatki i jeszcze sporo zostanie na ubrania i temu podobne, by nie musiała pani wracać do domu, który może już być obserwowany. Jeśli pani tego nie zrobi, wrócimy z panią do domu, gdy pani stąd wyjdzie. Zostanie pani zabrana do aresztu.

- Domyślam się, że pan tylko wykonuje rozkazy - stwierdziła.

- Ale nie bezmyślnie, pani Pike - odparłem. - Na tym polega różnica.

Dziewczynka na scenie okręcała się trzymając głowę pod skrzydłem.

Widziałem, jak jej wargi poruszają się, gdy liczyła piruety.

- Nie ufam panu - po widziała pani Pike.

Chłopczyk przebrany za żołnierzyka, z olbrzymimi białymi guzikami i dwoma czerwonymi krążkami na policzkach, podszedł do pani Pike i dotknął jej ręki. - Jestem następny, mamusiu - powiedział.

- Tak, kochanie - odparła pani Pike. Dziewczynka na scenie wymachiwała dużą latarnią z papiermache. Palił się tylko jeden błękitny reflektor.

Dziewczynka recytowała:

*Ile stąd mil do Babilonu?*

*„Sześć razy dziesięć. Nie wiesz o tym?”*

*Czy można dojść tam, zanim zgaśnie świeczka?*

*„Nie tylko tam, ale z powrotem”*

Zapaliły się wszystkie światła. Twarz pani Pike widać było wyraźnie.

Dziewczynka dygnęła i rozległ się szmer oklasków. Widownia zachwycała się tak

cicho, że nie miałem pojęcia, iż dziesięć centymetrów za cienkim przepierzeniem znajdowało się sześćdziesięciu ludzi.

- Kochanie, masz czystą chusteczkę? - zapytała pani Pike.

- Tak - odpowiedział żołnierz, mały Nigel Pike. Dziewczynka podbiegła czerwieniąc się i śmiejąc do brzegu sceny. Ojciec uniósł ją i postawił na ziemi. - Żołnierzyki na swoje miejsca. Gdzie jest jednorożec? - zapytał jakiś mężczyzna. Wdrapał się na scenę, ustawił Nigela i jego kolegów w czworobok i ukrył się za stosem deseczek.

- A ja nie ufam pani - powiedziałem pani Pike. - Ja też byłem w Helsinkach w zeszłym tygodniu.

Żołnierzyki, lew z plastrem na kolanie i jednorożec z odpadającym rogiem ustawili się na scenie. Zaczęło grać pianino. Jeden z żołnierzyków pomachał mieczem, a reszta zaczęła recytować unisono:

*Lew stanął z Jednorożcem do boju o koronę,*

*Przechylił Lew zwycięstwo w boju na swą stronę.*

Lew i jednorożec stukali drewnianymi mieczami i warczeli niczym zapaśnicy w telewizji.

Pani Pike patrzyła niewidzącymi oczyma na jasno oświetlone dzieci.

- Lepiej niech się pani szybko zdecyduje - powiedziałem. - I niech mi pani pozwoli przedstawić problem najjaśniej, jak tylko potrafię. Właśnie teraz... - spojrziałem na zegarek; była 1945. - ... wydano prawdopodobnie nakaz aresztowania, ale ponieważ jest to Buckinghamshire, trzeba będzie najpewniej wykonać sporo telefonów, żeby ugłaskać miejscowego komendanta policji. Powiedziałbym, że ma pani dwie godziny, zanim zablokują porty i lotniska. Te bilety będą guzik warte, gdy Special Branch na londyńskim lotnisku otrzyma swoje rozkazy.

Jeden z żołnierzyków śpiewał:

*Dano im trochę pszennego, a trochę żytniego ciasta*

*I trochę placka ze śliwek, i wy bębniiono ich z miasta*

Pani Pike patrzyła na syna. Mężczyzna po drugiej stronie sceny szeptał bardzo głośno: - Dalej jednorożec, dalej jednorożec. Obiegnij dookoła drzewo.

- Jednorożec za długo pałaszował placek ze śliwek - zauważyłem.

- Tak - potwierdziła pani Pike. - Tak samo było na próbach.

- To przechodzi moje pojęcie - powiedział Dawlish. Kominiek w biurze wypełniony był wysokim, chwiejnym stosem węgla. Pożyczył też słoneczko z

dmuchawą z wydziału depesz, ale i tak było tu chłodno. Dawlish pochylał się nad kominkiem i ogrzewał dłonie. - Przeszedłeś przez londyńskie lotnisko z dzieckiem przebranym za żołnierzyka. Nie rozumiem, jak mogłeś być tak głupi. Kontrola paszportowa oczywiście to odnotowała. Kiedy ogłoszono alarm, pamiętali o tym.

- Tak - odparłem cierpliwie - ale pani Pike i dzieciak wyjechali już wtedy z kraju.

- Przebrany za żołnierzyka - powiedział Dawlish. - Czy możesz wymyślić coś bardziej rzucającego się w oczy. Nie mogłeś narzucić na niego płaszcza?

- Gdzie o ósmej wieczorem miałem znaleźć między Buckingham i Slotę płaszcz, który pasowałby na małe dziecko?

- Trzeba improwizować - stwierdził Dawlish. - Okazać inicjatywę.

- Okazałem tyle inicjatywy w tej sprawie - odparłem - że prawie się zużyła.

- Przemyśl sobie parę spraw - powiedział Dawlish. - Przebrany za żołnierzyka.

Którego dnia powiedziałem Rossowi, gdy sprzeciwiał się, abyś pojechał do Salisbury, że może jesteś nieco zdradliwy, czujesz się niedopieszczony i masz skłonność do poplątania z pomieszaniem, ale trzymasz wydział na chodzie. O czym myślałeś, podchodząc do kantoru Alitalia z żołnierzykiem?

- Myślałem, że mam szczęście, iż nie jestem tam w towarzystwie jednoroźca.

- Jednoroźca - powiedział Dawlish, ustępując mi pobłażliwie. - Rozumiem.

Za jego plecami dostrzegłem skrawek błękitu wśród szarych chmur; być może wkrótce nadejdzie wiosna.

**KONIEC**

„KB”